



Jennifer Vanderbes

Wyspa Wielkanocna



Przełożyła: Zofia Zinserling

Moim rodzicom i bratu

Pewnego wieczoru podczas pełni księżyca, kiedy Hau Maka leżał na wyspie Marae-toe-hau, miał sen.

W tym śnie jego dusza poszybowała ku wschodzącemu słońcu i przeleciała nad siedmioma krainami. Przyjrzała się każdej z nich, lecz w żadnej nie zasmakowała. Toteż, nie przerywając podróży, frunęła dalej nad bezkresnym pustym oceanem, a przez długi czas nie widziała w dole żadnych ziem, nic, tylko rozkołysane morze. Wreszcie dotarła nad piaszczysty brzeg. Tu opuściła się w dół. Stała na lśniącej białej plaży, w wodzie zaś dostrzegła ryby Mahore. Później wędrowała przez tę krainę, widziała nabrzmiące owoce wszelkich możliwych kolorów, kosztowała ich, cieszyła się nimi. Wąchała każdy wonny kwiat, biały zaś zerwała i zatknęła sobie za uchem. Następnie wspięła się na miejsce najwyżej położone, z którego widać było ocean i niebo, otaczające ją zewsząd i stykające się ze sobą. Dusza spojrzawszy na wyspę, poczuła podmuch łagodnego wietrzyku...

Tu zapragnęła zamieszkać.

Po przebudzeniu Hau Maka odnalazł króla Hotu Matua i opowiedział mu, co dusza widziała we śnie.

„Znajdziemy tę krainę”, powiedział król.

Legenda o Hotu Matua i odkryciu wyspy Te Pito O Te Henua

Rozdział pierwszy

Podczas Wielkiej Wojny momentem dla floty niemieckiej przełomowym było bez wątpienia jej niewczesne przybycie na Falklandy. Przez trzy miesiące od rozpoczęcia działań wojennych nie dała się wykryć aliantom, a na swoje wielkie nieszczęście skierowała się prosto na Falklandy zaledwie w parę godzin po tym, jak flota brytyjska zawinęła tam, aby zabunkrować węgiel. Gdyby Niemcy się zbliżyli i przystąpili do natarcia, zaskoczyliby Brytyjczyków w chaosie bunkrowania. Zamiast tego z niewiadomych przyczyn wszystkie dowodzone przez wiceadmirała hrabiego von Spee okręty, w liczbie ośmiu, próbowały uciec. Na domiar tej fatalnej decyzji pogoda była nietypowa - nad głowami rozpościerało się czyste, bezchmurne niebo,- brakowało zwykłych tumanów mgły i niskich chmur, które są zapowiedzią szkwału, a które zapewniłyby choć chwilową osłonę. Brytyjczycy szybko ruszyli w pościg swymi lepszymi krążownikami. Niemców zewsząd raził ogień dział. Po trzygodzinnej bitwie okręt flagowy wiceadmirała von Spee, „Scharn-horst”, obrócił się, stopniowo przechylił na lewą burtę i zanurzył w lodowatym Atlantyku, wzbijając w górę obłok czarnego dymu z kotłów, kiedy szedł na dno. Jedynie węglowiec, później internowany w Argentynie, i mały krążownik „Dresden”, po trzech miesiącach staranowany i wysadzony w powietrze, wyszły cało z zacieklego boju. Po paru godzinach los pozostałych okrętów eskadry został przypieczętowany na dnie morza.

Powstaje więc pytanie o przyczyny tego decydującego wydarzenia. Czym tłumaczyć przybycie wiceadmirała von Spee na Falklandy w tak niefortunnym momencie? Dlaczego wydał swoim okrętom rozkaz ucieczki? Jakim sposobem tak mężny i biegły w swoim rzemiośle admirał, człowiek znany z precyzji, spowodował zniszczenie niemieckiej eskadry wschodnioazjatyckiej i na zawsze odwrócił bieg Wielkiej Wojny?

Pechowa flota: hrabia von Spee i niemożliwa podróż powrotna

Rozdział drugi

Hertfordshire, 14 stycznia 1912

Mój najdroższy Max!

Nie mam pewności, gdzie przebywasz, posyłam jednak ten list do Grete w Gjellerup Haus, licząc, że otrzymała wiadomości od Twoich domowników i zdoła go doręczyć.

Znalazłyśmy się z Alice w dość trudnym położeniu. Miesiąc temu rozstał się z życiem mój Ojciec, a ja natychmiast zrezygnowałam z posady w Lancashire. Proszę, nie gniewaj się, że nie napisałam wcześniej. Potrzebowałam czasu, aby dokładnie określić sytuację, w jakiej mnie to stawia, i z przykrością donoszę, iż jest gorsza, niż zrazu sądziłam. Jakże bym chciała przekląć przemysł tekstylny i to niekończące się zamieszanie wywołane strajkami. Obecnie wydaje się, że Ojciec swą wiarę w angielski ruch związkowy przypłacił oszczędnościami niemal całego życia. Według moich najskromniejszych szacunków pozostawiona suma wystarczy na utrzymanie Alice i mnie przez czas nie dłuższy niż sześć miesięcy. Nie mogę przyjąć nowej pracy, jeśli mi nie pozwolą zabrać siostry ze sobą, a nawet Twoje przesadne referencje (nienaganne zachowanie! doprawdy, Max) nie zdołają przeważać na szali oczywistych trudności, jakie wiążą się z pozostawieniem Alice swobody w przyzwoitym domu. Adwokat, z wyglądu młodszy ode mnie, jest chyba przeświadczony, że zubożała dwudziestodwuletnia kobieta nie potrafi zaspokoić potrzeb dziewiętnastolatki. „Najgoręcej zaleca”, dla dobra Alice, dla mojego dobra i dla dobra wspólnego, umieszczenie jej w jednym z zakładów, w Bethlam albo St. Luke's. Cóż, ja z kolei powiedziałam mu słowami, które bynajmniej nie przystoją damie, że prędzej zamknęłabym siebie samą niż Alice. Więzienie ludzi staje się obecnie coraz modniejsze. W chwili kiedy to piszę, projekt ustawy o kontroli nad upośledzonymi umysłowo toruje sobie drogę przez obie izby parlamentu. Postęp - taką nazwę chętnie nadają temu lekarze i prawodawcy. Nie jestem pewna, co zrobimy, jeśli ustawa zostanie uchwalona. Alice ma teraz tylko mnie, a ja nie mogę jej zawieść.

Wiem, że niczego sobie nie obiecywałam. Jednak przez cały miniony rok byłam szczęśliwa, dopóki śniłam, że może znów Cię zobaczę. Cóż mogłoby być wspanialsze od myśli, że rzucisz wszystko i przyjedziesz po mnie. Zapomnisz o swoich obowiązkach, swoim życiu i staniesz na moim progu z liliami ze swego ogrodu w dłoni. Jaka głupia wydaje się teraz ta nadzieja. Czy wystawiałeś sobie kiedyś, jaka potrafię być dziecinna} Ale po odejściu Ojca

widzę świat w ciemniejszych barwach. Straciłam wiarę, że w życiu ostatecznie wszystko przybiera najlepszy obrót.

Wiem, że martwi Cię moje położenie, Ja też chciałabym, aby sprawy potoczyły się inaczej. Ale złościć się na moją sytuację to również złościć się na Ojca. Jak mogę go winić za próbę zapewnienia nam lepszych perspektyw! Mam nadzieję, że podobnie jak ja wierzysz, iż moje wykształcenie było darem o wiele cenniejszym niż jakakolwiek inwestycja. Zawsze pragnęłam, abym je lepiej wykorzystała, nie mogę jednak zrobić z niego lepszego użytku, jak tylko pomagać dzieciom w odmianie czasowników i kolorowaniu map świata; taki po prostu przypadł mi los. Najlepiej się z nim pogodzić. Proszę, nie uważaj mojej rezygnacji za dowód słabości. Nadal ożywia mnie taki jak Ciebie duch walki, lecz z braku środków nie mogę sobie na nią pozwolić akurat teraz.

Jestem tu w Anglii od wielu miesięcy bez żadnej wiadomości od Ciebie. Na pewno nadmiar obowiązków uniemożliwia Ci pisanie, lecz ja nie potrafię już żywić nadziei, że kiedyś staniesz w moich drzwiach. Zawsze wiedzieliśmy o Twoich obowiązkach rodzinnych i zawodowych. Jakiż sens mają moje życzenia, abyś któregoś dnia ocknął się zdolny do zerwania z dotychczasowym życiem! Obecnie w pełni zdaję sobie sprawę, że nigdy to nie nastąpi - nigdy już Cię nie zobaczę.

Pielęgnuję wspomnienia o wspólnie spędzonych chwilach. Ani przez moment nie żałuję naszych rozmów na tej ocienionej ławce, spacerów w ogrodzie - nadal śmiać mi się chce na myśl, że to właśnie Ty znasz nazwę każdej rośliny i krzewu. Któż by Cię posądzał o miłość do przyrody! To doprawdy straszne; ledwie zobaczę jakiś kwiat, już myślę o Tobie. Ale po Twoim wyjeździe nie mogłam dłużej zostać w Strasburgu. Nie mogłam patrzeć tylko na Twoją rodzinę bez choćby cienia nadziei, że raz na kilka miesięcy wrócisz na dzień, dwa.

Wiem, martwisz się, że Alice zrujnuje mi życie, i uważasz, że muszę myśleć o sobie. Przez tych parę ostatnich tygodni znów wysłuchiwałam w duchu wszystkich Twoich argumentów. Ale, najdroższy, muszę zadać sobie pytanie: jakie życie! Prawdę powiedziawszy, Alice jest jedyną towarzyszką, jaką kiedykolwiek miałam. Przez dziewiętnaście lat była moim życiem. Troska o nią jest troską o mnie samą. Proszę Cię, zrozum.

Chyba w końcu muszę dojść do tego: Profesor Beazley (kolega Ojca z wydziału antropologii i, tak, ów „człowiek z dżungli”, z którego czasem żartowałam) zgodził się otoczyć Alice i mnie opieką. Uniwersytet przyznał mu stanowisko Ojca, on zaś mądrze zainwestował duży majątek swojej rodziny

(gdybyż tak mógł doradzić Ojcu) i to powinno nam w zupełności wystarczyć. Mamy się pobrać w ciągu miesiąca.

Czy naprawdę tak trudno będzie nauczyć go czegoś, co się nazywa urokiem! Może krótka lekcja sztuki śmiechu! Nigdy nie widziałam mężczyzny tak bardzo skrepowanego; odpręża się chyba tylko w czasie czytania, pisania, a niekiedy sporządzania map. Może jeśli będę wciąż trzymała przed jego oczami rozłożoną książkę, uda nam się stworzyć coś na kształt normalnego domu! Nie. Och, Max, co się ze mną dzieje! Nie powinnam z niego podkpiwać. Przecież gdyby się nie oświadczył - cóż, obie z Alice włączyłybyśmy się niebawem po East Endzie. Czy naprawdę mogę żądać czegoś więcej!

Proszę Cię, Max, nie wyobrażaj sobie, że wolę profesora Beazleya od Ciebie. Po prostu dokonałam wyboru między opieką nad Alice a czekaniem na niemożliwe. Żałuję, że nie mogę powiedzieć Ci tego osobiście, lecz nie dla mnie ten luksus. Może Tobie ułatwi to niektóre sprawy. Może zawsze wiedziałeś, że tak będzie. Zapewne dużo wcześniej niż ja wyczułeś, iż nie ma dla nas nadziei. Dla mnie jednak oznacza to zmianę, bolesne przebudzenie. Prócz Ciebie nie ma nikogo, do kogo mogłabym napisać, nikt prócz Ciebie by mnie nie zrozumiał.

Czy to nie dziwne! Będę mężatką, zanim ten list do Ciebie dotrze.

Przebacz mi.

Elsa

Elsa odkłada pióro i złożony list, wsuwa go między kartki swego dziennika, oprawnego w marokiny. Edward wróci do domu niebawem. Ona wysłała list rano, kiedy on pójdzie na uniwersytet.

Za wysokimi oknami salonu zapada zmierzch. Elsa wstaje, pociera zapałkę i kolejno zapala świece w świeczniku. Cienie przesuwają się po storach, po tapecie w kolorze burgunda, po grubej politurze szafy armoire z włoskiego orzecha. Z każdego kąta wзира elegancja. Elsa, ostrożnie jak dziecko, które napomniano, żeby nie wykonywało gwałtownych ruchów, zbiera czarną spódnicę i wolno podchodzi do sofy. Wciąż nie potrafi sobie wyobrazić, że to jej dom. Zanadto przypomina domy pracodawców, przestronne, oświetlone żyrandolami jadalnie, zimne, wyłożone dywanami hole. W Strasburgu, w domu Maksa, poruszała się z jeszcze większą ostrożnością, zawsze przyklękała, aby wyprostować róg dywanu,- ilekroć wstawiała z kanapy, przetrzepywała każdą obszytą złotymi frędzlami poduszkę, jakby rozważne ruchy mogły zadośćuczynić za niedostatek uczuć lub też zamaskować ich brak.

Teraz siada na sofie, zadowolona z tego, co napisała. Udało się jej zachować właściwą równowagę między uczuciem a stanowczością. Wie, że ton - o tyle

dojrzały niż ton innych jej listów - wprawi Maksa w zdumienie. Teraz to ona się usprawiedliwia. On nie spodziewałby się zerwania z jej strony; zawsze znał głębię jej uczuć. Lecz niewątpliwie zrozumie okoliczności. Nawet jeśli będzie to oznaczało całkowitą zmianę jego zapatrywań na kwestię wolności, podważy wiarę w możliwość osiągnięcia każdego celu dzięki zapałowi, umiejętnościom i zdecydowaniu. Przecież rzekomo to w niej podziwiał: jej zapał. I ona kochała w nim zapał. Na co teraz zda się zapał? Choć pełen współczucia, Max nigdy nie rozumiał, co znaczy znaleźć się w potrzasku.

Elsa spogląda na swój dziennik, na wystający z niego róg koperty. Jakie to dziwne, że na paru kartkach papieru spisana jest jej decyzja, że w każdej chwili może je przytknąć do płomienia świecy albo w ogóle ich nie wysłać. Ale decyzja jest ostateczna i niezależna od tego, czy Max się o niej dowie. Przecież list otrzyma dopiero za parę miesięcy. Może Elsa napisała ze względu na siebie samą, aby raz jeszcze uzmysłwić sobie własną sytuację, zobaczyć, w jak niezadowolających barwach maluje się teraz jej przyszłość.

Na stoliku obok leży najnowsza książka Edwarda: Tubylcze ludy brytyjskiej Afryki Wschodniej. Elsa wyciąga zakładkę ze wstążki i zaczyna czytać. Jak dotąd lektura ją pochłania - miło jest wreszcie pozwolić sobie na luksus czytania tak wszechstronnego studium. Praktyki religijne, życie domowe, cesja majątku: każdemu z tych tematów Edward poświęcił szczegółowy rozdział. Ojciec zawsze chwalił jego umiejętności badawcze. Elsie natomiast język wydaje się zbyt sztywny - Miesięczny rytuał opłakiwania zmarłego pozwala dorastającym członkom plemienia przejawiać emocje w formie łez, okrzyków, a niekiedy śpiewu - czego jednak nie powiedziała Edwardowi. „To zajmujące! - oznajmiła podczas obiadu, przy stole nakrytym białym obrusem, który rozciągał się między nimi jak zaśnieżony bulwar. - Naprawdę poznałeś rzeczy tak ekscytujące,

Edwardzie! Widziałeś takie cudowne miejsca". Patrzyła, jak przelotny uśmiech ściera z jego twarzy wyraz rezerwy. „Jestem bardzo zadowolony, moja droga, że zainteresowały cię badania, którym poświęciłem większą część życia. Na świecie pełno jest innych cudownych miejsc, czekających na badaczy. Może kiedyś będziesz mogła wziąć udział w moich przedsięwzięciach. Doprawdy, jestem głęboko wzruszony zainteresowaniem, jakie okazujesz mojej pracy". W swoim przekonaniu Elsa może zrobić przynajmniej tyle. Zresztą jak mogłyby jej nie intrygować kraje tak dalekie, cień obietnicy, że może któregoś dnia ją tam zabierze?

W salonie, pośrodku dywanu, Alice leży na brzuchu i rysuje. Pod wpływem nerwowego podniecenia wymachuje uniesionymi w górę stopami w samych

pończochach. Długi brązowy warkocz, poranne dzieło Elsy, już się rozplół, rozsypały się kręcone włosy. Alice podrywa się co parę minut i szeleści obrazkiem przed oczami Elsy. „Beazley”, oznajmia z uśmiechem. Przez całe lata słyszała mówiącego tak ojca i teraz nie da sobie wytłumaczyć, że ma używać imienia Edward. „Cudowny, najmiłsza”, odpowiada Elsa. Następnie wygładza sukienkę Alice, usuwa koronkowe obszywki, które wpełzły na gorset, prostuje przekrzywione ramiączka. Dwa tygodnie wcześniej Alice rzuciła się na kanapę ze spódnicą jak prześcieradło owiniętą w pasie, przewiercając gęste mroki pokoju bielusińkami reformami. Kiedy po powrocie z uniwersytetu Edward wstąpił do salonu, aby się przywitać, Alice zaskoczyła go tym nieprzyzwoitym zachowaniem. Powinna przynajmniej oszczędzić mu dalszych chwil zakłopotania. Teraz, w rękach pedantycznej Elsy, wije się, wzdycha i sapie - pierwsze nuty, zapowiadające gniewną arię.

- Allie, kochanie, mam pomysł. - Elsa robi przesadnie zadowoloną minę. - Narysujesz mi jeszcze jeden?

Alice pada na podłogę, z wydetą jak balon czarną spódnicą, i zaczyna od nowa.

Przed powrotem Edwarda Elsa będzie oczywiście zmuszona schować rysunki. Zbyt wyraźnie podkreślają zapadnięte oczy, zmarszczkę zatroskania na czole; zaskoczą go niewątpliwie. „To dziwne - zauważył Edward wieczorem przed paroma dniami - ale przy was rzeczywiście czuję się dużo młodszy”. Ma pięćdziesiąt pięć lat i nigdy nie był żonaty. Przez długie lata dom prowadziła mu niemłoda kobieta, lecz obecność dwóch nowych kobiet wyraźnie wytrąca go z równowagi. Każdego dnia zwraca się do Elsy po radę w sprawie zasłon, tapet, samego domu - Wszystko urządzimy według paru gustu, panno Pendleton. („Proszę - przypomina - spróbuj mówić mi Elsa”). Edward czuje się chyba w tym domu równie nieswojo jak ona. Dom należał do jego rodziców i po śmierci ojca przypadł mu jako jedynemu dziecku. Przez ostatnich piętnaście lat Edward żył wśród brokatowych kotar, porcelany i lśniących sztućców z okresu swego dzieciństwa. Zamiast jednak przywyknąć do tego, czym od tak dawna jest otoczony, przypomina gościa we własnym domu. Dopiero teraz, wraz z pojawieniem się Elsy i Alice z ich skrzyniami pełnymi fartuchów, kapeluszy i powieści o żółtych grzbietach, dociera do niego, że nie jest gościem. Jest gospodarzem zaabsorbowanym tą nową rolą. Zauważa wszystko, czego Elsa dotknie lub zdaje się unikać - Jak widzę, nie podoba ci się mahoniowa konsola; oczywiście bez większego trudu można ją zastąpić innym stolikiem. A może twoim zdaniem bielizna stołowa powinna być w weselszym

odcieniu! - zupełnie jakby kobiety były jeszcze jedną obcą kulturą, którą właśnie zaczyna badać.

Max, zaledwie o pięć lat młodszy od Edwarda, mając rodzinę, nauczył się traktować kobiety z pewną swobodą. Dla niego wszystko było jeśli nie proste, to przynajmniej wolne od napięcia. Szlochy, chichoty - nic nie potrafiło wytrącić go z równowagi. Mimo wrodzonej surowości zawsze rozumiał język uczuć.

Elsa wie jednak, że kiedyś w przeszłości Edwarda .była kobieta. Daleka kuzynka z Dover? Bratanica prezesa Królewskiego Towarzystwa Geograficznego? Nigdy nie poznała szczegółów; we wspomnieniach powracają tylko aluzje ojca do zerwanego romansu. „Starego Beazleya nie ominęły miłosne cierpienia. Na tyle dotkliwie, aby go skłonić do podróży aż na kontynent afrykański. Często myślałem, że do dziś nie byłoby żadnych map świata, gdyby nie bodziec, jakim jest złamane serce". Sam Edward słowem o tym nie napomyka i jeśli ta kobieta wywarła na niego wpływ, to tylko taki, że nadał odczuwa skrepowanie. Bo czymże tłumaczyć jego brak swobody w kontaktach z kobietami? Jest przecież dość przystojny. Wykazuje powściągliwą inteligencję, silną skłonność do samoobserwacji, które - jak Elsa pamięta - podziwiała w dzieciństwie. Zawsze uważała go za dość wesołego, o wiele weselszego niż ojciec; ze swoich podróży przywoził im drewniane lalki z włosami z wodorostów, palisandrowe szkatułki ze złotymi kluczyczkami; lalkowe przedstawienia oklaskiwał jak szalony, a raz z wazonu, stojącego na gzymsie kominka, wyciągnął kwiaty i rzucił jej i Alice, kiedy dygały. Z każdym rokiem jednak, w miarę jak doroślała, sprawiał wrażenie bardziej podejrzliwego w stosunku do niej, wręcz zadziwionego i pełnego rezerwy, jakby zakutego w źle dopasowaną zbroję. Skończyło się dawanie upominków, ucichł śmiech. Dziwna sztuczność skaziła ich ongiś bez troskie powitania. A teraz wszystko, co robił, zdawało się wystudiowane: z wahaniem unosił rękę, aby dotknąć jej ramienia; mosiężną gałkę u drzwi jej garderoby przekreślał jak tarczę w skarbcu, która już prawie trafia na właściwy numer. Skrepowany - to, co napisała Maksowi na pociechę, było prawdą. Zastanawia się jednak, czy postępuje uczciwie, obwiniając Edwarda o to, że nie umie flirtować, że brak mu w tym łatwości i doświadczenia, cechujących żonatego mężczyznę.

Przynajmniej chce jej dogadzać. Elsa na pewno może liczyć, że będzie okazywał cierpliwość Alice, choć wyraźnie go martwi jej zachowanie. Ilekroć Alice podchodzi bliżej, on cofa się jakby przestraszony. Po zejściu z pantalonami, za które przeproszał przez cały wieczór - Nie nawykłem do pukania. Stary kawaler ze starymi nawykami. Proszę was obie o wybaczenie -

przemyka obok salonu, ilekroć słyszy w nim głos Alice, albo zanim wejdzie do środka, robi dość hałasu, aby mogła się zasłonić, jeśli jest nieprzystojnie obnażona. Czyż jednak Elsa nie scharakteryzowała Alice uczciwie?

Czy Edward nie uznał jej słów za przesadę? Czasami musiał być świadkiem jej hysterii w domu ojca - odwiedzał go dość często, kiedy Elsa przebywała za granicą; zdaniem ojca Beazley chyba lubił Alice. Elsa jednak ostrzegła go również, że nigdy się nie zgodzi na traktowanie Alice jak przygłupka. Alice umiała czytać i pisać, potrafiła rozpoznać kontury każdego kraju na kuli ziemskiej, wyrecytować każdy gatunek ptaków z atlasu ornitologicznego Swayslanda. Ptaki: to była jej prawdziwa miłość. Jedną z pierwszych książek, jakie przeczytała siostrze Elsa, nosiła tytuł Ptaki przez lornetkę. Po tej lekturze Alice prosiła już tylko o książki poświęcone podglądaniu ptaków. Kiedy Edward oświadczył się Elsie i zaproponował im obu zamieszkanie przed ślubem w jego powozowni, Elsa postawiła między innymi i ten warunek, że będzie im towarzyszyć Budyń, afrykańska papuga szara, którą ojciec kupił Alice na urodziny.

- Jest całkiem miła. W rzeczywistości prawie nic nie mówi - zapewniła Elsa, pomna smutnego faktu, że Alice zdołała nauczyć papugę zaledwie paru słów - ptak, całus, wyborny (ulubiony przymiotnik ich ojca) oraz Alice - jej zdaniem najważniejszych.

- Moja droga panno Pendleton. Do głowy by mi nie przyszło rozdzielać Alice z jej ulubienicą. Ja sam dość lubię zwierzęta. Mieszkałem nawet wśród ludów, które oddają im boską cześć.

- Chciałabym tylko, żeby pan całkiem jasno zdawał sobie sprawę z sytuacji Allie przed podjęciem ostatecznych... - Elsa urwała, bo nie chciała się wydać zbyt nieufna, zbyt wyrachowana.

- Przed podjęciem ostatecznych decyzji?

- No, tak.

- Rozumiem. Zanim przyjmie pani moje oświadczenia, chciałaby pani zapewnić Alice opiekę. Tak, panno Pendleton, tyle mogę zagwarantować.

Uspokojona tymi słowami, Elsa poczuła wdzięczność za zrozumienie jej obaw,- wiedziała jednak, że wymagania stawia na niby. Udawała, że ma inne rozwiązania, że może, jeśli Edward nie wyjdzie jej naprzeciw, odrzucić jego propozycję.

- Ale to znacznie więcej niż opieka, Edwardzie. Ja chcę jej zapewnić szacunek. Alice jest inna, owszem. Czasami trudno ją zrozumieć. Jest jednak znacznie inteligentniejsza, niż przypuszczasz. Dużo rozumie i czuje, choć nie

potrafi tego wyrazić tak, jak zrobilibyśmy to ty i ja. Lecz właściwie nie bardzo się od nas różni. Tylko uczucia biorą w niej czasami górę.

., Uczucia, co przemilczała Elsa, przybierające postać ataków szału.

- Panno Pendleton, niektórzy powiedzieliby, że uczucia są w nas najlepsze. Jeśli chodzi pani o szacunek, to zapewniam, że darzę nim Alice. In toto.

- Jest pan całkiem pewny? - W chwili gdy Elsa wymawiała te słowa, nawet jej samej wydały się zbyt bezczelne.

Edward odrzekł cicho:

- Tak... całkiem pewny. - Lecz jego głos brzmiał nieswojo.

- Dobrze - powiedziała Elsa. - Znakomicie. Tak. A zatem świetnie się rozumiemy.

Elsa spogląda na Alice wciąż wyciągniętą na dywanie, rysującą powoli. Jej duże brązowe oczy, o kilka cali oddalone od papieru, chłoną każdy szczegół podobizny, która się wyłania. „Delikatna piękność”, tak określał ją ojciec, z tymi jej subtelnie rzeźbionymi rysami, z kośćmi tworzącymi pod skórą wdzięczne kąty, z bladym owalem twarzy w obramieniu grubych brązowych warkoczy. Swym zachowaniem Alice budziła skrupowanie ludzi w miejscach publicznych już wtedy, kiedy była małym dzieckiem. Kiedy jednak skończyła szesnaście lat, zaczęli się gapić, zanim jeszcze jakieś jej dziwactwo wyszło na jaw. W chwili otwierania ciężkich drewnianych drzwi ich domu w St. Albans, zanurzania się w jasnym słońcu poranka, mogła przelotnie wydawać się najśliczniejszą z młodych dam, która, obracając parasolką, zastanawia się, jakich subtelnych zwrotów użyje, aby dać kosza najnowszemu konkurentowi. Ale potem zapadała kurtyna tępoty. Elsa wie, że to nie idiocstwo, słabość ani upośledzenie umysłowe; Alice się wyłączała. Kiedy zwisała jej dolna warga, w oczach pojawiał się wyraz zagubienia, jakby zwrócone do wewnątrz wpatrywały się w jakąś tajemną myśl, jakby oglądały jakiś osobisty teatr, czasem przez parę minut, kiedy indziej przez godzinę, zanim coś - iskra w jej umyśle, nagły hałas w pobliżu - przywróci jej twarzy wyraz czujności, ona zaś się ocknie, olśniona i niecierpliwa. To w takich momentach dostawała ataków hysterii. Powróciwszy do woni i dźwięków zwykłego pokoju, do widoku znajomych twarzy, oznajmiała ten fakt piskiem lub skokiem, czasem szalonym tupaniem po dywanie, w takt którego jej ciężkie warkocze opadały i wzlatywały jakby na cześć przebytej odległości, widzianego miejsca, niepojętego dla nikogo, nawet Elsy.

- Beazley! - krzyczy znów Alice.

W mrocznym pokoju jej szczupłe białe dłonie niczym dwa półksiężycy obejmują kartkę. Na tym rysunku brwi Edwarda, ostro ściągnięte w wyrazie troski, tworzą literę V.

- Śliczny - mówi Elsa. - Zrobimy jeszcze jeden?

Zamyka książkę Edwarda. Przez prawie czarne szyby dostrzega, że zapalono latarnie uliczne, złoty naszyjnik wzdłuż ciemnej linii Heslington Road. Przemyka kilka rowerów, Elsa widzi białego rolls-royce'a, powoli zatrzymującego się przed narożnym domem. W sąsiedztwie ojca był tylko jeden samochód - należał do doktora Benthropa, który jeździł nim na wezwania do chorych. Ale ojciec, nawet zapraszany przez doktora Benthropa na przejażdżkę, wolał rower. To była jedna z jego licznych teorii - rozleniwienie fizyczne powoduje lenistwo umysłowe. Kiedy zaczęto sprzedawać damskie humbery, natychmiast kupił jeden dla Elsy, drugi dla Alice i nalegał, żeby codziennie jeździły po trzydzieści minut. Zrazu Alice nie chciała wsiąść na swój rower. Dopiero gdy siedemnastoletnia wówczas Elsa niezdarnie zataczała wokół niej koła, dotykała dziwnej stalowej ramy. Przez pół roku Elsa biegła obok siostry, jedną ręką trzymając pośrodku kierownicę, zanim Alice złapała równowagę. Cóż to były za emocje, kiedy Alice wreszcie nauczyła się jeździć. Elsa przepadała za wspólnymi wycieczkami, za jazdą po wąskich ulicach późnym popołudniem, za wstępowaniem po lekarstwa dla ojca do apteki,

gdzie Alice wkładała torebkę z korzeniem sasafrasu albo flakonik olejku z kielków pszenicy do swojego wiklinowego koszyka. W drodze powrotnej do domu Alice pokrzykiwała z tyłu: „Gonię cię!”, wtedy zaś Elsa mocniej naciskała pedały, a pot zraszał jej włosy u nasady. Alice rozkoszowała się pędem i wreszcie zsiadając z roweru - z zaróżowionymi policzkami i oczami załzawionymi od wiatru - dopytywała się, kiedy znów będą mogły pojechać. Robiły to niemal każdego popołudnia. Przejażdżki skończyły się z chwilą objęcia przez Elsę pierwszej posady w Heidelbergu. Alice ogarnęło przygnębienie. Z listu ojca Elsa dowiedziała się, że Alice, zirytowana zakazem samotnych przejażdżek rowerowych, przebiła szpilką do kapelusza opony jej humbera.

W oddali dzwon kościelny odmierza sześć powolnych uderzeń. Zdaje się, że Alice, ściskając ołówek niczym skalpel, bez pośpiechu rozcina papier. Alice jej potrzebuje; tego Elsa jest pewna. Rzeczą nie do pomyślenia byłoby pozostawienie jej pod czyjąś opieką, zamknięcie w zakładzie dla obłąkanych, odcięcie od świata. Zanim przypomniałoby karę za jej odmienność. I oznaczałoby tylko, że Elsa nie chciała się zaopiekować własną siostrą. Jej wybór, małżeństwo z Edwardem umożliwiające opiekę nad Alice, jest

najlepszy. A napisanie listu do Maksa to konieczność. Takie jest życie, myśli Elsa. Taki los. Prawo wyboru to luksus, co Maks będzie musiał zrozumieć. Jak mogę utyskiwać na moją sytuację, myśli Elsa, skoro Alice wciąż mi przypomina, jaka jestem szczęśliwa? Jestem szczęśliwa, wmawia sobie. I ogarnia ją głucha rezygnacja na wspomnienie listu - Czy naprawdę mogę żądać czegoś więcej? - jak gdyby przekonując Maksa, że godzi się na swój los, wreszcie sama utwierdziła się w tym przekonaniu. On otrzyma list, kiedy będzie już po wszystkim, kiedy te nieznośne miesiące przejdą do przeszłości. Ileż wieczorów można spędzić bezsennie na niespokojnych rozmyślaniach? Takie wieczory oznaczają życie wolne od odpowiedzialności - życie, które skończyło się wraz ze śmiercią ojca, kiedy wróciła do kraju i stała na cmentarzu, ściskając dłoń Alice. Dopiero wtedy zrozumiała, jak powierzchowny był jej poprzedni smutek. Nad trumną ojca jej oczy nie chciały zejść łzami. W chwili gdy należało odmówić ostatnią modlitwę, zamilkła. Mijały tygodnie. Nie potrafiła płakać; nie potrafiła mówić o swoim ojcu. Poczucie straty zadomowiło się w niej na dobre.

Teraz, w salonie, Elsa rozmyśla: Jest nie tylko ten smutek, lecz także Alice. A wkrótce mąż. Musi zaprzestać wszelkich rozważań o uczuciach Maksa, o własnych uczuciach. Musi myśleć o sobie jak o dorosłej kobiecie.

Trzaśnięcie drzwi frontowych wyrywa ją z zadumy. Edward woła z przedpokoju:

- Dobry wieczór paniom! - Ma mocny baryton, głos nawykły do sal wykładowych.

Elsa wstaje, zbiera kartki z dywanu.

- Piękne - szepcze, rozcierając plecy Alice. - Dołożę je do tych, które już mam.

Na dźwięk zbliżających się kroków Edwarda Alice przestaje się dąsać. Za drzwiami słyhać wielką krzątaninę, jakby coś taszczono i ciskano. Ta próba obwieszczenia swego przybycia, myśli Elsa, zatraça o przesadę.

- Beazley!

Edward zatrzymuje się w sklepionym przejściu. Włosy ma starannie zaczesane, brodę przystrzyżoną. Jest wysoki, barczysty, a długi czarny surdut układa się na nim porządnie. Pod ciężarem przewieszzonej przez ramię torby Edward lekko przechyla się na bok.

- No i jak tam dziś moje dziewczęta?

Czy zdaje sobie sprawę, że tak również witał je wieczorami ojciec? Edward przyswoił sobie wiele jego zwyczajów, co budzi podejrzenia Elsy, że ojciec prosił Edwarda o to, o zajęcie jego miejsca.

- Całkiem nieźle - odpowiada Elsa.

Ten fakt z pewnością tłumaczyłby propozycję Edwarda. Czyżby po tylu latach starokawalerstwa myśl o małżeństwie - i to akurat z Elszą, która od niepamiętnych czasów nie okazała mu odrobiny uczucia - była aż tak nęcąca? Jeśli ojciec rzeczywiście go prosił, Edward nigdy tego nie powie. Poczucie przyzwoitości nie pozwoli mu na tak otwarte wyznanie. Elsię jednak wprawia w zakłopotanie myśl, że mogła zostać przehandlowana. Czy to nowe życie jest czymś dla niej zaplanowanym, czymś, czego się oczekuje, jak gdyby ojciec powiedział: Elsa będzie ci podawać herbatę, a ona po prostu wносиła teraz parujący czajnik? Jakaś nitka mojej woli, myśli Elsa, choćby cienka, powinna być wpleciona w tkaninę czekającej mnie przyszłości. Nawet gdybym wiedziała, że jutro muszę umrzeć, czy nie należałoby mi dać wyboru między trucizną a pistoletami? Przecina pokój, aby wyjść Edwardowi na spotkanie.

- Witaj w domu, Edwardzie. - Dotyka dłonią jego łokcia, unosi twarz i całuje go w policzek.

- Beazley! - Alice się podrywa, zarzuca mu na szyję szczupłe ramiona. Obsypuje go pocałunkami. - Beazley, Beazley, Beazley!

Ścisła go, a on stoi nieruchomy jak posąg, jak marmurowy święty, poddający się dziwnemu miłosnemu rytuałowi.

- Allie, może pozwolimy Edwardowi usiąść i odpocząć?

On powoli uwalnia się z objęć Alice, podnosi skórzaną torbę na wysokość brzucha i czule ją poklepuje.

- Nie będzie odpoczynku. Nie dziś wieczorem!

Wyciąga z torby gruby rulon papieru, rozwija jeden arkusz i wygładza dłonią na politurowanej konsoli. Mapa. Ameryki Południowej. Palcem wskazującym, zawieszonym w powietrzu, wyznacza siatkę południków i równoleżników. Kiedy jednak opuszcza dłoń, Alice porywa mapę i z okrzykiem zanoszą na środek dywanu.

- Cóż - mówi Edward. - Wygląda na to, że Alice podoba się ta mapa!

Elsa zbiera z dywanu kredki i obrzuca Alice karcącym spojrzeniem. Edward kwituje zajście łagodnym, lecz nieprzekonującym śmieszkiem. Ceni sobie własne papiery, zwłaszcza mapy. Karcenie Alice uważa jednak za niestosowne. Pewnie poskutkowały prośby Elsy o wyrozumiałość.

- No więc - oznajmia - może Alice chciałaby zostać naszym nawigatorem.

- Nawigatorem?

- Trafiła się okazja, Elso. Okazja zbadania innego, jak powiedziałaś, „cudownego miejsca”. Terra incognita.

- Ekspedycja?

- Towarzystwo powierzyło misję.
- Naprawdę? Nam? Teraz?
- Oczywiście wymaga to wielu przygotowań. Zorganizowania podróży, zgromadzenia sprzętu. Upłynie wiele miesięcy, zanim będziemy mogli wyruszyć. Ale tak, moja droga. Jeśli wyrazisz zgodę. - Uśmiechnięty od ucha do ucha, rozpościera ramiona. Znika jego surowość, opanowanie, skrepowanie.
- Jeśli zechcesz, moja droga, potraktuj to jak bardzo długi, obfitujący w przygody miesiąc miodowy. Oczywiście tylko pod warunkiem, że wyrazisz zgodę.

Elsa rzuca się do przodu, lecz przystaje, zanim mu padnie w objęcia.

- A co z Alice?

- Będzie nam towarzyszyć. W przeciwnym wypadku nie brałbym propozycji pod uwagę.

W duszy Elsy rozkwita róża ekscytacji. Podróż! Pragnie zapytać dokąd, ale musi się powstrzymać - bo jeśli Alice wyrazi sprzeciw? Co za sens wyobrażać sobie miejsce, którego może nigdy nie zobaczyć? Wolnego, napomina się. Bądź powściągliwa.

- Allie, kochanie, czy chciałabyś... wyruszyć w podróż? - Alice na chwilę odrywa wzrok od mapy. Elsa zwraca się do Edwarda, usiłując pohamować swój zapal. - Muszę to wziąć pod rozwagę. Zastanowić się, jak wpłynęłoby na nią. Czy nie byłaby nieszczęśliwa. Moja decyzja zależy od bardzo wielu czynników.

Edward wkłada ręce do kieszeni surduta. Pochyla głowę.

- Z całą pewnością.

Czyżby rozczarował go jej brak entuzjazmu?

- To ona podejmie decyzję - stwierdza Elsa stanowczo. - Czy też: decyzja od niej zależy.

Ale co z pragnieniami samej Elsy? Z ulicy w dole dobiega turkot kół powozu, ostre trzaskanie z bata. Elsa spogląda na wysoką szafę armoire, na grube kotary, dostrzega matowy, przytłaczający blask tego nowego domu, tego nowego życia. Mapa, żółty prostokąt możliwości, zdaje się wołać do niej z ciemnego dywanu. Ekspedycja.

- Allie, przez całą podróż mogłabyś podglądać ptaki.

Alice patrzy na nich oboje z gniewem, nieufnie zmrużonymi oczami.

- Jakie ptaki?

- Cóż, nie wiem na pewno. Wyobrażam sobie, że gołębie przylądkowe. I petrele, albatrosy. - Elsa patrzy na Edwarda, który potakuje. - Och - dodaje Elsa. - I papugi.

Alice, jakby znudzona, okręca warkocz na palcu.

- Budyń jest papugą - oznajmia. Często mówi tak, jakby odpowiadała na pytania, choć nikt ich nie zadawał. - Afrykańską papugą szarą.

- Myślisz, że Budyń chciałby poznać papugę amazońską? - pyta Elsa.

- Amazonia jest w Ameryce Południowej. Budyń nie może polecieć do Ameryki Południowej. To głupie. Oddziela nas od niej duży ocean.

- Masz absolutną rację - przyznaje Elsa. - Powiedziałam coś bardzo głupiego. Ale wiesz, Allie, moglibyśmy zabrać tam Budynia.

Na chwilę policzki Alice wiotczeją, jakby wyobrażała sobie Budynia w obcym kraju, patrzyła, jak przelatuje z jednej żerdzi na drugą, jak zwraca szarą twarz do słońca. Alice zamyka oczy, znów je otwiera i na powrót zagłębia się w mapie.

- Pokażesz mi Amerykę Południową, Allie? - Elsa zbliża się do niej. - Na tej mapie.

- Elsa, to jest Ameryka Południowa.

- Chile - woła Edward.

- Doskonale. Pokaż mi Chile, Allie.

Na te słowa rozpogodzona Alice energicznie wygładza mapę, jakby usiłowała rozsmarować papier na dywanie.

- Usiądź, Elsa. Musisz usiąść. Żebyś mogła zobaczyć.

Elsa przykuca obok niej.

- Gotowe! - oznajmia Alice, dotykając zachodniego brzegu Ameryki Południowej. - Chil-ee. Chil-ee. Widzisz? Spójrz, Elso.

Elsa i Alice, przytulone do siebie, wpatrują się w różowe, pomarańczowe i fioletowe kraje, przylegające jedno do drugich niczym cząsteczki przyciągane przez kontynentalny rdzeń magnetyczny.

- Alice - mówi z góry Edward - przesun palec odrobinę w lewo... Mały palec Alice odrywa się od wybrzeża i wolno żegluje przez niebieski, pusty Pacyfik.

- Jeszcze troszkę. Dalej, ciut dalej.

Przesłaniając zwrotnik Koziorożca, jej palec wytycza prosty kurs przez wodę.

Wreszcie Edward woła z drugiego końca pokoju:

- Już. - To słowo oznacza przybycie do wyimaginowanego miejsca przeznaczenia. - Już.

Elsa spod zmrużonych powiek patrzy na maleńki ląd i obejmuje Alice ramieniem.

- Tam możemy popłynąć - mówi. - Aż tak daleko. My wszyscy. - Wyczuwa przyśpieszony oddech Alice. Alice nigdy nie podróżowała z Elszą; nigdy nie opuszczała Anglii.

- Przez ocean? - mamrocze.

- Przez ocean, Allie. Zupełnie jak Krzysztof Kolumb. I Vasco da Gama.

- Jak... Hernando Cortez?

- Jak Hernando Cortez, Allie. I jak Ferdynand... - Elsa nie dopowiada nazwiska.

Alice szerzej otwiera oczy, orientując się, że to zabawa.

- Magellan! - wykrzykuje gromko, a warkocze siekają ją po szyi, kiedy się obraca.

- I jak kapitan...

- Kapitan Cook! James Cook! - Alice kręci teraz głową w zachwycie, chichoty rozlegają się z każdej strony. I wtedy przypomina sobie ulubiony dowcip: - Nie, nie gotuj Jamesa! Nie gotuj Jamesa! - Mocno opiera się na ramieniu Elsy, nieomal ją przewraca. Piszczy, łaskocze i kołysze się w przyływie entuzjazmu. - Przestań, Elsa! Jesteś głupia. Elsa, jesteś głupia.

- Tak - mówi Elsa, przeciwstawiając swój spokój sile podniecenia Alice. - Jestem bardzo głupia.

Na te słowa Alice chichocze jeszcze dłużej, po czym chwyta oddech. Opada znajoma kurtyna. Kołysząc się w milczeniu, Alice wpatruje się w mapę, a następnie bardzo zaniepokojona podnosi wzrok.

- Czy mają damską toaletę?

Edward wybucha śmiechem, szczerym i serdecznym, który Elsa słyszy po raz pierwszy.

- Widzę, że będę musiał się postarać o zapewnienie wygód uczestniczkom wyprawy.

- Tak, Allie - mówi Elsa. - Będą mieli jakąś damską toaletę.

- Wolno mi popłynąć?

- Oczywiście.

- Przez ocean?!

- Tak, Allie.

- I ty też płyniesz? Będiesz tam?

- Tak. - Elsa zerka na Edwarda. - I ja tam będę.

Edward leciutko skłania głowę, z błyskiem dumy w oczach potwierdzając, że uzyskał jej zgodę.

Przez chwilę Elsa jest ciekawa, czy nie wyobrażał sobie zawczasu tej całej sceny - jego pytania, jej zastanowienia, ferworu Alice, jej odpowiedzi - czy nie

był równie świadomy, że ona sili się na zachowanie pozorów wolności, i czy w jakiś sposób nie obserwował jej z rozbawieniem. Czyż w końcu mogłaby się nie zgodzić na udział w wyprawie?

- O rety! - mówi Alice. - O rety, rety, rety. Muszę pakować moją torbę.

Gra słów: po angielsku „cook” znaczy „gotować”.

Kłaśnięcie. Elsa widzi połączone raptem dłonie Edwarda. Wyraz jakby zadowolenia czy radosnego pomieszania pojawia się na jego twarzy

- Chwileczkę.

Z holu dobiega odgłos szurania, taszczenia, wkrótce zaś ukazuje się Edward, wlokący duży kufer. Mosiężne zawiasy lśnią na tle nieskazitelnie czarnej skóry. Edward ciągnie kufer na środek dywanu, po czym znika za drzwiami i wraca z drugim.

Alice już się rzuciła na pierwszy; on stawia przed nią drugi.

- W każdym, moje panie, znajdziecie neseserek, torbę na ramię i dziennik. Powinnyście sporządzić listę innych potrzebnych rzeczy, a ja dopilnuję, żeby wszystko...

- Jest mój? - pyta Alice i otwiera stojący przed nią kufer.

- Tak - mówi Edward.

- A ten? - Alice wskazuje na drugi.

- Ten będzie Elsy.

Alice skonsternowana patrzy na kufer przed nią, zostawia go i pędzi do drugiego.

- Ten jest mój.

- Alice, możesz wziąć ten, który bardziej ci się podoba. - Elsa wstaje. O zawrót głowy przyprawiła ją ta pośpieszna decyzja, mapa nieznanego kraju i świadomość, że jej życie znów się odmieni. - To ładnie z twojej strony, Edwardzie. Gest jest bardzo miły.

- Drobiazg. Koniecznie trzeba mieć odpowiedni bagaż. Powtarzam, należy sporządzić listę wszystkich innych niezbędnych rzeczy. Dopilnuję, abyście je dostały, abyśmy mieli wszystko. In omnia pamtus.

- Dziękuję, Edwardzie.

- Nie pora na wyrazy wdzięczności. To pani, panno Pendleton, wyświadcza mi wielką uprzejmość, chcąc mi towarzyszyć. Od dawna śniłem o tej wyprawie. Cieszę się, że pani pragnie w niej uczestniczyć.

Widać wyraźnie, iż ani przez chwilę nie liczył się z odmową.

- Oczywiście - mówi Elsa. - Oczywiście chcę popłynąć. Miałam nadzieję, że coś takiego zaproponujesz. Chyba wręcz się tego spodziewałam.

- Ach! Tak! Doprawdy? Zatem jak dobrze udajesz zdziwienie! Elsa czuje występujący na twarz rumieniec, ratuje ją jednak podniecona Alice.

- Te Pito O Te Hen-oo-a? - pyta, z twarzą o parę cali oddaloną od mapy.

- Inny język, Alice - tłumaczy Edward. - Język polinezyjski. Słowa te oznaczają „pępek świata”. Anglicy jednak nadali wyspie nazwę Wielkanocnej.

- Czy to daleko?

- Och, tak - odpowiada Edward głosem ciepłym, zadowolonym. - Dopłynięcie tam zajmie prawie rok.

Alice jest szczęśliwa. Edward jest szczęśliwy. Więc dlaczego przypuszczenie Edwarda miałooby Elbę tak zaniepokoić? Nie miał na myśli nic złego. Ona zaś oczywiście chce uczestniczyć w wyprawie. Zresztą dość ma nastroju przygnębienia. Nadarza się wyjątkowa okazja.

Elsa patrzy na swój kufer, potem na Edwarda, na Alice, która siedzi z mapą między rozłożonymi nogami, i przychodzi jej na myśl, że może jest to doniosły moment, że pewnego dnia przypomni sobie te obrazy i odczuwane teraz podniecenie, świadomość, że ma przed sobą tajemnicę. Oddalona o wiele mil od tego domu, od tego miasta, będzie myślała wracać do tej chwili jak do początku - ale czego? Próbuje sobie wyobrazić jakiś moment w przyszłości, kiedy cofnie się myślami, a równocześnie czuje, że wymyka jej się chwila obecna, jak gdyby stojąc tutaj, w salonie, stawała się samą pamięcią, wspomnieniem o sobie dwudziestodwuletniej, przebywającej w Anglii, w domu narzeczonego, o sobie ze złożonymi rękami, z roziskrzonymi oczami, podczas gdy przyszłe „ja” obserwuje ją z wielkiej oddali.

- Umysł - mówi Edward, wyrywając Elbę z zadumy - zawsze pragnie wyruszyć na zwiady, prawda?

- Co? Och, tak - śmieje się Elsa, przywołana do rzeczywistości. Znowu ma dwadzieścia dwa lata, po prostu idzie w drugi koniec pokoju, do swojego kufra. Otwiera go niczym olbrzymią księgę. W środku znajduje neseser, miękką skórzaną torbę, czarny dziennik ze złożonym brzegiem, przewiązany wstążką.

Moja wyobraźnia może wyruszyć na zwiady, myśli. Ale ktoś musi się pakować.

Następnego ranka przy swojej toalecie zaczyna dopisywać postscriptum do listu.

Podróż, na jaką miałam nadzieję, cóż, teraz chyba dojdzie do skutku. Opuszczę Hertfordshire na czas dłuższy...

Rozdział trzeci

Był luty 1973 roku.

Z wystudiowanym opanowaniem Greer Farraday zamknęła oczy, kiedy mały samolot linii Lan Chile zaczął schodzić do lądowania. Pilot zapowiedział, że najbardziej na wschód wysunięty czubek wyspy wkrótce pojawi się po prawej stronie, po stronic Greer, ona jednak chciała poczekać, aż wyspa ukaże się cała, wchłonąć widok całości.

Oczy miała zamknięte, więc łoskot silników tym głośniejsz rozbrzmiewał jej w uszach. Wszędzie dokoła okrzyki Oochl i Magnificosl i Diosmiosl rozkwitały niczym łan złocieni. Kiedy wreszcie samolot przestał opadać w dół, a ona uniosła powieki, pod nią, niczym zębata płetwa morskiego stwora, wynurzyła się z wody wyspa.

- Vextigoi - doleciało z drugiej strony przejścia hiszpańskie pytanie.

Odwróciła się i zobaczyła młodego mężczyznę w lnianej koszuli, znów bacznie w nią wpatzonego. Ciemnobrązowe włosy miał zaczesane do tyłu, tylko jeden gruby kosmyk opadał mu na czoło, jego kości policzkowe były wydatne, brwi tworzyły dwie zdecydowane kreski. Był przystojny i zadziwiająco świeży po długim locie. Podczas lunchu, kiedy poprosił stewardesę o drugi kawałek ciasta, Greer poczęstowała go swoim. - Ja nie jem. Lo quierel - Przyjął je z uśmiechem, ale i wyrazem zdziwienia w oczach. Greer zrozumiała, że zaproponowanie komuś obcemu własnej porcji jest niezgodne z obowiązującą na pokładzie etykietą, więc kiedy skonsternowana stewardesa wróciła po chwili ze świeżym kawałkiem ciasta, zagłębiła się w lekturze Morfologii pyłków i taksonomii roślin Erdtmana; przekonała ich w ten sposób, że nie zamierza im proponować łyku swojej kawy. Teraz, kręcąc głową, odpowiedziała:

- Nie. Nie zawrót głowy. Podniecenie. Emoción. Sil

- Ach, si. Emoción.

Greer odwróciła się do niego tyłem.

Podniecenie - to właśnie odczuwała. Pierwszy raz od lat miała prowadzić badania terenowe. Przez wiele miesięcy zbierała informacje na temat tej wyspy, pisała kolejne listy w sprawie zakwaterowania i przestrzeni laboratoryjnej, pakowała sprzęt. Zawsze chciała badać ekosystem jakiejś wyspy, nie była jednak pewna, czy w końcu rzeczywiście na tę polecą. Przygotowania tak skutecznie pozwalały oderwać się od życia, od myśli o Thomasie, że zrodziły obawę, czy nie przyświeca im tylko ten cel. Lecz poprzedniego dnia, kiedy zabrzączał budzik, Greer wstała z łóżka, zapięła torby, pozamykała okna i

drzwi, wyłączyła urządzenia elektryczne, zakręciła ogrzewanie - po czym raz jeszcze sprawdziła wszystko, aby wciąż być w ruchu - w końcu zaś wsiadła do taksówki, nie obejrzawszy się na cichy dom, który za sobą pozostawiała. I oto jest tutaj, oddalona od niego o siedem tysięcy mil, trzydziestotrzyletnia i sama. Nikt na nią nie liczy. Jest wolna po raz pierwszy od lat i w sposób niemal przerażający.

Przyciska czoło do okienka, które jak olbrzymi okular obejmuje wyczekiwaną próbkę bazaltu. Tuż za jej południowym czubkiem kłębi się masa cumulusów. Musi unosić je wiatr, pomyślała Greer. Ciepłe powietrze znad wyspy, zwiewane w stronę morza, tam się skrapla. Dzięki temu zjawisku Polinezyjczycy znajdowali swoje wyspy, zasiedlali każdy nadający się do zamieszkania skrawek lądu na wodach oceanu o powierzchni jedenastu i pół miliona mil kwadratowych na sto lat przed tym, jak europejscy odkrywcy choćby pomyśleli o postawieniu żagli. Nowa Zelandia znana była jako

Aotearoa - „ład długiej białej chmury” - zanim smukłe kadłuby polinezyjskich czółen dotknęły jej piasków. Czyż nie sądzili, pomyślała Greer, że to chmura zrodziła ład? Nawet w badaniach naukowych łatwo jest pomylić przyczynę ze skutkiem, najpierw dostrzec chmurę i uznać ład w dole za jej cień. Tymczasem chmura to prawdziwy cień, biała sylwetka, duch wyspy unoszący się nad swym magmowym bliźniakiem.

Greer mogła teraz zobaczyć całą Wyspę Wielkanocną - południowo-wschodni wierzchołek trójkąta wysp, znanego jako Polinezja. Sama wyspa tworzyła trójkąt równoramienny, z bokami wklęsłymi pośrodku. Na każdym wierzchołku znajdował się wygasły wulkan, cebulowaty, idealnie okrągły, a dziesiątki mniejszych kraterów niczym ślady po ospie znaczyły krajobraz. Wyspa była oceaniczna, jej nierówna powierzchnia stanowiła pozostałość po dawnej podwodnej erupcji. Bardzo głęboko na dnie oceanu rozciągała się blizna, długa na pięć tysięcy czterysta mil; Wzniesienie Wschodniego Pacyfiku, wulkaniczne pasmo górskie, przebiegało równoległe do zachodnich wybrzeży Ameryki Południowej, a sporadyczne wycieki magmy pozostawiały dobrze znane strupy wulkaniczne: Galapagos, Wyspy Towarzystwa, Markizy. Jakies dwa miliony lat wcześniej jeden z tamtejszych wulkanów wybuchł i pozostawił kolejną martwą górę wystygłej lawy: Wyspę Wielkanocną.

Była ona idealnym eksperymentem kontrolowanym - to właśnie intrygowało Greer. Nigdy niepołączona z żadnym kontynentem wyspa musiała czekać cierpliwie, aż florę i faunę przeniosą na nią wiatr albo prądy oceaniczne i parę zdecydowanych ptaków, pod których skrzydłami ukryły się nasiona. Na wyspach kontynentalnych, takich jak Bali i Tasmania, żyło mnóstwo lemurów,

mamutów i torbaczy, kiedy podniósł się poziom morza, a wyspy zamieniły się w przepelnione arki na powierzchni wody. Przyrodniccy najbardziej upodobali sobie jednak wyspy oceaniczne, tabulae rasae. Archipelag Malajski skusił Wallace'a; Galapagos - Darwina. Ale Wyspa Wielkanocna była jeszcze ciekawsza. Tysiąc pięćset mil dzieliło ją od najbliższego kontynentu, więc dopiero po tysiącach lat dotarłaby na jej brzegi roślinność, homo sapiens zaś o wiele później. Tym razem rozprzestrzenianie się oznaczało, że można ograniczyć liczbę wpływów zewnętrznych, niewiadomych i czynników dodatkowych, które wiecześnie podają w wątpliwość wszelkie naukowe odpowiedzi. Wyspa Wielkanocna była w przekonaniu Greer idealnym mikro-kosmosem.

Greer po raz ostatni postukała palcami w leżącą na kolanach książkę i wepchnęła ją do plecaka. Z przyjemnością popatrzyła na spakowany sprzęt polowy - notatnik, atlas pyłków, aparat fotograficzny. Potrzebowała tej podróży - ośmiu miesięcy solidnych badań. Zagłębianie się myślami w danych zawsze działało na nią kojąco. Już w dzieciństwie, kiedy wpatrywała się w ojcowski mikroskop, odkryła, że nauka jest pomieszczeniem, do którego może wejść umysł, bezpieczną komnatą, gdzie można pograżać się w kontemplacji i gdzie nie ma miejsca na smutek. Później pojęła, że to kwestia skali. Rzeczy maleńkie - pyłki - i ogromne - czas geologiczny, następstwo epok - sprawiają, iż rozczarowania codzienne, nawet doznawane miesiącami i latami, zwyczajne, zakrojone na ludzką miarę, wyglądają w ich świetle banalnie. Z biegiem lat nauka stała się kocem, po który Greer sięgała, ilekroć poczuła chłód życia.

A po śmierci męża chłód przeniknął ją głęboko. Kiedy chodziła po domu w Marblehead i pakowała rzeczy Thomasa, wszystko, czego dotknęła - stare fotografie, jego flanelowe koszule, jego notatniki - przyprawiało ją o zawrót głowy, wywołany wspomnieniami i żalem. Ilekroć nie mogła znieść widoku rzeczy jego albo ich wspólnych, godzinami przesiadywała na werandzie, zapatrzona w ocean. Z nadejściem zimy wycofała się do laboratorium w suterenie i bez zapachu czytała stare rejestry danych, badała nowe zbiory pyłków. Jeśli wychodziła z domu, to zazwyczaj na powolny spacer po herbarium Harvardu albo po Muzeum Peabody'ego.

W końcu jednak, na myśl o tej podróży, zaczęła się otrząsać z apatii. Przygotowania zajmowały jej czas, zmuszały do kontaktu ze światem zewnętrznym. Całymi miesiącami Wyspa Wielkanocna majaczyła przed nią jako cel, jako coś, na co się cieszy mimo oszołomienia i smutku. I oto wreszcie jest tutaj.

Teraz samolot pikował i pasażerowie zaciskali ręce na oparciach, sprawdzali pasy. Nerwy Greer nadszarpnęło wejście na pokład, natomiast lądowanie było dla niej łatwe. Odgarnęła włosy za uszy i wyciągnęła gumę do żucia z kieszeni.

Koła dotknęły asfaltu, samolot zwolnił, kabinę wypełniła cisza. Greer obserwowała przez okno dwa śmigła, ich coraz wolniejsze obroty, srebrne ostrza w ich prawdziwym kształcie: wirujące stalowe skrzydłaki, żelaznych potomków oskrzydlnych nasion klonu, których opadanie na ziemię śledziła w dzieciństwie. Tak mało kształtów zdolnych do życia, pomyślała. Oskrzydłone nasienie alsomitry wielkoowocowej [*Alsomitra macrocarpa*] zainspirowało projekty pierwszych samolotów i latawców. Dzięki swoim pierzastym parasolom rośliny trojeściowate [*Asclepiadaceae*] i kozibród wątpliwy [*Tragopogon dubius*] mogły przelatywać w poprzek całych dolin. Greer zawsze lubiła sobie wyobrażać, z jakim podziwem pierwsi ludzie patrzyli na te nasiona. Była ciekawa, jak długo trwało, zanim zrodziła się zawiść, zanim ktoś pomyślał: Czy ja mógłbym to zrobić?

Samolot wyhamował łagodnie. W kabinie rozległy się krótkie oklaski i pasażerowie natychmiast wstali z miejsc. Ściskali swoje torebki i słomkowe torby, a coś - łokieć? teczka? - walnęło ją w tył głowy. „Perdón, perdón” poniosło się do przodu. Choć była podniecona, po dziewięciu godzinach cierpliwego siedzenia pośpiech wydawał się absurdalny. Nie ruszyła się, pozwoliła wszystkim opuścić samolot. Kiedy dotarła do wyjścia, nieskazitelnie ubrana i uczesana stewardesa zwróciła się do niej z promiennym uśmiechem.

- Buen viaje! Miłego pobytu! - powiedziała tonem urzekająco wesołym.

Greer nie mogła się oprzeć myśli, co też ta kobieta robi, kiedy ma zły dzień; bardzo trudno byłoby tak się uśmiechać w trakcie rozwodu, usłyszawszy, że ma się guza, albo po śmierci męża, z którym przeżyło się osiem lat.

Greer jako ostatnia zeszła po przenośnych schodach na asfalt, gdzie owiało ją ciepłe powietrze. Przed nią rozpościerał się przysadzisty parterowy budynek z napisem AEROPUERTO MATAVERI, a poniżej Iorana, Bienvenido, Welcome, Willkommen. Na wysokim maszcie powiewała chilijska flaga. Było to najmniejsze z lotnisk, jakie dotąd widziała Greer, lecz wyspa miała powierzchnię zaledwie dwa razy taką jak Manhattan i bardzo niewielką liczbę mieszkańców. Greer powiedziano, że listy, choć raczej ich nie oczekiwała, wystarczy adresować po prostu: Dr Greer Farraday, Correo Isla de Pascua. Samolot Lan Chile przylatywał tylko raz na tydzień, a i to, jak wiedziała, dopiero od paru lat. Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego - tego samego roku, kiedy MacArthur i Wilson opublikowali Teorię biogeografii wyspowej, monografię, która stała się punktem zwrotnym w jej własnej pracy.

Greer przypomniała sobie, jak siedząc przy kuchennym stole, zauważyła w dziale podróży Globe ogłoszenie Lan Chile o połączeniu Santiago - Rapa Nui - Tahiti. Jakież wydawało się idealne. Biogeografia wyspowa, nowa teoria rozsiewania i specjacji na izolowanych kontynentach, a Wyspa Wielkanocna to najbardziej odosobniona z wysp świata. Lecz w tym czasie Greer pracowała w laboratorium Thomasa. A zapal Thomasa do badań na Wyspie Wielkanocnej studziła, jak wszelkie jego zapaly, troska o własne badania nad magnolią. Greer nie miała szans otrzymać środków na indywidualny wyjazd, więc została w Cambridge.

Drzwi luku bagażowego kołysały się na zawiasach. Mężczyzna w kombinezonie wyciągał jej długą skrzynkę z próbnikiem Livingstona, zmagając się z nierównym rozłożeniem ciężaru stalowego pręta długości sześciu stóp i tłoka. Greer ruszyła mu z pomocą - dość często nosiła ten próbnik, nie mogła zaś ryzykować, że ktoś go uszkodzi - kiedy jednak podeszła, urażony mężczyzna pokręcił głową na znak, że panuje nad sytuacją. Greer przytaknęła, po czym uwagę skierowała na skrzynię za próbnikiem: te oznakowane jako

NADZWYCZAJ KRUCHE, do których starannie zapakowała mikroskop, statywy, zlewki i wirówkę. Inna skrzynka, z napisem TOKSYCZNE (TAK, SAM ZAPACH MOŻE ZABIĆ) CHEMIKALIA, Z trupią czaszką i piszczelami na nalepkach, zawierała słoje z kwasem solnym i siarkowym. Greer wzięła wszystko, co będzie jej potrzebne do pobierania próbek rdzeniowych i analizy danych - na wyspie nie ma możliwości zdobycia sprzętu naukowego. Obok jej skrzynki z chemikaliami stał worek pełen listów - poczta dostarczana na wyspę, jak sądziła Greer. Jeszcze dalej skrzynka z poprzyklejanymi wszędzie nalepkami PORTALES. Portales - to nazwisko przywołało niejasne wspomnienie, ale nie wiedziała czego. Uznała, że lepiej się tu nie kręcić, i wolno ruszyła w stronę budynku.

Po wejściu z nasłonecznionej płyty lotniska ogarnął ją chłód i mrok. Większość towarzyszy podróży już się oddaliła. Pulchna kobieta z włosami zwiniętymi w luźny, lekko siwiejący kok trzymała kartkę z napisem FARRADAY i z uporem wpatrywała się w asfalt za plecami Greer. Oczy miała duże, szeroko rozstawione, nos mięsisty, policzki okrągłe, lekko spieczone słońcem - twarz wyraźnie polinezyjską. Biała suknia, rozkloszowana od kolan, opinała jej krągłości, dodając zdecydowanie kobiecego wdzięku, kiedy nieznajoma stała tak, z jedną stopą cofniętą do tyłu, jak gdyby w każdej chwili gotowa dygnąć. Na szyi miała girlandę z białych ketmii. Rodzina: Malvaceae, pomyślała Greer. Gatunek: Hibiscus moscheutos.

- Residencial Ao Popohanga? - zapytała Greer.

Kobieta wyglądała na skruszoną, co złagodziło jej rysy. Była w niej twardość osoby, która widziała, jak padają synowie, mężowie i całe narody, a zarazem delikatność kogoś, kto boi się przyznać, że zabrakło mleka albo słój z ciasteczkami jest pusty.

- Si, si. Residencial Ao Popohanga. Ale nie ma już wolnych pokoi. Może Residencial Rapa Nui. Czy Hotel Pascua. Mają tam stół pingpongowy. Bardzo, bardzo ładne miejsce.

- Chyba mam już pokój. - Greer wyciągnęła rękę. - Doktor Greer Farraday.

- Greer? Greer? Doktor? Una mujer! Ach.

- Tak, jestem kobietą - powiedziała Greer z niewyraźnym uśmiechem, starając się ukryć irytację, jaką zawsze odczuwała w takich chwilach.

Kobieta podniosła dłoń do policzka.

- Nie wiem! Doctora. Mujer. To dobre. Bardzo dobre. Bardzo amerykańskie, prawda? - Wypowiedziawszy te słowa, rozpromieniła się, zdjęła girlandę z szyi i włożyła ją Greer przez głowę. Pocałowała Greer w oba policzki. Roztaczała woń gardenii i olejku kokosowego. - Jestem Mahina Huke Tima. Iorana.

- Iorana!

- W języku Rapa Nui to dzień dobry i do widzenia.

- No, na teraz dzień dobry - powiedziała Greer.

- Tak, na teraz dzień dobry - powtórzyła Mahina, lekko kładąc dłoń na ramieniu Greer. - Bardzo, bardzo dzień dobry.

Dżip wolno włókł się czerwoną drogą gruntową, wyrzucając w górę lekkie grudki wulkanicznego tufu, a czerwony kurz wzbijał się spod kół jak opar. Ilekroć dżip zbliżał się do konnego, Mahina, teraz w szerokim słomkowym kapeluszu, naciskała na klakson i wykrzykiwała słowa pozdrowienia. Zdawało się, że niechętnie trzyma kierownicę palcami ruchliwymi jak macki. Parokrotnie podczas zmiany biegów wóz szarpnął. Kobieta, która późno nauczyła się prowadzić, pomyślała Greer.

- Ile samochodów jest na wyspie? - zapytała. - Cudntos autos en la isla!

- Solamente un automóvil - odparła Mahina. - Dla burmistrza. Inni mają dżipy, takie jak ten, ale niedużo. Ten dżip nie mój. Należy do mojego szwagra. Ja jeżdżę konno. Ty jeździsz konno?

- Si - odrzekła Greer. Ale po hiszpańsku łatwiej było jej zadawać pytania, niż udzielać odpowiedzi. - Nie jeździłam od lat. Podobno jednak tego się nie zapomina.

- Tak, tak. I prowadzisz samochód?

- Tak.

- Kobieta jest doctora. I kobieta prowadzi samochód! Bardzo dobrze. A ile godzin siedziałas w samolocie?

- Prawie dziesięć - mówi Greer. - Diez. Z Santiago. I jeszcze trzynaście czy coś koło tego z Nowego Jorku. I jeszcze godzinę z Bostonu.

- Veinticuatro! Tyle czasu w samolocie!

Zerwał się silny wiatr, toteż Greer związała włosy w gruby kucyk. Zamierzała je obciąć przed wyprawą - na wyspie będzie w lutym upał - lecz wyleciało jej to z głowy, teraz więc zwisały dużo poniżej ramion, potargane, niesforne. Popatrzyła w lusterko: choć szczupłą twarz miała bladą po zimie, zmęczoną po podróży, widziała to samo wysokie czoło, znajome ciemne brwi. Rzecz dziwna - mina Greer nie zdradzała smutku trapiącego ją przez miniony rok. Nic nie wskazywało na to, co zrobił jej mąż, na to, że niedawno owdowiała. Wyglądała na osobę młodą, zdrową, trochę rozmamlaną, lecz zasadniczo opanowaną, bynajmniej nie taką, która próbuje rozpocząć nowe życie.

Spojrzała w stronę brzegu, gdzie woda mieniła się w świetle, wyraźnie kontrastując z monotonnym krajobrazem. Chociaż czytała o ubóstwie tutejszej fauny i flory, zdziwiła ją widoczna gołym okiem surowość terenu. Tylko zbiegające trawy - rodzina Gramineae, uparte rośliny jednoliścienne - przedzierały się w głąb łądu.

Zrazu nie było na wyspie życia, myślała Greer, mimo iż powitałaby zabłąkane nasiona czy zarodniki, docierające do jej wybrzeży. Gleba magmowa obfituje w wapno, węglan potasu i fosforany - składniki pokarmowe kluczowe dla życia roślinnego. W 1883 roku wybuch wulkanu na wyspie Krakatoa spowodował zanik wszelkiego życia, lecz odrodziło się ono już po trzydziestu pięciu latach. Erupcja była spełnieniem marzeń przyrodników, czymś najbardziej zbliżonym do obserwowania narodzin wyspy. Hordy naukowców dokumentowały pojawienie się na warstwie pumeksu każdej nowej paproci czy kwiatu, dopóki nie odrósł poprzedni las. Oczywiście Krakatoa leży w odległości zaledwie dwudziestu pięciu mil od Jawy, będącej magazynem flory i fauny. Wyspę Wielkanocną tysiąc pięćset mil dzieli od najbliższego bogatego źródła zaopatrzenia, od wyspy Pitcairn. Z dokonanych obliczeń wynikało jednak, że Wyspa Wielkanocna powinna być zalesiona. Dwa miliony lat to okres dostatecznie długi. Cóż więc tłumaczy tę jałowość krajobrazu? Pierwszym podejrzanym jest jakieś wyniszczenie. Katastrofa, która zniweczyła to, czego przez wieki dokonała ekologiczna gościnność.

- Hanga Roa - oznajmiła Mahina, skracając w stronę lądu i naciskając hamulec. Przez chwilę próbowała wszelkich możliwych biegów, aż wreszcie wybrała pierwszy i delikatnie zdjęła nogę z gazu. - Hanga Roa - powtórzyła.

Przybyły do jedyne go miasta na wyspie. Po obu stronach drogi stały rzędy małych jasnoniebieskich domków, ze ścieżkami od frontu, ocienionymi przez pnące się po kratkach, pokryte kurzem starce popielne [Senecio cineraria) i łany pomarańczowych nasturcji (Tropaeolum majus). Trzem psom, uśpionym w cieniu rozłożystego cyprysa, uszy drgały od popołudniowych snów. Mahina skręciła w lewo, w węższą ulicę, tym razem prowadzącą wśród rozsianych tu i ówdzie płaskich betonowych budynków - chyba sklepów - z dachami pokrytymi blachą falistą. Nie wiadomo skąd wypadło przed dżipa kilkoro dzieci i pognało, aby dotknąć samotnej palmy kokosowej przy końcu ulicy.

Mahina skarciła je w języku Rapa Nui, po czym zwróciła się do Greer:

- Mamy kościół, coneo do wysyłania listów, szkołę. Miejscowość jest mała, ale mamy tu wszystko, czego nam potrzeba. Myślę, że ci się spodoba.

- Na pewno - powiedziała Greer.

- A teraz mi residencial. - Mahina skręciła w lewo i zaparkowała pod wydzielającym ostrą woń eukaliptusem migdałowcowym.

- Avenida Policarpo Toro - objaśniła. - Do la-bo-ra-to-rium idzie się ulicą Te Pito O Te Henua, potem w lewo do ulicy Atamu Tekana. Jak chcesz, narysuję ci plan.

Przed nimi stał betonowy parterowy budynek. Obramowanie ciemnych drewnianych drzwi tworzyły różowe kwiaty dwóch koralodrzewów. W ziemię wbita była mała tabliczka z naklejonymi czarnymi literami: RESIDENCIAL AO POPOHANGA.

Po wygramoleniu się z dżipa Mahina poszła na tył i zaczęła wyciągać dwie torby Greer, po czym mimo jej protestów podniosła obie ze zdumiewającą siłą. W tym momencie zza rzędu krzewów z boku domu wyszedł niemłody mężczyzna w spłowiałej czerwonej czapce baseballowej; przecierał oczy, bo widocznie głośne zapewnienia i protesty zakłóciły mu sjętę. Zdecydowanym głosem przemówił w Rapa Nui do Mahiny, wskazując na bagaż, lecz coś w jego tonie świadczyło o wielkiej delikatności wobec Greer. Kiedy tak miarowo wzruszał ramionami i wzdychał, miała wrażenie, iż ta scena rozgrywała się już wielokrotnie. Obejrzał dżipa, a nie znalazłszy chyba żadnych uszkodzeń, uśmiechnął się do Mahiny. Mahina, bynajmniej tym nieubawiona, skinęła na Greer i wprowadziła ją do środka. Zrobiła szybki gest do tyłu, mówiąc: - Ramon Liragos łka. Vamos, Ramon! - krzyknęła, on zaś podniósł torby Greer i ruszył w ślad za kobietami.

Dźwięk delikatnych dzwoneczków obwieścił ich wejście do przestronnego pokoju. Powietrze było tu chłodne, ściany ciemne. Z sufitu zwisały dwa rzędy zielonych szklanych kul w sznurkowych siatkach. Mahina starannie położyła kapelusz na biurku przy drzwiach i z jego zapchanej górnej szuflady wyjęła klucz, z dyndającym białym żetonem do pokera. Greer wyszła za nią drzwiami po drugiej stronie pokoju na dziedziniec pełen bujnej roślinności: deloniksów królewskich, bambusów i wysokich cyprysów. Pośród tej masy zieleni stała figura Marii Panny, prawie naturalnych rozmiarów, w niebieskiej sukni złuszczonej na fałdach. Po przeciwnej stronie dziedzińca ciągnęła się wąska weranda, osłaniająca cztery wejścia. Mahina minęła trzy pierwsze, przy czwartym uniosła klucz, przekręciła go w zamku i otworzyła drzwi pchnięciem biodra.

Pokój był mały. Pod ścianą na wprost wejścia stało podwójne łóżko i dwa wiklinowe nocne stoliki. Nad łóżkiem wisiała okrągła plakietka z wizerunkiem Marii Panny. Przy drzwiach stał sekretarzyk i krzesło zrobione z drewna, które wyglądało na mahoń. W pojedynczym oknie wisiały zasłony z grubego płótna.

- Dobry? - zapytała Mahina.

- Bardzo dobry. - Greer będzie musiała pozostać na wyspie co najmniej sześć miesięcy, aby pobrać rdzenie i wykonać analizy, lecz większość tego czasu spędzi w laboratorium.

- Dobry dla doctoral - powiedziała Mahina z uśmiechem. - Oczywiście nie ma pianina. Nie ma ping-ponga. W innych residenciales są też dużo ładniejsze koce. Ale od nas jest blisko do laboratorium. Tak? I ja robię najlepsze jedzenie.

Ramon, przewracając oczami, postawił torby Greer w nogach łóżka.

- Jest w sam raz - stwierdziła Greer.

- Łazienka jest tutaj. - Mahina wskazała wąskie drzwi obok biurka. - Kiedy będziesz chciała gorącej wody na prysznic, musisz ją włączyć na zewnątrz. Pokażę ci. Możemy też dać ci drugą lampę. Albo przesunąć biurko. A jak ci się tu nie spodoba, znajdziemy ci inny pokój.

Trudno było sobie wyobrazić, gdzie w takim małym pokoju zmieściłyby się dodatkowe meble. Mina Mahiny wskazywała jednak wyraźnie, że inni goście okazywali większy entuzjazm.

- To mi absolutnie wystarczy. Jest cudownie. - W rzeczywistości Greer odpowiadało tak skąpe umeblowanie. Dom w Marblehead był strasznie zagracony, pełen mebli, książek, wyrobów rękodzielniczych i pootwieranych pudeł z odzieżą Thomasa, bo jeszcze się nie zdecydowała, co z nią zrobi. Pominąwszy wszystko inne, to właśnie od tego bałaganu musiała się uwolnić.

- Obiad podaję dziś o ósmej - powiedziała Mahina, znowu pocałowała Greer w oba policzki i wyszła z pokoju.

Greer położyła torebkę na biurku i zrzuciła skórzane sandały. Stopami wyczuła przyjemny chłód podłogi. Wyciągnęła z torby i ostrożnie rozpakowała apteczny słoik z nasieniem magnolii, po czym podniosła go do światła; nasienie pływało tam w słonej wodzie, lśniące i okrągłe. Dostała je w prezencie ślubnym od Thomasa - mieli zobaczyć, jak długo przetrwa w wodzie oceanicznej. Przetrwało już osiem lat, dłużej, niż się spodziewała. Przez pewien czas uważała je za talizman i zabierała na wszystkie naukowe wyprawy, stawiała na nocnych stolikach w hotelach w Belgii i Włoszech. Kiedy jednak badania Thomasa nabrały gorączkowego tempa, kiedy ona zaniechała prac terenowych i większość czasu spędzała w jego laboratorium, zostawiła słoik na gzymsie kominka w Marblehead, gdzie pokrywał się kurzem. Przez dwa lata właściwie go nie ruszała, ale pakując się przed tą podróżą, uznała, że nie może go zostawić. Teraz żałowała swojej decyzji. Widok słoja zanadto przypominał jej Thomasa, takiego, jaki był w pierwszych latach ich małżeństwa, kiedy jeszcze zależało mu na nauce i na niej.

Odstawiła słoik i popatrzyła na plakietkę z Marią Panną. Nasienie, w jednych językach nazywane imieniem Maryi, w innych merremia dyskowata, *Merremia discoidesperma*, biło rekordy w pokonywaniu największych odległości: ponad piętnastu tysięcy mil.

Greer uklękła na łóżku, na kolanach przelazła po uginającym się materacu, zdjęła ze ściany plakietkę i położyła na nocnym stoliku, wizerunkiem do dołu.

Lepiej, pomyślała i zaczęła się rozpakowywać.

Późnym popołudniem wybrała się do laboratorium. Ramon zawiózł ją tam już wcześniej razem z jej sprzętem, lecz teraz, nadspodziewanie rozbudzona, postanowiła zwiedzić miejscowość. Na gruntowej drodze ruszyło za nią kilka bezpańskich psów, po czym przestało interesować się jej osobą. W oddali zapał zdeorientowany kogut. Minęła budynek z szyldem HOTEL ESPIRITU, sądząc z nazwy, jeden z hoteli, w których mieszkają naukowcy. We frontowych drzwiach ukazała się skłócona niemłoda para, która prowadziła sprzeczkę i toczyła palcami pojedynkę na stronicach przewodnika. On i ona ubrani byli w takie same hawajskie koszule.

- Iorana! - zawołali.

- Iorana - odpowiedziała Greer.

- Niech zgadnę - odezwała się kobieta. - Amerykanka. Wschodnie wybrzeże.

- To imponujące - przyznała Greer, ciekawa, co ją zdradziło.

- Widzisz? - zwróciła się do męża kobieta. - Dziesięć na dziesięć. To umiejętność, mówię ci. Powinnam pracować w departamencie stanu, ambasadzie albo czymś takim. Wykrywacz rodaków. - Podsunęła przewodnik pod nos Greer. - Więc co pani sądzi o tych rzeczach?

- O czym?

- O moai.

- Właśnie przyjechałam - odparła Greer. - „Właśnie”, czyli parę godzin temu.

- Cóż. - Kobieta kiwnęła głową do męża. - Czeka ją prawdziwa niespodzianka. Czeka panią prawdziwa niespodzianka. Mówię pani. Żadne fotografie, jakie pani widziała, nie oddają im sprawiedliwości. Są ogromne.

- Fotografie były dość małe - powiedziała Greer. - Wyobrażam sobie, że posągi muszą być większe.

Kobieta zmrużyła oczy, potem się uśmiechnęła.

- Zabawne. Cóż, miłego pobytu.

Greer skręciła za rogiem i poszła wzdłuż kolejnego rzędu domów. Za każdym widziała duże podwórko. Kury uwijały się i gdakały w małych drucianych kojcach. Na gęstych trawnikach rosły gujawy (rodzaj: *Psidium*) i taro (rodzaj: *Colocasia*). Tylko tutaj, w mieście, w wypielegnowanych, osłoniętych od wiatru ogrodach, mogły się rozwijać rośliny.

Dalej stały betonowe budynki. Żadne szyldy nie wskazywały na ich przeznaczenie, lecz dla Greer każda fasada miała odrębny charakter; rozpoznała pocztę i bank; sklep - po widoku kobiety z siatką wypchaną konserwami. Greer weszła do środka i zaczekała, aż jej wzrok oswoi się z ciemnością. Zza lady uśmiechnął się do niej rudowłosy mężczyzna.

- Iorana.

- Iorana - odpowiedziała.

Był blady, policzki miał upstrzone piegami. Czytała, że ludność wyspy jest mieszana. Pierwsi podróżnicy zauważyli, iż jedni wyspiarze zdecydowanie przypominają Polinezyjczyków, inni Europejczyków, znanych jako ohotea: „jasnowłosi”. Również z tego powodu kwestionowano ich pochodzenie. Mieszana rasa dopuszcza wiele możliwości.

Greer wędrowała wśród worków ryżu i zboża, pudeł z cukierkami i słodyczami, minęła olbrzymią piramidę czegoś, co wyglądało na brzoskwinie w puszcze. W przeliczeniu na dolary ceny wydały jej się wysokie, zwłaszcza cena brzoskwiń. Ale wszystkie te towary musiały być dostarczane z lądu stałego statkami, co jest przedsięwzięciem kosztownym. Oderwała z kiści jednego banana, wzięła parę pudełek herbatników do laboratorium, po czym podeszła z

tym nieporęcznym stosem do lady. Pieniądze wymieniła na lotnisku w Santiago i teraz wręczyła właścicielowi zwitek pesos.

- Inglesal
- Amerykanka.
- Ach. Nowy Jork? Los Angeles?
- Massachusetts. Marblehead.

Spod lady wyciągnął atlas z oślimi uszami i rozłożył go na blacie.

- Pani pokaże.

Greer spojrzała na Amerykę Północną i zobaczyła, że małymi czarnymi krzyżykami oznaczono Los Angeles, Nowy Jork i Salt Lake City.

- Tu. - Wskazała na wschodnie wybrzeże. - Marblehead. Massachusetts to stan.

- Riva riva - powiedział, wyciągnął pióro zatknięte za ucho i postawił krzyżyk na wybrzeżu. - Marblehead. Wyspa? Tak?

- Półwysep.
- Pół-wy-sep. Riva riva. - Złożył mapę i powoli odliczył resztę.
- Gracias - podziękowała.
- Iorana.

Na dworze, w zanikającym świetle, obrała banana i poszła dalej w stronę laboratorium. Wzięła ze sobą zniszczony od częstego używania prospekt z mapą wyspy, na której Mahina zaznaczyła kółkiem położenie laboratorium. W broszurze jeden krótki ustęp poświęcono najważniejszym historycznym wydarzeniom na wyspie: legendarnemu przybyciu pierwszego króla, Hotu Matua; wzniesieniu potężnych moai; nieodczytanym hieroglifom rongorongo; pojawieniu się kapitana Cooka; obaleniu moai; narodzinom kultu ptaków; wojnie między długimi a krótkimi uszami; ludożerstwu w jaskiniach na wyspie; zniknięciu ekspedycji brytyjskiej; przybyciu w czasie pierwszej wojny światowej admirała von Spee, który przez osiem dni stał tu na kotwicy. Naturalnie brakowało jakiegokolwiek wzmianki na temat dziejów geologicznych wyspy czy ubóstwa jej fauny i flory. Zadziwiające, że tak mało uwagi zwracali ludzie na opowieść samej ziemi. Jak gdyby sześćdziesiąt cztery mile kwadratowe kamienistej gleby stanowiły li tylko scenę dla późno przybyłych aktorów, istot ludzkich, których działalność, mierzona czasem geologicznym, trwała mgnienie oka.

Po drodze Greer dobiegł z oddali powolny stuk końskich kopyt. Lekki wietrzyk poruszył czerwony kurz na ścieżce. Poza zasięgiem wzroku zaszczekał pies. Ten spokój przypominał jej Mercer, miasto w Wisconsin, gdzie dorastała. W letnie wieczory, przed obiadem, wędrowała do sklepu

wielobranżowego, idąc zaś przyglądała się kobietom zamiatającym werandy, mężczyznom z podwiniętymi rękawami koszul, popychającym swoje córki na zawieszonych pod rozłożystymi klonami huśtawkach z opon samochodowych. Spokojne miasto, gdzie niewiele się działo - tak je zapamiętała. Tutaj panował identyczny spokój, jakby katastrofy, które ongiś wydarzyły się na wyspie, pozostawały gdzieś, szczelnie zamknięte, nietykalne.

Pozbawiony okien budynek wyłonił się przed nią na kształt olbrzymiej szarej cegły. Niewiele zadano sobie trudu, aby zamaskować jego praktyczne przeznaczenie. Nie rosły tu żadne gujawy ani cyprysy, nasturcje ani stokrotki. U góry biegł zrobiony białymi literami napis: SOCIEDAD DE ARQUEOLOGIA DE AMERICA DEL SUR. Greer z góry zarezerwowała sobie laboratorium przez SAAS, które parę lat wcześniej zbudowało na wyspie te pracownie dla naukowców. Właściwie było to nie całkiem w porządku - badacze płacili za pomieszczenia i sprzęt, a mimo to musieli w publikacjach dziękować towarzystwu za gościnę. Zezwolenie na pracę na Wyspie Wielkanocnej w dużej mierze zależało od decyzji rządu chilijskiego, głównego członka towarzystwa.

Greer weszła do budynku długim, pustym korytarzem. Na drzwiach każdego pokoju wisiała ręcznie wypisana tabliczka z nazwiskiem, jej: DR FARRADAY, pośrodku, z prawej strony. Otworzyła drzwi i parę razy włączała kontakt, zanim rozbłysły trzy jarzeniówki. Jej skrzynie były porządnie ustawione, próbnik leżał na wierzchu. Poza tym laboratorium niemal świeciło pustkami. Porowate betonowe ściany pomalowano na biało, chropawą podłogę na jakiś odcień różu - może na kolor koralowy - co wyglądało na śmieszny próbę rozweselenia wnętrza. Pod dwiema przeciwległymi ścianami ciągnęły się długie metalowe stoły, a pod każdy wepchnięty był drewniany stołek. W kącie znajdował się metalowy zlew z plastikową rurą, połączoną ze źródłem wody na zewnątrz za pomocą ogrodowego węża. Obok zlewu stała mała biała lodówka na próbki odwiertowe. Powyżej jednego ze stołów wisiało kilka pustych półek. Na górnej znajdowała się zakurzona zlewka - jedyny przyrząd naukowy w tym pomieszczeniu - niczym czaszka na renesansowym obrazie przypominająca: Tu jest nauka.

Z pewnością wystarczyło miejsca na sprzęt Greer. Popatrzyła na skrzynie; potrzebuje czegoś - łomu, młotka - żeby je otworzyć. Niczego takiego nie ma, budynek zaś sprawia wrażenie opustoszałego. Spojrzała na zegarek: szósta trzydzieści. Z samego rana może poprosić Ramona o lewarek i przyjść tutaj. Postawiła prowiant na drugim końcu stołu, ostatni raz rozejrzała się po

przestronnym pokoju i zawróciła do drzwi. Zamykając je, zgmiotła leżącą na podłodze kopertę. W środku znajdowała się kartka:

Doktorze Farraday!

Od bardzo dawna jestem wielbicielem Pańskich prac i cieszę się na zawarcie znajomości. Zajmuję ostatni gabinet z prawej strony korytarza. Wszyscy spotykamy się też na obiadach w Hotel Espiñtu w czwartki o ósmej wieczór. Musi Pan do nas dołączyć i opowiedzieć nam o wykonywanej tu pracy. Iorana! Witaj!

Vicente Portales

Greer z powrotem wsunęła kartkę do koperty, zamknęła za sobą drzwi i na palcach poszła w koniec korytarza. Na ostatnich drzwiach po prawej stronie wisiała tabliczka z napisem DR PORTALES. Pod nią stała skrzynka, którą Greer widziała w samolocie: PORTALES. Teraz przypomniała sobie nazwisko. Kiedy pobierała z Thomasem próbki w Belize, czytała o jego pracy nad hieroglifami Majów. W artykule podkreślano, że jest młody, a już pobił jakiś światowy rekord, dokonał czegoś, co miało związek z lataniem balonami na ciepłe powietrze albo z wysokogórską wspinaczką. Jakiegoś wyczynu sportowego.

Greer wyciągnęła z kieszeni pióro, przycisnęła kopertę do betonowej ściany korytarza i napisała: Dzięki, ale pilnie się instaluję. Wetknęła kopertę pod drzwi doktora Portalesa.

Wróciła do swojego pokoju, zdjęła tabliczkę i między słowami DR a FARRADAY dopisała małymi literami imię GREER.

Przyjemnie byłoby zjeść obiad, lecz to nie ona dostała zaproszenie. A doktor Portales wkrótce się przekona, że jest wdową po tym doktorze Farradayu, którego pracę podziwiał.

Odwróciła się i poszła ciemnym korytarzem. Nagle ogarnęło ją zmęczenie, jak gdyby po wielogodzinnym pływaniu dotknęła wreszcie ręką ładu stałego; najbardziej ze wszystkiego zachciało jej się spać.

Rozdział czwarty

Wnętrze okrętu wojennego było udrapowane aksamitem, prywatna kabina wyłożona perskimi dywanami, na stalowych grodziach wisiały w złotych ramach akwarele przedstawiające Lasek Buloński. Na stołach pośród kieliszków z szampanem wały się talie kart, stały nefrytowe popielniczki, pełne niedopałków, i filiżanki z jaśminową herbatą. Na ławie, pod mapą z zaznaczonymi stacjami bunkrowymi kajzera, leżała onyksowa szachownica, na której król wciąż dostawał mata. W pomieszczeniach gęsto było od dymu, ludzi i śmiechu. Właśnie w tej chwili Kapitan opowiadał dowcip: „No, więc jest Brytyjczyk, Niemiec i Chińczyk, a dzień każdemu z nich każe wypowiedzieć życzenie...”.

Ktoś wrzasnął: „Już to słyszeliśmy!”. Zawsze chodziło o Brytyjczyków, Niemców i Chińczyków - zwykle załogi okrętów wojennych w porcie Tsingtao na chińskim Morzu Żółtym.

„Nie to...”.

„No, dobrze już, dobrze, mów.

I wtedy do wypełnionej dymem kabiny napłynął zapomniany odgłos, odwieczne trzaski radia. Rozległo się szuranie nogami, wkrótce zaś oficer położył kres zabawie. Podniesiono igłę fonografu.

„Zabójstwo arcyksięcia - powiedział - doprowadziło do wybuchu wojny”.

Na chwilę zapadła cisza, a oni wszyscy popatrzyli po sobie. Nastąpiło to, do czego ci mężczyźni przygotowywali się latami, czego spodziewali się od miesiąca.

Więc Brytyjczycy wstali i otrzepali klapy marynarek. Chińczycy odstawili swoje filiżanki. Dziwna energia przeniknęła kabinę - wszyscy wiedzieli, że gra się zaczęła. I jak dzieci, które godzą się zamykać oczy i liczyć do dziesięciu, kiedy ktoś się chowa, nadal byli grzeczni. Wymieniano uściski dłoni, przepraszano. Po niemiecku, angielsku i chińsku wypowiedziano słowa pożegnania. Niebawem Niemcy, setki mężczyzn ledwie po dwudziestce, zostali sami w ciszy ozdobionego girlandami okrętu i niechybnie wyobrażali sobie, że słyszą straszne słowa - raz-dwa-trzy-cztery-pięć - choć nie są pewni, kto liczy, a kto ma się chować. Byli w Chinach, o tysiące mil oddaleni od Niemiec, od domu. Co to oznaczało?

W poszukiwaniu odpowiedzi zwrócili oczy na wiceadmirała hrabiego von Spee, który w mundurze szamerowanym złotem wkroczył między te resztki zaniechanej elegancji, przerwanego przyjęcia z czasów pokoju.

- Marynarze - powiedział. - Przygotujcie okręt do wojny. Usuńcie ozdoby i oczekujcie dalszych rozkazów.

Więc zdarto tapiserie, z podłóg zdjęto dywany. Do zatoki wrzucano wszystko: fotele, kanapy, fortepiany, obrazy. Marynarze, wychyleni za burłę, patrzyli, jak porcelanowe wazy podskakują w porcie na falach, jak gitary i mandoliny wirują między białymi grzywaczami. Te wody, na których ich okręty cumowały od lat, teraz budziły lęk. Było tylko kwestią czasu, kiedy Brytyjczycy spróbują zastosować blokadę i zatopić ich na kotwicy, a także kiedy Rosjanie i Francuzi, może również Japończycy, wyruszą na łowy.

Wiedzieli, że muszą uciekać - ale dokąd?

Pośród tego chaosu ktoś w mesie, młody dalekowzroczny oficer, popatrzył na огоłocone już stalowe pomieszczenie i powiedział do stojących obok przyjaciół: „Więc tak pisze się historia”.

Von Spee, zagłębiony w dzienniku pokładowym, usłyszał to i podniósł wzrok. Ze śladem swej słynnej buty zwrócił się do marynarzy: „Więc my ją napiszemy”.

Pechowa flota: hrabia von Spee i niemożliwa podróż powrotna

Rozdział piąty

Dane zebrane dla profesora Edwarda Beazleya przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne Lowther Lodge, Kensington Gore

Te Pito O Te Henua, znana jako Rapa Nui; Powszechnie nazywana Wyspą Wielkanocną Południowy Pacyfik Szerokość 28° 10'S, długość 109° 30'W

1722 (Wielkanoc): Admirał Jacob Roggeveen (Niderlandy).

Pierwszy udokumentowany kontakt z populacją nagusów mieszanej rasy, którzy czcili olbrzymie posągi, „siedzące na piętach, z pochylonymi głowami... Kamienne wizerunki najpierw wprawiły nas w osłupienie, gdyż nie potrafiliśmy zrozumieć, jakim sposobem lud, pozbawiony twardego i grubego drewna, a także mocnych sznurów do skonstruowania sprzętu, zdołał je dźwignąć; wszak niektóre z tych posągów miały dobre trzydzieści stóp wysokości i proporcjonalną szerokość". U części tubylców zauważono przecięte, zwisające do ramion małżowiny, które mogli zawiązywać na uszach. Mieszkańców wyspy opisano jako pogodnych, spokojnych i dobrze ułożonych, lecz niedościgłych w kradzieży. Na statek dostawali się wpław bądź też kruchymi czółnami. W wyniku nieporozumienia jednego zastrzelono na pokładzie statku, a kilkunastu na brzegu.

Odnotowano zniknięcie z okrętu admiralskiego obrusa i kilku kapeluszy.

1770: Don Felipe Gonzdlez (Hiszpania). Doniósł, że tubylcy mają własne pismo. Szacował ludność na trzy tysiące, lecz nie było widać dzieci. Zauważył duże posągi rozsiane wzdłuż wybrzeża. Przedstawiono tubylcom adres do Jego Królewskiej Mości Carlosa III Hiszpańskiego, a oni podpisali się swoimi imionami (w postaci ptaków i dziwnych figur), czemu towarzyszyły „wszelkie oznaki radości i szczęścia". Wyspę przemianowano na Wyspę San Carlos. Po czterech dniach Hiszpanie odpłyneli i nigdy nie powrócili na swoje „terytorium".

1774: Kapitan James Cook. Doniósł o zdziesiątkowanej, klepiącej biedę ludności w liczbie około 600 mężczyzn i 30 kobiet. Zauważywszy kilka stosów kamieni przed wąskimi zejściami w dół, Cook podejrzewał istnienie sieci podziemnych jaskiń, w których ukrywali się tubylcy. Bronili oni dostępu do tych terenów. Kolosy przestano już otaczać czcią, większość zaś wyglądała tak, jakby je przewrócono. Obecny na pokładzie Tahitańczyk, po części zdolny zrozumieć miejscowe narzecze, uznał, że kolosy nie były wizerunkami boskimi, lecz pamiątkami po zmarłych.

Cook odnotował w swoim dzienniku: „Nie bardzo potrafiliśmy pojąć, jak ci wyspiarze, całkowicie nieobznajomieni z żadną siłą mechaniczną, mogli

wznieść takie ogromne figury... Musiały być wykonywane przez czas nieskończenie długi i dobitnie świadczą o pomysłowości i wytrwałości wyspiarzy w epoce, w której je zrobiono, bo obecni mieszkańcy wyspy z całą pewnością nie przyłożyli do nich ręki, jako że nawet nie naprawiają podwalin tych, które mają zniszczyć".

Ekspedycja odpłynęła z niewielkim zapasem patatów.

1786: Jean-Francois de Galaup, hrabia de La Perouse (Francja).

Odnotował obecność około dwóch tysięcy ludzi na wyspie, Francuzów dopuszczono do jaskiń i podziemnych korytarzy, gdzie ukrywały

się kobiety z dziećmi, rzekomo wstęp umożliwiło im spokojne zachowanie kapitana Cooka. Nieudane próby wprowadzenia świń, kóz i owiec.

1864: Brat Eugene Eyraud, francuski misjonarz katolicki, osiadł na wyspie; jakoby ogół ludności nawrócił się na chrześcijaństwo. Ani jedna figura nie znajdowała się w pozycji pionowej.

1877: Liczba mieszkańców: 111 (doniesienia o epidemii ospy wietrznej, przypisywanej napadom peruwiańskich handlarzy niewolników).

1886: Przybycie George'a S. Cooka, lekarza Marynarki Stanów Zjednoczonych, na pokładzie „USS Mohican”.

1888: Anektowanie przez Chile.

Towarzystwo życzy sobie zbadania poniższych kwestii:

Jak olbrzymie figury wykonywano! Transportowano! Czy są dziełem przodków obecnych mieszkańców, czy jakiejś dawniejszej, wymarłej rasy!

Co spowodowało jednakowy upadek kolosów!

Czy pismo, o którym wspomina Gonzalez, jest spokrewnione z innym znanym pismem! Co w nim utrwalono!

Czy tubylcy są spokrewnieni z innymi Polinezyjczykami, czy z mieszkańcami Ameryki Południowej!

Jaka jest struktura rodziny! Obecny stosunek liczby mężczyzn do kobiet!

Czy uprawia się bądź uprawiało poligamię! Jest marzec roku 1912.

Fale szarego Atlantyku pruje liniowiec „Biała Gwiazda”. Wieńczą go trzy grube kominy. Zaraz za mostkiem, za kajutą kapitana, Alice i Elsa zajmują wspólnie małą kabinę ze ścianami wyłożonymi boazerią. Ich nowe skórzane neseserki spoczywają na komodzie,- na stoliku kredensowym stoi klatka z Budyniem. Pomieszczenie jest eleganckie, panuje w nim porządek. To w sąsiedniej kajucie Edwarda upchnęli skrzynie z namiotami, wyrobami rygarskimi i wydawnictwami encyklopedycznymi. „Nasz sprzęt jest dość ważny i nie możemy dopuścić, aby się przewalał po ładowni - wyjaśnia Edward

tym pasażerom, którzy widzą, jak z udręczoną miną wydostaje się z tego gąszczu. Otrzeputując marynarkę, mówi: - Wyruszamy na ekspedycję".

W istocie napomyka o wyprawie przy każdej okazji. Przy śniadaniu, w czasie podwieczorku, kiedy podaje cukier na drugą stronę ładnie nakrytego stołu, pyta: „Czy wspominaliśmy, że później popłyniemy przez południowy Pacyfik?”. A czasami: „Mają państwo rodzinę w Bostonie?” albo: „Czy to w interesach udaje się pan do Massachusetts?”. Robi to tylko dlatego, że oczekuje takiego samego pytania, na które będzie mógł odpowiedzieć: „Boston jest dla nas zaledwie punktem wyjścia!”. Konwersuje z architektami, z amerykańskimi magnatami stalowymi, z samotnymi wdowami z Cambridge, zachowując się w stosunku do obcych, zauważa Elsa, ze swobodą, na jaką w stosunku do niej zdobyć się nie potrafi.

Piątego dnia, kiedy po przebudzeniu widzą chmury burzowe siniejące na horyzoncie, wycofują się do salonu na partyjkę bezika. Tam podchodzi do nich niemłody mężczyzna, przedstawia się jako Andreas Lordet z Belgii, doświadczony podróżnik, który przez trzy lata zarządzał w Kongo słynną kopalnią miedzi Lemaire, i oznajmia, że zamierza na krótko się do nich przyłączyć.

Siada; z wyrazem znużenia patrzy na zamazane przez deszcz szyby. Czeka, jak mówi, na żonę. Potem wolno poddaje ich drobiazgowej obserwacji: najpierw Edwarda, potem Elbę, w końcu Alice. Na chwilę zatrzymuje wzrok na Alice, zaintrygowany tym, że ścisła w dłoni plik kart i trzyma je przed sobą, jak gdyby niezdecydowana, czy je podać gestem sztukmistrza, czy przytulić do piersi. Szybkim machnięciem pomarszczonej ręki mężczyzna przywołuje kelnera i zamawia dżin.

- Kongo - mówi Edward. - Ja sam spędziłem dłuższy czas w niemieckiej Afryce Wschodniej. Jestem antropologiem, teraz zaś wszyscy rozpoczynamy ekspedycję na Wyspę Wielkanocną.

- Ach, tak. Antropologia. - Mężczyzna pogrąża się w zadumie. - Hmm. - Zamyka oczy i otwiera je dopiero wtedy, kiedy słyszy nadchodzącego z trunkiem kelnera. - Merci - dziękuje mu, następnie pociąga długi łyk dżinu.

- Oczywiście - stwierdza Edward - południowy Pacyfik zasadniczo się różni od kontynentu afrykańskiego.

- Afryka! Tak! - wykrzykuje mężczyzna. Potem skwapliwie zaczyna snuć opowieść o swoich doświadczeniach z czymś, co nazywa „niezadowoleniem dzikusów” - spodziewa się niebawem poświęcić temu zjawisku rozprawę naukową. Dla takiego jak Edward antropologa jego spostrzeżenia niewątpliwie byłyby zajmujące. I dalej mówi o skradzionych rewolwerach i bandach

tubylców, o zatrutych strzałach, padających z nieba, na zakończenie każdej historii zaś pociąga haust dżinu, jakby wciąż zdumiony, że zdołał przeżyć takie niebezpieczeństwa. - Bien sur. - Stuka pustą szklanką w blat sąsiedniego stolika. - A mimo to jestem tutaj. Widzą państwo? - Wali się pięścią w klatkę piersiową. - Trzeba mieć siłę. Odwagę. Stanowczość. A wtedy takie powstania będą jedynie - macha dłonią w powietrzu - lekarstwem na nudę.

- Czy nie byłoby łatwiej - pyta Elsa, ciągnąc nową kartę z kupki na stole - zostać w Belgii i chodzić do teatru?

Mężczyzna zwraca się do Edwarda:

- Teatr?

Elsa z wielkim skupieniem układa swoje karty. Zmęczyło ją słuchanie tego nudziarza.

- Cóż, to, co pan mówi o odwadze, jest zaiste prawdziwe - zgadza się Edward. - Cudzoziemca czeka wiele nowych, niepokojących doświadczeń. Sama zmiana pożywienia może budzić obawy.

- Thedtreł - powtarza mężczyzna, wymawiając to słowo po francusku.

Mówi pan jak człowiek prymitywny, chce mu powiedzieć Elsa. Powstania w charakterze rozrywki! Nasłuchała się dość. Dlaczego Edward musi zachowywać się tak dyplomatycznie? Wiadomo, że się z nią zgadza - w swojej książce kładł nacisk na konieczność poszanowania mieszkańców kolonii przez poddanych imperium. Natomiast awantura? Edward do niej nie dopuści. Elsa chciałaby mu przypomnieć ostatni rozdział jego własnej książki „Ku lepszemu zrozumieniu”, który jej podobał się najbardziej: tę część jego pracy, pozwalającą się domyślać, że Edward nie tylko zbiera i opracowuje dane, lecz także darzy przedmiot swoich badań głębokim zrozumieniem. Teraz jednak Elsa powątpiewa w szczerłość jego uczuć.

Nagle mężczyzna omija ją wzrokiem.

- Helenę!

Elsa się odwraca. Wystrojona kobieta około siedemdziesiątki zmierza w ich stronę. Gruby złoty naszyjnik spoczywa na jej piersi. Na przegubie każdej ręki brzęczą po trzy szerokie złote bransolety. Edward wstaje, Andreas dokonuje prezentacji. W końcu kobieta ostrożnie siada na brzeжку swojego krzesła i zwraca się do męża.

- Nous parlons de voyages - mówi on. Edward wyjaśnia:

- Płyniemy w stronę południowego Pacyfiku. Wysłani na wyprawę przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne.

- Ach, le Pacifique du sud. Cóż, muszą państwo mieć się na baczności przed moskitami. Mam nadzieję, że wzięli państwo zapas chininy. Nigdy nie jest jej za dużo.

Czy ci ludzie, zastanawia się Elsa, niczego nie lubią bardziej, jak ostrzegać innych przed niebezpieczeństwem?

- Chininy? - pyta Alice, która zebrała w garści prawie całą talię kart, co teraz widzi Elsa.

- Chi-ni-ny - powtarza madame Lordet. - Leczy się nią gorączkę malaryczną. A wyrabia się ją z kory pewnego drzewa. Najlepiej zażyć trzy krople do poduszki.

- Gorączkę?! - Dłonie Alice wiotczeją, kilka kart z trzepotem sfruwa na podłogę.

Kobieta w zadumie przekrzywia głowę.

- Mamy namioty z siatkami - mówi Elsa. - Z moskitierami. Nie martw się, Allie.

- Gorączkę?

- Ma cheń. Nie martw się - uspokaja madame Lordet łagodnym głosem. - Po prostu każesz moskitom odlecieć i dać ci spokój! Powiesz „a sio”, to odlecą! Alice z uśmiechem odrzuca na bok karty.

- Ktoś chyba wygrał! - Madame Lordet, pobrzękując naszymi, nachyla się do Elsy i szepcze: - Moja siostrzenica w Antwerpii - kiwa głową pełna ubolewania - jest całkiem taka sama.

Następnie proponuje, że zaprowadzi Alice do salonu, gdzie będą kibicować pingpongistom.

- Moja Adele wprost przepada za oglądaniem przelatujących nad siatką piłek - mówi i unosi blady palec, aby zilustrować ten ruch.

- Cóż - zaczyna uprzejmie Elsa - Alice ma rozmaite zainteresowania, bardziej inspirujące niż obserwowanie piłeczki. - Jakże ją nużą te wieczyste domysły. - Mogłaby pani poprosić, żeby narysowała pani portret. Jest niezłą artystką.

- Artystką! - Kobieta się uśmiecha, kiwa głową z niedowierzaniem i zadowoleniem, jakby przed nią paradowała małpa w cylindrze. - Merveilleux.

Elsa z wymuszonym uśmiechem żegna się grzecznie, składa pocałunek na słodkiej główce Alice. Ze stołu bierze. O powstawaniu gatunków i trzyma książkę w ręku. Edward się uśmiecha; to piękne pierwsze wydanie było jego prezentem ślubnym dla żony. W wieczór przed pożegnaniem z Anglią podarował Elsie zebrane dzieła Darwina: pięć tomów oprawnych w bordową skórę, ze złotymi literami na grzbietach i jej nowymi inicjałami - EPB -

wytłoczonymi na wszystkich stronach tytułowych. Nosiła ten tom ze swojej kajuty na pokład i do salonu, ale jeszcze nie zdążyła do niego zajrzeć. Teraz zdoła skraść parę minut.

Wspina się po schodach na górny pokład, ledwie jednak dociera do wietrznej promenady, zastanawia się, czy nie zawrócić. Niedobrze jej się robi na myśl, że ta kobieta będzie ciągnąć Alice przez salon niczym ulubione zwierzątko. Elsa próbuje przegnać ten obraz z głowy. Ojciec zawsze karmił ją za to - za tę chęć przekonywania o zdolnościach Alice. Alice to Alice, mówił, niezależnie od tego, jak ludzie ją postrzegają. Niewiedza rani tylko ignorantów. Elsie jednak zależało na obronie honoru Alice. Nawet jeśli można było nie zważać na każde pogardliwe spojrzenie, nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że jeśli się straci nad nimi kontrolę, razem wzięte mogą się wkrótce odbić na Alice. Po trosze podejrzewała, że ojcu najzwyczajniej zmęczenie i podeszły wiek nie pozwalają się oburzać. Tylko raz w życiu widziała go oburzonego. Miała wtedy dziewięć lat, siedziała w londyńskim gabinecie doktora Chapple'a z ojcem i Alice, słuchając, jak lekarz objaśnia, na czym polega amencja - stan ograniczonych możliwości... zahamowanie rozwoju mózgu... niedostateczna liczba neuronów korowych. - Wówczas te objaśnienia wydawały się jej nieskończonym potokiem sylab, lecz potem przez wiele lat powracały jako słowa. Elsa zrozumiała tylko tyle, że doktor Chapple mówi o miejscach, gdzie mogliby oddać Alice - o Królewskim Zakładzie dla Obłąkanych im. Alberta w Lancaster, o Szkole dla Upośledzonych Umysłowo w Sandlebridge - o miejscach, gdzie dach nad głową mogą znaleźć, i ten zwrot wyrzył się w pamięci Elsy, ludzie umysłowo niedorozwinięci. Wreszcie Elsa przesunęła się do przodu na krzesło i zadała pytanie w jej mniemaniu najistotniejsze.

- Może ją pan wyleczyć?

- Niestety, moja droga - odparł lekarz, zdjawszy okulary i roztarłszy garb nosa przed ostatecznym oświadczeniem. - Amencja, choć jej zewnętrzne objawy można złagodzić poprzez zachowanie odpowiedniej równowagi między bodźcami a wypoczynkiem, jest chorobą przewlekłą i nieuleczalną.

Ojciec potakiwał w milczeniu.

Następnie lekarz zaczął coś bazgrać.

- Proszę jednak brać po szczypcie nasion kminku, imbiru i soli i posypywać chleb cienko posmarowany masłem. To okazało się skutecznym sposobem na czasowe łagodzenie lekkich ataków hysterii. - Ponieważ ojciec miał wzrok wbity w podłogę, Elsa wzięła kartkę z rąk lekarza.

Ledwie wyszli z gabinetu doktora Chapple'a i drzwi się za nimi zamknęły, jeszcze na schodach, ojciec podniósł rękę i wymierzył Elsie policzek. Nie robił tego nigdy przedtem.

- Zrozum - powiedział. - Alice nie jest potrzebne leczenie. Jest jej potrzebna troska. I ani teraz, ani nigdy więcej nie będziesz mówić, że zachowanie Alice to problem czy wada. Czy muszę się powtarzać?

Elsa spuściła głowę - zamierzała się tylko przekonać, czy mogą pomóc Alice. Nie chciała odpowiedzieć na pytanie. Czy to nie ona zawsze stawała w obronie Alice? Nagle tuż obok niej rozległ się wrzask - Alice, z ręką uniesioną w górę, z twarzą zaczerwienioną ze złości, zaczęła się wykręcać, aż w końcu śruba napędowa jej ramienia wylądowała z głośnym plaśnięciem na brzuchu ojca. Alice zamachnęła się do powtórnego ciosu, lecz ojciec złapał ją za przegub. Oczy miał porysowane naczyniami włoskowatymi.

- Alice. Moja mała Alice.

Alice jednak rzucała mu tylko gniewne spojrzenia, z żyłą na czole nabrzmiałą z wściekłości, z wąską pierśią unoszącą się i opadającą z wysiłku. Ojciec ją puścił i Alice znów podniosła rękę.

- Allie - powiedziała, chwytając siostrę, Elsa. - Już dobrze. Ojciec wpatrywał się w nie, jakby szukał właściwej odpowiedzi.

Tego mu było za wiele; Elsa wyraźnie to widziała. Po raz pierwszy zdradził takie wyczerpanie, takie pomieszanie. Pokręcił głową, a następnie zszedł po schodach na ruchliwą londyńską ulicę.

- Uderzyłam go, Elsa! - Alice uwolniła się z uścisku Elsy. - Uderzyłam papę. Widziałas? - Wspięła się na palce i zaczęła podskakiwać.

Elsa, ciągnąc ją za rękaw, pośpiesznie zeszła po schodach. W końcu dogoniły ojca.

- Ojczy - odezwała się Elsa. - Proszę cię... ojczy. Nie przystanął; nawet nie spojrzał na nie.

- Przepraszam, ojczy.

- Hm? O co chodzi?

- Przepraszam.

- Elsa przepraszaj! - krzyknęła Alice. Wyglądał na zdezorientowanego.

- Musisz złapać oddech, Elso. Uspokój się. Dlaczego jesteś taka wytrącona z równowagi?

- Elsa przepraszaj!

- Elsa? Przepraszaj? Za co, na litość boską? - Wzniósł oczy w niebo i westchnął przeciągle, ze zmęczeniem, a było to westchnienie, które chyba od

lat nie mogło się z niego wydobyć. - Nie. Nikt nie musi przepraszać. Nikt. Wracajmy do domu, zanim zrobi się ciemno.

Razem poszli dalej w milczeniu, jak gdyby nigdy nic.

Na obmytym przez deszcz pokładzie spacerowym Elsa słyszy dudnienie silnika, głos matki, surowo zakazującej dziecku biegać, szepty pary, która oparta o reling obserwuje, jak słońce przedziera się przez chmury. Deszcz ustał, lecz zimny wiatr hula po pokładzie. Elsa wodzi czubkami palców po chłodnej poręczy, lustruje wzrokiem horyzont. Nie ma Anglii; nie ma Europy. Czy naprawdę można zostawić za sobą przeszłość? Zacząć od nowa? Elsa jednak aż za dobrze zna tę dręczącą ją tęsknotę. Kiedy pierwszy raz wyjeżdżała z domu, aby objąć posadę guwernantki, wyobrażała sobie, że potrafi zacząć od nowa, zerwać dotychczasowe pęta powagi i przeobrazić się w inną, beztroską dziewczynę, taką jak te, które zawsze budziły jej zazdrość. Ale pęta były za stare i wbrew jej nadziejom, wbrew wysiłkom, mocno ją krępowały.

Siada na suchej ławce i otwiera O powstawaniu gatunków. Czytała już fragmenty - ojciec miał naturalnie egzemplarz; i często znajdowała tę książkę w bibliotekach swoich pracodawców. Ale to jej tom. W bordowej skórce, piękny. Elsa uśmiecha się na myśl, że może zaginać kartki. Pisać na marginesach. Kapnąć herbatą na nieskazitelne stronicie w kolorze kości słoniowej. „Pierwsze wydanie” znaczy niewiele; ważne jest to, że książka należy do niej, a zatem powinna nosić ślady użytkowniczki. Pomna na to, Elsa zabiera się do czytania wstępu, kciukiem i palcem wskazującym zagina górny róg kartki. Proszę bardzo. Podnosi wzrok w nadziei, że może ktoś ją widział. Wie, że gest jest głupi, a mimo to czerpie z niego nagle satysfakcję, jak gdyby tak niepozorne niszczyielskie działanie, przejaw buntu stał się na chwilę przeciwwagą wszystkich innych wyborów, dokonanych z rozsądku.

Zaczyna czytać i ołówkiem podkreśla interesujące ją ustępy. To również sprawia jej wielką przyjemność, więc jest ciekawa, czy nie działa tu jakiś prymitywny instynkt. Jej uczniowie zawsze gryzmoлили w podręcznikach - podpisywali się z przodu i z tyłu na okładkach, na przypadkowych stronicach - jak gdyby kierowała nimi przemożna potrzeba potwierdzenia faktu, że się uczyli, oznaczenia terytorium, po jakim wędrowali myślą. Czy nie różnię się, duma Elsa, od uczennicy, kiedy liczę, że parę posiadanych rzeczy przypomni światu o moim istnieniu?

Czyta dalej.

Istnieje uderzający paralelizm praw życiowych w czasie i przestrzeni; prawa, które określały następstwo form w przeszłości, są identyczne z prawami, od których obecnie zależą różnice między tymi formami na różnych obszarach...

Słowa zdają się przez nią przepływać. W przeszłości, obecnie - tak, jest w tym wszystkim wielkość, coś poza nią, poza tym ogromnym parowcem i tym nieskończonym oceanem. Elsa robi ołówkiem uwagę, przewraca kartkę i nagle zdaje sobie sprawę, że się uśmiecha. Przepadam za tym, myśli. Czuję się jak prawdziwa uczona. Koniec z tymi wszystkimi lekcjami gramatyki, geografii i matematyki - tu oto jest Darwin; tu jest zdumiewająca teoria.

Uwagę jej rozprasza wybuch śmiechu - dalej na pokładzie przechadzają się dwie młode kobiety w słomkowych kapeluszach. Nie spuszczają wzroku z młodego mężczyzny, pochłoniętego lekturą, a kiedy go mijają, ponowny wybuch śmiechu odrywa go od czasopisma. Zwyciężywszy w tej grze, kobiety nachylają się do siebie i szepczą, a kapelusze tworzą nad nimi baldachim. Te kobiety cechuje swoboda, beztraska, której zazdrości im Elsa. Sama nigdy nie była taka. Od wczesnego dzieciństwa życie upływało jej na wiecznym czuwaniu. Zawsze musiała opiekować się Alice, dbać o ojca. Alice wymagała cierpliwości. Ojciec posłuszeństwa. Z chwilą gdy Elsa została guwernantką, niechętnie nauczyła się czegoś, co było dla niej najtrudniejsze - pokory. Pod wpływem nowych obowiązków nabrała z czasem powagi i zaczęła onieśmielająco działać na innych. Mężczyźni czuli się w jej obecności nieswojo. Nie była przecież brzydka; skórę miała gładką, włosy kasztanowe i jedwabiste, choć dość rzadkie. Kiedy przeglądała się w lustrze, własne rysy wydawały jej się delikatne i regularne, uważała więc, że powinna stanowić widok równie miły jak każda dziewczyna. Mimo to za sprawą zauważalnego w jej zachowaniu napięcia mężczyźni zwracali oczy ku weselszym dziewczętom. Nawet Maksa, podobnie jak ona poważnego, to napięcie najpierw zrażało.

W kilka dni po swoim powrocie z Kilonii przyszedł do pokoju lekcyjnego, aby się przywitać. Elsa siedziała przy stole z Ottonem i Hubertą, powtarzając angielskie przyimki, kiedy się zbliżył, wyciągnął rękę i na krótko położył ją na główce każdego z dzieci. Spojrzał na książki, następnie zaś spytał Ottona, starszego syna, po angielsku:

- No i jaka jest wasza nowa guwernantka?
- Sehr gut, Papa.
- Czy po to sprowadziliśmy ją aż z Anglii, żeby wam pomagała mówić po niemiecku? - Z kolei zwrócił się do Elsy: - Zadomowiła się pani?
- Tak - odparła.
- Przyimki?
- Tak, proszę pana.
- Wyśmienicie.

Po tych słowach wyszedł. Drugi raz odezwał się do niej dopiero po upływie miesiąca. Jego brak zainteresowania tłumaczyła jednak tym, że dobrze wykonuje swoją pracę. Fundament gospodarstwa domowego stanowiła służba - najlepiej, jeśli niewidoczna.

Ich następna rozmowa dotyczyła zegarka kieszonkowego, który Huberta wzięła z gabinetu ojca, kiedy zaś Elsa próbowała go odebrać, upuściła na marmurowe schody. Elsa podniosła zegarek i zobaczyła, że szkiełko jest stłuczone. Chciała ustrzec przed karą Hubertę - beznadziejnie humorzastą i niezdarną, czasami zachowaniem przypominającą Alice - więc powiedziała głównej pokojówce, że sama stłukła zegarek i koszty naprawy powinny zostać potrącone z jej pensji.

Nazajutrz on przerwał lekcję. Powiedział, że muszą porozmawiać o pewnym długi.

- Przepraszam pana? - Elsa zamknęła podręczniki i położyła ręce na kolanach.

- Mój zegarek. Co to za pomysł z płaceniem za reperację? Huberta, która szybko robiła w angielskim postępy, wierciła się na krześle.

- Nie rozumiem. - Nagle jednak Elsa zrozumiała: zegarek już był uszkodzony, kiedy złapała go Huberta. - Ach, tak, sir. Przepraszam.

Przez chwilę ociągał się z wyjściem, patrzył na swoje dzieci, na książki, zatrzymał wzrok na Elsie.

- Podarowano mi go, kiedy miałem trzynaście lat.

- CO, SU? ,

- Zegarek. Należał do mojego ojca.

- Doskonale, sir.

- Ma dla mnie znaczenie.

- Tak, sir.

- Jak na nauczycielkę angielskiego, słownictwo pani jest dość ubogie.

Elsa nie lubiła prowokacji. Była zdecydowana się bronić przed niebezpieczeństwem zagrażającym osobie w jej sytuacji. Pracodawcy miewali humory. Niekiedy - w deszczowe dni, po źle przespanej nocy - mogli się zdecydować na wypytywanie o szczegóły z jej życia albo na opowiadanie o sobie. Potem, w obawie, że ona się ośmieli, opuści w pracy i całymi dniami będzie plotkować, traktowali ją chłodniej i jeszcze bardziej z góry. Jeśli pozwoliła sobie uwierzyć w ich przyjaźń, dotykał ją cios. Łatwiej, bezpieczniej było nigdy nie wkraczać na tę drogę.

- Chyba tak - przyznała.

- A więc doskonale. Proszę dalej prowadzić lekcję. I jeśli przyjdzie pani ochota, nauczyć ich trochę zdań złożonych.

Nie rozmawiali ze sobą aż do dnia, kiedy dostała od ojca list, dotyczący projektu ustawy o kontroli osób upośledzonych umysłowo. Poszła go przeczytać na swojej ulubionej ławce w ogrodzie, wyraźnie zdenerwowana. Kiedy zobaczył ją spacerujący Max, kiedy zapytał, co się stało, kiedy gestem wskazał, że chciałby usiąść, Elsa była zbyt nieszczęśliwa, zanadto pochłonięta własnymi myślami, aby zareagować. Ponieważ zaś myślała o Alice, ledwie Max zajął miejsce obok, to o niej zaczęła mówić - opisała jej napady, opowiedziała o uzdolnieniach, o amencji, o szczegółach projektu ustawy. Taka otwartość graniczyła z niestosownym zachowaniem, na co Max chyba nie zwrócił uwagi. Wyglądał na zaintrygowanego położeniem Alice, jakby to była wielka zagadka, którą powinien rozwiązać. Elsa mówiła, a on gładził brodę i wpatrywał się prosto przed siebie. Wiatr szeleścił w gałęziach drzewa nad ich głowami i w miarę jak zachodziło słońce, wydłużały się cienie żywopłotów, przypominając markizy. Czulo się, że ta ławka zapewnia schronienie, toteż Elsa bardzo jasno zdawała sobie sprawę, iż on tylko tutaj może dać wyraz swojej empatii. Jak podejrzewała, jej zrozumienie pozwalało mu na swobodę.

Nawet po innych spotkaniach, kiedy zaczął zabierać dzieci na długie wycieczki, w których uczestniczyła na jego wyraźne życzenie, a podczas których godzinami uczył ich nazw drzew i krzewów, napotykanym po drodze; nawet po tym, jak kilkakrotnie odszukał ją sam, gdy jego żona, Margarete, odwiedzała przyjaciółki, Elsa nigdy nie odnosiła się do niego inaczej niż jak do pracodawcy. Była to przyjaźń, zwyczajne przebywanie w swoim towarzystwie i żadnemu z nich nie śniło się nic więcej. Potrafili rozmawiać bez skrupowania, darzyli się wzajemną sympatią, choć zrazu Elsa nie miała pewności, co się jej w nim podoba. Max był pociągający, lecz w przekonaniu Elsy nigdy nie robiło to na niej większego wrażenia. Był inteligentny, j Elsa jednak często spotykała inteligentnych mężczyzn na uniwersytecie. Natomiast on pierwszy ze znanych jej ludzi nie wymagał opieki. Od czasu do czasu słyszała, jak w odległym skrzydle domu Max podnosi głos, wytracony z równowagi zbyt późnym doręczeniem telegramu czy pozostawieniem niezamkniętych drzwi. Uspokajał się jednak szybko. Nigdy nie wyglądał na zmartwionego, zmęczonego, zdenerwowanego i służba żartowała sobie, że swoją samowystarczalnością doprowadza ją do szału. Drzemiąca w nim dziwna siła pociągała Elsę, która nie umiałaby powiedzieć, czy ta siła budzi jej podziw, czy zazdrość. Potem Elsa niespodziewanie się zakochała. Zastanawiała się niekiedy, czy u podstaw tej

nierozwagi nie leżało oddalenie od Alice. Gdyby Alice z nią była, nigdy by do czegoś takiego nie doszło. Tego jest pewna.

Teraz jednak cieszy się, że ma przy sobie Alice. I stopniowo rozwiewają się jej wątpliwości co do wyprawy. Edward obiecał, że zawrócą, jeśli podróż okaże się dla Alice zbyt uciążliwa, ale jak dotąd dostarcza jej mnóstwa wrażeń. W Southampton, kiedy statek odbijał od brzegu, pohukiwała i machała do zgromadzonego w porcie tłumu.

Zbadała i narysowała każdy poziom parowca. A przybory podróżne - książki, torby - budzą jej zachwyty. Kilka razy dziennie otwiera swój skórzany neseserek, sprawdza jego zawartość, po czym go zamyka i chowa pod łóżko. Ma w nim grzebień i lusterko, małe nożyczki do obcinania pazurów papugi, fotografię ojca, perfumowaną jedwabną saszetkę, którą kupiła jej Elsa, kredę i kredki, przewiązane niebieską wstążką, lornetkę, srebrną miseczkę na słodycze, zabraną z salonu Edwarda (za każdym razem ustawia ją na komodzie, zanim pozwoli Edwardowi wejść do swojej kajuty - „Jeszcze nie!”, krzyczy, kiedy on czeka w drzwiach, i pilnuje, żeby miał oczy szczelnie zasłonięte rękami), i - wzięty wbrew zapewnieniom Elsy, że nie będzie go potrzebowała - słownik niemiecko-angielski, tę samą rzecz, którą Elsa pakowała w jej obecności przed pierwszym wyjazdem z domu.

Oczywiście czeka ich jeszcze najdłuższa i najuciążliwsza część podróży. Tropikalne klimaty, obce języki, ludy o nieznanym skłonnościach. Elsa wie, iż może im zagrażać całkiem realne niebezpieczeństwo. Czyż jednak nie zagrażało w Anglii? Cała ta sprawa z królewską komisją do spraw opieki i kontroli nad upośledzonymi umysłowo, te niekończące się artykuły i propozycje, projekt ustawy, który próbowano przepchnąć przez parlament, aby upoważnić do zamykania w zakładach - to ją przerażało. W ostatnich miesiącach życia jej ojciec wysłał do „Daily Telegraph” trzy listy potępiające „The Journal of the Eugenics Education Society” za głoszone na jego łamach teorie, że sterylizacja może zapobiec rozprzestrzenianiu się idiotstwa. „Rozprzestrzenianie się! - Zakasłał na swoim łóżku i cisnął pismo na podłogę. - Czy oni myślą, że to ospa wietrzna?”. Jeszcze większy niepokój budziło jedno z nazwisk w stopce „Eugenics Review” - dr William Chapple - nazwisko człowieka, do którego zwrócili się przed laty, aby postawił Alice diagnozę.

Kiedy Elsa porządkowała z Edwardem gabinet jej ojca, w szufladzie biurka znalazła parę ostatnich numerów „Review”. Zastanawiała się, dlaczego ojciec je trzymał? Czy uważał, że mając je w swojej szufladzie, może kontrolować ich zawartość? Jakież typowe dla ojca było założenie, że jego wieczna obsesja, jego dziesięciostronicowe listy rozwiążą problem. Nigdy nie zawinił lenistwem,

nigdy się nie poddał. Ale potrafił trwonić to, co zdobył ciężką pracą. Tekstylią - inwestycja poważna, a przecież strasznie chybiona. Patrząc na zakurzone książki i pudła z papierami - prawie cały odziedziczony przez nią majątek - Elsa myślała: jestem bez grosza. Potrzeba będzie czegoś więcej niż tylko jej czujność, żeby Alice na pewno nie wpadła w łapy lekarzy-maniaków. Elsa wyciągnęła tomy czasopisma z szuflady i rozejrzała się po tej graciarni w poszukiwaniu kosza na śmiecie.

- Proszę, panno Pendleton - odezwał się Edward z drugiego końca pokoju. - Niech pani odpocznie. Z przyjemnością uprzątnę ten bałagan. Tego rodzaju rzeczy zawsze ranią ludzkie uczucia.

- Czuję się świetnie, panie profesorze - odpowiedziała, a jej chłodny głos najwyraźniej zaskoczył go w momencie roztkliwienia. Był chyba zakłopotany, bo nie wyglądała na pogrążoną w żałobie i spokojnie zachowywała się w czasie pogrzebu. Dlaczego Edward i wszyscy inni oczekują, że da się ponieść emocjom? Może dałaby się im ponieść, gdyby nie miała tylu innych trosk. - Rozglądam się tylko za miejscem, gdzie mogłabym wyrzucić te idiotyczne śmiecie. - Potoczyła wzrokiem dokoła, - właściwie wszystko przypominało śmietnik - walizki i skrzynie pełne papierów, książek i pism dużego formatu. W końcu Elsa kolejno podarła numery pisma i upuściła kartki na podłogę. - No, teraz nie pomyślę ich z czymś, co warto zachować.

- Rozumiem pani irytację. Towarzystwo Krzewienia Wiedzy o Eugenicie. Straszna rzecz.

- Ojciec niewątpliwie opowiadał panu o tym.

- Trochę, owszem. - Edward pokręcił głową. - To doprawdy oburzające. O czymś takim myślą specjaliści od brytyjskiej medycyny? Nie o leczeniu, nie o jakimś środku, nawet nie o próbie ulżenia dolegliwościom ludzi dotkniętych chorobą. Ale o izolowaniu? Więzieniu? Sterylizacji? - Gwałtownie podniósł rękę. - Dobry Boże.

Elsę zdumiała ta nagła żarliwość - Edward milczał przez całe rano, kiedy pakowali rzeczy do skrzyń. Jego gniew był jednak zaraźliwy; cieszyła się, że wolno jej okazać irytację.

- To przestraszeni głupcy, panie profesorze. Przez osiemnaście lat ani jeden lekarz nie potrafił wytłumaczyć, co przydarzyło się Allie. Zasięgano porady u ponad dwudziestu tak zwanych specjalistów i ani jeden nie umiał powiedzieć, czy taka była od początku, czy też coś uszkodzono przy porodzie. Lekarze nie potrafią ani o krok przybliżyć się do rozpoznania źródła talach odmienności, więc czego chcą? Chcą, aby wszyscy ci odmieńcy zniknęli, ponieważ swoim istnieniem przypominają lekarzom, jacy są nieudolni.

- To przypadek przesadnego brytyjskiego poczucia przynależności narodowej. Ono ma na względzie raczej dobro jednostki politycznej niż poszczególnych osób. Jest okropnym znamieniem naszej kultury. U Hoonai i Mugundi w Afryce Wschodniej wszyscy, którzy urodzą się z wadami czy cechami niezwykłymi, uchodzą za dzieci bogów, dane ludziom, aby się o nie troszczyli.

- Może powinnam zabrać Allie do Afryki Wschodniej.

- Niech się pani nie martwi, panno Pendleton. Nie dopuścimy, żeby coś przydarzyło się Alice.

Tak, myśli Elsa, już wtedy powiedział „my”. Me dopuścimy, żeby coś przydarzyło się... Jeszcze zanim się oświadczył, tak jakby z góry przewidywał, że będzie się troszczyć o Alice. A jaki chłód cechował jej zachowanie. Czyż mogła wiedzieć, że Edward pomoże jej wybrnąć właśnie z sytuacji, która zmuszała ją do postępowania z taką obojętnością?

Mówiąc o podróży na południowy Pacyfik, mówił o chronieniu Alice, o bezpieczeństwie obcych wybrzeży.

- Elsa, zarówno ty, jak twój ojciec zawsze chcieliście mieć pewność, że Alice jest pod opieką ludzi, którzy ją kochają. Ta podróż... no, bez wątpienia nie będzie przypominać Anglii... Alice jednak uda się w nią z rodziną, z tymi, którym na niej zależy. Podróż będzie dla Alice dobra. Desideratum. Uniknie się ryzyka, że straszna ustawa odbierze ją tobie, nam. Miał rację.

Tyle że Elsa krzepi się nadzieją, iż mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej są równie wielkoduszni jak Hoonai i Mugundi.

*

Na statku pracują wieczorami w salonie.

- Jeszcze przed przybyciem na miejsce będziemy specjalistami - mówi Edward, który siedzi na brzegu aksamitnej kanapy i sortuje papiery. Ma pudła korespondencji od członków Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Inni ludzie, po przeczytaniu o wyprawie w gazetach, napisali, proponując swoje usługi; na stosie piętrzą się trzydzieści dwa podania o pracę samych tylko stewardów. Geolodzy prosili o próbki skał z każdego portu docelowego. Jedni korespondenci przedstawiali teorie: Muszę Pana Profesora poinformować, że Pańska tajemnicza wyspa jest częścią zaginionego kontynentu Lemurii (zob. dołączona mapa), którego pierwotnym mieszkańcem jestem ja; inni ostrzegali: „Wody bowiem podnosiły się coraz bardziej nad ziemię, tak że zakryły wszystkie góry wysokie, które były pod niebem... Wszystkie istoty poruszające się na ziemi z ptactwa, bydła i innych zwierząt i z wszelkich jestestw, których było wielkie mnóstwo na ziemi, wyginęły wraz ze wszystkimi ludźmi”.

Ryzykuje Pan przebycie tysięcy mil, choć wyjaśnienie Pańskiej „tajemnicy” znajduje się tutaj, w Piśmie Boga! Niech Pan nie wzbudza Jego gniewu!

Elsie przypadło w udziale wyszukiwanie listów wymagających natychmiastowej odpowiedzi. Przypomina ono jednak szukanie czterolistnej koniczyny; teorie i ostrzeżenia zaciemniają każdy istotny fakt. Lecz wkrótce Elsa stwierdza, że czyta nawet po wyłowieniu danych. Sam zawsze chciałem podróżować. Kiedyś marzyła mi się wyspa na Pacyfiku. Mój syn, który zgasł w ubiegłym roku na suchoty, chciał być archeologiem. Ten wgląd w życie ludzi, z którymi nigdy się nie zetknie, to jeszcze jedne nowe drzwi, jakie otwiera przed nią ekspedycja. Więc niespiesznie, w takt cichych dźwięków tanga dobiegających z sali balowej na dole, układa listę zwrotów polinezyjskich. Dzień dobry, pokój, koń, żywność, słodka woda - po tahitańsku, hawajsku, samozańsku, tongańsku. Szczegółowo opisuje też klimat wyspy, średnią opadu i temperatury. Udomowione rośliny i zwierzęta również mają swoje listy. I na podstawie tych danych w jej głowie zaczyna powstawać obraz tajemniczego miejsca przeznaczenia: trawiaste stoki, setki pasących się owiec, silne wiatry od morza.

- Nie mam książki! Dlaczego nie mam książki? - Alice, która siedzi na podłodze i pilnie rozkłada listy przed położeniem na kupkę Elsy, przerywa pracę. Skupia wzrok na siostrze. - Alice musi mieć książkę.

- Masz przecież własny dziennik, Allie - mówi Elsa.

- Tak. Mam własny dziennik. Co ma w nim być?

- Cokolwiek chcesz, Alice - serdecznie odpowiada Edward, podnosząc oczy znad sterty papierów. Praca jest dla niego odprężeniem.

- Rysunki. Bo ty powinnaś być oficjalną rysowniczką wyprawy - stwierdza Elsa.

- Moja książka jest w pokoju. Chcę ją wziąć.

Ich kajuta znajduje się w odległości zaledwie kilku jardów, więc Elsa mówi Alice, żeby poszła, wzięła książkę i natychmiast wracała. W mgnieniu oka Alice się ulatnia. Elsa zamyka książkę i wpatruje się w wąski korytarz. Alice znów się pojawia, z dziennikiem w jednej, a klatką w drugiej ręce.

- Allie.

- Budyń chciał zobaczyć statek!

- Postaw go tu, przy kanapie. To salon. Jak zaczniesz skrzeczeć, trzeba będzie go odnieść.

- Cicho, Budyń. Bo inaczej Elsa cię odniesie.

Alice teatralnie sadowi się na krześle, przybiera pozę pochłoniętej pracą Elsy i rozkłada pusty dziennik na kolanach.

- Co w nim narysujesz? - pyta Elsa.

- Kto bierze udział w wyprawie?

- My. Ty, ja i Edward.

Na ustach Alice pojawia się psotny uśmiech.

- Trzy osoby.

- W rzeczy samej trzy, Allie.

Alice starannie odlicza trzy kartki. Podnosi wzrok na Elbę.

- Portrety.

- Znakomicie. Trzy portrety.

Kiedy ołówek Alice dotyka papieru, mija ich młoda, elegancko ubrana para.

- Dobry wieczór! - mówi Edward, oni zaś odpowiadają na pozdrowienie, lecz po sposobie, w jaki lustrują oczami Edwarda i jego stos papierów, potem Alice, ją samą i błyszczącą Watkę papugi, Elsa poznaje, że nie są pewni, co sądzić o tej grupie. Budyń skrzeczy, a kobieta ściska ramię mężczyzny.

- Ptak - mówi on. - To tylko ptak, kochanie.

- Allie - ostrzega Elsa.

- Budyń - karci ptaka Alice.

- Mówiłam ci, że będziemy musiały odnieść go do pokoju.

- Co masz w swojej książce, Elsa?

- Allie.

- Co tam piszesz?

- Słowa, których będziemy używać, kiedy spotkamy ludzi niemówiących naszym językiem.

- Wpisz parę do mojej książki.

- Doskonale. - Elsa bierze dziennik z kolan Alice i pisze:

Iorana: dzień dobry Ahi: ogień Ana: jaskinia

- Teraz naucz się tych słów, żebyś ich mogła używać, jak tam dotrzemy. Wszyscy będą chcieli z tobą rozmawiać.

Alice uśmiecha się, po czym zsuwa notes z kolan Elsy.

- Potrzebne ci rysunki.

Pod nimi rozbrzmiewa kolejna piosenka. Powolna, przy wtórze skrzypiec. Elsa wyobraża sobie wszystkie dobrze ubrane pary, ściskające się za ręce, kiwające się z boku na bok. Wyobraża sobie dwie młode kobiety w długich białych sukniach, zauważone na pokładzie, szukające wzrokiem mężczyzny z czasopismem. Widzi sunącą po parkiecie parę belgijską, lśnienie złotego naszyjnika kobiety w księżycowej poświacie, która wpada przez iluminator. Kiedy jednak spogląda na Alice, odpędza od siebie ten obraz.

- Rysunki. Tak. Są mi potrzebne, prawda? Myślisz, że kilka mogłabyś mi zrobić?

- Może zostać? - pyta Alice błagalnie i patrzy na papugę.

- Dobrze, Allie. Niech zostanie.

*

Po dwóch tygodniach żeglugi zawijają do portu w Bostonie i Elsa w duchu żegna wielki liniowiec, eleganckich nieznajomych, salę balową, salon gier i promenady pod markizami. Kiedy tak w rozgwarze stoją na nabrzeżu, za szansem ze swoich skrzyń, obserwują fale wspaniałych powitań: upuszczanie waliz, otwieranie ramion, wykrzykiwanie wibrującym głosem imion: Charles! Clańssa! Ojciec! Kufry wrzuca się do bagażników. Spódnice zbiera się w garści, kiedy jeden pantofel z czarną klamerką, a potem drugi znika w głębi samochodu. Drzwiczki się zatrząskują. Tłum rzędnie, automobile odjeżdżają z warkotem. Jaki dziwny jest widok ludzi, myśli Elsa, przesiadających się z pojemnika do pojemnika. Ze statku do samochodu. A wkrótce, bez wątpienia, do mieszkania, do domu. Zawsze lubiła przebywać na dworze, jeździć swoim humberem albo spacerować po Kew Gardens. Ruch działa na nią kojąco, daje poczucie postępu i wolności. Wieczorem w dniu śmierci ojca, po zapoznaniu się ze stanem jego finansów, wzięła rower Alice (jej własny nadal miał rany, zadane szpilką do kapelusza Alice) i szybciej niż kiedykolwiek przedtem krążyła po ciemniejszych ulicach, pedałowiała piekącymi z wysiłku nogami, jakby mogła przejechać przez coraz głębszą świadomość nieszczęścia, rzucić się do przodu, przeskoczyć do nowego, świetlanego życia.

Teraz ruch istotnie przenosi ją do nowego życia. Przepłynęli Atlantyck i niebawem poześlują wzdłuż wybrzeży dwóch kontynentów. Jakże chętnie Elsa powiedziałyby tym ludziom: „N a s nie porwą samochodem! Nas nie zapakują do wąskich łózek w schludnych domach! My jesteśmy poszukiwaczami przygód!”. I stoi pośród rozlegających się na nabrzeżu trząsków i skrzypnięć, uśmiechnięta, z ręką wspartą na skrzyni, aż w końcu podchodzi do nich czerstwy młodzieniec i przedstawia się jako Ryan Fitzpatrick.

- Z firmy Fitzpatrick i Synowie? - pyta Edward.

- Syn numer cztery. Najlepszy, bo ostatni. Tu obecny, aby zaprowadzić państwa na ich szkuner.

Zatrudnia pięciu tragarzy i wiezie ich długim pirsem. Wkrótce stają przed pięćdziesięciodwustopowym szkunerem, którego wynajęcie Edward załatwił z Anglii. Zgodnie z umową czarterową, zawartą na cztery lata, koszty pokryje Królewskie Towarzystwo Geograficzne, oni zaś spędzą na wyspie dwa lata, rok będą płynąć tam, drugi rok z powrotem.

- Rozejrzyj się - mówi Edward, a sam przegląda z Ryanem Fitzpatrickiem gruby plik kontraktów.

Elsa sprowadza Alice po czterech stopniach do długiej kajuty głównej. Pomieszczenie, wyłożone boazerią z jasnego, grubo politurowanego drewna, jest jasne i wesołe. Dzieli się na dwie części: kambuz - z piecem kuchennym i lodówką - oraz jadalnię. W głębi znajduje się miejsce do siedzenia, z dwiema ławami o wysokich oparciach. Cała kabina jest nie większa od pokoi mansardowych, jakie przeznaczali dla Elsy pracodawcy. Jest mniejsza, niż Elsa to sobie wyobrażała - ale zawsze zostaje pokład, na którym będzie spędzać większość czasu. Za schodami cienkie drewniane drzwi prowadzą do przestronnej kwadratowej kajuty, kajuty kapitańskiej, z jednym dużym łóżkiem. Będą tu spać we dwie z Alice.

- Podoba ci się? - pyta Elsa. - Takie samo miałyśmy w domu ojca, kiedy byłyśmy małe.

Alice rozgląda się po pokoju.

- Gdzie będzie stać Budyń? W domu stoi na mojej komodzie. Tu nie ma komody.

- Może będziemy mogły wbić hak. Powiesić klatkę.

Alice weszła już jednak na łóżko, pełźnie po materacu, popycha szybkę znajdującego się nad nim luku.

- Droga ewakuacyjna!

- Ostrożnie, Allie.

Alice pcha, aż w końcu okienko otwiera się ze skrzypieniem opornych zawiasów.

- Spójrz, Elsa! Popatrz! - Głowa Alice znika nad pokładem, a po chwili rozlega się pisk. Alice cofa się do kabiny.

- Allie, nie powinnaś tak wystawiać głowy. Mogłabyś zrobić sobie krzywdę. A kto wie, jakie mocne są te zawiasy.

Alice jest zaczerwieniona. Z szeroko otwartymi oczami nachyla się do Elsy i szepcze:

- Widziałam Beazleya.

Edward mustruje dwóch Irlandczyków, Kierneya i Eamonna, którzy pomogą mu w żegludze na wyspę, a potem sami wrócą do Chile. Towarzystwo znajdzie inną załogę na podróż powrotną do Anglii. Ci dwaj będą spać na koi dziobowej w przedniej części żaglowca. Są młodzi, smagli i muskularni, ale mają opinię solidnych i doświadczonych. Chwalą się, co widzieli w portach - chińskich handlarzy w San Francisco, złodziei w Acapulco - podczas gdy z nabrzeża na pokład dźwigają niekończące się zapasy węgla i wody, papieru, atramentu,

herbaty, herbatników, świeżego mięsa, kubły owoców i warzyw, torby z bandażami i aparatami fotograficznymi. Kierney, ustawicznie pokazując Elsie wyszczerbione zęby w uśmiechu, robi przerwy, aby obejrzeć każdą część ekwipunku, jaką znosi pod pokład.

- Patrz, Eamonn, widziałeś takie coś? - Trzyma dużą suwmiarkę z noniuszem, przesuwając ją w górę i w dół. - Myślisz, że to może być dla lekarza? Do operacji? Do przytrzymywania głowy, kiedy ją rozcina?

- Po prostu połóż to na rufie i przywiąż, żeby na ciebie nie poleciało, jak odbijemy. Widzisz tę ładownię? Widzisz, ile tam pustego miejsca? Musimy je wypełnić. Ty i ja. A gadaniem się tego nie robi.

- Tak - Kierney zwraca się do Elsy z naburmuszoną miną. - Mówi jak moja mama!

Po wielu dniach gromadzenia prowiantu, pakowania i sprawdzania łodzi, szóstego kwietnia załoga stawia żagle, a Elsa z Alice patrzą, jak szkuner ożywa. Edward, dumny i przystojny w swoim nowym białym ubraniu, zasiada za kołem jak na tronie. Nad nimi żagle wypełniają się bryzą i szkuner wypływa z bostońskiego portu.

Przy stałym wietrze przez pierwszy tydzień żeglują po gładkich wodach. Elsa przesiaduje na pokładzie, zapoznaje się z takielunkiem i sprzętem, uczy się nazw: kabestan, knaga, wywietrznik. Przystosowuje się do szczególnego rytmu życia na morzu, do sporadycznego przelatywania bomu, do szybkiego ściągania ciężkich, wilgotnych lin. Przyzwyczajają się do nudnego przymocowywania i odwiązywania czajnika oraz puszek z herbatnikami każdego dnia po południu

- wszystko trzeba przywiązywać, żeby nie fruwało po kabinie, w razie gdyby łódź zakołysała,- tę naukę dostaje prędko, w dwa dni po opuszczeniu Bostonu, kiedy zapomniany melon mocno uderza ją w plecy.

Niedaleko przylądka Hatteras dopada ich nagła wichura. Zacinający deszcz i wiatr hulają po pokładzie, a kiedy łódź godzinami wznosi się i opada na falach, Alice biega po głównej kajucie, na przemian czepia się Edwarda i Elsy, wreszcie wymiotuje na mapy morskie.

- Hej tam, dziewczynko! Łódź to nie miejsce na takie psoty! - krzyczy Kierney, wyciera zabrudzone mapy i wachluje się, aby odegnać zaduch. - Chętnie zniosę deszcz, jeśli dzięki temu odetchnę świeżym powietrzem.

Alice zwija się w kłębek pod schodami.

- Niegrzeczna Alice - mamrocze. - Niegrzeczna Alice. Nie psocić. - Po czym jej oczy powracają do swego prywatnego królestwa.

- Tak, zaczerpnij świeżego powietrza. I nie śpiesz się - mówi Edward, gestem wskazując pokład.

Kierney nie rusza się z miejsca.

- Więc nie chcesz się przewietrzyć? Radzę wziąć się w garść, bo jak nie, będziesz miał aż nadto czasu na zwiedzanie Recife. Chyba podobałaby ci się Brazylia.

Elsa musi się uśmiechnąć na te słowa - Edward jest stanowczy. I to ze względu na Alice. W mrocznej kabinie Edward dostrzega jej uśmiech i pozwala, aby leciutki uśmiech zagościł też na jego twarzy.

Czerwiec zastaje ich u północno-wschodnich wybrzeży Brazylii. O tygodnie żeglugi oddaleni od portu Recife, dostają się w równikowy pas ciszy i walczą ze znośnym ich na północ prądem gujańskim. Jeśli nie liczyć paru włóknistych zmarszczek na jego powierzchni, morze rozciąga się dokoła nieruchome. Powietrze jest gęste od upału, a samo słońce zdaje się wibrować. Dzień po dniu, siedząc na pokładzie, Elsa obserwuje oklapnięte prostokąty płótna, ukołysana bezruchem, i myślami powraca do listu do Maksa. Widzi, jak Max rozprostowuje kartki, analizuje każdy zwrot niczym szyfr, odczytuje go na głos, odmierza dźwięki. Widywała go tak pochłoniętego czytaniem zaproszeń na obiady, jakby to były rebusy. Ale czy po raz pierwszy od wielu miesięcy ona zaprzęta jego myśli? Czy tak całkowicie absorbowwały go własne obowiązki? Zresztą jej udawało się na ogół przeganiać go z pamięci. Dopiero w obecnym stanie rozleniwienia przyłapuje się na tym, że zamyka oczy i wprawdzie wbrew woli, jednak o nim myśli. Wywołuje to tylko smutek, a ten smutek chyba działa pobudzająco na Alice. Czasami, kiedy Elsa otwiera oczy w jasnym świetle, widzi Alice, która siedzi na dziobie, wpatrzona w nią oskarżycielskim wzrokiem, jak gdyby wiedziała, że Elsa błądzi myślami gdzieś, gdzie jej nie zaprasza.

Te oskarżycielskie spojrzenia zawsze przypominają Elsie zdarzenie z Rodneyem Blackwellem. Dawno temu, kiedy miała szesnaście lat, Rodney, syn prezesa Towarzystwa Zoologicznego, przez krótki czas smalił do niej cholewki. Zabierał ją na mecze krykietowe, do Kew Gardens, do Royal Victoria Hall na Makbeta, a raz po długich naleganiach wziął ją na przejażdżkę jedną z nowych motorowych taksówek. W spokojny sposób cieszyli się nawzajem swoim towarzystwem. Rodney lubił z nią dyskutować o Medytacjach Descartes'a, o irlandzkiej autonomii czy o niedostatkach rządów parlamentarnych; pasjonował się ideami i problemami. Elsa wiedziała, że nie czuje z nią więzi emocjonalnej. W życiu kierował się czystą ciekawością intelektualną. Dla zaspokojenia tej ciekawości jako mały chłopiec posmarował sobie rękę miodem i sprowokował pszczołę, aby go użądliła.

Pewnego dnia wieczorem, stojąc pod drzwiami domu jej ojca, zdjął kapelusz i powiedział:

- Elso, przed rozstaniem chciałbym spróbować krótkiego pocałunku.

Elsy nikt jeszcze nie całował i ona, podobnie jak Rodney, kierowała się jeśli nie namiętnością, to przynajmniej ciekawością.

- Proszę bardzo - odparła.

Zrobił krok do przodu i w napięciu przytknął wargi do jej ust. Czują zapach jego włosów, jego wody kolońskiej, zimny nos przyciśnięty do jej nosa. Kiedy odstał do tyłu, powiedziała:

- Doskonale. Coś nowego. A teraz dobranoc.

Zamknęła za sobą ciężkie drzwi, na palcach weszła na górę do sypialni i zobaczyła Alice, w białej nocnej koszuli siedzącą na parapecie. Alice przez chwilę milczała, po czym rzuciła się w jej stronę.

- Jestem Rodney! Jestem Rodney!

- Allie! Obudzisz ojca. - Głos Elsy zabrzmiał ostro. Alice się cofnęła.

- Przepraszam, Allie. Chodź tutaj. Cicho.

- Dlaczego nie mogę cię pocałować?

Elsa popatrzyła na włosy Alice, które wymknęły się z warkoczy, na wieniec loków wokół drobnej twarzyczki. Na brwi zmarszczone ze zmartwienia.

- Czy chcesz mnie pocałować? - zapytała. Alice kiwnęła głową.

- Dobrze - zgodziła się Elsa.

Alice zawahała się, bo widocznie to ustępstwo wzbudziło jej nieufność. Później wolno podeszła do Elsy.

- Będę Rodneyem - oświadczyła z błyskiem w oczach i odgarnęła lok za ucho. Wygładziła nocną koszulę, jakby w zdenerwowaniu, jakby naprawdę była Rodneyem czy innym chłopcem, który chce się zbliżyć do Elsy.

- Gotowa? - spytała Elsa.

- Gotowa. - Nadal dzieliło je kilka stóp.

- Chcesz, żebym do ciebie podeszła? - zapytała Elsa. - Czy ty podejdziesz do mnie?

Alice znów się zawahała.

- Rodney podszedł do mnie. Alice wspięła się na palce.

- Dobrze. Dobrze. Elsa, zamknij oczy.

- Zamykam oczy.

Elsa czekała w ciemnościach, wsłuchana w szelest zmiętej bawełny, w ciche westchnienie, kiedy Alice wysłała w nocne mroki cień potajemnej myśli, a potem w lekkie skrzypienie podłogi pod jej nogami. Ciepły oddech Alice owiał twarz Elsy, a wargi, miękkie i wilgotne, dotknęły jej warg i zaraz się cofnęły.

Następnie z większą pewnością spoczęły na jej wargach. Rozległo się ciche nucenie i Elsa poczuła fale dźwiękowe, dudniące po policzkach. Nie różni się to od tego, pomyślała, co robiła z Rodneyem. I pocałunek jest prawdziwszy. Delikatny, pełen miłości. Jej życie obfitowało w takie osobiste, intymne ustępstwa na rzecz Alice. Jako dziecko Alice błagała czasami Elbę, żeby jej pozwoliła spróbować odrobinę przeżutego przez nią pokarmu; kiedy Elsa zaczęła miesiączkować, Alice wpadła w panikę po znalezieniu kropli krwi w toalecie i nalegała na pokazanie jej, skąd się ta krew wzięła. O takich chwilach Elsa nie mówiła nikomu.

Kiedy Alice wreszcie się od niej oderwała, Elsa otworzyła oczy. Twarz Alice rozpromienił uśmiech.

- Podobało ci się to? - spytała Elsa.
- Będę miała setki całusów - odparła Alice.
- Tysiące, Allie.

W ciemnym pokoju Elsa rozpięła sukienkę, naląła sobie szklanę wody i postawiła na nocnym stoliku. Kiedy obie wreszcie znalazły się w łóżku, Elsa szeptem powiedziała dobranoc.

- Tysiące - wymamrotała Alice.

Elsa zdmuchnęła świecę i przytuliła policzek do zimnej poduszki.

Przez dwa tygodnie bez celu unoszą się na wodzie, aż w końcu spada przelotny deszczyk. Każdy chwytą miskę czy filiżankę i wychodzi na pokład, żeby złapać odrobinę wilgoci, zlizuje krople językiem. Po paru minutach jednak niebo odwołuje swój dar, a na jego miejsce zsyła kolejny upalny podmuch, teraz zaprawiony dławiającą wilgocią. Edward rozpiną kołnierzyk i schodzi na dół sprawdzić zapasy. Niebawem wraca z zatroskaną miną.

- Wszyscy musimy zmniejszyć nasze racje do połowy, zanim się okaże, czy na czas dopłyniemy do Recife.

- A Budyń? - pyta Alice i podciąga się w górę, łapiąc za nadburcie. - Powinien dwa razy dziennie dostawać świeżą wodę! Czy tak nie jest, Elsa? Zawsze dawałam mu wodę dwa razy dziennie. - Spod przymrużonych powiek z oburzeniem patrzy na słońce.

Kierney, przykucnięty na przednim pokładzie; przewraca oczami i wypija resztę swojej deszczówki.

- Na morzu obowiązuje hierarchia, panno Pendleton. A ptaki, nawet takie, które potrafią powiedzieć wyborczy, nie są na jej szczycie.

- Budyń może dostawać wodę dwa razy dziennie - mówi Elsa. - Ja wytrzymam, Allie. Na litość boską - obwieszcza wszystkim na łodzi. - Nie zabraknie nam wody.

- Widywałem już takie rzeczy - mówi Kierney. - Widziałem każdy kataklizm, jaki pani potrafi wymienić.

- Poradzimy sobie - stwierdza Edward. - To tylko środek ostrożności. - Zwraca się do Alice. - Ptak może dostawać moją porcję.

Po raz pierwszy Elbę ogarnia niepokój. Czy rzeczywiście może im zabraknąć wody? Karci się za to, że za dużo piła, że nie oszczędzała przy myciu. Zostawia resztę swojego dziennego przydziału dla Alice. Ona sobie poradzi.

Ale nazajutrz rano, po wyjściu na pokład, czuje coś jak mrowienie małych włosków z jednej strony szyi. Tajemniczy język, którego uczy się od paru miesięcy, ciche słowa powiewów teraz zapisują się na jej skórze. Kiedy chłodne powietrze tworzy inskrypcję na jej szyi, Elsa woła na dół:

- Allie, chodź szybko! Chyba nadciąga pasat. - W południe łódź rusza z miejsca, każda jej część wibruje nowym życiem.

W Brazylii zawijają do Recife, Bahia de Todos Os Santos, Cabral Bay i Rio de Janeiro. W każdym miejscu kotwiczenia odwiedzają ich kapitan portu, celnicy, lekarz. Po wyjściu na ląd Edward składa wizytę konsulowi i szuka najświeższych numerów „Daily Graphic” i „Spectatora”. U dostawców portowych Elsa zaopatruje się w świeżą baraninę i warzywa. Po zaaprowidowaniu łodzi obie z Alice spacerują po porcie, skubiąc wędzoną rybę, zawiniętą w gazetę. Alice, w długiej spódnicy, wlecze za sobą nogi ze zwykłym roztargnieniem. Elsa przepada za tymi późnymi popołudniami, za zagłębianiem się w gąszcz sklepów, straganów i bud, skąpanych w złocistej poświacie tropikalnego zachodu słońca. I przez cały czas nosi ze sobą notatnik, teraz pełen informacji, które przydadzą się w podróży.

Cieszy się, że Edward pozwala jej wносить pewien wkład. Chyba jest świadomy, jak dużo wiedzy przyrodniczej i historycznej zaczerpnęła od ojca, i często pyta ją o zdanie: Elsa, czy przypominasz sobie, w którym roku Brazylia została republiką! Ona ma nadzieję, że mimo jej braku doświadczenia badawczego Edward pozwoli, aby na wyspie pomagała w wykopaliskach, przeprowadzała wywiady bądź zapisywała szczegółowe informacje o zwyczajach tubylców. W miarę jednak, jak płyną na południe, a ona wciąż jest wzywana do umocowania liny na knadze, do znalezienia prowiantu czy sprawdzenia portugalskiego odpowiednika zwrotu „świadectwo zdrowia”, w miarę jak Alice otrzymuje polecenie reperacji żagli, staje się jasne, że Edward nie będzie miał innego wyboru, jak wykorzystać wszystkie jej zdolności. Potrzebna mu pomoc.

Elsa wie, że badania w Afryce Edward prowadził sam. Przez dwa lata wędrował z wybrzeża w głąb lądu, rozbił obóz, zbierał dane na temat

małżeństw, narodzin, zgonów, obrzędów inicjacyjnych Kikuyu. Katalogował zioła lecznicze, polował na lwy i lamparty, zbierał i analizował skamieniałości naczelnych - wszystko bez choćby jednego kolegi. Działo się to przed piętnastu laty; miał wtedy czterdziestkę. Ongiś był też znakomitym żeglarzem. Nawet załogantem sir Thomasa Johnstone Liptona - pięciokrotnego uczestnika regat o Puchar Ameryki - o czym teraz z żenującą częstotliwością napomyka w rozmowach na pokładzie. Mimo to każdego ranka, kiedy wdrapuje się po stopniach na pokład i ociera czoło, wydaje się jakiś mniejszy, jak gdyby ciało nie dorastało do umiejętności. W młodszym wieku często żeglował w pojedynkę i na pierwszy rzut oka wie, co trzeba zrobić - wybierz gafel, wyluzuj, odpadnij od wiatru. Czasami wydaje się wręcz, że widzi własne młodsze ramiona wyciągnięte przed siebie, widmowe kończyny, wciągające i mocujące. Lecz zawsze zleca komuś wykonanie zadania.

- Eamonn, postawmy kliwer. A ty, Elsa, czy zechciałabyś naciągnąć grot?

- Oczywiście. - Elsa bez trudu kręci windą. W ciągu minionych kilku miesięcy stwardniały jej mięśnie ramion; dłonie ma teraz zrogowaciałe. - Dobrze się czujesz? - pyta.

- Świetnie. Znakomicie. Jestem w doskonałej formie.

- Bo gdybyś chciał popracować na dole, Edward, my na pewno damy tu sobie radę.

Jest chyba urażony tą troskliwością, zupełnie jak gdyby sobie wyobrażał, że kilka chełpliwych słów zdoła po tylu miesiącach wzbudzić jej zainteresowanie. Wpatruje się w horyzont.

- Jako kapitan za wszystko ponoszę odpowiedzialność. Lubię pełnić tu wachtę, mieć oko na to, co się dzieje. Jeszcze parę tygodni, Elsa, a będziesz potrafiła żeglować tym szkunerem. Zrobił się z ciebie marynarz całą gębą. To cudowne. Tego się nie spodziewałem. Co nie znaczy, że nie miałem o tobie dobrego zdania. Podziwiałem twoje talenty, lecz życie na morzu jest nie dla każdego. Ja po prostu, no cóż... - Urywa; zacina się na tym połowicznym komplementcie. - Chcę powiedzieć tyle: Nie powinnaś się mną przejmować.

Pod koniec sierpnia docierają do wybrzeży Urugwaju. Znów unieruchomieni przez flautę, z prędkością zmniejszoną do trzydziestu mil dziennie, znoszeni prądem brazylijskim, płyną na południe. Daremnie robią bez końca zwroty przez sztag. Kilka razy prąd słabnie, a wtedy wręcz dryfują na północ. Z ładowni bucha zaduch psującego się mięsa, pomarańczy i ryb. Nad łodzią unosi się rój komarów i co wieczór, po zapaleniu lamp naftowych w kajucie, następuje szaleńcze walenie ich dłońmi i packą, tak komiczne, że mogłoby

rozładować trochę napięć, gdyby nie lęk przed malarią. Elsa zaczyna podawać chininę przed snem.

W ciągu tych bezwietrznych tygodni narasta irytacja. Zwłaszcza Edward szorstko odnosi się do załogi. Kiedy on późnym wieczorem przebywa na pokładzie, Elsa słyszy, jak Kierney żali się Eamonnowi:

- Może gdyby kapitan Beazley dzielił kajutę z żoną, mniej by na nas wrzeszczał.

- Ach, zamknij się, Kierney. Takie dryfowanie potrafi świętego wytrącić z równowagi.

- Pewnie, ale świętego żona przynajmniej by uścisnęła.

- Kapitan jest dżentelmenem - mówi Eamonn. - To wszystko, Kierney. Ty po prostu nie rozumiesz znaczenia tego słowa.

- Dżentelmen. Dama. Nazywaj to, jak chcesz, Eamonn. Ale jeśli coś takiego bogacze nazywają małżeństwem, nie uda ci się zobaczyć, jak się wkręcą do arystokracji.

Eamonn wybucha śmiechem.

- Będziesz zbyt zajęty wkręcaniem się w żonę!

- Stul gębę.

Leżąc po ciemku i słuchając ich rozmowy, Elsa myśli, że w istocie Kierney trafnie odgadł źródło irytacji Edwarda. Nie chodzi o sam układ - Edward jest chyba równie jak ona skłonny w danych okolicznościach odkładać na później dzielenie małżeńskiego łóża - lecz o fakt, że ten układ widzi i ocenia załoga. Prywatność ulotniła się z chwilą wejścia na pokład. Niewątpliwie

Kierney i Eamonn, których Elsa podejrzewa o upijanie się rumem i spędzanie na łodzi nocy z prostytutkami, patrzą na Edwarda z góry. Zona sypiąca z własną siostrą - im musi się to wydawać śmieszne. Gorzej jeszcze, bo w Rio siostra konsula, częściowo głucha po ostrym zapaleniu migdałków - „Widzicie, moje drogie, mnie wszystko jedno, czy ktoś mówi po portugalsku, po angielsku czy w bantulu!” - bierze Elbę i Alicę za córki Edwarda. Nie pomagają protesty i wyjaśnienia, w zamroczeniu wywołanym głuchotą i kilkoma kolejkami brandy tamta twierdzi z uporem, że Elsa ma po Edwardzie śliczne kości policzkowe.

Dla zabicia wolno biegnących dni Elsa i Alicę kładą się na dziobie i urządzają zawody w wypatrywaniu ryb. Alicę ustawicznie przesadza. Ile rekinów, kochanie! Pięćdziesiąt! No, mam nadzieję, że nie powpadamy do wody. Czasami widzą prześlizgującego się żółwia morskiego, a sporadycznie, kiedy przepływają nad ławicą, na pokład wskakuje latająca ryba i przyprawia Alicę o histerię. Alicę chichocze, kiedy ryba bocznymi płetwami wali w

pokład, aż w końcu, zaniepokojona jej cierpieniem, na powrót wrzuca ją do morza.

Gołębie przyławkowe też sprawiają Alice uciechę. Edward daje jej okrawki mięsa, żeby im rzuciła, i przykucnięty za swoim aparatem, robi kilka zdjęć ptaków. Potem, z wyraźną przyjemnością, pstryka Alice, która podnosi ramię nad burtą i uśmiecha się, w chwili gdy szary, cętkowany ptak nurkuje przed jej oczami.

Chociaż Alice i Elsa noszą na pokładzie kapelusze z szerokimi rondami i przy silnym wietrze wiążą chustki na głowach, ich skóra już zdążyła pociemnieć. Wieczorami Elsa wciera olejek migdałowy w dłonie, ramiona i szyję; zapadają obok siebie w sen w oparach soli i marcepana.

W Buenos Aires odnawiają zapasy i dostają listy z Anglii. Tydzień później zawijają na krótko po wodę do Bahia Blanca - gdzie miejscowe kobiety ofiarowują Elsie jaja pingwinów i muszle - następnie do Puerto Deseado. Przestaje dokuczać tropikalny upał, dni są pogodne i wietrzne. Natomiast dalej na południe, w miarę zbliżania się do Patagonii, robi się zimniej; morświny kłębią się przed dziobem, foki prześlizgują wzdłuż burt. Dwa albatrosy, z szeroko rozpostartymi białymi skrzydłami, wygiętymi w łagodny łuk, krążą i kołują nad sterem, w ciszy podążają za łodzią.

Podskakujący za szkunerem log obrotowy rejestruje prędkość sześciu węzłów, lecz dla nich ruch staje się powolniejszy, w miarę jak z nadejściem lata dzień wydłuża się w nieskończoność. Elsa i Alice przygotowują śniadanie o trzeciej rano - o brzasku. Kiedy o dziesiątej wieczór udają się na spoczynek, słońce nadal wdziera się przez okno do kajuty. A do późnej nocy oszołomiony Budyń chwieje się na swojej grzędzie.

- Chory jesteś, Budyń? Jesteś chory?
- Grzeczna Alice. Wyborny ptak. Ptak. Ptak.
- Allie - mówi Elsa, wstając z łóżka. - Moim zdaniem Budyń potrzebuje snu.
- O nie, Elsa. Jest zły. Patrzyłam na inne ptaki, a on myślał, że o nim zapomniałam. Ale nie, Budyń, nie zapomniałam.
- Słuchaj, Allie. - Elsa zarzuca na klatkę szal. - Po prostu musi mieć ciemno, to będzie wiedział, że ma odpocząć.

Tylko Alice dopatruje się w tym ukrywania papugi; wstaje co parę minut i zagląda pod szal.

- Budyń - szepcze - gdzie jesteś, Budyń?

Leżąc bezsennie w łóżku, Elsa myśli: Ciemność jest teraz jak koc, za krótki, aby zakryć całego człowieka. Próbujesz owinać się nim cała, ale światło dzienne i tak znajduje odsłonięte miejsce, pełźnie w jego stronę.

Jest mgliście szare, jak wieczny opar zasnuwa krajobraz. Wilgotny chłód przypomina Elsie Londyn. Teraz taki daleki. Od ośmiu miesięcy są na morzu i dopiero po upływie lat ona znowu zobaczy Anglię. Wieżę zegarową w St. Albans, rzymskie mury miasta, wąskie uliczki, po których jeździła na rowerze, dom swojego ojca. Po raz pierwszy odczuwa tęsknotę.

Dalej na południe antarktyczne wiatry hulają po kabinie. Elsa ubiera Alice w getry i drugą parę reform. W nocy tulą się do siebie, szczękają sobie nawzajem zębami do ucha.

- Zimmmmmo - mówi Alice w ciemności.

Elsa przyciska wargi do jej szyi i ogrzewa ją powolnym, gorącym chuchnięciem. Alice chichocze. Elsa znajduje miejsce na głowie Alice i znów chucha. Czuje, jak para osiada na jej ustach. Alice wije się z zachwytu.

- Jestem twoim własnym, prywatnym piecem - mówi Elsa. Alice raptem fika koziołka.

- Alice też jest piecem. - W jej oczach błyskają iskierki podniecenia. - Gorąco! Gorąco! Gorąco! - piszczy. Rozciąga usta w przesadnym ziewnięciu i szuka nimi Elsy. Podmuch jest gorący, wilgotny. Potem krótkie zassanie i zimne łaskotki na szyi, kiedy Alice przywiera wargami do skóry i wciąga oddech. To muszą czuć matki, myśli Elsa, wsłuchane w oddech swoich niemowląt. Ten odgłos działa na nią kojąco.

A dziesiątego października wieczorem Kierney krzyczy z pokładu:

- Widzę latarnię na przylądku Virgins!

Dopłynęli do Cieśniny Magellana. Elsa tyle już wie o żeglarstwie, że zdaje sobie sprawę, jak trudno będzie się tędy przedostać - długim, wąskim, zygzakowatym skrawkiem wzburzonego oceanu. Max nazwał tę cieśninę największym wrogiem marynarza. „Scylla! Charybda! - powiedział. - Odyseusz miał szczęście, że nie musiał płynąć przez Cieśninę Magellana!”.

Na Ziemi Ognistej dwie noce stoją na kotwicy w oczekiwaniu, aż wiatr osłabnie. Zaprasza ich na obiad konsul brytyjski, zainteresowany ekspedycją.

- Zawsze chciałem sam odbyć tę podróż. Ale nie mogę ze względu na słabe zdrowie. Astma, rozumieją państwo. - Przy kieliszku brandy zwraca uwagę na grożące w cieśninie niebezpieczeństwa i radzi najać trampa, aby wziął ich na hol.

Edward natomiast, zniechęcony niedawnym dryfowaniem, teraz usilnie stara się dowieść swych umiejętności. Prostuje się na krześle.

- Nie odstraszą nas małe niebezpieczeństwa.

- Edwardzie. - Elsa odstawia swój kieliszek. Konsul się uśmiecha.

- Ach, widzi pan? Panie często mają własne zdanie.

- Elso - mówi Edward. - Nie jesteśmy amatorami. Pływałem z Liptonem, który uchodził za jednego z najlepszych. Mam nadzieję, że w tych sprawach choć trochę ufasz mojemu rozsądkowi.

- Nikt nie kwestionuje mojego zaufania ani twojego rozsądku - odpowiada kategorycznie Elsa, świadoma, że psuje nastrój. Na prawo od niej konsul przesuwają się na krzesła. - Uważam tylko, że zanim wytyczymy kurs, powinniśmy lepiej ocenić sytuację.

- Proszę pani - mówi konsul. - Wytyczanie kursu łodzi należy do obowiązków kapitana.

- Kursu bezpiecznego.

- Zgoda, lepiej ocenimy sytuację - przerywa Edward.

W pokoju zapada niezręczne milczenie. Edward unika wzroku Elsy.

Jednak na trzeci dzień odpływają. Nawigacja w Pierwszym Przesmyku okazuje się trudna. Wzburzona woda kłębi się wokół zardzewiałych wraków - potrzaskanych kadłubów i połamanych masztów, gęsto pokrytych pąklami. Czujni, z rękami gotowymi luzować czy wybierać liny, zajmują pozycje na pokładzie.

- Pamiętajcie wyluzować żagle - mówi Edward. - Nie chcemy łapać żadnych nagłych podmuchów. - Łódź powoli sunie wąską drogą wodną, a na pierwszą zapowiedź zmierzchu załoga rzuca kotwicę; Edward zdaje sobie przynajmniej sprawę z ryzyka, jakim jest żeglowanie w niepełnym świetle.

O szóstej rano budzą się, aby przy słabym przyptywie przedostać się przez Drugi Przesmyk. Bezpieczni, choć wyczerpani, docierają do Punta Arenas. Tutaj ląd jest płaski, omiatany wiatrem; to kraina owiec, trawiasta i nizinna.

- Holowanie! - Edward rzuca to słowo za burtę. Rozciera kolano, podnosi oczy na Elsę. - Widzisz, Elsa, ja bym nas źle nie wykierował.

- Widzę, Edward. Teraz to widzę.

- Myślę o nas wszystkich. Troszczę się o nas.

- Wiem. - I jest jej przykro. Przykro, że zdradziła się przed nim ze swoimi wątpliwościami. W ciągu całej podróży postępował z rozwagą i dobrocią, więc Elsa liczy, że kiedy już osiądą na miejscu, będzie mogła dowieść rosnącego zaufania.

Przez dwa tygodnie płyną kanałami patagońskimi, labiryntem fiordów, zatoczek i zatok. Setki olbrzymich petreli i albatrosów krążą nad sterem, a ich skrzydła tworzą luźno spleciony baldachim bieli. Alice sadzi się na przednim pokładzie, owinięta pledem, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z głową odchylną do tyłu. Godzinami bacznie obserwuje ptaki, pomna na przestrożę

Eamonna, żeby nie machać ani nie krzyżeć na petrele, zwane „śmierdzielami”, bo wymiotują, jak się je przestraszy.

Elsa rysuje mapę i porównuje trasę ich szkunera z trasą Darwina. Czyta teraz Podróż na okręcie „Beagle”, połykając opisy Rio de Janeiro, Bahia Blanca, Buenos Aires, Falklandów i Patagonii - wszystkich tych miejsc, które minęli. Kartki książki pozawijały się od bryzgów słonej wody.

Na Isla Desolación przez pięć dni zatrzymuje ich grad, lecz w miarę jak zygzakami posuwają się kanałami na północ, robi się cieplej. Nad nimi wznoszą się teraz w mglistej wspaniałości ośnieżone Andy.

Na Boże Narodzenie rzucają kotwicę w Golfo de Penas u wybrzeży Chile. Rzadka mżawka obmywa łódź, kiedy zasiadają do specjalnego obiadu, złożonego z solonej wołowiny i gotowanych kartofli. Ale w wilgotnym powietrzu wyczuwa się ciepło i Elsa pierwszy raz od paru tygodni poci się pod suknią. Po skończonym posiłku, nie zważając na deszcz, Elsa, Alice i Edward płyną dingi do brzegu. Alice upiera się, że weźmie papugę. Najpierw wyciągają łódkę na plażę, a następnie wędrują krętą ścieżką pośród ociekającej wodą roślinności.

- Elsa! - woła Edward, który idzie z przodu. Odgarnia splątane, mokre pnącza i zagłębia w czarny otwór jaskini. - Zajrzymy do środka?

- Och, tak. - Elsa rusza biegiem. Wysilek sprawia jej przyjemność. Jak cudownie jest się poruszać! Alice, obciążona klatką z Budyniem, zostaje w tyle.

Ze swojego plecaka Edward wyciąga rewolwer i małą latarkę, którą zapala, osłoniwszy ją ciałem.

- Gotowa?

Robi krok do przodu, lecz w tej chwili Alice wyrywa się przed niego.

- Halo tam! Halo! - krzyczy w głąb jaskini.

- Allie, uważaj, kochanie. - Elsa delikatnym gestem odciąga ją do tyłu. - Nie możesz po prostu wpaść do środka. Mogą tam być nietoperze.

- Nietoperze!

- Nietoperze nie zrobią ci krzywdy, Alice - mówi Edward. - Zresztą jest mało prawdopodobne, żeby tam były. Pójdę pierwszy, to się przekonam. Ty trzymaj Elbę za rękę.

- Nie wejdę tam, gdzie są nietoperze.

- Allie. Alice przecząco kręci głową.

- W takim razie możesz tu zaczekać i przypilnować Budynia - mówi Elsa. - Edwardowi i mnie zajmie to minutę.

- Dlaczego chcesz wejść tam, gdzie są nietoperze? Och, nie. Nie wchodź tam, Elsa.

- Chcemy zbadać jaskinię, Allie. Będziemy tam minutę. To wszystko. Obiecuję, że nic się nam nie stanie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Alice przenosi wzrok z Elsy na Edwarda i znów na Elbę, w końcu odsuwa się na bok i kuca u wejścia do jaskini, klatkę zaś stawia na skrawku trawy. Papuga trzepocze skrzydłami i skrzeczy, wzburzona kroplami deszczu. Elsa zdejmuje swoją pelerynę i jak kaptur zakłada ją na głowę Alice.

- Dlaczego nie opowiesz Budyniowi o albatrosach, które widziałaś?

- Już to zrobiłam.

- A o latających rybach?

- O nie. Jemu by się to nie spodobało. Ryby nie powinny latać. Jeśli mu to opowiem, pomyśli, że umie pływać. Opowiem mu o nietoperzach, Elsa. O dużych, strasznych nietoperzach w jaskiniach.

- Allie, nic się nam nie stanie. Zawołam do ciebie stamtąd. Edward podaje latarkę Elsie i bierze ją za rękę. W drugiej ręce trzyma uniesiony rewolwer.

- Zaraz wracamy - woła Elsa.

W środku panuje chłód i wilgoć. Ich buty stukają o twardą ziemię; powolny odgłos kapania odbija się od skał. Ściany są porośnięte gładkim mchem, sklepienie jest niskie, a oni posuwają się wąskim przejściem zgięci, Elsa bacznie wpatrzona pod nogi. Niebawem Edward puszcza jej rękę i przeciska się do przodu.

- Nie ma nietoperzy, Allie! - krzyczy Elsa i patrzy, jak pochylony Edward odbezpiecza rewolwer i stuka nim w skałę. Elsa unosi latarkę. - Jak głęboka, twoim zdaniem, jest jaskinia?

- Myślę, że dotarliśmy do końca - mówi Edward. - Słyszysz? - Jeszcze raz stuka ręką w skałę. - Tam jest pusto. Może jakiś inny korytarz, lecz nie widzę otworu.

Elsa dołącza do niego.

- Jesteś pewny? - Liczyła na krótką przygodę.

- Nie ma rzeczy równie ostatecznej jak ściana skalna. Elsa zatacza latarką półkole nad końcem korytarza.

- Nie ma nawet szpary - mówi.

Edward wtyka rewolwer za pasek i bierze latarkę.

- Idź za światłem - poleca, wymijając ją i wyciągając rękę do tyłu.

- Poradzę sobie.

Elsa dotyka ścian, żeby nie stracić równowagi, i ostrożnie stawia stopy za jego stopami. Na zewnątrz jest szaro, a oni odwracają się od siebie, zakłopotani przelotnym kontaktem fizycznym.

- Boże wielki - mówi Edward.

Alice porzuciła swoje stanowisko przed wejściem do jaskini. Na ziemi leży przemoknięta peleryna.

- Allie! - woła Elsa. - Już wyszliśmy.

- Alice! - krzyczy Edward głosem pełnym przerażenia.

- Nie odeszła daleko - uspokaja Elsa. - Na pewno czeka przy dingi. W pośpiechu wracają po wilgotnej roślinnej pokrywie, tą samą drogą wzdłuż wybrzeża, którą przyszli, nawołując Alice. Kiedy wreszcie ją dostrzegają, nie czeka przy łódce. Siedzi w niej, miarowo porusza wiosłami i oddala się od brzegu, z odrzuconą do tyłu głową, tak że deszcz pada na drobną twarzą. Obok Alice stoi klatka z szaleńczo trzepoczącymi skrzydłami Budyniem.

- Alice! Allie! Allie!

Ich rozpaczliwe okrzyki przeplatają się ze sobą. Lecz Alice głowę ma odwróconą. Chyba porusza ustami, jej cienkie wargi układają się w dziwne kształty, Elsa jednak nie potrafi odgadnąć, czy mówi do nich, czy najzwyczajniej zlizuje krople deszczu.

Rozdział szósty

Greer obudziła się w słońcu późnego popołudnia, sączącym się przez grube płócienne zasłony. Oparta o wezglowie, przetarła zaspane oczy. Rozejrzała się po mrocznym pokoju - wiklinowe nocne stoliki, betonowe ściany. Na biurku na wprost niej wznosił się chwiejny stos książek - Rośliny Polinezji, Osadnictwo na Pacyfiku, Teoria biogeografii wyspowej. Podręcznik do analizy pyłków. Ach, przypomniała sobie, Rapa Nui.

Wstała z łóżka i rozsunęła zasłony. Dziedziniec skąpany był w ciepłym blasku, a eklektyczna roślinność przywodziła na myśl obrazy Rousseau. Greer kiedyś przez miesiąc badała każde wyobrażenie kwiatu w Śnie po tym, jak przeczytała pracę botanika z przełomu wieków, oskarżającego Rousseau, że wymyślił swoją tropikalną florę. W „Starciach dzunglowych i burdach botanicznych” botanik twierdził - iż Rousseau wymyślił rośliny ładne z estetycznego punktu widzenia: szerokie szmaragdowe łodygi z olbrzymimi pierzastymi liśćmi, z białymi kwiatami na czarnych jak aksamit gałęziach. W Śnie Greer znalazła gałąź podzwrotnikowej mimozy, przedstawioną w dziesięciokrotnym powiększeniu, kwiat japońskiej koniczyny, agawę rosnącą na afrykańskiej pustyni. Rośliny były prawdziwe, lecz proporcje pomieszane, a ich biogeograficzna kombinacja tworzyła cieplarniany mętlik: florę godną wyobraźni doktora Frankensteina. Tak właśnie zatytułowała Greer swój artykuł - „Dżungla Frankensteina” - wysłany do kilku czasopism botanicznych i przez

wszystkie odrzucony na tej podstawie, że brak mu naukowego znaczenia. Następnie rozesłała maszynopis do kilkunastu pism poświęconych sztuce, które też go nie zamieściły, tym razem uznawszy za nieistotny z punktu widzenia sztuki. Obecnie leżał w szufladzie w Marblehead, w grubej teczce z innymi artykułami na rozmaite nienadające się do druku tematy. Dzisiaj wiedziała, że gdyby jej pozycja w świecie nauki była ustalona, takie tematy wskazywałyby kolegom na jej zdrowy intelektualny apetyt, ponieważ jednak była młodą osobą z doktoratem, najzwyczajniej świadczyły o braku koncentracji i skłonnościach do puszczania wodzy fantazji, może kierowania się uczuciami.

Greer zaciągnęła zasłony, wzięła książki z biurka i rozrzuciła na łóżku. Przywiozła klucze roślin i pyłków, swój zbiór książek Darwina, Wallace'a, Lyella i Linneusza; dwa współczesne tomy, poświęcone historii wyspy, z wyjątkami z pism pierwszych podróżników europejskich. Wiedziała jednak, że będzie potrzebować ich pełnych relacji. Przecież dzienniki Roggeveena czy Cooka mogą zawierać wzmianki o florze wyspy. Gdzieś w budynku SAAS

mieści się dobra biblioteka, lecz materiały są pod kluczem, a dostęp do nich wymaga papierkowej roboty. To będzie musiało poczekać.

Kiedy Greer sadowiła się na łóżku, kiszki zagrały jej marsza - od wczorajszego banana nie miała nic w ustach. Narzuciła więc rozpinany sweter, włożyła długą spódnicę i sandały. Chwyciwszy niektóre teksty, poświęcone pyłkom, i o powstawaniu gatunków - zawsze dobrego towarzysza przy obiedzie - skierowała się do pokoju ze szmaragdowymi kulami.

Mahiny nigdzie nie było widać. Greer zawołała ją, po czym odchyliła zasłonę z paciorków za biurkiem i zobaczyła pustą recepcję. Była szósta czterdzieści pięć, prawie pora obiadowa, toteż Greer zasiadła przy stoliku do kart, w jednym z wiklinowych foteli o wysokich oparciach, i ponownie przeczytała słynny ustęp z Darwina:

Nikogo nie powinno dziwić, że tyle jeszcze pozostaje niewyjaśnionych punktów w sprawie pochodzenia gatunków i odmian. Dostyc tylko uprzytomnić sobie, jak głęboka jest jeszcze nasza nieznajomość wzajemnych stosunków otaczających nas istot. Któż jest w stanie wytłumaczyć, dlaczego jeden gatunek jest bardzo liczny i rozpowszechniony na wielkiej przestrzeni, dlaczego inny, pokrewny mu, jest rzadki i ma niewielki zasięgi A tymczasem stosunki te są niezmiernie ważne, gdyż od nich zawisa obecna pomyślność i, jak przypuszczam, przyszłe powodzenie i przekształcenie każdego mieszkańca tej ziemi. Jeszcze mniej wiemy o wzajemnych stosunkach niezliczonych mieszkańców ziemi podczas ubiegłych epok geologicznych. Chociaż wiele rzeczy jest i długo jeszcze pozostanie niewyjaśnionych, to jednak na podstawie najskrupulatniejszych badań i najbezsronniejszego sądu, do jakiego jestem zdolny, nie wątpię bynajmniej, że pogląd wyznawany dotychczas przez większość przyrodników i podzielany dawniej przeze mnie, a mianowicie, że każdy gatunek został stworzony oddzielnie, jest błędny...

Skrupulatne badania i bezstronny sąd, pomyślała Greer. Darwin, który po dwudziestu latach drobiazgowych badań z pośpiechem szaleńca opublikował swoją teorię doboru naturalnego, zanim młody George Wallace go wyprzedzi! Greer przepadała za tą historią, którą zwykł jej opowiadać ojciec. Darwin bojaźliwie zaszył się w Anglii, w swoim domu w Down, i pisał do Charlesa Lyella i Josepha Hookera z prośbą o radę: Czy powinien cierpliwie tworzyć dzieło poświęcone ewolucji, czy też sklecić prowizoryczną teorię, zanim Wallace ogłosi swoją? W końcu o jego sędzie zadecydowała wyłącznie pasja. Zadziałał szybko, zdobył sławę, dręczyła go jednak sprawa listów od Wallace'a, które jakoś zaginęły, i rękopisu pracy Wallace'a o doborze naturalnym, który otrzymał, ale rzekomo odłożył, nie przeczytawszy, jak gdyby znudzony

tematem. Czyż jednak brak pasji w ogóle jest możliwy, zastanawiała się Greer, w dziedzinie nauki, wymagającej dziesiątków lat obserwacji, zanim się pojmie jedną fundamentalną zasadę? Dobór naturalny - pojęcie tak podstawowe, tak naturalne, że wydawałoby się oczywiste każdemu z następnych pokoleń. Nauka wymaga pasji bardziej niż wszystko inne. Lecz Greer podziwiała Darwina za to, że tak umiejętnie udawał, iż własne poglądy nie mają dla niego osobiście znaczenia; umiał przedstawiać siebie jako klinicznego obserwatora. To zawsze sprawiało Greer kłopot - z trudem ukrywała własne zainteresowanie, udawała, że jej sądy są bezstronne.

Zadźwięczały dzwonki nad drzwiami i Mahina przekroczyła próg z zatroskaną miną.

- Doctor a! Hola, doctor a! Dobrze się czujesz? Przychodzę w południe posprzątać pokój, a ty śpisz.

Greer zamknęła książkę.

- Najwyraźniej wykończyła mnie podróż. Cansada! Teraz czuję się świetnie. Ale nic nie jadłam. Czy mogłabym dostać obiad trochę wcześniej, jeśli to nie sprawi kłopotu?

- Tak. Obiad. Znajdziemy ci obiad. - Mahina zamknęła za sobą drzwi. Była w białej spódnicy i jaskrawo różowej bluzce z guzikami z muszelek. Koronkowy stanik z lekka prześwitywał przez tkaninę. - Chodź. - Nie zdejmując kapelusza, poprowadziła Greer korytarzem do bielonego pokoju z czterema okrągłymi stolikami, na których leżały kwieciste obrusy i porządnie uszeregowane noże i widelce. - Siadaj, doctora - poleciła Mahina i odsunęła krzesło od stolika pod oknem.

- Proszę, żebyś sobie nie robiła kłopotu. Wystarczy byle co. Może tylko trochę owoców. Mogę je nawet kupić sama.

- Polio - oznajmiła Mahina, z roztargnieniem wyglądając przez okno. - Pescado jutro wieczorem. Dzisiaj polio. Tak?

- Doskonale.

- Ramon! - krzyknęła Mahina i zaraz w drzwiach ukazał się Ramon, zostały wydane w Rapa Nui instrukcje, po czym zniknął na podwórku, skąd dobiegło gdakanie i łopot. .

- Uno momento - powiedziała Mahina, wyszła przez wahadłowe drewniane drzwi i pojawiła się na dworze.

Chodząc po ogrodzie, z wprawą zerwała z drzew dwa awokado, potem gujawę i wsadziła je za karczek bluzki. Uklękła, złapała nać i wyciągnęła z ziemi marchew. Otrzepała ją z ziemi o udo. Wkrótce z kuchni dobiegł brzęk garnków i patelni, syczenie, słodki zapach przyrumianego masła.

Greer głęboko wciągała powietrze, rozkoszując się aromatem. Domowy posiłek. Przez parę ostatnich miesięcy skubała owoce, krakersy z serem, zimne lasagne. Kilka razy jadła obiad u osób z laboratorium Thomasa, które podejmowały ją klopsem i duszonym mięsem. A raz czy dwa wybrała się do restauracji sama, w poszukiwaniu towarzystwa obcych. To przecież jej zalecano. Wróc między ludzi Ale łatwiej coś takiego powiedzieć niż zrobić.

Zaczęła czytać, co w ustępie o mieszkańcach wysp oceanicznych Darwin pisze o modelach flory i fauny wyspowej:

Uważnie przejrzałem najstarsze dzieła podróżnicze i nie znalazłem żadnego niewątpliwego przypadku występowania jakiegokolwiek ssaka lądowego oprócz oswojonych zwierząt tubylców na którejkolwiek z wysp odległych więcej niż 300 mil od lądu stałego czy też od jakiejś wielkiej wyspy kontynentalnej; pozbawione są ich również liczne wyspy, które są znacznie bliżej położone. Wyjątek jakoby stanowią Wyspy Falklandzkie, na których występuje pewien gatunek lisa, podobny do wilka; nie mogą one jednak być uważane za oceaniczne, leżą bowiem na ławicy łączącej się z lądem stałym(...) ponieważ zaś poza tym góry lodowe osadzały dawniej głązy narzutowe na ich zachodnich wybrzeżach, mogły też wtedy przenieść tam Rsy, jak się to często obecnie zdarza, w krajach arktycznych(...) Jakkolwiek jednak ssaki lądowe nie występują na wyspach oceanicznych, to ssaki latające znajdujemy na każdej prawie wyspie (...) żaden bowiem ssak lądowy nie może przebywać tak znacznych przestrzeni morza, jakie mogą przelecieć nietoperze. Widziano podczas dnia nietoperze latające daleko ponad Oceanem Atlantyckim, a dwa północnoamerykańskie gatunki odwiedzają stale lub przypadkowo Bermudy, odległe o 600 mil od lądu stałego...

Greer odłożyła książkę. Tak, wyspy oceaniczne udzielają gościny tylko roślinom i zwierzętom idealnie łączącym w sobie zmiłowanie do podróży z wytrzymałością. Większość ssaków lądowych nie ma szans na rozprzestrzenianie się przez wodę. Parę lat wcześniej czytała jednak o słoniu z wyspy Sober, który po prostu wszedł do oceanu i popłynął na Cejlon - choć odległość wynosiła zaledwie jedną trzecią mili, wyczyn mimo wszystko był imponujący. Kilku turystów sfotografowało zmęczone zwierzę, w chwili gdy wspinało się na nowy brzeg i kierowało w głąb lądu. Później donoszono, że widziano inne samotnie pływające słonie. A więc niektóre ssaki lądowe umieją przepływać przez wodę. Często widywano szczury i myszy, płynące po oceanie na szczątkach rozbitych statków. Gryzonie i nietoperze są właściwie jedynymi ssakami, zamieszkującymi większość wysp.

Ale dziwne ewolucyjne losy przypadły zwierzętom, które dotarły do odległych wybrzeży. To, co Darwin nazywał „lekką modyfikacją”, było wielkim niedomówieniem. Modyfikacje potrafiły przynosić zaskakujące rezultaty. Wyspy sprzyjały dziwaczności, paradowały po nich karłowate mamuty, olbrzymie gady i ptaki nielotne. Najgorsze ze wszystkiego były owady - chrząszcze i karaluchy, których ciała przez wiele pokoleń nabrzmiewały do rozmiaru ciał małych kontynentalnych gryzoni. Na szczęście, w miarę jak rozrastały się ich ciała, skrzydła, co zauważył Darwin, „kurczyły się” i większość tych stawonogów była skazana na bieganie w nocy po podłodze pokoju Greer bez żadnej nadziei, dzięki Bogu, że wylądują na jej twarzy, kiedy będzie spała. Dla ptaków natomiast nielotność okazała się tragiczna. Drontowi, ptakowi, którego dawnym przodkom starczyło sił na przelecenie na Mauritius, wulkaniczną masę na Oceanie Indyjskim, położoną czterysta mil na wschód od Madagaskaru, lalka pokoleń później skrzydła się skurczyły. Kiedy ludzie sprowadzili tam świnię i małpy, ssaki chętnie żywiące się jajami drontów, dla ptaków nie było ucieczki. Ostatniego takiego nielota zaobserwowano w roku 1681.

- Bueno - oznajmiła Mahina, przechodząc przez pokój z talerzem.

- Pachnie smakowicie. - Greer odsunęła na bok książki. - Dziękuję. Mahina postawiła na stole różne gotowane jarzyny.

- Polio zaraz, doctora. Do picia?

- Agua, por favor.

Chwilę później Mahina przyniosła szklanekę wody i omiotła wzrokiem książki Greer.

- Pal-i-nol-ogia?

- Badanie pyłków - odparła Greer.

- Ach, si - powiedziała Mahina. - Badasz pyłki Rapa Nui?

- Będę pobierać próbki z dna jezior. - Greer pokazała na migi, jak wkręca próbnik w ziemię, po czym go wyciąga. - Później zobaczę, jakie pyłki ukryte są głęboko. Dzięki temu będę mogła wywnioskować, jakie rośliny rosły tu przed laty.

- Bueno. Czytałam pracę doktorów o pyłkach z całunu Jesucristol To pyłek, tak, który mówi, że całun był dla Chrystusa.

- Czytałaś o tym? Ludzie na ogół nigdy nie słyszeli o palinologii. Na ogół przez całe życie nie myślą o pyłkach, chyba że są alergikami.

Mahina dumnie pokręciła głową.

- Ja nie alergiczka. Czytałam w naszym piśmie o Najświętszej Paniencie. Pismo przychodzi dwa razy do roku z Hiszpanii. To przyszło bardzo dawno, prawie rok temu, ale całe przeczytałam.

- Przekonało cię?

- Przekonało?

- Wierzysz w to, co tam było napisane o pyłku?

- Wierzę, że całun był dla Chrystusa, tak. Ale nie z powodu pyłku. Za mało wiem o pyłku. Wiem dość dużo o Jesucristo.

- Więc nie będziesz rozczarowana, kiedy ci powiem, że analiza całunu nie była dobra. Pyłki na nim pasowały do roślin z Palestyny.

Ale tych kwiatów jest ponad siedemdziesiąt gatunków. Ziarnko twojej podstawowej rośliny, rzekomo z Jerozolimy, wygląda identycznie jak tysiące innych gatunków astrowatych. Ludzie zawsze też zostawiali kwiaty przed świętymi relikwiami; dlatego są przyprószone najrozmaitszymi pyłkami. - Greer wbiła widelec w parującą marchew, podmuchała na nią i ugryzła kawałek. Wyraz współczucia złagodził twarz Mahiny

- Doctora, jak mi się zdaje, bardzo wierzy w naukę. Może nie w Jesucristo. - Uniosła brwi. - I może jej się nie podoba nauka, której użyto dla Jesucristo.

Och, nie, pomyślała Greer. Po co zaczęła? Nie dyskutuje o istnieniu Boga, dyskutuje o pracy naukowej. Bez zastrzeżeń pozwala każdemu wierzyć we wszystko: w jednego Boga, w dziesięciu bogów, to nie robi różnicy. W nauce natomiast nie ma miejsca na pobożność. I nie mogła się oprzeć wrażeniu, że chrześcijaństwo, które przez stulecia kwestionowało największe osiągnięcia myśli ludzkiej, musi być bardzo bezczelne, skoro używa mikroskopu, aby dowieść, że coś jest święte. Wskutek słabej znajomości hiszpańskiego nie potrafiła jednak przekonać Mahiny o swoich racjach, po angielsku zaś argumenty by do niej nie trafiły. Greer nie chciała dać Mahinie do zrozumienia, że lekceważy jej wiarę, skoro w rzeczywistości ją szanowała. Wiarę niełatwo jest zachować.

- Zgódźmy się, Mahino. Powiedzmy, że pyłek nie jest dowodem na to, iż całun turyński kiedykolwiek dotknął ciała Jezusa Chrystusa. Ani na to, że nie dotknął. Trzeba będzie poczekać na analizę tkaniny, test, który określi jej wiek. Same ziarna pyłku nic nie mówią o czasie. Pyłek nigdy się nie starzeje.

Mahina poddała to pod rozwagę.

- Bueno, doctora. Bueno.

Znów znikła w kuchni, pozwalając Greer wolno zjeść resztki marchwi i cebuli, a chwilę później zjawiała się raz jeszcze z talerzem płamiącego kurczaka.

- Teraz polio. Moa w języku Rapa Nui.

Patrzyła, jak Greer bierze pierwszy kęs do ust.

- Pyszne - powiedziała Greer. Mahina się uśmiechnęła.

- W Rapa Nui: kai ne ne. Pyszne jedzenie.

- Kai ne ne - powtórzyła Greer.

- Bueno. Teraz ty pracujesz, doctor a. Ja się tu kręcę, ale proszę, nie patrz na mnie. - Wzięła tom Darwina, otworzyła w założonym miejscu i położyła przed Greer. - Masz pracę. Ważną pracę. Ja ci nie przeszkadzam.

- Wcale mi nie przeszkodziłaś.

- Doctor a potrzebuje ciszy, żeby pracować. Żeby myśleć. Rozumiem.

Mahina wyszła i wróciła z czterema różnej wielkości kieliszkami do wina, których nóżki wetknęła między palce, tak że zwisały z jej dłoni. Wprawnie ustawiła każdy na prawo od nakrycia i poszła po następne. Kiedy stały już na wszystkich stolikach, oceniła swoją pracę i zatarła ręce.

Chociaż książka była nadal otwarta, Greer obserwowała całą tę krzątanicę.

- Naprawdę, Mahino, miło mi będzie, jak ze mną posiedzisz. Mahina klasnęła w dłonie.

- Ach, Mahina jest tutaj tylko po to, żeby pracować.

Z tymi słowami wycofała się do saloniku. Greer w milczeniu dokończyła obiad, zaginając kartki w ciekawych dla niej miejscach, po czym odniosła talerze do nieskazitelnie czystej kuchni i zostawiła w zlewie.

Po powrocie do swojego pokoju zauważyła, że łóżko jest posłane, buty porządnie ustawione pod ścianą, a czarne torby spiętrzone w kącie. Książki, które pozostawiła na materacu, stały ładnie uszeregowane na jednym z wiklinowych nocnych stolików, wsparte na podpórce, której tam przedtem nie było. Nad łóżkiem plakietka z Marią Panną znów wisiała na straży. A obok niej krzyżyk.

Greer się roześmiała. To będzie parę interesujących miesięcy. Rzuciła na łóżko Darwina, żeby walczył z religią, po czym wyciągnęła z torby żakiet i latarkę.

W budynku SAAS znów panowały ciemności i pustki. Greer była wdzięczna innym naukowcom za to, że pracują w takich normalnych godzinach. Przed laty, na studiach magisterskich, jako jedna z pięciu kobiet na wydziale, mogła korzystać z laboratorium botanicznego tylko późno w nocy, kiedy nikt inny nie chciał tego robić. Tak się przyzwyczaiła do ciszy, mroku i samotności, że trudno jej było zerwać z tym nawykiem, nawet kiedy dostęp do sprzętu miała już w dzień.

Te skrzynki stały przy drzwiach dokładnie tam, gdzie je zostawiła, tym razem jednak wzięła ze sobą lewarek. Ukłękła i delikatnie podważyła

rozłupujący się wierzch pierwszej z nich, a po przeniesieniu zbioru chemikaliów na metalowy stół przy zlewie ustawiła butelki w zwykłym porządku - wodorotlenek potasowy, bezwodnik octowy, kwas siarkowy, kwas solny, olej silikonowy - i tak, aby zwrócone były do niej etykietkami.

Ustawiała swój sprzęt ze skrupulatnością odziedziczoną po ojcu, nauczycielu biologii w szkole średniej. W suterenie ich domu w Wisconsin urządził kompletną stację badawczą: starannie opatrzone etykietkami słoje chemikaliów, oznaczone kolorami szuflady z łupkami, piaskowcami i muszlami, półki z ułożonymi alfabetycznie encyklopediami i przywieziony z Węgier piękny mosiężny mikroskop, który Greer wydał się starożytnym skarbem, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy.

Niemal co wieczór po obiedzie ojciec schodził na dół z nową próbką do zbadania: złapanym przez siebie motylem albo zasuszonym kwiatem, czasami z martwą muchą czy biedronką, przyslaną w kopercie z Kalifornii bądź z Maine; często pisywał do nauczycieli w całym kraju z prośbą o dostarczanie mu miejscowych materiałów organicznych. Nasiona mniszka lekarskiego, woreczki ziemi i ususzone igły sekwoi, wszystko to trafiało do ich domu w Mercer; a raz, od nauczyciela z Tennessee, ojciec dostał paczkę z taką kartką: Tę roślinę wyhodowano niespełna dwadzieścia mil od naszej szkoły. Życzę przyjemności. W pudełku znajdowała się paczka papierosów.

We wczesnym dzieciństwie Greer fascynował jego tajemniczy świat w suterenie, zagadkowe utensylia, którymi otaczał się ojciec. I przez całe lata, ponieważ nie chciał, aby naruszono mu porządek, Greer nie wolno było niczego dotykać. To jedynie zaostrzało jej ciekawość. Wyobrażała sobie, że ojciec musi być jakimś geniuszem. Parokrotnie matka uległa namowom i pozwoliła jej zejść na dół, kiedy tam odkurzała, wówczas zaś Greer mogła oglądać mosiężne pokręta i tubusy jego mikroskopu, piękne szklane butelki w jego prywatnej pracowni alchemika.

Matka traktowała laboratorium mniej poważnie. Niezbyt ją fascynowały probówki i szkiełka. Mogłyby być kawałkami modelu okrętu, fragmentami czegoś, czym z zamiłowaniem zajmuje się jakikolwiek mąż. Ona wolała fikcję od rzeczywistości; wieczorami siadywała na werandzie z powieścią na kolanach. Dla niej świat przyrody stanowił kanwę narracji, miejsce mitu i legendy. Na dobranoc opowiadała Greer o duszach, które zamieszkują drzewa - o utraconych kochankach, zamienionych w drewno, o psotnych dzieciach, zamienionych w młode drzewka - i to były ich sekrety. „Papa widzi tylko w swoim mikroskopie - mówiła matka, a przyjemny zapach kremu na jej skórze mieszał się z zapachem papierosów. - Ty i ja, my widzimy wszystko”.

W pamięci Greer najwyraźniej utkwiły te wspomnienia o matce, jej zapach, jej szepty do poduszki i to, że wszystko, co mówiła - tóę do sklepu po masło - brzmiało jak sekret. Greer miała dziewięć lat, kiedy matka umarła na skutek pęknięcia tętniaka.

Wtedy ojciec, starając się pocieszyć córkę, wreszcie pozwolił jej korzystać ze swojego laboratorium.

Dwa miesiące po śmierci matki Greer wróciła pewnego popołudnia do domu ze złapaną w strumyku żabą. Weszła do kuchni, trzymając ją w złożonych dłoniach.

- Złapałam żabę - oznajmiła - i nazwę ją Harvey. Ojciec zdjął okulary i złożył gazetę.

- Zobaczmy.

Greer podsunęła mu pod nos wilgotne, oślizłe stworzenie, które pulsowało w jej rękach.

- To nie jest Harvey - stwierdził ojciec. Odebrał Greer żabę i kazał przynieść miskę. Potem Greer patrzyła, jak naciska brzuch dyndającej nad miską do owsianki żabie. Wkrótce do miski posypały się kaskadą małe czarne ziarenka. - Jajeczka - powiedział. - Chcesz się im przyjrzeć?

Nie mieściło jej się w głowie, że to zaproponował. Poszła za nim po ciemnych schodach do piwnicy, gdzie szarpnięciem zardzewiałego łańcuszka zapalił światło. Zaskoczył ją panujący tu nieład. W zlewie pełno było brudnych zlewek; stół pokrywała warstwa kurzu. Ojciec przyciągnął mikroskop, chwycił szkiełko, z pojemnika na przybory wyjął pęsetę i zakraplacz.

- Weź parę jajeczek, dodaj trzy krople wody i nakryj szkiełkiem nakrywkowym. Teraz delikatnie wsuń szkiełka do mikroskopu. Tutaj. Nie spiesz się, Lily Pad*. Nie chcesz ich potłuc. I chwilę zaczekaj.

* [Lily Pad - liść lilii wodnej \(grzybienia\) o płaskich i skórzastych liściach.](#)

Przytknął oko do okularu, poprawił ostrość.

- Proszę bardzo. Spróbuj.

Greer wspięła się na palce i przycisnęła oko do mosiężnego okularu. Pojawiły się przed nią trzy wzdęte koła.

- Co widzisz?

- Koła - odpowiedziała.

- Co jeszcze?

- Puszyste koła, duże puszyste koła z grubymi brzegami, jakby namalowanymi markerem.

- Ale co widzisz, Lily Pad? - W jego głosie brzmiała irytacja; istniała właściwa odpowiedź. - Na co patrzysz?

- Na życie? - zapytała.

- Ach, Lily Pad. - Poczwała, jak z mocą i dumą kładzie jej dłoń na plecach. - Ty i ja.

Właśnie kiedy ogarnęła ją radość z tego osiągnięcia, nad ich głowami zasyczała żarówka, a Greer usłyszała kapanie w kącie. Spojrzała w górę i na suficie dostrzegła zaciek. Ścisnęło ją w gardle. Znikło miejsce, z którego od tak dawna pragnęła skorzystać; za progiem, który od tak dawna chciała przekroczyć, jest tylko bałagan.

Teraz, po latach, zrozumiała, jak niebezpiecznie jest wpuścić smutek do swojego sanktuarium.

Otworzyła skrzynkę z destylatorem - woda bieżąca zawiera pyłki i musi być oczyszczana - po czym złożyła go starannie. Rozpakowała wirówkę i ustawiła na jednym ze stołów, następnie uniosła pokrywę, sprawdziła osiem pustych kubelków tworzących koło i upewniła się, że nic nie potłukło się w drodze. Wyjęła prasę do roślin, poprzecierała wszystkie kawałki i postawiła obok wirówki.

Ostatnia skrzynka, ta z mikroskopem, okazała się trudniejsza do otworzenia. Choć Greer delikatnie kopnęła lewarek, z brzękiem upadł na podłogę. Wetknęła go głębiej i nadepnęła z większą siłą. Drewno się rozszczepiło, lewarek odskoczył i walnął ją w pischel.

- O cholera! - krzyknęła, podskakując na drugiej nodze. Przeszył ją ostry ból, na chwilę oczy zaszyły jej łzami, ale kiedy się odwróciła, zobaczyła w drzwiach młodego mężczyznę. Był to pasażer z samolotu - ten od ciasta.

Podniósł palec wskazujący.

- Mamy apteczkę.

Znikł, jego kroki ucichły w korytarzu, a Greer się opanowała. Zanim wrócił, z opatrunkiem z gazy w jednej ręce i szklaną buteleczką w drugiej, już zdołała przybrać stoicką pozę.

- Nic mi nie jest.

- Ważne jest zdezynfekowanie rany. Zabezpiecza przed tężcem. Mimo iż pierwsza fala bólu ustępowała, Greer nadal stała pochylona, z ręką mocno przyciśniętą do nogi. Spróbowała się wyprostować.

- Jest dobrze. Naprawdę.

- Chcesz powiedzieć, że cholernie dobrze?

- W teorii. Kucnął przy niej.

- No tak. Oczywiście jest dobrze - powiedział. - Tylko powinno także być czysto, prawda?

Otworzył butelkę, zmoczył i podał Greer gazę. Ostry zapach alkoholu do nacierania załaskotał ją w nosie.

- Jest dobrze - powiedziała, przemywając ranę, w której pokazała się krew. - Naprawdę.

- Dobrze - powtórzył. - Dobrze. Dobrze. Hm. Mój angielski jest nie najlepszy. Proszę mi wybaczyć, ale chyba nie znam tego słowa. - W kącikach jego ust pojawił się uśmiech. - Muszę szukać zrozumienia w języku ciała. Krew, osoba pochylona, twarz ściągnięta bólem. Myślę, że to słowo dobrze musi oznaczać strasznie.

- Nie - westchnęła Greer. - Znaczy naprawdę strasznie. Że strasznie boli.

- Angielski to język fascynujący. Dużo się mogę od ciebie nauczyć. - Wstał.

- Raz, wiele lat temu, spadłem z zepsutą lotnią tuż po starcie ze szczytu na północ od Santiago. Wylądowałem na nodze. Czyste złamanie. Oczywiście nie kość stanowiła zagrożenie, tylko kurz w górach. Lekarz powiedział, że na szczęście szybko przemyłem rany. - Jeszcze raz wskazał butelkę z alkoholem.

- Vicente Portales?

- To ci wystarczy?

- Wprawi mnie w najmilsze zakłopotanie. - Uchyliła gazę i zobaczyła, że krwawienie ustało.

- Widzisz? Prawie jak nowa - powiedział. - Cóż, przynajmniej widziałem tu dziś wieczorem, że naprawdę bardzo pilnie się instalujesz. Oczywiście nie musisz przychodzić na obiad. Chciałem tylko przywitać naszego nowego gościa, którym, jak teraz wiem, jest doktor Greer Farraday. Ja rzeczywiście nazywam się Vicente Portales. Jestem kryptografem. Chciałbym cię powitać na Rapa Nui i w imieniu naszych kolegów - doktora Svena Urstedta i doktora Randolpha Burke-Jonesa, którzy również chcieliby cię poznać. Udzielę ci też jednej skromnej rady: Jeśli się chce uciec od całego świata, doskonale jest wybrać Rapa Nui. Zapewne nie ma lepszego miejsca. Ale jeśli się chce unikać ludzi na Rapa Nui, to z góry skazane jest na niepowodzenie, bo, jak widzisz, wyspa jest bardzo mała. - Przykucnął, wyciągnął z kieszeni wymyślny szwajcarski nóż wojskowy i czterema szybkimi ruchami podważył wieko ostatniej skrzynki. - Pomagam zainstalować się trochę szybciej - powiedział i schował nóż do kieszeni. - Iorana, Greer. Słuchała jego kroków, powoli cichnących w korytarzu.

- Dzięki - zawołała, choć nie sądziła, że mógłby ją usłyszeć. Odpowiedziało jej tylko echo własnego głosu.

Nazajutrz rano wstała o świcie, zakleiła ranę świeżym plastrem i włożyła do plecaka potrzebne rzeczy: torebki do pakowania próbek, noże, notatnik polowy,

aparatu fotograficznego, zmianę odzieży. Ramiona i szyję zabezpieczyła warstwą kremu z filtrem przeciwsłonecznym, po czym ulicami budzącego się dopiero Hanga Roa ruszyła na poszukiwanie kuzyna Mahiny, Chico, od którego, jak jej powiedziano, mogłaby wynająć konia. Wyglądało na to, że wiadomość o jej planie szybko się rozeszła - niski mężczyzna z niesfornymi siwymi wąsami stał pośrodku ulicy, trzymał za uzdę gniadego, nieco zabiedzonego konia i machał na powitanie. Po uzgodnieniu ceny podsadził ją i wręczył jej zniszczoną mapę wyspy z zaznaczonymi kilkoma moai.

- Najlepsze moai tutaj. - Wskazał punkt po zachodniej stronie wyspy. - Ahu Tahai. Piętnaście minut. Nie więcej. A tutaj - postukał palcem w kawałek plaży na północnym wybrzeżu - dobrze się pływa. Anakena. Ze dwie, trzy godziny.

Podziękowała mu i butem lekko trąciła zwierzę w bok. Ostatni raz dosiadała konia dawno temu, w dzieciństwie, i teraz miłe było kołysanie tułowia na jego grzbiecie, trzymanie stóp trochę jak na trapezie. Ongiś często jeździła po polach sama, obserwowała dom rodziców, malejący do wielkości białego punkciku w oddali, kiedy zmierzała nad strumyk, aby łowić płotki i traszki. Ojciec od maleńkości dostarczał jej stawy naukowej. Opowiadał o cudach przyrody: o agawach amerykańskich, które rosną dziesiątki lat w oczekiwaniu na to, że wreszcie zakwitną i zaowocują na jedną krótką chwilę; o azjatyckim storczyku, który potrafi kwitnąć dziewięć miesięcy. Ale najbardziej lubiła historię o nasionkach w kształcie serca, spadających z tropikalnych pnączy i znoszonych do morza przez deszcze. Miliony morskich serduszek unosiły się na oceanach całego świata o każdej porze, dryfowały miesiącami, latami, a w końcu, wyrzucone na plaże w dalekich krajach, rozpoczynały nowe życie. Morskie serduszka były tak dobrymi podróżnikami, mówił ojciec, że marynarze wkładali je do kieszeni na szczęście.

Po szkole, kiedy jej koleżanki i koledzy zbierali się, aby wymieniać lalki Ginny i karty baseballowe, Greer penetrowała lasy, podnosiła kamienie i spróchniałe kłody, aby zobaczyć ukryte pod nimi miniaturowe światy, godzinami pochylała się nad zalatującymi stęchlizną cywilizacjami pajaków, ślimaków, krocionogów. Albo jeździła konno po polach, zbierała polne kwiaty, a czasami zsiadała z konia i podążała za pszczołą przelatującą z kwiatka na kwiatek, bo chciała się przekonać, czy zdoła określić jej preferencje. Od dawna przywykła do samotności, do cichego obcowania z przyrodą.

Powoli wyjeżdżała drogą z miasta, mając po lewej stronie ocean w kolorze niezapominajki. Z trawy wyrosły niebawem bezładne rzędy białych krzyży. Na jej mapie było to zaznaczone jako miejscowy cmentarz, założony po przybyciu misjonarzy nauczających o pochówku chrześcijańskim. Przedtem chowano

zmarłych w jaskiniach albo pod aha, długimi kamiennymi platformami, na których pierwotnie stały moai.

Ścieżkę okalały paprocie. Greer podejrzewała, że rosną na Rapa Nui od dawna. Ich zarodniki należą do najlżejszych w królestwie roślin, nie są cięższe od przeciętnego ziarna pyłku i wiatr może je przenosić na odległość setek mil. Paprocie jako jedne z pierwszych roślin odrodziły się na Krakatoa; trzy lata po erupcji na tej indonezyjskiej wyspie stanowiły ponad połowę roślin, znacznie więcej niż zwykle piętnaście procent. Greer lubiła je porównywać do Polinezyjczyków - wędrujących, śmiałych, zdolnych się przystosować - którzy zasiedlają każdy ląd na powierzchni całych oceanów.

Daleko przed nią leżało w trawie kilka olbrzymich kamiennych postaci - moai - posągów, dzięki którym Wyspa Wielkanocna wryła się w świadomość świata. Według mapy Chico była to Tahai, grupa moai położona najbliżej miasta. Znacznie bardziej przygnębiające, pomyślała, niż imponujące. Długie nosy przyciśnięte do ziemi, plecy wystawione dosłowna. Figury wyglądały jak kupy gruzu. Greer usiłowała wyobrazić je sobie w pozycji pionowej, w jakiej widział je w roku 1722 Roggeveen: rząd wyniosłych postaci ludziach. Ale po tym majestacie dawno nie pozostało ani śladu. Greer nie zsiadła z konia; nie przybyła tu ze względu na moai.

Skierowała się w głąb wyspy, aby popatrzeć na dawną kolonię trędowatych, gdzie gleba była przypuszczalnie najżyźniejsza, co trędowaci wykorzystywali do uprawy owoców i warzyw; początkowo mieli trudności ze sprzedażą produktów, z czasem jednak ludzie przezwyciężyli strach. Wkrótce Greer znalazła się przed kilkoma opuszczonymi chatami, w których ongiś żyło prawie dwadzieścioro trędowatych. Ostatni z nich umarł przed paroma laty. Od tej pory chaty były wystawione na gwałtowne działanie wiatru i deszczu. Okrążała osadę, dopóki nie natrafiła na coś, co wyglądało na pole uprawne. Tam zsiadła z konia i pobrała próbkę ziemi, a następnie zawróciła w stronę oceanu.

Jeszcze kilkanaście przewróconych moai walało się wzdłuż linii brzegowej w dole. Z oddali niektóre przypominały zwykłe kamienie, lecz przez lornetkę wyraźnie widziała pochylone ramiona i szpary oczu wbitych w ziemię. Wszystkie posągi, mierzące po dwadzieścia stóp, wyrzeźbione w wulkanicznym tufie, miały identyczne rysy - wyglądały jak smukłe olbrzymy z ogromnymi kanciastymi głowami. Nie były ani realistyczne, ani dekoracyjne, lecz ich rozmiary i sama liczba robiły wrażenie. Greer rozumiała, dlaczego zawładnęły wyobraźnią Roggeveena, Gonzaleza, Cooka i La Perouse'a. To było coś więcej niż sztuka, to był przemysł. Wyrzeźbić setki kamiennych olbrzymów, następnie ustawić je na brzegu wyspy - niewyobrażalne.

Słońce, teraz wysoko na niebie, równomiernie prażyło ramiona i nogi Greer. Włożyła ciemne okulary. Przez następną godzinę poganiała konia po kamienistej ścieżce i przystanęła tylko raz przy kępie niskich krzewów, upstrzonych czerwonymi jagodami. Rodzaj Lycium, odgadła. Była to jedyna dzika roślina wśród traw, więc Greer uszczknęła gałązkę i włożyła do torebki na próbki. Dziesiątki koni i owiec pasły się na stokach. Po drodze napotkała dwa rancza hodowlane i musiała skierować konia w głąb wyspy, aby wyminąć ogrodzenia. Zobaczyła kilka kuropatw, podskakujących w trawie.

Przed południem dotarła do Anakena, półksiężyc białego piasku, na którym urządzano pikniki. Napotkane poprzedniego dnia amerykańskie małżeństwo opalało się na kraciastym pledzie, po obu stronach ustawionego pośrodku małego radia. Trochę dalej kilka kobiet w kostiumach bikini rzucało piłką plażową. Skraj plaży ocieniała kępa palm - posadzonych, jak czytała Greer, zaledwie parę lat wcześniej - a oparte o jeden z grubych, łuskowatych pni siedziały trzy starsze kobiety i wachlowały się broszurkami. Upajały się tym malutkim skrawkiem cienia, pierwszym, jaki Greer widziała od rana. Rzeczywiście zdumiewało ją to, że wyspa jest tak całkowicie wystawiona na działanie słońca. Zupełnie jakby wyginęły tu również i cienie. Jedyną oazę stanowiła ta wąska plaża ze swoim baldachimem z pierzastych liści palmowych. To tutaj Hotu Matua, pierwszy osadnik, wyciągnął na brzeg swoje kanu, tutaj rozbiła obóz słynna zaginiona ekspedycja brytyjska. Greer zamierzała wykorzystać odrobinę cienia i zjeść tu lunch, ale się rozmyśliła. Za dużo turystów. Nie jest tu po to, aby robić zdjęcia, aby mówić przyjaciołom w kraju: Byłam na Wyspie Wielkanocnej. Jest po to, aby w jakiś istotny sposób zrozumieć.

Zjechała z plaży i ruszyła wzdłuż urwistego brzegu. Jeszcze przez godzinę trzymała się linii brzegowej, po czym skręciła ze szlaku między płataninę traw i kamieni. Koń szedł powoli. Silny słony wiatr nadleciał znad wody, siekąc ją po twarzy. Jego szum i łoskot fal w dole na krótko zagłuszyły stuk końskich kopyt. Ptactwo morskie pikowało nad głową w niesamowitej ciszy. Niebawem jednak wiatr ustał i Greer usłyszała głuchy świst. Ze skał pod nią strumień wody strzelał prosto w niebo przez pionową szczelinę. Według mapy znajdowała się niemal w połowie drogi powrotnej do Hanga Roa - dobrze byłoby zatrzymać się w tym miejscu i zjeść lunch. Wydeptany szlak prowadził nad wodę, więc Greer zsiadła z konia i uwiązała go do potłuczonej głowy moai.

Mocno ściągnęła paski plecaka, po czym opuściła się ze skały, ostrożnie stawiając stopy na obluzowanych kamieniach. Kiedy wreszcie znalazła się na równym terenie, po prostu zrzuciła plecak z ramion, a wtedy dobiegł ją cichy

odgłos stąpania po szorstkim bazalcie. Rozejrzawszy się po licu skały, dostrzegła starego mężczyznę w luźnych spodniach z brązowego drelichu i w beżowym swetrze, który wspinał się po kamieniach na ścieżkę, a stopy stawiał szybko i lekko, zdecydowanie pewniej niż ona. Wyspiarz. Włosy miał gęste i siwe, brwi niesforne. Rzucił Greer nerwowe spojrzenie i zniknął jej z oczu. Właśnie wtedy wietrzyk przyniósł zapach pieczonego mięsa i słodką woń ignamów. Na kamieniach, w odległości mniej więcej dwudziestu jardów, Greer zauważyła talerz z metalową pokrywką, spod której wydobywał się obłok pary. Ten porzucony posiłek wyglądał dziwnie, ale przecież wyspa rządziła się chyba własnymi zasadami i rytuałami.

Greer usiadła i wyciągnęła lunch zapakowany przez Mahinę - dwa banany, kanapkę z serem, ciepłą butelkę coca-coli. W oddali wystawał w morze mały cypel, z wystrzępionymi linami zwisającymi z kamieni. Poniżej fale z pluskiem uderzały w skałę, a Greer z dziwnym zadowoleniem wsłuchiwała się w ich rytm. Zawsze lubiła ocean i przez parę ostatnich miesięcy w Marblehead, kiedy stan pomieszania, wywołany żałobą po Thomasie, wydawał się przytłaczający, właśnie ocean ją uspokajał. Tutaj jednak, nad tym bezkresnym morzem, w tym miejscu tak od wszystkich innych oddalonym, odczuwała coś więcej niż spokój: pierwszą słabą zapowiedź powracającej radości. Dotarła na Wyspę Wielkanocną i prowadzi pierwsze samodzielne badania terenowe. Wyciągnąwszy notatnik, zaczęła pisać:

Dzień 1: Wstępny przegląd obecnej roślinności na północno-zachodnim brzegu wyspy: liczne Gramineae i paprocie, bez wyraźnych zarośli czy okrywy roślinnej. Jedna próbka (A1) ewentualnego Lycium pobrana dwie mile za wsią Hanga Roa. (Czy jagody są jadalne dla ludzi! Jakie inne organizmy mogą się żywić owocami! Sposoby rozprzestrzeniania!).

Gleba zerodowana i sucha. W przybliżeniu dwadzieścia parę palm kokosowych rośnie na plaży Anakena na północnym wybrzeżu wyspy, ale poza tym nie ma...

Ze szczeliny wydobył się kolejny świst, Greer została spryskana wodą morską, a kiedy podniosła wzrok, nad parującym talerzem stała widmowa postać. Stara kobieta, blada i szczupła, bosa, w brudnej koszuli. Wiatr rozwiewał jej długie siwe włosy. Ostrożnie ugięła nogi, kiedy podnosiła talerz. Potem zwróciła się do Greer.

- Iorana! - krzyknęła Greer. - Wietrznie. Viento! Fuerte! - Nigdy nie wiadomo, jaką różnicę może zrobić przyjazne słowo. - Widok - powiedziała Greer, gestem ramion wskazując ocean - el mar, hermoso.

Stara kobieta przeszukała oczami horyzont.

- Heimoso! - powtórzyła Greer.

- Vai kava nehe nehe. - Głos kobiety, cichy, załamujący się, był prawie niedosłyszalny w łoskocie wody. Odwróciła się w stronę skały i znikła.

Greer podsunęła się bliżej i zobaczyła małą szczelinę w licu skały, wąziutki otwór. Oczywiście jaskinia. Cała wyspa nosiła ślady swej wulkanicznej przeszłości: tunele w lawie, pozostawione przez magmę, która płynęła przed tysiącami lat. Pod żółtą trawą, pod bazaltem, te jaskinie tworzyły podziemny świat niezwykłych, niewidocznych korytarzy, usłanych szkieletami dawnych mieszkańców wyspy. Zgodnie z ustnym przekazem jaskinie służyły jako schrony i kryjówki w niespokojnych czasach,- tam rodziny spały i gotowały, i czekały, a w razie potrzeby chowały swoich zmarłych. Pierwsi chrześcijanie także, myślała Greer, dostrzegali korzyści płynące z podziemnej sieci korytarzy i kopali komory grobowe pod starożytnym Rzymem, potem zaś, w okresach prześladowań religijnych, chronili się pod ziemią obok zmarłych. Dziwne, jak często mauzolea służyły za schronienie,

Wiele jaskiń na wyspie nadal uchodziło za nieodkryte. Ale ta służyła chyba starej kobiecie za dom. Ile jeszcze, zastanawiała się Greer, nadal jest zamieszkanych?

Szybko dokończyła lunch - robiło się późno - i wróciła do notowania porannych obserwacji. Szczegółowo opisała przebytą drogę, pogodę, podała liczbę widzianych koni. Obiecała sobie, że będzie robić obszernie notatki, dokumentować każdy etap badań, jak gdyby rzeczywiście odpowiadała za przekazanie ich nieistniejącemu towarzystwu, które te badania finansuje.

Teraz jednak dopisała u dołu strony krótką uwagę, która nie powinna się znaleźć w oficjalnym dzienniku, tego rodzaju uwagę, nad którą Thomas pokiwałby głową.

Stara kobieta, zamieszkująca jedną z jaskiń, wzięła talerz z gorącym jedzeniem, który zostawił u wejścia sędziwy mężczyzna. Ona wygląda na jakąś pustelniczkę. Ciekawe, fest blada, siwowłosa. Należy do rasy ohotea. Vai kava nehe nehe - przetłumaczyć.

Greer z uśmiechem zamknęła notatnik, spakowała resztki lunchu i ruszyła w stronę miasta przy zachodzącym słońcu.

Po oddaniu konia poszła ulicami Hanga Roa do residencial. Była ósma wieczór i nieliczne sklepy wzdłuż Avenida Policarpo Toro zdążyły się pozamykać. Na rogu chyba ożywała mała restauracyjka. Mężczyzna w brązowej koszuli z przypinanymi rogami kołnierzyka wynosił krzesła i stoliki na zakurzoną ulicę, nakrywał stoliki kraciatymi bawełnianymi obrusami, z brzękiem ustawiał solniczki i pieprzniczki. Nieliczni turyści już siedzieli,

uwalniali się od przezroczystych daszków i zawieszonych na paskach aparatów fotograficznych, odkładali przewodniki. Strzępy zdań hiszpańskich, niemieckich i angielskich mieszały się na ulicy. To były jedyne oznaki życia w zasięgu wzroku. Skręciwszy w ulicę Te Pito O Te Henua, Greer dostrzegła Vicente Portalesa, który niósł pod pachą gazetę. Zauważyła, że ma ładną postawę. Nie był wysoki, lecz sprawiał takie wrażenie, bo prosto się trzymał. Pomachał jej i podszedł ze swobodną pewnością siebie.

- Widzisz? Wyspa jest mała.

- Na to wygląda.

Spojrzał na jej wypchany plecak.

- Zdaje się, że pracowicie spędziłaś dzień na zwiedzaniu. Podobało ci się?

- Tak - odparła Greer, ale nie mogła przecież powiedzieć, że woląa długo wpatrywać się w ocean niż oglądać słynne na cały świat moai. - To interesujące miejsce.

- Dobre słowo: interesujące. Nie piękne. Ale tak, bardzo, bardzo interesujące. Może najbardziej interesujące miejsce, w jakim byłem.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Trudne pytanie. Pracuję od pięciu miesięcy. Ale, jak wiesz, latami na ląd stały samolotem Lan Chile. Cóż, bardzo bym chciał usłyszeć, co robisz, co badasz. Sociedad chyba niewiele wie o ludziach, których gości, a przecież dzielenie się posiadaną wiedzą będzie dla nas wszystkich bodźcem do pracy. Napijesz się ze mną pisco sour?

Greer miała tyle pytań na temat wyspy, że ucieszyła ją myśl o rozmowie z kimś, kto zna teren. A jak powiedział, miasto jest małe. Spojrzała na zegarek. Mahina mówiła, że obiad będzie dziś o dziewiątej; pozostawała więc godzina.

- Co to właściwie jest pisco sour?

- To jeden z typowych trunków chilijskich, pani doktor! Musisz go spróbować. Niestety nie mamy tu barów. Vittorio - wskazał mężczyznę wnoszącego stoliki i krzesła - próbuje otworzyć pierwszą restaurację. Ale ona jest dla turystów. My napijemy się czegoś w stylu Rapa Nui, dobrze?

- A zatem czegoś chilijskiego - powiedziała.

Poszli ulicą do sklepu, gdzie kupowała artykuły spożywcze. Drzwi były teraz zamknięte, lecz Vicente zastukał.

- Iorana! Mario? Vicente aqui! - Po chwili ukazał się Mario z półprzymiotnym uśmiechem na twarzy. - Ach! Marblehead! Iorana! Hola, Vicente!

- Una botella de pisco sour! - zapytał Vicente.

- Si, si. - Mario zniknął w ciemnym sklepie i niebawem wrócił z butelką i dwoma blaszanymi kubkami.

- Maururu - powiedział Vicente.

Zeszli ze wzgórza do caleta, gdzie kilkanaście małych łodzi rybackich tworzyło wachlarze wokół pomostów, i tam usiedli na niskim murku z widokiem na port. Vicente rozpostarł między nimi gazetę i przerzucał kartki, dopóki nie wpadł mu w oko jeden artykuł.

- Ten czytałem. - Wyglądziwszy gazetę, ustawił na niej butelkę i dwa kubki.

- Widzisz? - pokazał datę. - Zaledwie sprzed trzech dni. Cenna rzecz na Rapa Nui. Spróbujemy nie chlapać. - Odkręcił

kapsel. - No, więc wiem tylko, że masz tu pobierać próbki odwiertowe. Narobiłaś sociedad sporo kłopotu, kiedy poprosiłaś o lodówkę. Jeden z biurokratów uważał, że chcesz w niej trzymać jedzenie. - Wyciągnął z kieszeni chustkę i przetaił oba kubki. - Wiele oskarżeń padło pod adresem naukowców amerykańskich, którzy żądają luksusów. Oczywiście zaraz jeden z ich ekspertów wyjaśnił, że rdzenie należy trzymać w niskiej temperaturze.

- Jestem tutaj, żeby badać rejestry skamieniałego pyłku. Chciałabym się przekonać, jakie tu były rośliny, jak dawno temu i co się z nimi stało. Przyzwoity rdzeń z jeziora będzie zawierać pyłki z kilku tysięcy lat.

- Rośliny, tak. - Nalał mętnego płynu do kubków. - Ważna tajemnica. Przybliży nas o krok do zrozumienia tej wyspy.

- A ty?

- Ja usiłuję odczytać rongorongo.

- Tajemnicze tabliczki.

- Jak dotąd nikt nie potrafił odczytać pisma. Ale zrozumienie, co zapisano na tych kawałkach drewna, bardzo ułatwiłoby zrozumienie tego, co się tu zdarzyło.

- Z jakiego drewna są tabliczki?

- Ach, pytanie botanika! My uważamy, że z drzewa toromtio. Inni, że z wawrzynu czy mirtu. W moim przekonaniu jedna jest z jesionu. Oczywiście pozostało ich tylko dwadzieścia jeden. W dziewiętnastym wieku misjonarze kazali mieszkańcom wyspy je spalić. Podobno wiele ukryto w jaskiniach, nigdy jednak nie zostały odnalezione.

- Bardzo bym chciała na nie popatrzeć. Zobaczyć drewno.

- Może podczas następnej bytności w Europie. W Londynie, Paryżu, Berlinie, Wiedniu, Leningradzie. Są tam w muzeach. Zaledwie trzy pozostały na tej półkuli. Dwie w Santiago, jedna w Concepción. Pierwszy raz zobaczyłem je w Santiago wiele, wiele lat temu i to rozbudziło moje zainteresowanie, chęć

ich odczytania. Byłem młody i pociągła mnie ich tajemnica. Ale teraz... -
Podał jej kubek. - Pani pisco, señora.

- Gracias.

Patrzył, jak podnosi kubek do ust. Trunek był cierpki i mocny, jak margarita z sokiem cytrynowym.

- Dobrze - wychrypiała.

- Pisco robi się z winogron muskat z doliny Elqui, nazywanej przez nas Zona Pisquera, na północ od Santiago. Piękne tereny dla amatorów pieszych wędrówek albo dla lotniarzy, tam gdzie woda spływa z Andów. W Chile wszyscy pijemy pisco. Większość cudzoziemców nie lubi jednak pisco bez kwaśnej domieszki, jest dla nich za słodkie. I za mocne. Pisco to słowo miejscowe, które oznacza latającego ptaka. W naszym przekonaniu miało ono tłumaczyć, co dzieje się w głowie, kiedy ktoś jest pijany. Przekonasz się za chwilę.

- Z uśmiechem pociągnął łyk, nie odrywając oczu od kubka. - Podoba ci się nasza mała tutejsza tawerna?

- Bardzo ładna.

Coś w jego rozkoszowaniu się tą chwilą - w siedzeniu na murku i nalewaniu pisco do blaszanych kubków - nasunęło Greer myśl, że pochodzi z bogatej rodziny. Jak gdyby wszystko, co proste czy starodawne, było dla niego prawdziwym luksusem.

- Ale jeśli na wyspie nie ma już żadnych tabliczek, dlaczego tu jesteś?

- Chcesz powiedzieć, że ten rodzaj wyspy nie wydaje ci się miejscem, gdzie można pozostawać bez końca? Tak, znakomite pytanie.

- Chyba zadawał je sobie wiele razy. - Oczywiście początkowo spodziewałem się znaleźć tu jeszcze jakieś tabliczki. Z tego jednak zrezygnowałem. Wiesz, jeśli pismo nie jest alfabetyczne, jeśli jest symboliczne, to zapewne symbole powstały jako przedstawienia przedmiotów związanych z dawną Rapa Nui. Naturalnie najlepszym sposobem określenia związku między znakami pisma a rzeczywistymi przedmiotami jest zbadanie rzeczywistych przedmiotów. Język dotyczy życia. Bierze z niego początek. Na przykład mamy obecnie na Rapa Nui nowy zwrot: peti etahi. Oznacza on jedną brzoskwinę, czyli coś, co po angielsku określamy mianem wybornego. Peti weszło do języka ostatnio, ponieważ chilijski statek z zaopatrzeniem przywiózł na wyspę nowy produkt - brzoskwinie konserwowe. Przedtem nie było tu brzoskwiń. A teraz są wszędzie i ludzie za nimi przepadają! Wszystko, co dobre, wszystko, co lubią, jest peti etahi.

- Znalazłeś jakieś współzależności?

- Wiele symboli wygląda na ptaki albo po części ptaki, po części ludzi. Niektóre są chyba rybami. Liczne przypominają drzewa.

- Drzewa? To dziwne.

- Ja je tak interpretuję. Rongorongo to wielka tajemnica, najbardziej spektakularne osiągnięcie tej wyspy. Moai ściągają turystów. Ale rongorongo, cóż... mówimy o czymś, co wydarzyło się zaledwie pięć razy w dziejach świata. - Vicente podniósł do góry pięść i przy każdej nazwie prostował jeden palec. - W Mezopotamii, Meksyku, Egipcie i Chinach. Tylko w tych miejscach wynaleziono język pisany. Wszystkie inne pisma są zapożyczeniami albo przeróbkami tamtych czterech. Cztery samoistne wynalazki pisma. I ten tutaj, na mojej ulubionej wyspie - jego kciuk powędrował w górę - numer piąty. Jedyne pismo dotąd nieodczytane.

- Zadanie dla ciebie - powiedziała.

- Tak, dla mnie.

- Brzmi to jak niezależna ewolucja - zauważyła Greer.

- Gadka biologiczna?

- Taki sam rozwój dokonuje się u różnych gatunków na odrębnych kontynentach czy nawet w różnych epokach. Kaktus amerykański i afrykański wilczomlec - oddzielone od siebie przez oceany, ale można by przysiąc, że spokrewnione. Te same nabrzmiące łodygi, te same aureole. Albo krzyżownica i groszek pachnący. Całkiem inne rodziny, ale dziewięciu na dziesięciu botaników nie potrafiłoby rozróżnić ich kwiatów. Nawet te podobne do helikoptera nasiona jesionu, klonu i tipuany. Różne gatunki, różne miejsca, wszystkie jednak w kształcie śmigła. Niektóre formy rozwoju po prostu mają sens.

- Jak wynalazek pisma.

- Właśnie.

- I ono rozwinęło się w pięciu zaledwie miejscach. Między innymi tutaj. - Poklepał kamienny murek. - To naprawdę jest coś.

- Rzeczywiście - przyznała Greer. - Mam tylko nadzieję, że napisy na tabliczkach nie okażą się tym, czym były niektóre inskrypcje klinowe. Dawnymi listami zakupów, księgami rachunkowymi. Byłoby wspaniale, gdyby naprawdę o czymś mówiły. - Stuknęła kubkiem o jego kubek, pociągnęła długi łyk i poczuła, jak alkohol napływa jej do skroni. Przeczesała palcami włosy. - Przynajmniej: „Romeo kocha Julię”. „Antoniusz kocha Kleopatę”. O czymś pikantnym.

- Nie „Romeo dał Julii czternaście kurcząt”.

- Połącz jedno z drugim: „Romeo dał Julii czternaście kurcząt, bo ją kocha”, a będziesz miał coś. Początek eposu.

Vicente wybuchnął śmiechem. Greer czuła, że ją obserwuje, i odchyliła się do tyłu. Nie zamierzała flirtować. Po prostu była lekko wstawiona.

- Odczytanie wygląda na doskonały projekt - powiedziała, odstawiając kubek. - Jest wyzwaniem.

- Bardzo dobrze byłoby wiedzieć, co zawierają tabliczki. - Vicente też wydawał się zadowolony, że minęła krótka chwila zakłopotania. - Ale nawet kiedy rozszyfrujemy pismo, będziemy mieli ich tak mało do czytania. Tyle zniknęło z tej wyspy. Chcesz wiedzieć, dlaczego wszystkie te moai jeszcze tu zostały? Bo są za ciężkie i nie nadają się do transportu.

Greer się roześmiała.

- Wszyscy dawni przybysze zabierali stąd cenne przedmioty. Wyspiarze wymieniali swoje rękodzieła na kapelusze i chusty. To tragiczne. Kto wie, co jeszcze tam jest? Pracuję właśnie nad zdobywaniem świadectw, które być może umiejscowią kolejne tabliczki. Słyszałaś o flocie niemieckiej, która stała tu na kotwicy podczas pierwszej wojny światowej?

- Flota admirała von Spee. Właściwie był też przyrodnikiem. Prowadził zapiski botaniczne dotyczące odwiedzanych przez niego portów.

- Nie czytałem tych relacji. Koncentrowałem się głównie na jego korespondencji morskiej, na dzienniku pokładowym. Na szczegółach związanych z ładunkiem. Przyrodnik, tak. Interesujący człowiek. Popłynął z pierwszą niemiecką misją kolonizacyjną do Afryki Zachodniej. Został awansowany na kontradmirała w 1912 roku, wysłany do Tsingtao, gdzie znajdował się w chwili wybuchu wojny. Człowiek waleczny. Oczywiście poszedł na dno z całą swoją flotą na Falklandach. Popełnił straszny błąd: próbował uciec. Nikt nie wie dlaczego.

- Czy strach nie jest wystarczającym powodem? O ile dobrze pamiętam, ścigała go cała flota brytyjska.

- A także francuska, rosyjska i japońska. Ale był wielkim admirałem, pani doktor. Naprawdę wielkim. Ludzi tego pokroju nie tak łatwo ogarnia strach.

- Na pewno jednak ogarnia.

- Zgodnie z wszystkimi relacjami jego oficerów, nawet jego nieprzyjaciół, von Spee był człowiekiem nieustraszonym.

Lecz odwaga, pomyślała Greer, to uczucie, nie usposobienie. Nikt, choćby najwybitniejszy, nie jest wolny od strachu. Któż by pomyślał, że Thomas Farraday może się bać niepowodzenia?

- Tak czy owak, był tutaj - powiedziała Greer. Dobrze się bawiła i nie chciała popsuć zabawy. - Ten waleczny, nieustraszony admirał z zamiłowaniem do botaniki. Był na Wyspie Wielkanocnej. Jak to się ma do rongorongol

- Panuje pogląd, którego potwierdzenie spodziewam się znaleźć w tych świadectwach, że flota odpłynęła z wyspy z cennymi przedmiotami. Miejscowe legendy mówią o rzeczach znikających z wyspy wraz z okrętami wojennymi. Mam nadzieję, że te wartościowe rzeczy - w moim przekonaniu tabliczki - wcześniej wysłano do Niemiec.

Greer podniosła wzrok; gwiazdy zapalały się na nocnym niebie. Chłodny wietrzyk wiał od oceanu. Tego tylko pragnęła - przyjemnej rozmowy w nowym miejscu z nowym znajomym. Podciągnęła nogi i skrzyżowała je po indiańsku.

- Czy Niemcy przyznają się, że je mają, jeśli tak jest.

- Nie - odparł Vicente. - Chyba me będą chcieli się przyznać do ukrywania artefaktów. Ale jeśli zdobędę dokumenty na dowód, że je mają, sytuacja się zmieni.

- I chcesz, żeby wróciły na wyspę?

- Tak - powiedział Vicente. - Z Chile jednak nie pójdzie łatwo. Widzisz, Chile będzie je chciało. Chile będzie je uważać za swoje.

- Wyspiarzom może się to nie spodobać.

- Jestem Chilijczykiem. Wielu mieszkańców Rapa Nui to Chilijczycy albo półkrewi Chilijczycy. Nie ma teraz antagonizmu między Rapa Nui a Chile, leszcze nie. Ale wśród miejscowej ludności narasta przekonanie, że nie powinniśmy tu być. Nazywa się nas inauku albo, po hiszpańsku, pasto. Znasz to słowo" Znaczy „chwast". Znaczy, że niszczy dobre rzeczy.

- Tu jest mnóstwo chwastów. Wśród roślin. I pamiętaj - powiedziała - że co dla jednego jest chwastem, dla drugiego jest kwiatem.

- Cóż, nawet jeśli niewiele jest na tej ziemi, wyspiarze chcieliby ją mieć dla siebie. Ostatecznie należy do nich. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rząd nie pozwalał im podróżować. Więc jedni kradli łodzie wiosłowe Marynarce Chilijskiej, mm robili nawet zagłówki i kanu i płynęli na Tahiti, lecz nie mieli przyrządów nawigacyjnych. Możesz sobie wyobrazić tę straszną scenę, kiedy o świcie wieś się budziła i okazywało się, że brak tylu mężczyzn. - Vicente pokiwał głową. - Niektórzy nawet rodzinom nie powiedzieli o swoich planach w obawie, że zostaną zatrzymani. Większość tych łodzi zaginęła na morzu. To był kolejny straszny rozdział w historii wyspy. Dobrzy mężczyźni, mężczyźni, którzy mogliby zostać przywódcami, zginęli.

- Nie brzmi to zbyt prochilijsko.

- Kocham Rapa Nui. W głębi duszy jestem tutejszy. To prawda, to czuję. - Stuknął się w pierś. - I chciałbym widzieć, że do tych ludzi należy ich wyspa. Ale nawet jeśli zdołam rozwiązać zagadkę rongorongo, ludzie będą czuli urazę. Nie jestem tutejszy. Nadal pozostanę pasto.

- Naprawdę myślisz, że potrafisz? Odczytać je?

- Chyba muszę tak myśleć, bo inaczej bym nie próbował. Ale czekam na coś nowego, nad czym mógłbym pracować. Liczę na mój własny kamień z Rosetty.

- Wiesz, kamień z Rosetty był zrobiony z bazaltu. Ta wyspa jest bazaltowa. To dobry omen.

- Miejmy nadzieję. - Vicente pociągnął ostatni łyk trunku. Niebo nad nimi było teraz czarne, gwiazdy tak jasne, że zdawały się sypać z nieba. Odległa latarnia uliczna rzucała na nich łagodne światło, lecz Vicente rozpląnął się w cieniu. Greer wyciągnęła z plecaka latarkę, zapaliła ją i położyła na kamieniu między nimi.

- Lepiej - powiedziała. On się roześmiał.

- Ach, pani doktor, wkrótce przywykniesz do tutejszych ciemności. Ja nawet nie mam czegoś takiego. - Podniósł i obejrzał latarkę. - A ty? Ty będziesz pobierać próbki odwiertowe? To wygląda na pracę, która może dawać dobre, określone rezultaty.

- Jak już się człowiek upora z jej brudną i męczącą częścią.

- Praca intelektualna połączona z fizyczną. To mi się podoba.

- Mnie też, dopóki nie stoję po kolana w bagnie.

- Cóż, tu nie ma bagien.

- Jeziora w kraterach na pewno będą przysparzać wielu kłopotów.

- Jeziora w kraterach?

- Próbki trzeba pobierać z terenu wilgotnego. W wodzie pyłki przechowują się tysiące lat.

- Ach, tak. W kraterach jest świeża woda. Ale wszędzie indziej jest sucho. Czy wiesz, co takiego chcesz znaleźć?

- Staram się o tym nie myśleć, żeby analiza nie była stronnicza. Ciekawi mnie jednak, dlaczego nie ma tu rodzimych drzew ani krzewów. Coś się wydarzyło - erupcja, trzęsienie ziemi - i zmiotło z jej powierzchni całą roślinność.

- Jest tak, jak mówiłem. Wszystko tu znika. Także rośliny.

- Na to wygląda. Będę musiała przyjrzeć się rdzeniowi. Wydobywać pyłki na różnych głębokościach, liczyć ziarna, analizować skupiska. Na tej podstawie mogę zacząć odtwarzanie dawnego wyglądu wyspy.

- To znakomity projekt - powiedział Vicente. - Jestem wielkim zwolennikiem nauk botanicznych. Kiedy własna praca znajduje się w impasie, praca innych zawsze wydaje się bardziej podniecająca, ważniejsza, prawda?

- Gramineae zawsze mają więcej chlorofilu... - roześmiała się Greer. Vicente uniósł brwi. - Gadka botaniczna: Trawa jest zawsze, bardziej zielona.

- Ach, tak, słyszałem to powiedzonko. Po drugiej stronie płotu...i to prawda. Ale nic nie mogę poradzić na to, że fascynuje mnie flota niemiecka. Dlaczego Niemcy tu przyплыnęli. Co robili. Tobie też się to zdarza? Miewasz takie rozterki?

Greer kiwnęła głową.

- Chętnie sobie powtarzam, że to nie rozterki. Że co jakiś czas trzeba odbiec myślą w bok, aby zrozumieć to, co się ma przed oczami.

- Tak, no cóż, może ty będziesz chciała poświęcić trochę czasu na oglądanie zdjęć rongorongo, a ja na pobieranie próbek odwiertowych. Zawsze interesowała mnie ta praca. Jak wiesz, należałem do grona wielbicieli Thomasa Farradaya. - Vicente spojrzał na nią - Był twoim mężem?

- Tak.

- Dużo czytałem o jego pracy.

Za mało, cisnęło jej się na usta, żeby wiedzieć o jego śmierci.

- Przykro mi, że wziąłem cię za niego. Oczywiście napisali tylko „Doktor Farraday”. Wyszedłem z takiego założenia. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Naturalnie - zapewniła Greer. Nie mógł wiedzieć, że z takiego samego założenia wychodzili wszyscy. Mimo to wzmianka o Thomasie nagle popsowała jej nastrój. Spojrzała na zegarek. - Liczę, że mi wybaczysz. Obiad mam o dziewiątej. I muszę przejrzeć dzisiejsze notatki.

- Nie powinnaś się spóźnić na jedną z uczt Mahiny.

- Znasz Mahinę?

- Ach, pani doktor. Wszyscy znają Mahinę. Niezwykła kobieta. Jak mówiłem, to bardzo mała wyspa.

- Cóż, dzięki za drinka. - Greer stuknęła się z nim kubkiem. - I za rozmowę.

- Kiedy wstawiała i wkładała plecak, poczuła lekki zawrót głowy. Mocny trunk na pusty żołądek po długim dniu to kiepska kombinacja. - Jestem pewna, że zobaczę cię w laboratorium. I gdzie indziej.

- No więc, pani doktor, chciałbym, żebyś wiedziała, że dalej siedzę tu na tym murku, bo jak się domyślam, wolisz iść sama.

- Ładne tłumaczenie - powiedziała.

- W porównaniu z rongorongo wszystko inne jest łatwe.

Był uroczy, musiała to przyznać. I kiedy indziej może by chciała, żeby ją odprowadził.

- Jestem po prostu spragniona samotności - wyjaśniła.

- To dozwolone. Choć musisz wiedzieć, że dla mnie trudne. Chilijczycy nie przywykli pozwalać kobietom na samotny powrót do domu.

- Cóż, ta Amerykanka bardzo przywykła do takich powrotów.

- Zgoda. Na razie. Ale kiedy wejdiesz między wrony, pani doktor...

- No, to już całkiem inna historia - uśmiechnęła się Greer. - Wtedy mam do czynienia z ptakami.

- Porzuciłaś mnie, znieważyłaś mój kraj i moją męskość, doktor Farraday, i to w niespełna minutę. Co, na Boga, pozostanie na następne miesiące?

- Praca.

- Widzę, że będziesz na mnie wywierać wyjątkowo dobry wpływ. Znakomicie. - Vicente nalał sobie kolejnego drinka i mrużąc oczy, przerzucił kartkę gazety. - Ach, wczoraj były wybory, a my nie dowiemy się, kto wygrał, dopóki w przyszłym tygodniu nie przyleci samolot. Widzisz, jak tutaj wszystko może się stać tajemnicą?

- Dobranoc, Vicente. Uniósł swój kubek.

- Salud, mi amiga. Bardzo jestem ciekawy, co znajdziesz pod swoim mikroskopem.

- Ja też - powiedziała Greer. - Ja też.

I poszła, kierując się po drodze wąskim snopem światła latarki.

Rozdział siódmy

Od początku była to kwestia zaopatrzenia.

Dwa tysiące oficerów i marynarzy pod rozkazami admirała von Spee potrzebowało żywności i świeżej wody. Działa potrzebowały amunicji. A co najważniejsze, bez węgla pięć opancerzonych krążowników nie mogło przebyć ani cala.

Węgiel: ta prosta kopalina palna z dawnych skamieniałości roślinnych przesądziła o losie von Spee. Sam „Scharnhorst”, jego okręt flagowy o ładowności dwóch tysięcy ton, spalał w jeden dzień prawie dwadzieścia pięć procent tego ładunku. Po spędzeniu niespełna tygodnia na morzu musiał stanąć na kotwicy i napełnić bunkry. Ale cesarstwo niemieckie miało zaledwie jedną ufortyfikowaną stację bunkrową na całym Pacyfiku: Tsingtao - port, z którego uciekała eskadra. Na Pacyfiku znajdowało się parę Etappen, krajów neutralnych, w których Niemcy mogły się zaopatrywać, a także wyspy Apia, Yap, Rabaul - kolonie niemieckie. Zagarnięcie ich przez aliantów, uciszenie stacji telegraficznych i radiowych, odcięcie von Spee od ewentualnych źródeł zaopatrzenia było jednak tylko kwestią czasu.

Szóstego sierpnia 1914 Niemiecka Eskadra Wschodnioazjatycka, Kreuzergeschwader, wyszła w morze i rozpoczęła długą, uciążliwą podróż przez Pacyfik do bazy w Wilhelmshaven, do Niemiec, do domu. Teraz sprzymierzyły się przeciw niej Rosja, Wielka Brytania i Francja, których okręty szybko zamykały oceany świata przed niemieckimi statkami handlowymi i okrętami wojennymi. Tylko oddalony o tysiące mil Bałtyk pozostawał bezpieczny.

Od tej pory - pisał von Spee w swoim dzienniku - jestem zdany wyłącznie na siebie.

Opuszczając Tsingtao, von Spee wyzbył się również nadziei na komunikację z krajem. Zasięg radia na okręcie wynosił zaledwie kilkaset mil, a stacje telegraficzne były nieliczne i oddalone jedna od drugiej. Sam, niezdolny skorzystać z niczyjej rady, von Spee musiał słuchać rozkazów, w chwili obecnej dziwnie proroczych, a dawno temu wydanych na wypadek wojny przez kajzera dowódcę na obcych wodach:

Od tej pory musi sam podejmować decyzje... Ustawiczne napięcie pozbawi jego załogę energii; ogromną odpowiedzialność dowodzącego oficera powiększy osamotnienie jego okrętu; wszelkiego rodzaju pogłoski i rady, udzielane na pozór w najlepszej intencji, sprawią niekiedy, iż sytuacja będzie przedstawiać się beznadziejnie. Ale on nie może ani przez chwilę zdradzać

słabości. Musi być ustawicznie pomny na to, że sprawność załogi, jak też zdolność do znoszenia niedostatku i stawiania czoła niebezpieczeństwom zależy głównie od jego osobowości, energii i od sposobu, w jaki wypełnia swój obowiązek...

Więc von Spee wypełniał swój obowiązek. Postanowił przeciąć Pacyfik, opłynąć Amerykę Południową, następnie zaś przedrzeć się do Europy.

Pierwszym postojem eskadry w tej długiej podróży była wysepka Pagan na Marianach, należąca do Niemiec. Marynarze znaleźli na niej żywe bydło i świnie, świeże warzywa, mąkę, whisky, wino i tytoń. Wyszli na brzeg, słuchali nocą pieśni wyspiarzy, patrzyli na księżyc nad głowami. Przez tych parę dni było prawie tak, jakby wojna jeszcze się nie zaczęła.

Kiedy jednak cztery oczekiwane przez nich okręty dostawcze nie przyplłynęły, ponieważ zdobyli je alianci, wszyscy, a zwłaszcza von Spee, zrozumieli, że rozpoczął się pościg.

Pechowa flota: Hrabia von Spee i niemożliwa podróż powrotna

Rozdział ósmy

Alice zatacza wiosłami nierówne kręgi i po lekko wzburzonym morzu płynie w stronę szkunera. Stojący na rufie Kierney z niedowierzaniem kręci głową.

- Chodź, Eamonn, popatrz. Myślę, że pannie Pendleton znudził się pobyt na łodzi! To mi wygląda na bunt!

Kiedy Alice wreszcie taranuje szkuner, piszcząc z uciechy, Kierney i Eamonn wciągają przemoczoną postać na pokład i owijają kocami. Kierney płynie potem dingi do brzegu po Elsę i Edwarda.

- Coś mi się zdaje, że z panny Pendleton byłby świetny kapitan - śmieje się w drodze powrotnej. Lecz Elsa i Edward milczą. - Z początku bardzo się dziwiłem, że tak lubi ptaki. Zna wszystkie nazwy i w ogóle. A potem, że lubi rysować. Robi to całkiem nieźle. Ładnie mnie narysowała z jednym z tych gołębi przyłaskowych na ramieniu. Ale do głowy mi nie przyszło, że panna Pendleton będzie lubiła wiosłować. Dama o rozlicznych zamiłowaniach, powiadam państwu.

Deszcz pada teraz bardziej ulewny, na wodzie dokoła nich tworzą się bąbelki.

- Przestań gadać, Kierney - mówi Elsa.

- No, ja tylko komplementowałem pani siostrę! Was niczym nie można zadowolić!

- Kierney. - Edward głos ma stanowczy. Podnosi w górę palec jak miecz.

Elsa nie odrywa wzroku od Alice, usadowionej na dziobie, kręcącej wilgotną głową nad kokonem z pledów. Alice zawsze była nieprzewidywalna, ale to... Odplnięcie w pojedynkę - co mogła sobie myśleć? Mógł ją znieść prąd. Gdyby dingi się przewróciła, Alice by utonęła. Dlaczego nie usłuchała Elsy i nie czekała? Czy Elsa miała też powiedzieć, żeby nie brała dingi? Nie próbowała płynąć do szkunera? Czyż Elsa musi sobie wyobrażać wszelkie możliwe nieszczęścia, aby im zapobiegać?

Czuje wzbierający powoli gniew. Proszę bardzo, myśli. Wszystko, od czego spodziewała się uwolnić w tej podróży. Teraz rachunek wydaje się prosty: Na każdy krok, jaki Alice robi w kierunku lekkomyślności, ona musi zrobić krok w kierunku ostrożności. Z tą równowagą nie może walczyć.

Oczywiście jest zła na siebie, nie na Alice. Alice nigdy nie należy winić; to też stanowi część równania, constans. Błąd popełnia Elsa, kiedy myśli - ma nadzieję - że Alice mogłaby się zmienić. Dlaczego kilka miesięcy bez poważniejszego incydentu uważała za oznakę dojrzewania Alice? Dlaczego wciąż się ludzi, że czas potrafi zmienić Alice, tak jak zmienia innych? Alice

zawsze żyła poza czasem. Dla niej chwile i wydarzenia nie gromadzą się, nie sumują, aby spowodować zmianę.

Muszę jeszcze bardziej uważać, mówi sobie Elsa. W tej podróży Alice staje w obliczu nowych okoliczności, więc trzeba być czujną, aby przewidzieć jej reakcje.

Ledwie wspięli się na pokład, Alice zrzuca z siebie pledy i obejmuje ich wilgotnymi rękami.

- Beazley! Wzięłam łódkę!

Elsa uwalnia się z uścisku, łapie Alice za ramię.

- To ocean, Allie. Woda jest lodowata. Głębsza, niż sobie potrafisz wyobrazić. Nigdy więcej tak sama nie odpływaj. Nigdy!

- Nic jej się nie stało - mówi Edward. - No. - Od tyłu podchodzi do Alice i owija jej głowę ręcznikiem. Alice stoi teraz między nimi dwojgiem i sennie mruga oczami. - Alice dobrze się czuje - szepcze Edward. - Nie denerwujmy jej dodatkowo.

- Już nie spuszczę jej z oczu.

- Będzie przy nas przez cały dzień, dobrze, Alice?

- Nie spuszczę cię z oczu - mówi Elsa.

Alice potakuje obojętnie. Dlaczego jest tak, że Elsa może leżeć nocą w kajucie, tulić się do Alice, czuć się z nią bardzo silnie związana, a teraz wcale? Kiedy Alice błędziła gdzieś myślami, ona zawsze miała niesamowite uczucie, że została porzucona. W dzieciństwie odnosiła wrażenie, że została po ciemku sama, więc szczypała Alice, próbując wyrwać ją z takiego stanu - na próżno. Teraz chce potrząsnąć Alice, żeby znów była sobą. Potrzebuje ze strony Alice zrozumienia, iż sama nie może jej chronić.

Dręczy ją świadomość, że te same dwie osoby mogą doświadczać dwóch tak zasadniczo odmiennych uczuć: absolutnego związku i całkowitej odrębności.

- Pewnie musiała rozprostować kończyny - mówi Edward. - Będziemy ostrożniejsi.

Próbuje uspokoić Elzę, ale teraz ona ma mu za złe tę łatwość, z jaką uwierzył, że skoro nic się nie stało, wszystko jest w porządku.

- To był okropny pomysł - mówi. - Ta wycieczka. Ta łódka. Co my robimy?

- Nie popadaj w przesadę, Elsa. Jesteśmy prawie na miejscu.

- To nie zwiększy bezpieczeństwa.

- Ograniczy możliwości.

- Tego nie wiesz.

- Zdajesz sobie sprawę, jak blisko jesteśmy?

Valparaiso leży zaledwie dwieście sześćdziesiąt mil na północ. I Elsa wie, że w tym momencie powrót nie byłby bezpieczniejszy niż dalsza podróż.

Jej ręce wyczuwają tak drobne, tak kruche kości Alice.

- Proszę cię, Edwardzie, potrzebuję, żebyś mi pomógł. Pilnować.

- Pomogę.

Elsa niemal odruchowo całuje Alice w głowę.

- Zostań z nią teraz. Idę na dół. Po prostu muszę się położyć. Ale kiedy w wąskiej kajucie próbuje odpocząć, myślami wraca do wilgotnej, zielonej ścieżki, która wiedzie do jaskini, do Alice, przycupniętej obok Budynia, okrytej jej peleryną; zupełnie jakby wierzyła, że jeśli zdoła dość dokładnie przeanalizować wydarzenia, znajdzie odpowiedź. Przewraca się na bok, naciąga na głowę szorstki wełniany koc, po czym go odrzuca. Nie zasługuje na sen. Od dziecka miała uczucie, że opieka nad Alice jest zadaniem, które wyznaczyła jej jakaś siła wyższa. Więc kiedy Alice potykała się na schodach, uderzała głową w ościeżnicę drzwi albo stawała się pośmiewiskiem grupki przechodzących dzieci, Elsa była przeświadczona, że źle się spisała. Wyznaczała sobie pokutę - cztery wieczory bez deseni; tydzień spania bez poduszki; raz na schodach kościoła Najświętszej Marii Panny zostawiła ulubioną lalkę z kartką: Dla dziecka, które bardziej na nią zasługuje. Bo czyż człowiek godzi się ponieść ofiarę, jeśli nie uważa jej za część jakiegoś boskiego planu?

Elsa wstaje z łóżka i wspina się na pokład, gdzie Alice siedzi owinięta pledem, oparta o nadburcie.

- Myślałem, że jesteś zmęczona - mówi Edward. Elsa przeciera zaspaną twarz.

- Nigdy - odpowiada.

Po czterech dniach docierają do zgiełkliwego portu Valparaiso. Z ciemnoniebieskiej wody wyrasta las masztów; kakofonia języków, hiszpańskiego, włoskiego, angielskiego i francuskiego, dobiega od nabrzeży. To tutaj przygotowują się do ostatniego etapu podróży, do przebycia ostatnich dwu i pół tysiący mil po pełnym morzu. Trzeba zrobić nowe zapasy. Przejrzeć w ładowni wszystko i załadować od nowa. Kierney i Eamonn rozpoczynają poszukiwania na nabrzeżach, wdają się w pogawędki z szyprami, kapitanami i kucharzami, rozglądają za nową pracą. Popłyną wprawdzie na wyspę, lecz wrócą do Valparaiso łodzią Kompanii Chilijskiej, która raz do roku zabiera z wyspy wełnę, a zgodnie z planem ma odbyć doroczny rejs za trzy tygodnie. Pierwszego wieczora po zejściu na ląd Edward dowiadyuje się jednak od konsula, że łódź kompanii odplynęła poprzedniego dnia.

- Miała odpłynąć dopiero za parę tygodni - mówi Edward. - Będziemy musieli wyruszyć wcześniej, jeśli marynarze mają zdążyć i wrócić nią tutaj. Nie możemy dopuścić, żeby utknęli na wyspie i cały rok spędzili z nami. - Przez dwa dni gorączkowo robią zapasy, uzyskują pisemną zgodę władz chilijskich na prowadzenie prac archeologicznych i wysyłają ostatnie listy - same służbowe, uświadamia sobie Elsa i żałuje, że w tej ostatniej chwili nie ma do kogo napisać: Ostatni etap, jesteśmy prawie na miejscu. Żałuje, że nie może napisać do Maksa.

Ostatni wieczór przed odpłynięciem na wyspę załoga spędza na lądzie, podczas gdy Elsa i Edward, siedząc na pokładzie, sprawdzają resztę sprzętu.

- Chcę ci podziękować, Elso. Nie mógłbym marzyć o lepszej asystentce.

- Cóż, to było podniecające. Jest podniecające. O całe niebo bardziej niż siedzenie w Hertfordshire.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że czeka nas przygoda naszego życia? - Edward sprawia wrażenie zdrowego i tryskającego energią, młodszego niż w Anglii. Triumf, jakim było przepłynięcie przez cieśninę i doprowadzenie ich tak daleko, najwyraźniej dodał mu sił. - Będzie to nasze wspólne największe doświadczenie.

Nachyla się i całuje Elbę w usta. Po tak długim czasie, po tych wszystkich wieczorach, kiedy ścisnął jej rękę albo całował ją w czoło, Elbę zaskakuje ten nagły przejaw namiętności. Z jej ust wyrывa się cichy śmiech. Edward się cofa.

- Przepraszam, nie chciałem... - Zajmuje się zwojem liny, który trzyma w rękach. - Wiem, że to doświadczenie, ta podróż dobrze nam zrobi. Ty będziesz miała tyle swobody, ile mogłabyś sobie wyobrazić. Nie potrzeba ci stopnia naukowego, świadectwa. Tylko ciekawości.

- Ani trochę nie denerwuje cię myśl o przybyciu na miejsce?

- Zapominasz, że podróżowałem już wcześniej. Ale pamiętam moją pierwszą wyprawę. Bali. - Podnosi oczy na maszt, na takielunek i pogrąża się we wspomnieniach. - Byłem asystentem bardzo doświadczonego antropologa, który nie tolerował najmniejszych oznak zdenerwowania. Ale mnie zawodziły nerwy. Potem jednak, z chwilą przybicia do brzegu, wszystko się zmieniło. Znikło miejsce będące wytworem wyobraźni, a ukazała się prawdziwa ziemia, prawdziwi ludzie. Nerwy najsilniej dają o sobie znać w królestwie wyobraźni. - Teraz zwraca się do niej twarzą. - Ale niebawem znajdziemy się tam, na tej wyspie, i wszystko będzie inaczej.

- Sądzę, że i ja mam większe oczekiwania. Nie potrafię uwierzyć, że naprawdę to robię.

- Twój ojciec byłby dumny.

Elsa oddycha głęboko. Milkną na chwilę i obserwują dostawców okrętowych, pakujących swoje towary na wieczór, te ostatnie ślady znajomej cywilizacji, z turkotem odjeżdżające wozami w dal.

- Podróż do nowego kraju to coś, co zadziwia. Zobacysz, Elsa. Strach nie może być silniejszy od ciekawości.

Wyruszają następnego ranka. Ponieważ między Valparaiso a wyspą nie da się stanąć na kotwicy, będą musieli przebyć ten odcinek w trzy tygodnie. Elsa, której nie daje spokoju nieuchronne rozstanie z załogą, mało sypia. Dziesięć wyczerpujących miesięcy spędziła z tymi mężczyznami i teraz zżera ją dziwny lęk przed utratą. Jednostki, ludzie niewiele z tym mają wspólnego. Ilekroć wyjeżdżała z domu, gdzie była guwernantką, zawsze bała się pożegnania z dziećmi, nawet jeśli to były potwory. Nigdy nie mogła się powstrzymać od składania śmiesznych obietnic i wierzyła, że ich dotrzyma: Spróbuję przyjechać w odwiedzinę na wiosnę. Przyjedźcie odwiedzić mnie w Lancashire. Albo teraz: Eamonn, obiecaj nas odnaleźć, jeśli kiedykolwiek będziesz gdzieś choćby w pobliżu Angli.

- Niech pani pamięta o starym Eamonnie, kiedy pani znajdzie ten zakopany skarb, pani Beazley.

Nie w tym rzecz, że lubi załogę, ale przywykła do obecności tych ludzi. A życie małżeńskie, takie, jakie poznała, polegało na tym, że Edward sypiał w innej kajucie. Sposób traktowania przez nią Edwarda nieomal zależy od załogi, bliskość marynarzy tłumaczy okazywaną mu rezerwę. Po ich odejściu nie będzie powodów do unikania poufałości.

Przez dwa tygodnie żegluga nie dostrzegają lądu i Elbę zaczyna opanowywać myśl, że wreszcie dotrą do miejsca przeznaczenia. Przepłynęli tysiące mil, poszukując tego skrawka ziemi, wierząc w opowieść o wyspie, której nigdy nie widzieli. Wkrótce wyjdą na jej piaski, spełni się życzenie.

Osiemnastego dnia, w promieniach rozpalonego słońca, kilka ptaków morskich zatacza kręgi nad łodzią. Łódź musi być blisko. Elsa siedzi na pokładzie, wpatrzona w pełne żagle, napięte liny i wciągarki, nie ma już jednak wrażenia, że sami przebyli tę odległość. Łódź wydaje się jej istotą zdeterminowaną, a ocean i wiatr spiskowcami, którzy układają tajemniczy plan. Ta myśl ją uspokaja: jeśli potrafi wierzyć, że prowadziła ich niewidzialna ręka, potrafi też wierzyć w ich pomyślność i bezpieczeństwo Alice.

Następnego wieczora, pełniąc wachtę pod nisko zawieszonym, jasnym księżycem, dostrzega zarys wyspy.

- Allie! Edward!

Na ładzie nie ma świateł. Tylko niewyraźne ślady dogasających ognisk rozsnuwają w ciemnościach pasma dymu. To jest to, myśli Elsa.

- Skierujemy się na południe od tego pomostu i rzucimy na noc kotwicę - mówi Edward. - Teraz nie jest bezpiecznie wychodzić na ład. :

Zwalniają, aby podejść do kotwiczowiska. Edward ujmuje ster, Kierney i Eamonn luzują szoty; żagle zaczynają łopotać. Łódź sunie w stronę brzegu, a oni słyszą łoskot, z jakim fale uderzają o skały.

- Rzuć! - woła Edward i załoga obraca kabestan, kręcąc gwałtownie; gruby łańcuch grzechocze, kiedy kotwica spada na dół, zanurza się w ciemnej wodzie.

Po rzuceniu kotwicy, sklarowaniu żagli i lin na pokładzie daje się wyczuć zmęczenie. Wszyscy padają, opierają się o nadburcie, milczą jakby w obawie, że rozmowa wyrwie ich z cudownego snu o ładzie. Nasłuchują cichego pluskania wody o burzę, rytmicznego skrzypienia lekko rozkołysanej w ciemnościach łodzi, całej tej masy wysłużonego drewna.

Po kilku minutach w ciszę wdziera się głos Edwarda:

- Pora zejść na dół i trochę się przespać. Jutro czeka nas długi dzień.

Elsa się dźwiga, ujmuje rękę Alice i sprowadza ją do kajuty. Edward schodzi za nimi. Wszyscy bez słowa przygotowują się do snu. Życzenia dobrej nocy jak cmy trzepoczą się w mrokach.

I tej nocy, po raz pierwszy od wyruszenia z Southampton, Elsie śni się Max. Jest w St. Albans, przemierza opustoszały dom jej ojca, szuka Elsy. Przedziera się przez salon, sypialnię, bibliotekę, wołając ją, powtarzając jej imię, Elsa, Elsa, Elsa, aż to słowo nabiera monotonnego rytmu, Elsa, w miarę zaś jak Max przeszukuje pokój po pokoju, jego głos potężnieje, nawarstwia się, zwielokrotnia, aż setki głosów razem skandują El-sa-el-sa-el-sa.

Elsa budzi się z czołem wilgotnym od potu. Łódź wznosi się i opada z przeciągłym skrzypieniem. Raptem żołądek podchodzi Elsie do gardła. Nad nią w otwartym luku widnieje brązowa twarz. Oczy, białe w świetle księżyca, w ciszy badają, oglądają najpierw ją, potem Alice i wąską przestrzeń między nimi. Elsa obejmuje ramieniem uśpioną Alice. Zastanawia się, czy nie zawołać Edwarda, boi się jednak przestraszyć czy rozgniewać gościa. I wtedy sobie przypomina.

Szepcze niepewnie, z nadzieją: - Iorana!

Twarz gościa rozpromienia się w uśmiechu.

- Iorana - odpowiada na cały głos mężczyzna, budząc Alice. Z kajuty, z kambuza, z pokładu, z wody za łodzią dobiegają dziesiątki głosów. Dźwięcznie, zgodnie wołają:

- Iorana. Dzień dobry.

Rozdział dziewiąty

Sznury, którymi próbnik był przytroczony do końskiego grzbietu, przypominały w ciemnościach nitki olbrzymiej pajęczyny, unoszącej się przed nią w powietrzu. Było tuż przed świtem. Greer jechała ścieżką wzdłuż północnego wybrzeża, na końcu karawany złożonej z trzech koni. Środkowy koń dźwigał jej duży sprzęt. Ramon prowadził. Zmierzali w stronę Rano Aroi, najmniejszego krateru na wyspie.

Greer potrzebowała kilku dni na pobranie początkowego zestawu rdzeni, więc śpieszyła się z rozpoczęciem pracy. Wydobycie czystego rdzenia wymaga skrupulatności, a po raz pierwszy robi to sama; ona i Thomas zawsze razem pobierali próbki, stojąc na nartach czy saniach, wierząc otwory w zamarzniętych jeziorach, starając się utrzymać równowagę na prowizorycznych tratwach, kiedy zanurzali próbnik w bagnie. W czasie podróży poślubnej do Toskanii pojechali w Apeniny, żeby zbierać piaskowce. Wtedy ich wzajemne stosunki układały się dobrze, Thomas był sobą, a gdy łomotali młotkami w lico skały, prowadzili żartobliwe rozmowy. Mężu, zechcesz porządnie w to walnąć! Boże wielki, walę, żono. W łóżku najpierw się kochali, potem, czekając na zapadnięcie w sen, szeptali o barwach osadu, o strukturze skał. Wspólnie czerpali przyjemność z wydobywania fizycznego kawałka historii, ze słuchania gderliwych „zeznań”, jak je lubili nazywać, wymuszanych na ziemi przez ich młotki. Po powrocie do laboratorium, wskazując na próbkę, Thomas mówił z porozumiewawczym mrugnięciem: Zabierz to do pokoju przesłuchań. Ale jego ożywienie, jego zadowolenie z tych procesów ulotniło się przed laty.

Greer zmieniła pozycję w siodle, usiłując się przystosować do swego oporządzenia. Była w stroju polowym: długich spodniach khaki, sportowej bluzie, kaloszach do kolan. W plecaku dźwigała wodoodporny notatnik, aparat fotograficzny, dużą butelkę wody, apteczkę, parę grubych rękawic, trzy rolki folii aluminiowej i plastikowe torebki na próbki. Na jej kolanach leżały trzy teleskopowo rozsuwane nóżki statywu, połyskujące w słońcu, które wyjrzało zza horyzontu.

Greer rozkoszowała się tą długą poranną jazdą na stanowisko w terenie i rozsmakowywała w przewidywaniach, do czego, jak wiedziała, Thomas nie byłby zdolny. Tak się skoncentrował na uzyskiwaniu odpowiedzi, że dociekanie zaczęło mu ciążyć. Lecz Greer nadal nie pojmowała, jakim właściwie sposobem przestał dostrzegać proces naukowy, dlaczego człowiek,

który kiedyś stawiał sobie tak wysokie wymagania, poszedł na największe sieroty.

Próbowała się skupić na kraj obrazie. W miarę jak niebo powoli się rozjaśniało, poszarpane cienie okazywały się skałami i drogowskazami. Obsydianowe morze przybrało barwę niebieską. Zanim dwie mile za miastem skręcili w głąb lądu, słońce wyznaczyło długi, roziskrzony szlak na powierzchni oceanu.

- Rano Aroi - wykrzyknął Ramon i wskazał przed siebie. To były pierwsze słowa, jakie wymienili od godziny. Ciemność miała w sobie coś, co sprawiało, że milczenie wydawało się rzeczą naturalną.

- Cudowne - powiedziała Greer. - Magnifico. Ramon zatrzymał konia i wpatrzył się w krater.

- Si, magnifico.

W oddali Greer widziała krater, wzniesiony nad trawiastym stolcem - knykieć ziemi. Żadne drzewa ani krzewy nie przesłaniały widoku. Pod pasemkami porannej chmury tylko krater majaczył przed nią: jej pierwsze stanowisko w terenie.

Ścieżka zginęła na porośniętej trawą równinie, usłanej skałami wulkanicznymi, toteż konie szły ostrożnie.

Tuż po wpół do ósmej spętali je przy wychodni, a odwiązany próbnik i statyw wciągnęli na krawędź krateru. Greer oblała się potem, kiedy taszczyła plecak i nóżki statywu. Cały ten sprzęt, włącznie z nimi i próbnikiem, zaprojektowany przez mężczyzn dla mężczyzn, wymagał siły fizycznej od ludzi, którzy go transportowali i którzy się nim posługiwali. Nawet Ramon dyszał pod jego ciężarem. Chyba był wdzięczny, kiedy mu powiedziała, pół po hiszpańsku, pół na migi, że już odsapnęła, że musi popracować sama, a on może robić, na co ma ochotę. Po prostu pomoc osoby niewykwalifikowanej przy pobieraniu próbek wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem. Ktoś taki bardzo łatwo mógł popełnić błąd, mimo najlepszych chęci zanieczyścić próbki. Ramon wyciągnął się na splechtku trawy, oparł głowę na ramieniu, drugą ręką podniósł do oczu zniszczoną książkę w miękkiej oprawie.

Greer wyjęła aparat i sfotografowała krater, zaledwie obejmując obiektywem jego krawędzie. Jezioro w dole było porośnięte gąszczem wysokich, grubych trzciny - totora, jak sądziła - od dziesiątków lat używanych przez wyspiarzy do wyrobu koszy, mat i dachów. Zauważyli je pierwsi przybysze z Europy. Dziwne więc, że tylko ta roślina się pleni. Dlaczego stanowi wyjątek i masowo nie wyginęła? Obfitość paproci jest zrozumiała. Natomiast trzciny nie słyną z zamięłowania do podróży. To rośliny nasienne i najlepiej pokonują wodę w

upierzeniu albo w żołądkach ptaków - co jest znacznie mniej pewne niż przenoszenie przez wiatr. Greer będzie musiała określić pokrewieństwo totora z gatunkami na pobliskich łąkach; na tej podstawie da się obliczyć, jak długo trzcina rośnie na wyspie. Gdyby niedaleko znaleźli się jej bliscy powinowaci, oznaczałoby to, że pojawiła się niedawno. Gdyby znaleźli się jedynie dalecy powinowaci, oznaczałoby to, że zapewne rosła tu tysiące lat i rozwijała się w samotności.

Greer otworzyła notatnik, zapisała, jaki jest dzień, godzina, miejsce i pogoda, po czym zaczęła schodzić w dół. Połowę statywu wetknęła pod pachę, a teleskopowym prętem posługiwała się jak laską. Chłodna woda sięgnęła jej do kolan. Trzciny, wznoszące się nad nią na wysokość dobrych siedmiu stóp, przypominały pola kukurydzy, po których chodziła w dzieciństwie, świat grubych zielonych łodyg i nieba. Trzciny były jednak łamliwe i z łatwością trzaskały pod jej ciężarem. Wkrótce wydeptała w nich ścieżkę. Kiedy straciła brzeg z oczu, przypomniała sobie opowieści o naukowcach, którzy odnoszą obrażenia w trakcie pobierania próbek. Łamią sobie ręce, nie mogą wyciągnąć butów z mokradła. Oczywiście Ramon jest zaraz po drugiej stronie. W razie czego wystarczy zawołać.

Z chwilą gdy dotarła do środka krateru, ustawiła statyw na połamanych trzcinach. Słońce prażyło. Pot zalewał oczy. Przykucnęła i ochlapała sobie twarz wodą, po czym zdjęła czapkę z daszkiem, zanurzyła w chłodnym jeziorze i z powrotem włożyła na głowę. Chłód był przyjemny.

Wróciła po próbnik i pozostałe nóżki, a zanim odbyła dwie kolejne wyprawy po resztę sprzętu, zdążyła się zasapać. Dawno już nie nosiła tego ekwipunku. Pochyliła się na moment i z rękami wspartymi na udach przyjrzała się stanowisku - statywowi, próbnikowi, nóżkom - kiedy zaś oddech jej spowolniał, zdała sobie sprawę z panującej dokoła ciszy, przerywanej jedynie cichym pluskaniem wody o jej kalosze. Jestem tu, pomyślała. W środku krateru na najbardziej odległej z wysp świata. Zewsząd otaczają mnie wysokie trzciny; widzę tylko niebo. Nie słyszeć żadnego głosu ani szelestu.

To samotność, pomyślała, absolutna i bezlitosna. Złękła się widoku stojącej tam samej siebie. Do tego może sprowadzać się życie.

Musiała przerwać ciszę. Musiała się poruszyć.

Weszła na statyw z jednej strony i wetknęła próbnik w dziurę pośrodku. Włożyła wywatowane rękawice i ustawiła tłok.

- No - powiedziała, uspokojona dźwiękiem własnego głosu. - Zrób to. Po prostu zrób.

Mówiąc to, całym ciężarem napała na długi metalowy pręt i rzuciła się do przodu, kiedy tuleja wciąła się głęboko w wilgotną ziemię.

- Ach, patrzcie, oto doktor Farraday! Bardzo zapracowana doktor Farraday! Ona rozstrzygnie sprawę raz na zawsze! Prosimy, pani doktor, o przyłączenie się do nas.

Słońce już prawie zaszło, chłodny wietrzyk owiewał wyspę, a Greer zmierzała w stronę swojej residencjał. Myślała o czekającej ją pracy - jeszcze parę dni pobierania próbek, tygodnie oczyszczania i analizowania. Teraz jej projekt sprawiał wrażenie bardziej beznadziejnego niż w Marblehead. Pięć godzin poświęciła na wydobycie segmentów rdzenia - po godzinnej pracy przy tłoku położyła się wreszcie na plecach i nogami naciskała rączki. Zanim wróciła do Mahiny, zmęczona i troszkę zniechęcona, połknęła wczesny obiad i podrzuciła próbki do laboratorium. Obecnie liczyła na prysznic oraz krótki wypoczynek.

- Wygląda na to, że dzień w polu był długi!

Od piknikowego stolika przed hotelem Espiritu machał Vicente. W każdym rogu stolika zatknięta była latarka. Siedzieli przy nim jeszcze dwaj mężczyźni - jeden muskularny, drugi szczupły i lekko przygarbiony. Greer uprzytomniła sobie, że jest czwartek. Obiad naukowców.

- Czy tylko dzień? Miałam wrażenie, że tydzień! - odpowiedziała wesoło, próbując zapomnieć o zmęczeniu. Zsunęła z ramion plecak i postawiła go na ziemi. - Te trzciny są odporniejsze niż guma. Ho, ho! W słońcu było gorąco jak w piecu. A po wdrapaniu się na krawędź można zostać porządnie wysmaganym przez wiatr, jak powieje!

Powstrzymała się jednak; w euforię wprowadzało ją to, że wreszcie, po dniu spędzonym w samotności, rozmawia z ludźmi. Ramon milczał nawet w drodze powrotnej do Hanga Roa, a jej hiszpański nie był na tyle dobry, aby mogła wciągnąć do rozmowy-mężczyznę obcego, w dodatku nieśmiałego. Przed wszystkim chciał zobaczyć rdzeń. Kiedy podeszła do krawędzi, odłożył książkę, a Greer rozwinęła próbkę. Śmiał się, jak gdyby ubawiony myślą o wyciąganiu kawałków ziemi.

- Doktor Greer Farraday jest naszym nowym tutejszym palinologiem - oznajmił Vicente. Drobniejszy mężczyzna, ubrany w szarą koszulę frakową, tylko skłonił głowę. Na nosie miał ciężkie okulary, grube jak przyciski do papieru. Drugi mężczyzna, opalony blondyn, wstał natychmiast. Był wysoki. Opinająca się na jego piersi żółta trykotowa koszulka miała napis:

Sweden

- Sven. Sven Urstedt - powiedział. Mocno uściskał jej dłoń. - Meteorolog, z zamiłowania geolog. Ryby. - Dużymi niebieskimi oczami zlustrował Greer. - Nalegamy na przyłączenie się do nas.

Greer usiadła, zadowolona, że przestaną ją dręczyć złe przeczucia. Skomplikowane urządzenie z kluczem do pokoju i żetonem pokerowym wpijało jej się w udo, więc położyła je na stole.

- Przypomnę, żebyś to wzięła - powiedział Sven, kładąc obok jej klucza swój własny, przyczepiony do czerwonej króliczej łapki. Z małego żółtego kubeczka nalał jej do szklanki czegoś, co wyglądało jak pisco sour. - Na rozjaśnienie myśli. A teraz: fioletowe irysy. Nie mają specjalnego znaczenia, co?

- Znaczenia?

- Naprowadzasz świadka, Sven - zauważył Vicente.

- Dobra. Czy fioletowe irysy mają jakieś znaczenie?

- Sven chce zapytać, czy fioletowy irys, jako kwiat, oznacza coś szczególnego. Tak jak czerwona róża. Czy czarna.

- Kiedy się go daje w prezencie?

- Właśnie - powiedział Vicente.

- Nic o tym nie wiem - odparła Greer. - Ale to pytanie raczej dla kwiaciarza. W programach studiów doktoranckich tnie się kursy poświęcone bukietom do staników i bukietom.

- Pani doktor, kwiaty są po to, aby je ciąć! - oświadczył Sven. Greer wybuchnęła śmiechem.

- Nie zmieniaj tematu, Sven - poprosił Vicente. - Znaleźliśmy się w impasie.

- Rzeczywiście.

- Sven, doktor Farraday wyraźnie powiedziała, że nie jest pewna.

- Jeśli nie znajdzie się ktoś, kto nam powie, co oznaczają irysy, chyba bezpieczniej będzie założyć, że po prostu nic. Gdyby coś oznaczały, ludzie by wiedzieli. To jest, jak sędzę, cały cel znaczenia.

Greer uznała uwagę Svena za słuszną.

- Cóż, chyba von Spee wiedział, co oznaczają. „Ładnie będą wyglądać na moim grobie”, to dość dobitne stwierdzenie - rzekł Vicente.

- Von Spee cierpiał na depresję. Był markotny. Na litość boską, Niemcy niczego nie potrafią traktować lekko. - Sven pociągnął swoje pisco i walnął szklanką w stół. - Jeden bukiet, a... on zatapia swoją flotę. - Uśmiechnął się, dumny z tego ostatniego stwierdzenia.

Vicente zwrócił się do Greer. Miał na sobie ciemnoniebieską koszulę, która nadawała jego twarzy odcień bardziej oliwkowy.

- Mówimy o admirałe von Spee. Natrafiłem na pewne dokumenty, które...

- Skończyliśmy mówić o admirałe von Spee. Zanudzimy ją na śmierć.

- Dobrze - zgodził się Vicente.

Mężczyzna w szarej koszuli jak dotąd ani razu na nią nie spojrzał.

- A co ze zwykłymi irysami? - zapytał Vicente. - Czy mają znaczenie? Jak lilia?

- Vicente! - powiedział Sven. - Wolę cię, kiedy obsesyjnie powracasz do rongorongo. W tym warto się doszukiwać znaczenia. W kwiatach... cóż, po prostu nie mogę cię wspierać w tej misji.

Lilia, pomyślała Greer. Lillian Bethany Greer - takie dostała imię. Ale kiedy dorosła, przestało jej się podobać - było zbyt dostojne - zwłaszcza zdrobnienie Lily, Lilia, a już szczególnie wtedy, kiedy zainteresowała się botaniką; niektóre żarty do końca życia pozostają niestrawne. W nauce pomocne są obupłciowe imiona. Składając podanie o przyjęcie na studia magisterskie, przeobraziła się w Greer Sandor, co było odwróconym imieniem i nazwiskiem ojca, po ślubie zaś w Greer Sandor Farraday. W domu jednak Thomas zawsze nazywał ją Lily.

- Doskonale - westchnął Vicente. - Zmiana tematu. SAAS robi szum z powodu konferencji.

- Od dwóch lat robi szum z tego powodu - stwierdził Sven.

- Tyle że teraz straszy przysłaniem jednego ze swoich ludzi.

- Ludzi? Czy naprawdę ma ludzi? SAAS-em kierują maszyny. Nigdy nie widziałem organizacji zajmującej się archeologią i tak mało zainteresowanej, no, archeologią. Tam się troszczą o instalacje elektryczne, notatki służbowe, zbiory wytycznych. W zeszłym miesiącu dostaliśmy ładunek, całą skrzynkę długopisów. Już ponad rok staram się o uzyskanie dostępu do chilijskich danych satelitarnych, dotyczących pogody. To przecież moja praca. Typy pogody na południowym Pacyfiku. Prądy oceaniczne i ich związek z migracjami polinezyjskimi. A co dostaję? Siedemdziesiąt pięć... dokładnie tyle, ile przypada na moje laboratorium... niebieskich długopisów.

- No cóż, Sven, może jak przyślą któregoś ze swoich ludzi, sytuacja ulegnie poprawie - rzekł Vicente. - Mógłbyś powiedzieć, na czym ci zależy.

- Och, mówiłem, na czym mi zależy. Ale dajmy już spokój pracy. - Sven machnął ręką. - Wyglądasz na osobę bardzo muzykalną, Greer. Na pewno grasz na jakimś instrumencie. Domyślam się, że na oboju.

- Nie mam żadnych uzdolnień muzycznych.

- Sven chce zostać śpiewakiem operowym - wtrącił się Vicente. - I zawsze marzył...

- Wizja.- Sven promiennie uśmiechnął się do Greer.

- ... jego wizja to jakiś popis artystyczny. Dramat, muzyka, gry. Niestety, w naszym gronie on jeden jest utalentowany.

- Tak, tu obecny Vicente pobił rekord w locie nad Andami balonem na ciepłe powietrze, ale jaką to ma wartość rozrywkową? Jego talenty wymagają skomplikowanego sprzętu i pieniędzy.

- Niestety to prawda. - Vicente wzruszył ramionami.

- Gry? - To słowo wypowiedział trzeci mężczyzna przy stoliku.

- Tak, gry, Burke-Jones. Potrzebne nam gry. Jakaś rozrywka. Nie sądzisz?

Tamten, nadal wpatrzony w blat, kiwnął głową. Włosy miał jasnorude, kiedyś chyba gęste i kręcone. Teraz w nieładzie przylegały do czaszki i tylko parę pojedynczych pukli opadało na czoło, jakby je ktoś narysował ołówkiem. Oczy za grubymi szklami okularów były podpuchnięte ze zmęczenia.

- Krokiet - powiedział Vicente. - Albo badminton. Gry angielskie, naturalnie.

- Założę się, że Burke-Jones potrafi wybić lotkę w powietrze. Na te słowa Burke-Jones zareagował uśmiechem.

- Znakomicie - powiedział Sven. - A teraz, pani doktor, chociaż mam wystarczające umiejętności, aby zrekompensować ich brak u innych, cudownie byłoby znaleźć współsprawcę przestępstwa...

- Przestępstwa - wymamrotał Vicente. - Módl się, żebyś nie musiała słuchać jego śpiewu.

- ... i bratnią duszę, estetykę, wykonawczynię, miłośniczkę sztuk.

Greer zastanawiała się, czy wszystkie ich spotkania są tak burzliwe, mają tak opracowaną choreografię, czy też to ona, jak obserwator doświadczenia ilościowego, wpływa na wynik. Albo może ich zachowanie jest spowodowane brakiem rozrywek na wyspie - ten rodzaj tańca konwersacyjnego, prześmiewczej żonglerki.

- Cóż, potrafię wymienić niemal każdą rodzinę, rodzaj i gatunek w rzędzie Urticales i Magnoliales. Od końca, w porządku alfabetycznym - powiedziała. - Albo od początku, jeśli wolicie. Tyle że to dość prędko się nudzi. Chyba można by do tego dorobić muzykę. Wyliczanie ma jednak tę zasadniczą zaletę, że leczy bezsenność. Jak liczenie baranów, choć pomaga tylko wielkim nałogowcom i pedantom.

- Taksonomia! - rzekł Sven z błyskiem w oku. - Na pewno coś, co da się wykorzystać.

Greer zauważyła, że Burke-Jones obserwuje ją spoza grubych dwuogniskowych okularów.

- Imponujące spojrzenie - powiedziała. - Dobrze, staroświeckie, inkwizytorskie spojrzenie. Ale niestety nie mam nic do zeznania.

- To Randolph Burke-Jones - przedstawił go Vicente. - Nasz inżynier. Nasz architekt. Powie nam, jak Rapa Nui przenosili moai.

Burke-Jones znów spuścił oczy. Przed nim stały na stoliku resztki trzech tropikalnych trunków - zmiażdżone kawałki ananasa i zwiotczałe plasterki pomarańczy, ukryte pod stosem kolorowych wykałaczek. Skąd wziął te wszystkie wykałaczki, zastanawiała się Greer, kiedy nalewali sobie drinki z kubelka.

- Jesteś Brytyjczykiem? - zapytała.

Na krótko podniósł wzrok. Światło latarki igrało na jego twarzy.

- W rzeczy samej.

- Nie daj się nabrać - ostrzegł Sven. - Brytyjczycy starają się udawać opanowanych i dobrze ułożonych. Ale nie Burke-Jones. To dzika karta. Choć dobrze się maskuje.

Burke-Jones wolno wyciągnął cienkie słomki ze swoich pustych szklanek, uszeregował porządnie, po czym zebrał wykałaczki i zaczął układać z nich stosik. Greer poczuła nagły przypływ sympatii do niego - do człowieka, który pozwala sobie na dziwactwa.

Vicente poklepał ją po ramieniu.

- Więc pobrałaś swój rdzeń?

- Sześć metrów bardzo wilgotnego, bardzo włóknistego torfu. Powinien odpowiadać co najmniej sześciu stuleciom.

- I będziesz mogła zobaczyć pyłki z każdego okresu?

- Tak. Ale to potrwa. Trzeba pobrać, oczyścić i zbadać próbki z całego rdzenia. Wydobywanie pyłków jest żmudne. A potem ich liczenie. Samo zidentyfikowanie tych ziaren może zająć parę tygodni. - Teraz, kiedy to mówiła, znów poczuła zmęczenie. Dlaczego nie zdawała sobie sprawy, jak trudno będzie wszystko zrobić samej? Dlaczego po latach zespołowej pracy w laboratorium sama pobiera próbki na oddalonej o tysiące mil wyspie? - Robi się to jednak po to, żeby uzyskać dokładny obraz wczesnej flory na wyspie.

- Świetnie! - powiedział Sven. - Albo, jak mówią po hiszpańsku, esplendido.

- Jest! - obwieścił Burke-Jones. Greer zwróciła się w jego stronę i na stoliku przed nim zobaczyła miniaturowe tipi ze słomek i wykałaczek.

- Mistrzowska robota, przyjacielu! - Sven poklepał go po plecach. - Ach, patrzcie, idzie Don Juan. - Sven zamknął oczy, podniósł brodę do księżycy i zanucił: - Che gelida manina.

Mijał ich stary mężczyzna. Był wąski w barach, mankiety swetra miał pozwijane w grube wałki w nadgarstkach. Lekko pochylał się do przodu, co

nadawało mu wyraz zadumy. Niemal na pewno to jego widziała Greer, kiedy zostawiał talerz przed wejściem do jaskini.

- Kto to? - spytała.

- Luka Tepano - odparł Vicente.

- To - rzekł Sven - jest Don Juan.

- Luka to wierny opiekun tutejszej pustelniczki.

- Dobra - zgodził się Sven. - Lancelot.

- Starej kobiety w jaskini? - zapytała Greer.

- Ginewry - powiedział Sven. - W podeszłym wieku.

- Penetrowałaś wyspę! - wykrzyknął Vicente. - Tak. Ana mieszka w tej jaskini, odkąd ludzie sięgają pamięcią. Wyspiarze uważają, że jest jedną z zapomnianych dziewic Neru - dziewcząt trzymanyh w jaskiniach, aby były blade na uroczystości religijne. Specjalnie wyznaczone kobiety wsuwały im jedzenie do jaskini. Wypuszczeni z niewoli peruwiańskiej wyspiarze zawlekli tu ospę wietrzną. Osiemdziesiąt procent ludności zmarło w kilka tygodni. Dziewice Neru nie wiedziały, co się stało. Kobiety, które przynosiły jedzenie, umarły, więc dziewczęta zmarły śmiercią głodową.

- Ale to było w...?

- Tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym.

- Nie może być aż taka stara - stwierdziła Greer.

- Nie należy zapominać - uśmiechnął się Sven - że unika słońca.

- Jest Brytyjką - powiedział Burke-Jones.

- Tak - zgodził się Vicente. - Niektórzy Rapa Nui uważają, że jest Brytyjką. Niektórzy, że nawet Niemką pozostawioną tu przez flotę. W przekonaniu innych należy do tatarie - duchów, które żyją w jaskiniach. Oczywiście od bardzo zamierzchłych czasów ludność miejscowa mieszkała w jaskiniach. Dawna tradycja mówi też o dziwakach i prorokach mieszkających z dala od wsi.

Greer wyciągnęła z torby notatnik i odszukała stronę z zapiskiem, dotyczącym starej kobiety.

- Co znaczy vai kava nehe nehe! To język Rapa Nui?

- Tak - powiedział Vicente. - Słowa te znaczą „piękny ocean”.

- Och. - Nie wynikało z tego wiele. - A mężczyzna? Przynosi jej jedzenie?

- Luka się nią opiekuje. Zdaniem niektórych to jej syn. Mówią, że urodził się ze związku pozamałżeńskiego, a ją, okrytą wstydem, rodzina zmusiła do zamieszkania z dala od wioski. Mamy tu wiele przypadków wstydlivych związków, dzieci oddzielonych od rodziców. Tak wiele ludzi jest ze sobą spokrewnionych, że to utrudnia konkury.

- Luka się w niej kocha - powiedział Sven.
- Rozumiesz, Sven gustuje w starszych kobietach. I dlatego posądza o to wszystkich mężczyzn.

- Ile jest jeszcze w użyciu? - spytała Greer. - Chodzi mi o jaskinie.

- Trudno powiedzieć - odparł Vicente. - Wiele jest wyjątkowo dobrze ukrytych. Wielu, jak sądzę, nigdy nie zbadano. Ale jaskinia Any jest jedyną zamieszkaną, o jakiej obecnie wiemy. Jaskinie, jak wiesz, potrafią być dość niebezpieczne. Żyją tam skorpiony i pająki zwane czarnymi wdowami. Musisz zachowywać wielką ostrożność. Wchodząc do środka, zostawiać przy wejściu jakąś część garderoby, żeby ludzie mogli cię znaleźć.

- Jeżeli mieszkali w nich wyspiarze, pozostawili pewnie resztki jedzenia, odpadki. Mogą tam być skamieniałości.

- Kości - powiedział Sven. - Sterty kości. Ludzkich kości. Kości mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Doktor Farraday potrzebne są skamieniałości roślin, Sven. Głównym przedmiotem jej zainteresowań jest pyłek.

- To moja specjalność. - Sven pociągnął łyk trunku.

- I twojego męża także?

- Tak.

Milczenie, jakie zapadło, wskazywało, że o tym, o jej mężu, rozmawiali już wcześniej.

- Chciałbym raz jeszcze przeprosić za to, że nic nie wiedziałem

- powiedział Vicente. - Stąd trudno jest nam śledzić, co się dzieje w prawdziwym świecie. Bardzo mi przykro.

- Dziękuję - odrzekła Greer.

- Tak, druzgocząca wiadomość - zauważył Sven.

- Zwłaszcza dla niego.

Wypowiedziawszy te słowa, Greer zorientowała się, że nie mówią o kompromitacji Thomasa. Po prostu składają kondolencje. Może żaden z nich nie przypomina sobie szczegółów skandalu. Ludzie nie zajmujący się palinologią na ogół ich nie pamiętają. Pamiętają tyle, że wybitnego uczonego, Thomasa Farradaya, zwolniono z Harvardu za coś, co miało związek z danymi. Naprawdę ciekawiło ich jedno i aż za często o to pytali: Czy Greer wiedziała?

- Powinnam już wracać.

Wstała, a w ślad za nią Vicente i Sven; Burke-Jones zdjął okulary, przetarł je chustką do nosa, znów włożył i bacznie przyjrzał się swojemu tipi.

- Tak szybko? - zapytał Vicente.

- Muszę wziąć prysznic i porządnie się wyspać. Jutro kolejny dzień spędzę w terenie. I następny. I jeszcze jeden.

- Prosimy, dawaj znać, jak ci idzie - powiedział Vicente. - Mówiłem już, że w miarę możliwości musimy pomagać sobie nawzajem. Cała nasza praca jest ze sobą powiązana. Nie wolno nam o tym zapominać. Będziemy cię tu widywali. - Dotknął jej łokcia i szepnął:

- A więc irys? Naprawdę nic nie znaczy?

- Mógłby znaczyć bardzo dużo - odparła. - Dla właściwej osoby.

- Ach, wezmę to pod uwagę. Cóż, dobrej nocy, pani doktor.

- Dobrej nocy. - Podniosła swój plecak.

Spacer do residencial był krótki. Na ulicach panowała cisza, niebieskie i białe betonowe budyneczki, porozdzielane rowami cienia, układały się do snu. Rozbrzmiewało tylko ciche kłapanie sandałów Greer. Potem z jednego z domów wyszła młoda para wyspiarzy. Trzymali się za ręce, dziewczyna mówiła coś, gładząc biały naszyjnik z muszli, chłopak słuchał uważnie. Wyglądają na bezgranicznie szczęśliwych, pomyślała Greer. Ufnych. Uśmiechnęli się, kiedy ich mijała.

W Ao Popohanga Mahina siedziała przy biurku w gabinecie i notowała coś w księdze głównej.

- Buenas noches, doctora! Jak tam praca? Ramon mówił, że byłaś zadowolona ze swojego kawałka.

Trudno było sobie wyobrazić rozmownego Ramona.

- Tak - odparła Greer. - Chyba pobrałam dobry rdzeń.

- Cały dzień pracowałaś w Rano Aroi, mówił. Bardzo blisko Terevaka. Najwyższego punktu na wyspie. Któregoś dnia znajdziesz czas, żeby tam pojechać. Ja cię zawiozę. Ale teraz masz dodatkową pracę, doctora. Dostałaś dużo, dużo książek! - Mahina wyciągnęła zza biurka stos zaczytanych tomów.

- Dla mnie?

- Tak, tak. Od señora Portalesa.

- Dziękuję. - Greer poweselała. Praca oznacza coś dobrego. Może nie jest jeszcze gotowa iść do łóżka. Trochę lektury przed snem to przypomnienie, że czeka ją praca nie tylko fizyczna. - Bardzo dziękuję, Mahino.

- Ja też mam książki, widzisz. - Mahina wskazała w górę, na oszklony regał ze stojącymi na półce starymi, oprawnymi w skórę tomami. Litery na ich grzbietach dawno spłowieły. - Poproś, jak będą ci potrzebne do pracy naukowej. Odziedziczyłam je po ojcu.

- Dziękuję. No, więc dobranoc.

Po powrocie do swojego pokoju Greer długo stała pod gorącym prysznicem, następnie usadowiła się w łóżku i obłożyła tekstami. Były to: dziennik Roggeveena w angielskim tłumaczeniu,- ręcznie oprawiony egzemplarz dziennika pokładowego kapitana Cooka; Podróż dookoła świata Tean-Francois de Galaupa, hrabiego de La Perouse; dokument, w którym Don Felipe Gonzalezy Haedo ogłasza wyspę terytorium hiszpańskim; zapisy z podróży Pierre'a Lotiego, dziennik oficera finansowego Thomsona z USS „Mohican”. Do książki Roggeveena włożona była kartka:

Sądę, że znajdziesz ukryte w tych książkach przydatne ustępy. Możesz teraz rozmawiać ze wszystkimi dawnymi przybyszami, wyjąwszy Brytyjczyków, którzy zaginęli ze swoimi dziennikami i nie mogą być pomocni. Czy mówisz po francusku i po hiszpańsku! Powiniennem był spytać. Mogę przetłumaczyć Lotiego, La Perouse'a i Gonzdlezę, gdyby to miało pomóc.

Vicente

Cóż, pomyślała, opierając wypchane poduszki o wezglowie, Vicente bez wątpienia jest życzliwy. Ale trochę dziwaczny, bo nie wspomniał o książkach wcześniej, w obecności tamtych, jak gdyby to była sprawa prywatna.

Chłodny podmuch wydał zasłonę, więc naciągnęła kołdrę na piersi. Kartkowała dziennik okrętowy wyprawy Jacoba Roggeveena, ze szczegółowym opisem wszystkiego od momentu, gdy podróżnik po raz pierwszy zoczył wyspę, aż do chwili, kiedy odbił od jej brzegu. Natrafił na Rapa Nui w 1722 roku, pełniąc misję Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. W dzień Wielkanocy dostrzegł ze swego statku wyspę, jak zrazu sądził, wyłącznie piaszczystą:

... wzięliśmy suchą trawę i siano albo inny spalony i zwęglony chrust za glebę z natury jałową, ponieważ jej wygląd nasuwał jedynie myśl o wyjątkowo rzadkiej i wątłej roślinności.

Chociaż dziennik Roggeveena nie zawierał żadnej innej wzmianki o krajobrazie, to jest przydatne: sucha trawa, rzadka i wątła roślinność. Wyspa tak jałowa, że wyglądała na pokrytą piaskiem. A zatem w roku 1722 flora nie była tu o wiele bogatsza niż obecnie. Musiała masowo wyginać przed przybyciem wyprawy.

Greer czytała dalej. Uwagę jej przykuł inny ustęp:

Wciągu przedpołudnia kapitan Bouman przyprowadził na pokład mieszkańca Wyspy Wielkanocnej, który łodzią podpłynął z lądu w pobliże statku; był całkowicie nagi, bez choćby najmniejszej osłony na tym, co skromność wzdraga się ukazywać. Ten nieszczęśnik wydawał się bardzo rad z naszego widoku i przejawiał ogromne zdziwienie budową naszego statku.

Szczególną uwagę zwracał na dobry stan naszych drzewc, tęgość naszego olinowania stałego i ruchomego, na żagle, działa - które obmacywał z wielką skrupulatnością - i na wszystko inne, co widział...

Wielkie mnóstwo łodzi podpływało do statków, ci ludzie okazywali nam wtedy, jak bardzo są zachłanni na każdą widzianą rzecz, a byli tak śmiali, że zdejmowali z głów marynarzy kapelusze i czapki i z łupem wyskakiwali za burzę; są bowiem niedoścignionymi pływakami, na co wskazywałyby duża liczba tych, którzy przyplýwali z brzegu do statków...

Co do ich łodzi pełnomorskich, to są słabej i lichej konstrukcji, sklecone z licznych małych desek i lekkich wręg, zręcznie ze sobą połączonych bardzo cienkim szpagatem... Ponieważ jednak brakuje im umiejętności, a zwłaszcza materiału do uszczelniania wielkiej liczby szpar, aby łodzie nie przeciekały, w rezultacie nabierają bardzo dużo wody.

Rano wyruszyliśmy trzema łodziami i dwiema szalupami, w sile 134 marynarzy, wszyscy uzbrojeni w muszkiety, pistolety i kordy... podążaliśmy w otwartym szyku, lecz trzymając się razem, i wspinaliśmy się na skały, bardzo liczne na krawędzi morza, dopóki nie wyszliśmy na teren płaski czy równinny, dając rękami znaki tubylcom, którzy napierali na nas dużą gromadą, aby nie wchodzili nam w drogę i zrobili miejsce... pomaszzerowaliśmy kawałek do przodu w celu zrobienia miejsca naszym ludziom, pozostawionym z tyłu, żeby mogli dołączyć do szeregów; te zatrzymały się przeto, aby umożliwić podejście ostatnim, gdy całkiem nieoczekiwanie i ku wielkiemu zdziwieniu usłyszeliśmy na naszych tyłach cztery lub pięć strzałowi stanowczy okrzyk „t is tyd, 't is tyd, geeft vuur" [Już czas, już czas, ognia!]. Na to w jednej chwili oddano ponad trzydzieści strzałów, a Indianie, zdumieni tym i przestraszeni, rzucili się do ucieczki, pozostawiając 10 czy 12 zabitych oprócz rannych...

Roggeveen nie miał chyba żadnego więcej wytłumaczenia dla tego aktu przemocy.

Greer zamknęła i odłożyła książkę. Ciekawe, jak często w dziejach świata powtarzała się ta sama historia. Grupa uzbrojonych odkrywców wychodzi na brzeg i otwiera ogień. Moai, rongorongo, wyginięcie flory: żadna z tych rzeczy nie miała prawdziwego znaczenia. Wyspa Wielkanocna przypominała każdy inny ląd na kuli ziemskiej - kiedy po stuleciach odosobnienia zetknęła się z resztą świata, świat ją powalił. Ale cóż można zrobić? Czy cała prehistoria i historia - wyodrębnianie się gatunków, migracje ludzi, odkrycia - nie jest po prostu wymyślną grą w krzeselka do wynajęcia? Przekracza się granicę, zdobywa kolonię, odkrywa wyspę. Wąż ukryty w szczątkach rozbitego statku dobija do nowego wybrzeża, chlebowiec właściwy w ramionach przyrodnika

przeprawia się przez ocean, prehistoryczny mamut przechodzi przez pomost lądowy między kontynentami. Muzyka gra, zmieniają się pozycje, a w końcu krzeselko zostaje zabrane. Coś się usuwa i ktoś nie może usiąść. Wytępienie, ludobójstwo, przetrwanie najsilniejszych. Ktoś zawsze musiał wypaść z gry.

Greer poczuła, że ogarnia ją dobrze znany nastrój przygnębienia. Zazwyczaj umiała się z niego otrząsnąć, wystarczał spacer po plaży czy wyprawa do kina, teraz jednak musiała go przespać. Zepchnęła książki w nogi łóżka, zgasiła światło i zamknęła oczy. Nasilały się odgłosy nocy - ćmy uderzały skrzydełkami w okno, gdzieś na ulicy rozbrzmiewał śmiech. Przewróciła się na brzuch i nakryła głowę poduszką, aby zagłuszyć dźwięki, lecz nie zaprzestała dociekań.

Odtworzyła w myślach opowieść Roggeveena. Z czego wyspiarze budowali swoje łodzie? Jaki wpływ na odizolowaną społeczność wywarła wymiana towarów? Czy ludziom, zdolnym stworzyć i przetransportować olbrzymie posagi, „brakowałoby” umiejętności uszczelniania łodzi? Jaki był efekt psychologiczny przemocy, której dopuścili się marynarze Roggeveena?

Szelest liści, dobiegający z dziedzińca, nie pozwalał jej zasnąć, więc jeszcze raz przewróciła się na łóżku, poprawiła kołdrę i ułożyła się na boku, z poduszką przyciśniętą do ucha. Przez parę ostatnich miesięcy cierpiała albo na bezsenność, albo na skrajne wyczerpanie. A po dniu spędzonym w kraterze, po drinkach z naukowcami powinna być wyczerpana.

Zaczęła szeptem wyliczać rodziny w Urticales.

Urticaceae, pokrzywowate. *Urtica dioica*, pokrzywa zwyczajna. *Boehmeria nivea*, szczmiel biały.

Ulmaceae, wiązowate. *Ulmus ameñcana*. *Ulmus parvifolia*. *Ulmus rubra*. *Ulmus alata*. *Ulmus procera*.

Moraceae, morwowate...

Morwowate. Greer przerwała wyliczanie. Do morwowatych należał słynny figowiec-dusiciel z amazońskiego lasu deszczowego. Jako mały pęd piał się po pniu pobliskiego drzewa, wysysając z kory wodę i minerały, usiłując dotrzeć do światła słonecznego. Z chwilą gdy zapuścił korzenie, one grubiały i twardniały, wyrastały z nich gałęzie i liście, oplątywały drzewo podporowe, dławiły je na śmierć. W końcu figowiec wyglądał monstrualnie - bulwiasty, powykręcany - z korzeniami jak guzy wtopionymi w martwego żywiciela. Po przekrojeniu pnia, co Thomas zrobił na zajęciach i co widziała wtedy po raz pierwszy, można było zobaczyć w środku ofiarę.

- No i proszę. Przyroda nie zawsze jest piękna - obwieścił Thomas, wskazując na przekrój splątanych korzeni. Wzrokiem przebiegł po studentach. -

Nigdy nie należy idealizować świata przyrody. Ważne jest dostrzegać go wyraźnie, widzieć to, co tam jest, nie to, co chciałoby się widzieć. Rośliny nie mają przyrodzonego piękna, przyrodzonej niewinności. Liście *Aitemisia absinthium* wydzielają truciznę - jeden deszcz i wszystkie inne rośliny w sąsiedztwie są martwe. Nie jest to akt dobroci ani zła. Jest to po prostu mechanizm, który dany organizm wytwarza, aby zapewnić sobie przetrwanie. Największy na świecie kwiat daje *Rafflesia amoldii*, roślina pasożytnicza z Archipelagu Malajskiego. Żyje wewnątrz pnączy, potem przedziera się przez korę żywiciela, rozrasta w kwiat o wadze dwudziestu funtów, średnicy trzech stóp i zgoła niepięknym zapachu gnijącego mięsa. Taka jest i zawsze będzie różnica między botanikami a resztą ludzi, o tym też musicie pamiętać - my, patrząc na roślinę, widzimy złożoną opowieść o potrzebie i zaspokojeniu, o adaptacji i mutacji. Wszyscy inni - wasi rodzice, przyjaciele, współlokatorzy - zobaczą tylko coś barwnego. Coś do ogrodu albo do skrzynki na kwiaty. Zobaczą coś, co ich kochany, dobrotliwy judeochrześcijański Bóg ukazał im, aby się mogli tym rozkoszować.

Thomas do perfekcji opanował rolę pragmatycznego naukowca i lubił wywierać silne wrażenie na studentach pierwszego roku botaniki. Greer jednak, obserwując go tamtego dnia, nie rozumiała jeszcze, na czym polega ten dramat, jego dramat. Thomas po prostu wyglądał na nieznośnego cynika, na człowieka, który tak długo wpatruje się w mikroskopy, że już nie potrafi dostrzec piękna świata przyrody. Nigdy, powiedziała sobie, nie będzie kimś takim jak on: nieczułym naukowcem. Ale coś w jego cynizmie stanowiło dla niej wyzwanie, budziło chęć pokazania mu, że świat rzeczywiście jest piękny. I nazajutrz po wykładzie, robiąc gest, który zapoczątkował ich zaloty, wsunęła pod drzwi jego gabinetu urywek z Pieśni o sobie samym Whitmana, swojego ukochanego poematu.

Teraz, w łóżku, uderzyła ją niesamowitość tego, co Thomas powiedział o figowcu-dusicielu. Jako jego żona słyszała to kilkanaście razy, mówił to zawsze studentom pierwszego roku. Ten wykład lubił najbardziej. Nigdy jednak nie wyobrażała sobie, że jego przekonania sięgną poza świat przyrody, że przenikną do jego życia, do ich małżeństwa.

Poczuła dziwne mdłości. Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Na biurku stało małe nasionko, zanurzone w swym płynnym wszechświecie. Osiem lat. Nie powinna go tu przywozić.

Wsunęła sandały, na nocną koszulę naciągnęła spódnicę, po czym złapała latarkę i wyszła z pokoju. Na werandzie panowała cisza, ale kiedy Greer bezszelestnie przechodziła przez dziedziniec, zauważyła wśród listowia błysk

bieli: tam, przed figurką Marii Panny, klęczała Mahina pogrążona w modlitwie. Oczy miała zamknięte, w dłoniach trzymała coś, co wyglądało na fotografię.

To tutaj Mahina znajdowała spokój. Modląc się, ludzie nadawali sens przeszłości. Greer nie należała jednak do żadnego Kościoła, do żadnego wyznania i w takie jak ta bezsenne noce była po prostu pozostawiona z poczuciem samotności.

Szarpnąwszy drzwi do głównego budynku, wyszła w noc, skierowała się do laboratorium.

Rozdział dziesiąty

W cieniu dawnych Polinezyjczyków Niemcy przemierzali Pacyfik: Eniwetok, wyspa Fanning, Samoa, Bora Bora, Tahiti.

Brali węgiel, gdzie się dało, pod rozpalonym słońcem napełniali bunkry stojących na kotwicy okrętów. Noce spędzali w absolutnych ciemnościach swoich krążowników - jedna latarnia mogła ich zdradzić przepływającej łodzi. Pozbawieni zajęć czy rozrywek, myśleć mogli tylko o tych, którzy ich ścigają.

Floty brytyjska i francuska miały dużą przewagę liczebną; alianci mogli się też zaopatrywać w niezliczonych bezpiecznych portach. Obecnie, kiedy do wojny przystąpiła Japonia, Niemcy prawie nie mieli szans.

W admiralicji w Berlinie gasła nadzieja na przetrwanie hrabiego von Spee. Cesarz Wilhelm, pełen współczucia dla swojego samotnego admirała, próbował mu przesyłać słowa otuchy: „Niech Bóg będzie z Panem w zbliżającej się zacieklej walce”, lecz von Spee, poza zasięgiem nadajnika radiowego w Tsingtao, nigdy nie otrzymał tej wiadomości. Działał w osamotnieniu, niezdolny skontaktować się z krajem, ze swoimi statkami dostawczymi ani z innymi niemieckimi okrętami wojennymi z jego eskadry.

Musiał znaleźć jakieś miejsce, jakiś punkt na Pacyfiku, gdzie mógłby podjąć próbę ich zgromadzenia. W nadziei, że zjednoczy swe siły, musiałby przerwać ciszę radiową, zaryzykować przechwycenie wiadomości. Było to jednak konieczne.

Pozostawało tylko pytanie, gdzie ma zawinąć. Badając mapę, szukając bezpiecznego portu, wkrótce znalazł idealne miejsce, miejsce, o którym kiedyś czytał, to, które odwiedził kapitan Cook, to z dziwnymi olbrzymimi posągami wzdłuż brzegu. Miejsce najbardziej oddalone od reszty świata: Wyspę Wielkanocną.

Pechowa flota: hrabia von Spee i niemożliwa podróż powrotna

Rozdział jedenasty

Obóz rozbijają na wąskim pasemku piasku wzdłuż północnego wybrzeża wyspy.

Wszystko, co jest złożone w ładowni, trzeba przewieźć łodzią na brzeg po spienionych falach. Szkuner kołysze się na powierzchni oceanu, a tymczasem Elsa, próbując utrzymać równowagę, sennie odwiązuje skrzynie, torby i wiadra.

Poprzednia noc była wyczerpująca. Tubylczy goście - ostatecznie doliczyła się czterdziestu - nie chcieli zejść z pokładu, dopóki nie znużyła ich ceremonia powitania. Składała się na nią skomplikowana wymiana rzeźb w drewnie na słodycze, bananów na tytoń, taro na herbatę. W całym tym zamieszaniu wymieniono kapelusz Edwarda na oszalałe kurczę; następnie, parę minut później, zrozpaczony właściciel kurczaka porwał go z powrotem. Kiedy jednak Alice wyniosła klatkę Budynia na pokład, kiedy z ust gości popłynęły szepty pełne zachwyty, właściciel kurczaka wystąpił do przodu i machając ramionami zaproponował, że zamieni go na papugę. Wtedy wmieszał się Edward. - Nie do jedzenia. To ulubieniec. Przyjaciel. Un amigo. - Jego odmowa w widoczny sposób obraziła grupę, wkrótce jednak Alice zaczęła obsypywać pocałunkami Budynia, który powiedział wyborny ptak, więc w zdumieniu zapomniano o afrontie. Jeden z mężczyzn, z gęstym tatuażem na ramionach, w czerwonym kapeluszu z mosiężnymi guzikami, zaintonował pieśń. Urwał jednak z pogardliwym pomrukiem, gdy młodszy chłopcy, których uwagę odwróciło odkrycie gorsetu Elsy, zaczęli przekreślać słowa.

Posługując się mieszaniną hiszpańskiego i tahitańskiego, Edward usiłował zwerbować ludzi do pracy na następny dzień.

- Nosić! Llevar! - Na oczach zagapionych wyspiarzy dramatycznym gestem uniósł skrzynkę pełną konserw mięsnych. - Widzicie: Nosić. Pracować. Anga!

- Tangata rava-anga - powiedziała Elsa.

Młody chłopiec ze sterczącymi kosmykami gęstych włosów wysunął się do przodu i wziął skrzynkę z rąk Edwarda.

- Maururu - wymamrotał ktoś. Dziękuję.

- Cóż, tego należy się spodziewać - powiedział Edward na krótko przed świtem, kiedy wyspiarze, zręcznie ześliznąwszy się z nadburcia do swoich łodzi, z okrzykami iorana oglądali zgromadzone na kolanach herbatniki, fasolę i papierosy, a cienkie sztylety ich łodzi przebijały się w stronę brzegu. Miesięczne zapasy stracone na powitanie. - W ten sposób najłatwiej zdobędziemy ich zaufanie. Zobaczysz. Niewątpliwie będą okazywali tradycyjną gościnność. Tak samo było na początku z Kikuju.

Teraz jest ranek, a Kierney i Eamonn muszą prędko ruszać na poszukiwanie statku Kompanii Chilijskiej, stojącego na kotwicy nieopodal miasteczka po przeciwnej stronie wyspy. Wyczerpana, zdenerwowana Elsa stoi na pokładzie szkunera i żegna się z nimi. Chciałaby, żeby zostali choć parę dni dłużej. Kiedy rzucają swoje worki do dingi, daje im dodatkowe zapasy herbaty i kawy.

- Jesteście pewni, że potraficie znaleźć statek? Może powinniście poczekać, to poszukamy go razem. Tak będzie bezpieczniej.

- Jeżeli w ogóle potrafię coś znaleźć, pani Beazley - mówi Eamonn, złącząc do dingi - to łódź, którą powinienem popłynąć.

Przez nadburcie przelatuje ciśnięty worek i z głuchym plaśnięciem wpada do dingi.

- Znów na morze! - wrzeszczy w ślad za nim Kierney. Biegnie po pokładzie, chwyta za nadburcie i przerzuca się nad nim na drabinkę. Staje na niej i omijając wzrokiem Elbę, patrzy w stronę, gdzie pod pokładem Edward i Alice rozpakowują skrzynię. Szepcze z uśmiechem: - Jeszcze nie jest za późno, żeby wymknąć się z nami.

- Czy sugerujesz - śmieje się Elsa - że po to przebyłam właśnie dwa tysiące trzysta mil, aby natychmiast zawrócić do Valparaiso?

- Moglibyśmy się zabawić. - Kierney mruga. - Potrzeba pani trochę rozrywki.

- Po tych wszystkich miesiącach nadal nie masz ani odrobiny przyzwoitości? Kiedy on tak się w nią wpatruje, na twarz Elsy wypływa rumieniec.

- Chyba nie - mówi Kierney i chwyta leżące u jej stóp puszki z kawą i herbatą. - Ale mam wspaniały dar przewidywania. - Ze śmiechem wskakuje do dingi. - Życzę szczęścia kapitanowi Beazleyowi i dwóm paniom Beazley!

Edward zjawia się na pokładzie.

- Ach, marynarze są gotowi? Znakomicie.

Opuszcza się po drabince, odpycha dingi i wiosłuje do brzegu. Elsa patrzy, jak dwaj mężczyźni wyskakują na plażę i szybko wspinają się na nadbrzeżną skarpe, z workami przewieszonymi przez ramiona i nareczami konserw. Ze szczytu wzgórza kilku konnych wyspiarzy obserwuje to, co się dzieje. Kierney i Eamonn zbliżają się do nich, gestykulując i wskazując na morze. Niebawem obaj oddają otrzymane od niej przed chwilą puszki, dosiadają koni z tyłu za tubylcami i przyciskają worki do kolan. Przeciążone zwierzęta wolno idą wzdłuż brzegu, maleją w oddali, potem nikną z oczu.

Nieliczni pozostali wyspiarze obserwują ruch łodzi i wysiłki Edwarda, który stara się dopłynąć do szkunera, nie śpieszą jednak z pomocą. Lecz machają.

- Etyka pracy może być obca mieszkańcom Rapa Nui - mówi Edward, kiedy wyłazi z dingi z ogorzałą twarzą lśniąca od potu. Wyciąga chusteczkę z monogramem i ociera czoło. - Ale przynajmniej wydają się dość towarzyscy.

Najwyraźniej usiłuje zlepić czerstwe okruchy ich kłopotliwej sytuacji w kawałek ciasta. Gwoli uczciwości należy powiedzieć, że nie oczekiwał, iż Elsa i Alice będą wszystko taszczyły na brzeg. Teraz jednak nie mają wyboru.

Dzień jest upalny i bezwietrzny. To marzec, prawie rok upłynął od ich wyruszenia z Anglii, ale ten marzec jest inny od tamtego. Tutaj lato ma się ku końcowi.

Jedyna niezmeńczona osoba, Alice, upaja się ładowaniem. Rzuca pledy, kubły i puszki herbaty do czekającej w dole dingi, gdzie Edward je układa, po czym przewozi na brzeg. To nieustanne ładowanie, wiosłowanie do brzegu i wyładowywanie wypełnia cały dzień. Przerwę robią tylko w południe, żeby się schronić w cieniu pod pokładem.

Przed zachodem słońca rozbili dwa prowizoryczne namioty na plaży i z większości swych rzeczy ułożyli stos na trawie. Dingi wyciągnęli na piasek. I czy to z nawyku, czy z chęci, kiedy zgodnie uznają, że wreszcie nadeszła pora spoczynku, Elsa idzie do namiotu razem z Alice. Mimo wyczerpania Edward robi uwagę:

- Nie sądzisz, że już czas zostawić Alice trochę wolnego miejsca?

Elsa przystaje pod luźną siatką moskitiery. Podnosi latarnię i przygląda się Edwardowi - wysokiej sylwetce, szerokim barom, złaknionej twarzy. Po miesiącach żeglugi, spania oddzielnie, po wielogodzinnym rozbijaniu obozu, jakie teraz może to mieć dla niego znaczenie? Gdybyż tak miał wycucie czasu, naturalnych rytmów tych rzeczy. Gdybyż potrafił zrozumieć, że ona właśnie tej nocy nie chce, aby doszło między nimi do zbliżenia.

- Proszę cię, Edwardzie.

- Mniejsza z tym - mówi Edward. - Mniejsza z tym.

Lecz pozostaje na piasku w swoim pomiętym białym kapitańskim stroju, z błyskiem urazy w oczach. Wygląda na odurzonego zmęczeniem.

- Och, chwileczkę - wyrzuca z siebie Elsa.

W tym jednym zdaniu rozładowuje się narastające napięcie, które dotychczas łagodziła delikatność. Podróż dobiegła końca; nie ma przeciwności związanych z pogodą i rac jonowaniem; znikło wyzwanie cementujące w minionym roku ich przyjaźń, ich związek. Dokonali tego. A skoro ich życiu przestało zagrażać niebezpieczeństwo, Elsa we własnym mniemaniu odzyskała - zawieszona w tych trudnych miesiącach - prawo do odczuwania dokuczliwości, prawo do irytacji.

Jasne jest, że Edward zdaje sobie z tego sprawę. Stoi w blasku księżyca zdziwiony i oszołomiony.

Ale jak Elsa może mieć mu za złe te słowa, skoro z własnego wyboru go poślubiła, z własnego wyboru wyruszyła w tę podróż? Popelniał jedną zbrodnię, a mianowicie zaproponował jej tylko to, co było realne, kompromisowy sposób ratunku, na który w danych okolicznościach musiała przystać. Naprawdę był dla niej dobry.

- Momencik, kochanie - woła. - Powiem Alice dobranoc. - Zanurza się w zielonej poświacie namiotu i całuje siostrę.

- Budynia też.

Klatka stoi na ziemi. Elsa posyła ptakowi całusa.

- Dobranoc, Budyń. Alice chichocze.

- Taka jesteś wściekła na Beazleya.

- Jesteśmy po prostu zmęczeni. To wszystko. Zmęczeni. Będziemy tuż obok, w sąsiednim namiocie.

- Śpisz tam?

- Tak, Allie.

- A co z nami?

- Ty i Budyń dacie sobie radę. Jak będziesz czegoś potrzebować, to mnie zawołaj. Dobrze?

- Nie zapomnij wrócić rano.

- Zawołasz mnie, jak będziesz czegoś potrzebować?

- Zawolałam cię, jak przylecą nietoperze.

- Allie.

- Albo komary. - Alice już jest mumią owiniętą prześcieradłami.

- Będę tuż obok. Wystaw głowę z namiotu, to zobaczysz, gdzie jestem.

- Gorąco mi.

- To dlatego, że owinęłaś się prześcieradłami, głuptasie.

- Ochłódź mnie, Elsa. Elsa dmucha na czoło Alice.

- Będę tuż obok ciebie. A teraz dobranoc.

Dziwnie jest zostawić Alice samą, Elsa nie ma jednak wyboru. Spełnia tylko nowy obowiązek. Zaciąga za sobą siatkę i z wolna idzie po głębokim, ciężkim piasku do namiotu Edwarda. On w białej nocnej koszuli siedzi na stołku.

- Jesteśmy przecież małżeństwem, Elsa.

- Tak - mówi ona, starając się być miłą. - Jesteśmy mężem i żoną. Wiem. Ale jeszcze do tego nie przywykłam. Przywykłam do Alice. To nie ma żadnego związku z tobą. Z nami.

Szybko rozpina bluzkę i spódnicę.

- Dzień był bardzo męczący, prawda, Edward? Wszystkie te skrzynki. Pozostałabym tu na zawsze choćby po to, żeby uniknąć ponownego ich przenoszenia. Mam nadzieję, że jutro będziemy mogli trochę odpocząć.

- Jutro będziemy tylko turystami, obiecuję. Będziemy zwiedzać.

- Dobrze. Nigdy nie byłam turystką.

Kiedy siada na brzegu swego polowego łóżka, zapada między nimi milczenie. Z zewnątrz dobiega huk przyboju. Wiatr targa namiotem. I Elsa nie może się oprzeć myśli, że za chwilę Kierney wrzaśnie z pokładu albo Eamonn poprosi ją o zaknagowanie liny, albo Alice wykrzyknie coś do albatrosa. Ale jest tu sam na sam z Edwardem i co mają sobie teraz do powiedzenia? Nie ma nic do roboty, żadnych zadań, nikim nie musi się opiekować.

- Elso... czy ja... budzę w tobie strach?

- Edwardzie, to głupie.

- Wiem, że jestem od ciebie dużo starszy. Jestem, no cóż, stary. Z pewnością nie jestem kimś, o kim marzy młoda kobieta w twoim wieku.

Na te słowa Elsa chce do niego podejść, chce go pocałować, boi się jednak, że ta życzliwość zostanie źle zrozumiana. Nie może być z nim teraz; jest za wcześnie, zbyt dziwnie.

- Po prostu niepokoję się o Alice - mówi. - Jej odpłynięcie... to było przerażające. I podróż była taka uciążliwa.

- Oczywiście.

- Chciałabym tylko przywyknąć do tego miejsca. Zadamowić się.

- Elso, wszystko jest w porządku. Każde z nas ma swoje łóżko.

- Edwardzie...

- Najważniejszą rzeczą jest odpowiednia dawka dobrego wypoczynku.

Edward wstaje ze stołka i wślizguje się pod luźno naciągnięte prześcieradło na swoim łóżku. Zdmuchuje latarnię.

- Ważne jest dla nas, żebyśmy odmłodnieli - mówi Elsa. Już zwrócony do niej plecami, szepcze:

- Nie zapomnij włożyć do uszu trochę waty. Na pewno mają tu jakąś odmianę skorków.

- Zrobię to, Edwardzie. Dobranoc.

Elsa mości się na łóżku, natychmiast zatyka uszy watą, zdmuchuje własną latarnię i zapada w głęboki sen. Śni i będzie to robić przez następne tygodnie, że wciąż jest na łodzi, sunie po wodzie. Lśniące białe ptactwo morskie krąży nad jej głową, kiedy wpatruje się w bezkresny horyzont. Wreszcie dostrzega ląd, gęsto porośnięty mchem i paprociami, z cienkim pasemkiem dymu

wydobywającym się z jego środka. W miarę jak ona zbliża się do brzegu, ład znika.

Parę godzin później Elsa budzi się w absolutnych ciemnościach, w dziwnej i głuchej ciszy, przygnieciona ciężarem czyjegoś ciała. Zastyga w bezruchu, tłumi okrzyk. Z uszu wyciąga kłębki waty. Czyżby on rzeczywiście? I wtedy długi kosmyk włosów przesuwają się po jej twarzy. Ciche, miarowe oddechy wypełniają namiot. Odprężona Elsa na powrót pogrąża się w śnie. To tylko Alice.

Pierwszy miesiąc poświęcają na oględziny i fotografowanie. Odległości są spore, teren skalisty. Do transportu sprawiają sobie trzy konie w zamian za tytoń. Po kilkudniowych namowach - Allie, to o wiele prostsze od jazdy na rowerze - Alice wreszcie daje się nakłonić i dosiada wierzchowca, po czym razem jadą w poprzek wyspy, omijając setki owiec, które włóczą się po trawiastych stokach. Zaznaczają na mapie ważne odległości, punkty orientacyjne i miejsca, gdzie leżą posągi. Co parę dni jeżdżą do jeziora w kraterze po świeżą wodę, napełniają wiadra i miski, przewożą je do obozu. Raz na tydzień odwiedzają po drugiej stronie wyspy Hanga Roa, oddalone o dziesięć mil miasto, gdzie w drodze wymiany nabywają owoce, warzywa i mięso, jak też odzyskują własne rzeczy.

Garnki, spódnice, mydło, herbata, szpagat - co rano czegoś nowego brakuje w obozie. Po wyjściu z namiotów widzą w świetle wschodzącego słońca, że na piasku wala się skrzynka z wyważonym wiekiem, przewrócone wiadro, splądrowany kufer. Szybko jednak uczą się odzyskiwać je w prosty sposób: prośbami. Pewnego dnia, w drodze do miasta, mijają leciwego mężczyznę z głową obwiązaną krawatem Edwarda jak chustą. Kiedy Edward wskazuje krawat, mężczyzna najzwyczajniej go rozwiązuje, oddaje i odjeżdża. Rozumieją, że kradzież, choć na wyspie rozpowszechnioną, często równoważy pokojowy i prosty zwrot zabranych przedmiotów.

- Widzisz, to jest społeczność zamknięta - mówi Edward pewnego ranka podczas śniadania, po zniknięciu kolejnego z przeciwsłonecznych hełmów Elsy. - Kradzież, w tradycyjnym znaczeniu, pozbawia właściciela tego, co do niego należy. Lecz na wyspie niczego nie można tak naprawdę zabrać, można to tylko przenieść. Zatem: w istocie - nie kradzież. Rzeczy, powiedzmy, jedynie „pożycza się bez pytania”.

Na plaży rozstawili zwykły prostokątny stół, przy którym jedzą posiłki. Za siedzenia służą im trzy skrzynki, nakryte prześcieradłami.

- Cóż, nie jest uczciwie „pożyczyć” herbatę, a potem ją zaparzyć - mówi Elsa, rozsmarowując dżem na herbatniku. Nie bardzo zależy jej na herbacie, ale

straciła egzemplarz Podróży na okręcie „Beagle” i nie wie, jak o tym powiedzieć Edwardowi. Zaprzepaścić prezent to pech, myśli. Zwłaszcza prezent ślubny. Znikła też skórzana torba na ramię, własność Alice.

- No to contendere - odpowiada Edward. - Istotnie, rzeczy jadalne przeczą mojej hipotezie.

Sądząc z jego tonu, uznał ją za zadziorną.

- Ale to dobra hipoteza. Taka absolutna izolacja ma chyba wpływ na zasady społeczne.

- Cóż... Elso - mówi dalej, krając gujawę - stawiamy ich w niezwyklej sytuacji. Moglibyśmy w dowolnej chwili zbiec z wyspy, zabrać ze sobą rzeczy nasze i ich, gdybyśmy mieli równie wątpliwe zapatrywania na sprawę własności. Nie zapominaj: my mamy szkuner.

- Ufajmy, że tak już zostanie. - Ze względu na silny prąd musieli przeprowadzić szkuner na drugą stronę wyspy.

- Jakiś system regulowania tych wymian chyba jest albo był przed naszym przybyciem. Według mnie mogliśmy, jak by to powiedzieć, zachwiać tym systemem. Przyprawić ich o lekką rozterkę.

Rozterkę. Tak. Jak inaczej mieliby to nazwać, zastanawia się Elsa. Jeden z tomów Darwina został jej skradziony przez kogoś, kto nie umie czytać po angielsku. Opróżnione skrzynki znikają. Kobiety włóczą się po Hanga Roa w jej kapeluszach i spódnicach, w lamowanych koronkach zakietach Alice, młode dziewczyny przewiązują swoje koszule krawatami Edwarda.

W niedługim czasie udziela się to Alice. Któregoś ranka wychodzi ze swojego namiotu w tubylczej białej koszuli.

- Skąd to wzięłaś, Alice?

- Pożyczyłam. Jestem Rapa Nui.

- Allie.

- Widzisz? Jestem Alice Rapa Nui.

I zaczyna przedstawiać na piasku wymyślną pantomimę: kuca, następnie podwija rękawy koszuli i udaje, że wrywa z ziemi taro. Wygrzebuje dziurę, pojedynczo znosi niewidzialne kamienie i umieszcza je w swoim ziemnym piecu, po czym staje i z dumą przygląda się wyimaginowanemu dziełu. Jakże piękna jest, myśli

Elsa, ta jej zdolność, ta chęć wyobrażania sobie, że jest kimś innym. Alice potrafi uwierzyć, że jest Rodneyem Blackwellem, Elsą, kimkolwiek. Czy jednak zna swoje ograniczenia, zastanawia się Elsa, czy wie, gdzie kończy się ona, a zaczyna ktoś inny?

Kilka dni później, kiedy kupują w Hanga Roa produkty, dogania ich właścicielka koszuli. Błada kobieta podchodzi do Alice, nadal ubranej w koszulę, i klepie ją po ramieniu. Nie wydaje się urażona. Pokazuje skórzaną torbę Alice, a proponowana wymiana towarów przywołuje na twarze obu kobiet uśmiechy, jak gdyby to była Gwiazdka, każdy zaś podarunek stanowił najdokładniej przemyślaną, drogą niespodziankę. Alice, po ściągnięciu i wręczeniu kobiecie koszuli, zostaje w staniku i majtkach. Widząc, jak otwiera torbę, gładzi z obu stron miękką skórę, zamyka oczy i nuci, kobieta zastyga w bezruchu. Z zatroskaniem spogląda na Elbę, potem na Edwarda. Wreszcie robi krok do przodu i zwraca koszulę Alice. Ujmuje jej rękę, całuje, swoją dłoń przyciska jej do czoła.

Alice zaczyna się śmiać, miotać i wkrótce skupia na sobie uwagę całej ulicy. Młody chłopiec, ten sam, który pierwszego wieczoru na łodzi wyrwał z rąk Edwarda skrzynkę z konserwami mięsnymi, obserwuje ją w niemym zdziwieniu.

Pod koniec dnia, kiedy dosiadają koni, obładowani torbami awokado, gujaw i bananów, ten sam chłopiec jedzie za nimi na swoim kucu.

To Puszka Herbatników.

Reszta wsi zdecydowanie mniej interesuje się ich ruchami niż konserwami mięsnymi czy tytoniem. Ilekroć jednak zjawiają się w Hanga Roa, ten chłopiec jedzie za nimi z miasta aż do Anakena niczym milczący, ciekawy wartownik. Kiedy zaś w końcu przybywają na plażę, zeskakują i uwiązują kuce, siada na piasku i patrzy, jak sprawdzają swój sprzęt, rozpalają ogień, przygotowują kolację. Głowę porasta mu gąszcz czarnych kosmyków, zmierzwionych i lśniących, jakby dopiero co wyszedł z wody. Ma połyskliwe brązowe oczy, nos szeroki, wargi pełne i jędrne, a w uśmiechu pokazuje całe dwa rzędy bielutkich zębów. Bacznie obserwuje obóz i podczas każdej wizyty przybliża się coraz bardziej, tak że po kilku tygodniach siedzi już pod namiotem Alice, wpatrzony w nią przez siatkową zasłonę u wejścia. Przygląda się Alice, tam i z powrotem noszącej klatkę z Budyniem; próbuje łaskotać ptaka przez pręty. Nie chce jednak mówić, a nawet podać swojego imienia. Alice zaczyna go nazywać Puską Herbatników, ponieważ wieczorami potrafi go nakłonić do powrotu tylko wtedy, kiedy mu pozwoli wybrać herbatniki. (Ku przerażeniu Elsy chłopiec dotyka każdego przed podjęciem decyzji). Bardzo jednak lubi się z nim bawić. Znudziła ją troska innych. Teraz ona może się z kimś cackać. Radosna i apodyktyczna, powtarza Puszce Herbatników wszystkie przestrogi i upomnienia Elsy: Na pewno nie potrzebujesz włożyć zakietu, Puszeko Herbatników! Puszeko Herbatników, nie podchodź do oceanu. Są w nim

paskudne rekiny. Patrz pod nogi, te kamienie są bardzo, bardzo ostre. Jak matka, myśli Elsa, obserwując ich oboje. A chłopiec przepada za ostrzeżeniami Alice. Ona może go mocno chwycić za chude ramię, potrząsnąć nim; może odciągnąć go od skalnej krawędzi za kołnierz wystrzępionej koszuli, on zaś promienieje. Niechętnie tylko dotyka jej czy kogokolwiek z nich. Zachowuje dystans, grzeczną rezerwę.

Jego nawykiem staje się jednak pożyczanie nocnych koszul Alice. Wypada z jej namiotu w szeleszczącej bieli, podskakuje, wiruje niczym niema zjawą, uradowana i podniecona śmiechem osób siedzących przy ognisku. Wreszcie wokół kostek owijają mu się spirale białej bawełny, rzucają go głową na piasek. W niektóre wieczory Elsa się zastanawia, czy nie powinni bardziej troszczyć się o chłopca - co pomyślą jego rodzice? Czy to bezpieczne, że sam po ciemku jedzie na swoim kucu? Dlaczego z taką pozorną swobodą włóczy się po okolicy? Tyle że nie ma jak zapytać, co jest właściwe, a chłopiec chyba postanowił milczeć. Więc Elsa pozwala pytaniom odsuwać się na dalszy plan. W chwili obecnej chłopiec ich bawi.

A w tym nowym miejscu, tak oddalonym od domu, Puszka Herbatników, choć zapewne nie ma więcej niż dziewięć lat, to ich jedyny przyjaciel.

*

Po miesiącu Edward postanawia rozpocząć pracę w Rano Raraku, kopalni moai, położonej na południowy wschód od obozu i oddalonej od niego o cztery mile. To, czyli krater wulkanu, z którego wyrąbywano posągi, najbardziej go interesuje. Dziesiątki niedokończonych moai tkwią w skale wewnątrz krateru; na zewnętrznym trawiastym stoku kolejne dziesiątki stoją, poprzecyłane pod różnymi kątami, zastygłe w bezruchu, jak gdyby dokądś podążały. Edward chce najpierw zmierzyć i skatalogować wszystkie figury. Potem zamierza kopać.

Przez cały dzień Elsa leży w wysokiej trawie, z parasolem zatkniętym obok, i rysuje wydłużony profil każdej kamiennej twarzy - spadziste nosy, kwadratowe szczęki, obwisłe małżowiny uszne. Edward chodzi po wzgórzu, numeruje kredą podstawę każdego moai, następnie wpisuje go do swojego dziennika.

- Trzydzieści pięć stóp, Elsa! Musi ważyć ponad pięćdziesiąt ton! Czasami donośnie podaje bardziej wyszukane opisy – Owalna rzeźba, kojarząca się z jajem, na podstawie 87 A - które ona notuje w swoim dzienniku.

W czasie kiedy on i Elsa badają posągi, wygodnie jest pozwalać Alice na zabawę z chłopcem. U podnóża krateru, pod prowizorycznym daszkiem, Alice dzień po dniu próbuje go nauczyć gry w bezika, a potem mówić mu o ptakach.

Nie ma tu jednak jastrzębi ani rybitw, które mogłaby mu pokazać - Alice skarży się na to ustawicznie.

Moai jest nadspodziewanie dużo. Niektóre leżą ukryte w skale, porośnięte bladą trawą. Niektóre wystrzelają jak kamienne dziczki. Inne są zagrzebane prawie po głowy.

- Według mojego szacunku jest ich ponad dwieście - mówi Edward.

- To niesamowite - zauważa Elsa. - Są takie porzucone. I wszystkie figury wokół wyspy. Obalone.

- Musiało tu zajść niesłychane zjawisko sejsmiczne - odpowiada Edward. - Żaden posąg nie stoi.

- Straszne byłoby tak ciężko pracować nad wzniesieniem tych rzeczy, a potem dopuścić do ich upadku.

- Spustoszyć wyspę musiało zjawisko dość potężne, aby obalić te posągi. Fala przyływu? Zmiotłaby wszystkie plony, cały inwentarz. Każda działalność wulkaniczna zniszczyłaby glebę. I oczywiście zachodzi wtórna reakcja emocjonalna i rozumowa. Takie wydarzenia, klęski żywiołowe, stają się dla pierwotnych społeczności omenami. W braku naukowego wytłumaczenia czy zrozumienia coś tak strasznego można między innymi uznać za gniew bogów.

- Chciałabym wiedzieć, jak by to było tu mieszkać. Znać tylko tę wyspę. Wyobrażać sobie, że jesteśmy tu teraz i nie pamiętamy Anglii.

- Ale nie możemy sobie wyobrażać, że nie mamy żadnych wspomnień. To nasze „my” zawsze będzie mieć wspomnienia.

- Oczywiście. Nadal jednak można myśleć, że się żyje w innym miejscu, w innym czasie. Po prostu wyobrażać sobie, jak mogłoby to być.

- Tak, chyba rozumiem.

- Zastanawiam się tylko, czy nasze miejsce i czas są istotnie naszą częścią, czy są nam przypisane...

Rozmawiają tak do zachodu słońca, mierząc, szkicując i snując domysły. Potem dosiadają koni i wracają do obozu, teraz już całkiem urządzonego.

Gotowanie obiadu odbywa się możliwie najszybciej. Roje much i komarów unoszą się nad ogniskiem, oszołomione wpadają do każdego otwartego garnka; zupy i potrawy są upstrzone małymi czarnymi ciałkami. Raz, przygotowując na obiad kurczaka, Elsa dolicza się dwudziestu much na ramieniu. Szybko przystosowuje się do tej codziennej walki z owadami. Pewnej nocy w namiocie spada jej na twarz czerwony karaluch wielkości kciuka. Po czymś takim senne czarne muchy wydają się już znośne.

O zmierzchu wszyscy, stłoczeni w namiocie Alice - Puskę Herbatników, jeśli nadal się tam kręci, wsadzają na kuca i zaopatrują w poczęstunek na drogę

- przez godzinę czytają na głos Życie i podróże kapitana Jamesa Cooka albo Amurath do Amuratha, książkę słynnej brytyjskiej poszukiwaczki przygód, Gertrudy Bell, o jej podróży przez Mezopotamię.

- Widzisz, moja droga - mówi Edward - kobieta często potrafi zgłębić obce kultury. Kto wie? Mogłabyś być następną panną Bell!

Ale nie potrzebuje tego mówić - ta myśl wcześniej przyszła jej do głowy i powraca co wieczór w trakcie lektury. Czy Elsa mogłaby opisać ich podróż? Ich pracę? Jest przecież w miejscu, gdzie nie postąpiła noga żadnej innej mieszkanki Zachodu. Wprawdzie Bell studiowała w Oksfordzie, a jedwabna nić jej życia wysnuwała się z prastarej arystokracji, gdy tymczasem Elsa spędzała życie wśród książek, pożyczanych z bibliotek pracodawców, bądź wystawała pod drzwiami sal wykładowych na uniwersytecie swojego ojca. Mimo to możliwość pisania pamiętnika dodaje jej energii. Kiedy czytają w oświetlonym lampą namiocie, słuchając, jak ómy z trzepotem uderzają w szkło, jak w oddali rozbija się przybrzeżna fala, Elbę zaprzęta myśl o własnej pracy na wyspie, o jej notatnikach, z których pewnego dnia może powstać książka Elsy Pendleton Beazley. Elsa musi zatem znaleźć własny przedmiot badań. Coś innego niż wykop - on należy do Edwarda.

Po skończeniu rozdziału, zamknięciu książki i złożeniu jasnego płomienia lampy w ofierze łagodnemu blaskowi księżyca mówią sobie dobranoc. Elsa i Edward wracają do swojego namiotu - Elsa spędza w nim teraz każdą noc. Czasami, kiedy śpią, zakrada się tam Alice, pada na podłogę przy łóżku Elsy albo przytulona do niej szepcze „piec, piec”. Raz czy dwa Elsa widzi po przebudzeniu Alice, uczepioną półnagięgo Edwarda. W takich wypadkach szturcha ją i odrywa od niego.

Ale pewnej nocy, kiedy nie może już opędzić się myśli o tym, co Edward powiedział pierwszego wieczora na wyspie - Wiem, że nie jestem kimś, o kim marzy młoda kobieta w twoim wieku - kiedy nie może już znieść wspomnienia o jego wstydzie, kiedy niezasłużone przez nią wydają się jego conocne zapewnienia, że Elsa ma przecież oddzielne łóżko i że on chętnie odwróci się na czas jej rozbierania, w mrokach namiotu na palcach podchodzi do jego łóżka, siada na brzeżku i w milczeniu ofiarowuje mu siebie.

Uważa, że Alice nie mogła usłyszeć ani zobaczyć, co między nimi zaszło. A jednak Alice musi coś wyczuwać. Coś, z czego nie jest zadowolona, sądząc po kwaśnej minie, jaką ma nazajutrz rano, kiedy Elsa wsadza głowę do jej namiotu.

Od tej pory wizyty Alice ustają.

Rozdział dwunasty

Dzień po tym, jak pod drzwi gabinetu profesora Farradaya wsunęła poemat Whitmana, Greer po przybyciu do sali wykładowej znajduje na tablicy tekst:

Prawda czy nieprawda?

Wierzę, iż źdźbło trawy nie mnie znaczy niż rzemiosło gwiazd, A mrówka jest równie doskonała i ziarno piasku, i jajko strzyżyka.

A rzekotka jest zakąską dla smakoszków...

- Do pytania sprowokował niejaki Walt Whitman, poeta ludu - powiedział Thomas, wskaźnikiem stukając w tablicę. - Czy źdźbło trawy jest rzemiosłem gwiazd?

Przeczytał cały utwór na głos, robiąc przerwy między wersami, a gdy skończył, usiadł na katedrze, z nogami na pulpicie i rękami splecionymi z tyłu głowy.

- Moim zdaniem najlepiej byłoby ułożyć w odpowiedzi własny poemacik. - Thomas polecił studentowi przepisać coś, co okazało się sześcioma zwrotkami na temat gatunków traw, które wytwarzają toksyczny kwas cyjanowodorowy, oraz kolonii mrówek, które biorą niewolników. Studentów rozbawił; uchodził za walecznego, a im dostarczył od dawna oczekiwaną pointy. Oto człowiek, który na pierwszym roku studiów zdobył w Princeton Nagrodę Linneusza, a zanim zrobił magisterium, zdażył opublikować trzy pionierskie artykuły na temat analizy skamieniałego pyłku. Człowiek, który w roku 1953, mając trzydzieści trzy lata, zorganizował pierwszą światową konferencję palinologiczną. Studenci wiedzieli, że ten poemat wejdzie do folkloru profesora Farradaya, i cieszyli się, że będą stanowić jego część. Greer jednak milczała, zdumiona, że ktoś potrafi tak stanowczo odrzucać możliwość istnienia w przyrodzie dobroczynnego zamiaru czy jakiejś kosmicznej doskonałości. Po wykładzie, kiedy zeszła już do połowy schodów, zawołał ją Thomas.

- Panno Sandor, poemat wskazuje oczywiście na znakomite opanowanie języka... nawet ja nie jestem nieczuły na liryzm... lecz i na słabą znajomość niuansów naukowych. Ostatecznie jeśli nie my będziemy bronić nauki, kto to zrobi? Dziękuję pani za wyzwanie.

Zwróciła się do niego twarzą. Jego duży nos, nieomal jak dziób, stanowił miłą przeciwwagę dla szeroko rozstawionych oczu. W wieku czterdziestu dwóch lat gęste baki lekko mu się srebrzyły. Poza tym włosy miał ciemnobrązowe i nieczesane, co dawało się zauważyć. W tradycyjnym tego słowa znaczeniu nie był przystojny, lecz jego twarz zdawała się w naturalny sposób wyrażać wewnętrzną inteligencję, jak gdyby rysy wypiętrzały się na

kształt gór z jego umysłu, nos, oczy, szerokie czoło były przejawami wewnętrznej energii.

- Panie profesorze, dlaczego pan myśli, że interesuje mnie ten poemat?

- Nie wierzę w wielki zamysł, natomiast w pełni zdaję sobie sprawę z prawidłowości, które rządzą życiem codziennym. Tylko kobiety - powiedział, niczym miniaturową batutę obracając w palcach kawałek kredy - wsuwają pod drzwi wiersze. A pani na pewno zauważyła, że jest jedyną kobietą w mojej grupie.

- Och, zauważyłam.

Niewątpliwie czekał na więcej, lecz Greer odwróciła się już bez dalszych słów. Otwierając drzwi sali wykładowej, czuła, że Thomas podąża za nią spojrzeniem, odmierzając kroki swej ciekawości.

Naturalnie od pierwszego wykładu zdawała sobie sprawę, że jest jedyną kobietą. A później, że jest jedną z zaledwie sześciu kobiet doktoryzujących się z botaniki na uniwersytecie stanowym Wisconsin. Ten fakt doceniali wszyscy - kobiety, mężczyźni, cały wydział. Chcąc stawić czoło takiej sytuacji, najgłośniejsza i najbardziej towarzyska z grupy kobiet - Mildred Ravener - zwołała ich zebranie. W rześki wrześnieowy dzień Greer siedziała na Union Terrace z Alice Beemer, Gerty Smith, Elaine Ferguson i Jo Banks, zajadając góry wyprodukowanych na uniwersytecie lodów. Rozmawiały o swoich botanicznych zainteresowaniach, o swoim dzieciństwie i o przeszkodach w karierze naukowej. Greer wysłuchiwała każdej z nich, kiedy zaś kolej przyszła na nią, opowiedziała jedyną anegdotę, jaka jej strzeliła do głowy.

- Udowadniałam, że pszczoły przyciąga do fiołków kolor, nie zapach, i w tym celu umieściłam nad fiołkiem odwróconą probówkę, po czym monitorowałam lot pszczoł. Oczywiście leciały prosto do czubka probówki, gdzie dominował kolor, a nie do podstawy, skąd ulatniał się zapach. Użądliły jednak mojego nauczyciela, kiedy próbował ocenić eksperyment, zwyciężył zaś Joshua Kleimer, który rozebrał lodówkę swojej matki. I oznaczył wszystkie części. Koniec. Pięć dolarów za odgadnięcie, co robił, kiedy ostatni raz go widziałam.

- Chodzi ci o zawód? Czy o to, co robił akurat wtedy? - spytała Gerty Smith. Gerty Smith była żoną dentysty.

Greer westchnęła.

- Naprawiał sprzęt gospodarstwa domowego.

- Więc w której to było klasie? - spytała Mildred Ravener.

- W trzeciej - odparła Greer.

Greer wiedziała, że nie takiej historyjki oczekiwały - one były obmacywane w ciemnych korytarzach przez nauczycieli, rodzice ostrzegali je, że nauka spustoszy ich serca i łona. Mildred Ravener opisała dzień, kiedy ojciec wrzucił wszystkie jej książki przyrodnicze do pieca i spalił, a na ich miejscu położył stos ładnie zapakowanych książek kucharskich. („Widzicie, moje panie, uważał, że robi to z miłości”). Dwa miesiące później zamienił mikroskop, kupiony przez nią po latach oszczędzania, na singerowską maszynę do szycia. Aildred żywiła, mówiąc jej słowami, liczne „urazy w stosunku do pozostałych członków komórki rodzinnej”). Jako osoba obsesyjnie dokwentna i głęboko religijna, wierzyła, że komunikacja potrafi załagodzić wszelkie konflikty. Co tydzień pisała do rodziców list - chyba zawsze ten sam - w którym tłumaczyła swoją miłość do nauki. I co tydzień daremnie wyczekiwała odpowiedzi. Wierzyła jednak, że ją zrozumieją, że kiedyś znajdzie w skrzynce od dawna oczekiwaną kopertę.

Greer, przeciwnie niż one, stale znajdowała w ojcu wsparcie; to z uwagi na niego poświęciła się nauce. Dlatego we własnym przekonaniu niewiele miała z nimi wspólnego. Naprawdę lubiła tylko Jo Banks - o parę lat starszą od reszty, bystrą i ze smykałką do identyfikowania pyłków. Jo chyba nigdy nie traciła brązowego połysku, którego nabrała na wyspach Morza Karaibskiego, gdzie przez kilka lat pracowała jako instruktorka płetwonurków i gdzie jakieś wewnętrzne doświadczenie z barakudą, często wspomniane mimochodem, lecz nigdy niewyjaśnione, odmieniło jej życie. Miała sześciu braci - Jeba, Johna, Jacka, Judda, Jessiego i Jeremiasza - o których mówiła tak, jak gdyby wszystkim innym byli znani. („Judd też nie cierpi wanilii”). O rodzicach natomiast powiedziała coś tylko raz, a mianowicie to, że nigdy o niej nie mówią. „Nie są zadowoleni, że zajmujesz się nauką?” - spytała Mildred. „Nie - odparła Jo. - Są zadowoleni”. I na tym skończyła. Jo Banks w denerwującym stopniu opanowała sztukę milczenia. Siedziała, obserwowała, potakiwała; kiedy zabierała głos, wyrażała się zwięźle i bez ogródek. Odznaczała się za to wyjątkowym poczuciem humoru. To ona nadała przezwisko laboratorium profesora Farradaya: Filodendron. A potem jemu samemu: Chlebowiec* na Katedrze.

* Nieprzetłumaczalna gra słów. lackass to chlebowiec różnolistny, ale i osioł.

Obie rośliny miały w pierwszym sezonie wyłącznie kwiaty męskie i dopiero po kilku sezonach niewielką liczbę kwiatów żeńskich, tylko w dolnej części łodygi. Jo chodziła na wykłady Thomasa rok wcześniej niż Greer, którą ostrzegła:

- Potakuj, uśmiechaj się, mów, że podobają ci się jego krawaty. Może być kutasem, ale na wydziale to ważniak. Dokonał przełomu w badaniach roślin okrytozalążkowych. Zapamiętaj jedno: jak zacznie się rozwodzić na temat ateizmu, udawaj, że to cię naprawdę ciekawi. - Jo szerzej otworzyła oczy, uniosła brwi, rozdziawiła usta, parodiując minę osoby zainteresowanej. Miała gęstą brązową grzywkę i włosy zawsze związane w kucyk, który teraz poprawiła. - Pamiętaj. Ten facet nie potrzebuje wyklądać pierwszoroczniakom. Uczy, bo to lubi. Chore, co? Więc mu basuj. Próbuje wychylać się do przodu - za takimi bzdurami przepada. Przecież chcesz go mieć w swojej drużynie.

Ale Greer zastanawiała się, czy wierszem nie wykluczyła go ze swojej drużyny.

- Cholera - powiedziała Jo, usłyszawszy, co się stało. Piły razem piwo w jej mieszkaniu, a Jo właśnie wyciągnęła dwa cygara. - W zeszłym roku facet spróbował takiego deistycznego numeru i w samym środku wykładu Chlebowiec kazał mu zebrać manatki, wyjść i zamiast na wykładzie posiedzieć w kościele. Zostawiłaś mu poemat Whitmana, a nie wyglądał na wkurzonego?

- Wyglądał na ubawionego.

- Patrz, w taki sposób trzeba pozbyć się czubka. - Jo odgryzła czubek cygara.

- Mniem - powiedziała Greer i wypluła koniuszek cygara do muszli, którą podała jej Jo.

- Był ubawiony. Oho. Podaj wiadomość do gazet. Myślę, że Chlebowiec jest zainteresowany.

Greer umilkła; to przyszło jej już do głowy.

- O cholera. Ty jesteś zainteresowana.

- Nie powinnam być.

- Cóż, to osioł.

- Inteligentny osioł.

- Umiarkowanie wykształcony osioł. Z tym się zgodzę.

- Przynajmniej nie jest żonaty.

- Teraz wygląda na marzyciela. Przestań, bo się zakocham.

- Cóż, jest ode mnie prawie dwa razy starszy.

- A to się nigdy nie zdarza.

- Wiem, że się zdarza. Wciąż się zdarza. I dlatego nie jest takie interesujące. Jest banalne.

- A ty naprawdę szukasz czegoś niebanalnego?

- Nie wiem.

Jo rozsiadła się na kanapie i popatrzyła na cygaro.

- Kuba. Mogłybyśmy się wybrać na Kubę i kupić prawdziwe cygara. Zawsze chciałam mieszkać za granicą. A tak naprawdę to potrzebujemy zaangażować się w jakąś rewolucję. Mogłybyśmy zostać generalissimusami. Boże, byłybyśmy doskonałymi generalissimusami. Przynajmniej ja, ale ty dość szybko się uczysz. Mogłybyśmy nosić mundury polowe. Berety. Może zachować kolczyki i loki. A to nie jest banalne.

Greer, wyciągnięta na dywanie, wpatrywała się w plamy pleśni na suficie.

- Cóż, Castro nie jest taki brzydki.

- Mój Boże, dziwny masz gust. Pierwsza zasada obowiązująca generalissimusa, Greer, to nie być napaloną na głównego partyzanckiego generalissimusa.

- Tak się składa, że Fidel jest obecnie premierem. Bardzo przyzwoitym. A moja komunistyczna dyktatura będzie specjalnie przystosowana do związków romantycznych.

- To nie komunistyczna dyktatura, to komuna. Greer ze śmiechem podłożyła ramię pod głowę.

- No więc - powiedziała Jo z wyżyn kanapy. - Banał w życiu jest znacznie lepszy niż zboczenie.

- Zobaczymy.

- Zapamiętaj tylko, że czasem starszy profesor - Jo pomachała cygarem przed oczami Greer - bywa po prostu starszym profesorem.

Kiedy jednak w następnym tygodniu Greer poszła na wykład profesora Farradaya, było tak, jakby nic się nie stało. Zjawiła się wcześniej, w żółtej spódnicy i białej bluzce. Zrobiła nawet makijaż. Zajęła miejsce w pierwszym rzędzie i powoli podwinęła pod siebie spódnicę, lecz Thomas, który czytał rozłożony na pulpicie artykuł, nie podniósł wzroku. Dopiero kiedy na salę wkroczyli ostatni studenci, wstał i skierował się w stronę tablicy. Miał na sobie to samo co zwykle granatowe ubranie, wymięte na plecach; rękawy były o cal za długie, więc ilekroć chciał coś napisać na tablicy, musiał je podciągać, po czym znów opadały. Jego niechlujstwo wprawiało Greer w konsternację. Dlaczego ten człowiek nie ma dobrze skrojonego garnituru? Znany naukowiec, pupilek wydziału - na to z pewnością go stać.

Wiedziała, że nie jest żonaty, teraz jednak przypomniawszy sobie, co słyszała o jego samotniczych przyzwyczajeniach. Ludzie mówili, że żyje jak mnich, czasami snuli domysły na temat jego spraw sercowych, kojarzyli go z sekretarką wydziału i asystentką z uniwersyteckiej cieplarni. Ponieważ tak rzadko pokazywał się w damskim towarzystwie, posądzali go o związek z każdą kobietą, do której się odezwał. Wszystko, co robił poza salą wykładową,

stawało się przedmiotem rozmów. Mildred Ravener widziała go raz w sklepie spożywczym, kiedy zaś napomknęła o tym innym studentom, zapragnęły wiedzieć, co kupował. Coś w sposobie jego zachowania wskazywało, że nie ma czasu na głupstwa; zwracał uwagę jedynie na rzeczy istotne, na fakty. A odzież chyba uważał za źródło kłopotów. Albo też Greer się myli; to niedbalstwo może po prostu wynikać ze zwykłej arogancji. Tak jakby jego inteligencja była wystarczająco przystojna.

Po skończonym wykładzie Greer zbierała książki powoli - żeby miał czas się przywitać i żeby w sali zrobiło się mniej tłoczno - nie spojrzał na nią jednak ani razu. Natomiast kiedy inny student podszedł i spytał, jak należy pisać podania o granty, Thomas odparł:

- To proste. Proszę podać, jakie pan ma kwalifikacje i co pan proponuje. Niech pan nie próbuje być uroczy ani zabawny. Cokolwiek pan robi - nagle podniósł głos - ze względu na naukę, niech pan nie cytuje Whitmana.

Dopiero po upływie tygodnia, kiedy późną nocą pracowała sama w laboratorium, zdała sobie sprawę, że on ją dostrzega. Stale korzystała z laboratorium od drugiej do czwartej nad ranem, co jej nie przeszkadzało - lubiła zarywać nocy. W tym roku jednak temperatura spadła wcześniej, jeziora już zamarzały, a budynków uniwersyteckich jeszcze nie zaczęto ogrzewać, więc Greer siedziała z szorstkim wełnianym kocem na ramionach i w dwóch parach skarpet naciągniętych na rajstopy. Słuchając nadawanego w radio koncertu wiolonczelowego Elgara, patrzyła na niezidentyfikowane rodzaje pyłku, kiedy ze skrzypnięciem otwarły się drzwi. Nie wzbudziło to jej niepokoju. Czuła, że wchodzi on. Coś przepłynęło między nimi, jakiś prąd, i było tak, jakby przez ostatni tydzień czekała na tę chwilę. Jego kroki się zbliżały, lecz nie podnosiła oczu - nie chciała sprawiać wrażenia niecierpliwiej. Ujął jej dłoń i poprowadził do ciepłego metalowego walca.

- Paliwo - powiedział.

Greer pilnie wpatrywała się w okular. Zamajaczyło w nim ziarno pyłku wierzby czarnej.

- Jest zimno, panno Sandor.

- Mam koc.

- I jest późno. W budynku nie ma nikogo. - Odchrząknął. - Myślę, że nie jest bezpiecznie.

- Dochodziły mnie słuchy o profesorach, którzy późno w nocy grasują po korytarzach.

Zachichotał. Wyczuwała, że ogląda jej stanowisko pracy, patrzy na notatnik, podręczniki taksonomii, stosik połamanych ołówków, radio.

- Lubi pani swoją pracę?

- Bardzo.

Wycofał się, poprawiwszy jej koc na ramionach. Kiedy trzasnęły zamykane drzwi, znalazła na stole termos z gorącą kawą i ceramiczny kubek.

Następnego dnia wrócił z grzejnikiem. Bez słowa wniósł małe urządzenie do laboratorium. Greer siedziała przy mikroskopie i patrzyła, jak wsadza w gniazdko wtyczkę czarnej skrzynki.

- Podobał mi się pana wykład o rozprzestrzenianiu się nasion - powiedziała.

- To dobrze.

- Interesują mnie modele rozprzestrzeniania się przez wodę. Uśmiechnął się.

Przesunął grzejnik w jej stronę, przekręcił kontakt i czekał, aż urządzenie z szumem zacznie działać.

- No - powiedział. - Tarczą z tyłu reguluje się temperaturę. Trochę się zaczyna, więc niech pani mocno kręci.

- Dziękuję.

- W takim razie dobranoc, panno Sandor.

- Dobranoc, panie profesorze.

- Ach, pan profesor - wymamrotał, jakby mówił o kimś, kogo znał dawno temu i o kim zapomniał.

Termosy kawy, ciasteczka, babeczki, notatniki przyrodnicze, litografie, fotografie. Ciągnęło się to całymi miesiącami; zjawiał się raz albo dwa razy na tydzień, w środku nocy, i zawsze coś zostawiał na stole. Chyba czasami przychodził, kiedy spała z twarzą przyciśniętą do kartek książki, bo budząc się z podpuchniętymi oczami, znajdowała przy sobie prezent. Padało niewiele słów: „Powinna pani jeść” albo „Niech pani trochę odpocznie”, zawsze ostrzeżenia „Jest zimno” czy „Jest późno”, jak gdyby podarunek wystarczał za rozmowę, a wizyty były czymś najbardziej naturalnym na świecie. Zupełnie jakby szły w parze z ich lingwistyczną stenografią: Światła, skarbie. Drzwi. Pies. Czują jednak, że powoli zaczynają się nawzajem uwodzić. Kiedy siedziała, badając ziarna pyłku, wchodził on, pionier w dziedzinie palinologii, jej nauczyciel, a mimo to nawet rozmowa na tematy naukowe nieuchronnie schodziła na sprawy cielesne - koncentrowała się na ciele, na jej potrzebach fizycznych.

Choć Greer zajmowała teraz podczas wykładu miejsce w tylnych rzędach i unikała kontaktu wzrokowego, jeszcze silniej odczuwała, że on zwraca na nią uwagę. Czyżby odkryła nową regułę matematyczną: Każde wyeliminowanie zewnętrznej oznaki zainteresowania podnosi wewnętrzne zainteresowanie do kwadratu? Czasami w trakcie dyskusji na wydziale obserwowała go, jak na

podium, obok profesora Jenksa, profesora Mitzgera i doktora Hawthorne'a, rozprawia i gestykuje ze zwykłą swadą. Myślami daleko odbiegała od tematu - niszczenia lasów tropikalnych, wytepienia dronta na wyspie Mauritius - i kierowała je do niego, profesora Farradaya albo Thomasa, jak go teraz po cichu nazywała. Ilekroć występował publicznie, cieszył się takim autorytetem, ludzie okazywali mu taki szacunek, że niekiedy w głowie się nie mieściło, iż to ten sam człowiek, który odwiedza ją w nocy z kawałkami szarlotki. Ale między innymi to właśnie ją pociągało. Ta dychotomia. Świadomość, że ta osoba publiczna jest w głębi duszy osobą prywatną, skłonną do flirtu, tylko jej znaną. Na razie Thomas chciał całą sprawę zachowywać w tajemnicy. Podobnie jak Greer, która ani na chwilę nie zapomniała, że jest jedyną kobietą na roku.

- Cóż, albo się w tobie kocha, albo próbuje cię podtuczyć - stwierdziła Jo, kiedy pod koniec semestru Greer wreszcie przyznała się do nocnych schadzek.

- Nie wiem, co to jest.

- Ale to ci się podoba.

W taniej restauracji popijały na lunch mleczne koktajle.

- Chyba ogromnie - odparła Greer.

- Nie muszę ci mówić, że to postawi cię tutaj jako kobietę w jeszcze dziwniejszej sytuacji.

- Wiem.

- Rzecz warta zastanowienia.

- Nie uważasz tego za dobry pomysł?

- Nie mnie o to pytać, Greer.

Otworzyły książki i zaczęły powtarzać materiał do następnej pracy laboratoryjnej.

- Oczyszczanie próbki - powiedziała Greer. - Próbuję sobie z tym poradzić. Zabiera mi za dużo czasu.

- Polega na odwirowywaniu. Nieustannie uważaj, przelewaj, odwirowuj. Lepiej przy tym nie marzyć o profesorach.

- Ha, ha.

- Przerobię to z tobą, jeśli chcesz.

- Nie trzeba. Muszę się z tym uporać sama.

- Tak myślałam.

- A co z próbkami z odkrywki w Wichita? Najwyraźniej są tam dziwne ziarna z ościstymi wyrostkami.

- Przyglądałam się im we wtorek. Mają nieomal ten dziwny gruszkowaty kształt pyłku cibory i fakturę zdecydowanie kolczastą. Są z późnego miocenu. Roślina, jakakolwiek była, wyginęła dawno temu. Dam ci próbkę.

- Dzięki, Jo. - Greer przerzuciła kartki notatnika, pociągnęła ostatni łyk przez słomkę i odstawiła szklankę na bok. - Dobra. Posłuchaj. Jeśli nie pozwolę sobie odczuwać pociągu w obawie, że to zagrozi mojej pozycji tutaj...

- Oho.

- Mówię poważnie. Co zyskam, jeśli zabronię sobie czegoś, czego chcę, bo będę się bała, że zagrozi to mojej pozycji? Nadal będzie to oznaczało zgodę na uwięzienie, zdominowanie przez system, do którego nie należę.

- To pozytywny sposób myślenia o sprawie.

- Sądzisz, że się łudzę?

- Sądzę, że jesteś zakochana i że w tej chwili feminizm ani nic innego nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia.

- On mnie szanuje, wiesz. Szanuje moją pracę.

Jo położyła dłonie na stoliku i popatrzyła na Greer..

- To ci się należy, Greer. Nie jest przywilejem. Jesteś najzdolniejsza na tym całym cholernym roku. Tyle że obecnie trochę zaabsorbowana.

- Nic się nie martw, Jo. Nie będę się śpieszyć.

- Dobrze.

- Zamierzam działać powoli.

- Znakomicie.

- Nie ma powodu się śpieszyć.

- Jestem tego pewna. A ty?

- Nie bardzo.

- Pamiętaj o barakudzie. Greer wybuchnęła śmiechem.

- Co właściwie było z tą barakudą, Jo?

- Kiedyś ci powiem. Ale szczegóły nie są istotne. Chodzi o to, że patrzysz śmierci w oczy i zachowujesz spokój, sama zbierasz siły i mówisz sobie, że życie i śmierć są w twoich rękach. Nie poza twoim zasięgiem.

Greer potaknęła.

- Inspirujące. Oczywiście nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale to i tak inspirujące. Hej, Jo, zabierz mnie kiedyś, jak pojedziesz nurkować.

Jo przewróciła kartkę w swojej książce.

- Kiedy tylko zechcesz.

Pod koniec semestru, kiedy profesor Farraday zakończył wykłady, Greer poszła do jego gabinetu. Był grudzień, jeziora pokryły się grubą warstwą lodu, a miasto przyprószyła biel. Przez okno Greer widziała łyżwiarzy na jeziorze Mendota.

- Uważam, że już czas pójść na obiad, na jakiś występ czy na drinka. Na coś prawdziwego. - Weszła już mówiąc, bo się bała, że zabraknie jej odwagi. - Na randkę. - Rzuciła w niego tym słowem.

- Zaczynałem się zastanawiać, co musi tutaj zrobić mężczyzna, żeby usłyszeć propozycję.

- Czy odpowiedź brzmi tak?

- Powoli kończyły mi się zapasy pieczywa. Myślałem, że gdyby mi przyszło czekać do wiosny, mógłbym przynosić świeże owoce.

- Tak, nie. Prawda, nieprawda. Pójdziemy na randkę, panie profesorze?

- Zgoda. Jakie ma pani plany na święta?

- Zamierzałam dodatkowo popracować w laboratorium. Jak się wszyscy rozjadą, mogłabym to robić przy świetle słonecznym.

- Żadnego wyjazdu do domu?

- Nie.

- Żadnych wizyt rodzinnych?

- Nie mam rodziny.

Greer była zła, że zabrzmiało to tak ostatecznie. Ojciec umarł tuż przed przyjęciem jej na studia magisterskie, i ten cios ją powalił. Studia pozwalały czymś zaprzątnąć głowę, lecz brakowało jej rozmów z ojcem o wykładach, o laboratorium, teraz zaś żałowała, że nie może mu opowiedzieć o mężczyźnie, który przed nią stoi. Nie wiedziała, co ojciec sądziłby o jej sprawach sercowych - związki z czasów spędzonych w college'u nie zasługiwały na wzmiankę. Raz, kiedy wróciła do domu na święta, zapytał: „Masz w szkole przyjaciół?”. „Paru”, odpowiedziała. „Specjalnych przyjaciół? Ci mogą być równie ważni jak studia”. „Jeżeli poznam mężczyznę równie interesującego jak botanika, ty pierwszy się o tym dowiesz”, odparła. Po jego śmierci sprzedała dom, żeby mieć środki na sfinansowanie magisterium, więc teraz nie było dokąd wracać. Czuła ciężar wyznania, które zawisło między nią a Thomasem. Ta pierwsza informacja o sprawach osobistych dała do zrozumienia, że oprócz nocnych spotkań, oprócz przekomarzanek i flirtu jest też prawdziwe życie, jest przeszłość.

Thomas natychmiast dostosował się do zmiany nastroju.

- Cóż, na pewno ma pani jakieś plany na Boże Narodzenie. Tego dnia nie powinno się spędzać samotnie.

- Nie wyobrażałam sobie pana świętującego narodziny Chrystusa.

- Wykorzystam ten dzień na pobranie rdzenia odwiertu z jeziora Mendota.

- Dużo lepiej.

- Chciałaby się pani przyłączyć?

- W końcu randka.

- Randka robocza. Jeśli się pani dobrze spiesz, zabiorę panią potem na obiad.

Greer rozważała propozycję, błędząc wzrokiem po ścianach gabinetu: w życiu nie widziała tylu świadectw, nagród, tylu łacińskich słów. Wiedziała, że mu się podoba - przecież szukał jej towarzystwa - nadal jednak przytłaczała ją świadomość, z kim ma do czynienia. Przyszło jej do głowy, że tylko w jeden sposób może się uwolnić od strachu.

- Gdyby zaprosił mnie pan na obiad w Wigilię i dobrze się spisał, pomyślałabym, czy nie pomóc panu w pobieraniu próbek następnego dnia.

- Następnego dnia?

- Możemy coś zorganizować. - Greer zapisała swój adres na kartce wydartej z notatnika. - Trzeba mocno przyciskać dzwonek - powiedziała. - Jeśli to nie pomoże, niech pan rzuci śnieżką w okno na pierwszym piętrze.

Nie widzieli się przez następne dwa tygodnie. Greer dowiedziała się od jakiegoś studenta, że profesor Farraday miał odczyt w czasie sympozjum na uniwersytecie Iowa, a zasłony na drzwiach jego gabinetu były zaciągnięte. W budynkach na terenie uniwersytetu zapanowała cisza, zatłoczona zwykle State Street opustoszała. Jo wyjechała do Minneapolis, żeby spędzić święta z Jebem i Jeremiaszem, i po raz pierwszy Greer, patrząc ze swego mieszkania w rzędy ciemnych okien po przeciwnej stronie ulicy, w pełni zdała sobie sprawę ze swojej samotności. Za młodu sama wybierała się na długie konne przejażdżki po okolicy, przez wiele godzin z rzędu obserwowała ptaki czy żaby ryczące - rodzaj samotności, lecz z wyboru. Teraz świadomość znikania ludzi, pustych pokoi wytrącała ją z równowagi. Parokrotnie dzwoniła do Jo, lecz nigdy jej nie zastała. Obiady jadła na mieście ze względu na gwar i towarzystwo. Przede wszystkim brakowało jej ojca - to była pierwsza zima bez niego - i choć znajdowała sobie zajęcie w laboratorium, pracowała do późna w noc, bez końca wsuwając szkiełka pod mikroskop, to tylko jej przypominało, jak bardzo chciałyby z nim porozmawiać.

Do Wigilii jej smutek zamienił się w odrętwienie. Po prostu zmęczyło ją poczucie samotności. Zdołała włożyć czerwony sweter, zdaniem Jo ładny; spięła włosy, lekko uróżowała twarz. Kiedy jednak zadzwonił do drzwi i zeszła na dół na jego spotkanie, jej uśmiech zdradzał napięcie.

- Powinienem powiedzieć, że byłem gotowy rzucić śnieżką. O, nie. - Stał w przejściu. - Spóźniłem się. Ma pani świąteczną chandrę.

- Jestem tylko zmęczona - odparła Greer, wpatrując się w jego świeżo ogoloną twarz i w ostry zarys szczęki, uwydatniony przez kołnierz palta. Nie

mogła uwierzyć, że on jest tutaj. I że tak bardzo chciała go zobaczyć, że tak wielką odczuwała potrzebę.

- Niech mi pani wierzy, znam tę minę. Piętnaście lat zajęło mi obmyślenie sposobu na uniknięcie świątecznej chandry. A teraz, za cenę pani uroczego towarzystwa, zdradzę ten sekret. Zaoszczędzi to pani wielu lat rozpaczki. Proszę mi zaufać.

- Pan wie, co to świąteczna chandra?

- Panno Sandor, większą część życia spędziłem samotnie. Święta. Urodziny. Sympozja. Nawet mecze futbolowe. Ma pani do czynienia z ekspertem od samotności. Samotnikiem-laureatem.

Musiały być kobiety, pomyślała Greer. Może w inne święta, może inne studentki. Ale nie miała ochoty pytać o to teraz. Po prostu cieszyła się jego obecnością. Pod paltem miał na sobie niebieski sweter i kraciastą koszulę - kołnierzyk koszuli był przekrzywiony, z jednej strony wepchnięty pod sweter, z drugiej sterczący, jak kraciasta strzała wymierzona w podbródek. Greer pierwszy raz widziała go w czymś innym niż garnitur. Lodowaty podmuch przyniósł zapach jego wody kolońskiej.

- Ale wolałby pan nie być sam - powiedziała.

- Wolałbym.

- Dobrze. A więc ditto.

Pozwolili zapaść przyjemnemu milczeniu.

- Głodna? - zapytał.

- Jak wilk.

- Dobrze. Ja też. - Wziął ją pod rękę i powoli wyszli na oblodzony chodnik. - Proszę się zapiąć - powiedział. - Jest zimno.

- Pan też niech się zapnie. - Pozapinali palta, poprawili szaliki, patrzyli, jak para ich oddechów ulatuje w noc. Podniósł kołnierz Greer i zrobił dodatkową pętlę z szalika na jej szyi.

- Gotowe - powiedział.

Nagle poczuła, że szczęście, z całym swym idealnym pomieszczeniem, zalewa ją jak lzy. Zrobiła krok do przodu i pocałowała go - podmuch ciepła na mrozie.

- Wesółych świąt - powiedziała. On się uśmiechnął.

Powoli ustępowało odrętwienie. Przypuszczała, że wieczór będzie udany, że przyjemnie spędzą czas w swoim towarzystwie, że to - jego ręka wsunięta pod jej ramię - jest kropką na końcu zdania rozpoczętego wiele miesięcy wcześniej. Ruszyli przed siebie i Greer popatrzyła na jego twarz. Jest coś pięknego w tym człowieku, pomyślała.

- Wszystko dobrze? - zapytał.

- Doskonale - odrzekła.

Podtrzymał ją, kiedy z wolna szli oblodzoną ulicą. Zimny wiatr smagał ich po twarzach, a kiedy nachylili się ku sobie, całkiem nagle poczuła jego ciężar i ciepło.

Rozdział trzynasty

Po przepłynięciu dziesięciu tysięcy mil przez Pacyfik, po ośmiodniowym spotkaniu na Wyspie Wielkanocnej eskadra niemiecka odniosła małe zwycięstwo w bitwie koło Coronel.

Pierwszego listopada, u wybrzeży chilijskich, admirał von Spee wyszedł w niewielkiej odległości brytyjski okręt „Glasgow”. Von Spee, któremu raportowano o jednym krążowniku nieprzyjacielskim na tym obszarze, kazał swojej flocie go dogonić.

Ale „Glasgow” należał do eskadry kontradmirała sir Christophera Cradocka, która czekała w pobliżu, niedostrzeżona.

Admirał Cradock tak samo dał się zmylić. Zgodnie z otrzymywanymi przez niego meldunkami na tym obszarze miał się znajdować jeden niemiecki krążownik, „Leipzig”, i przypadkiem ten okręt Cradock wypatrzył jako pierwszy. Podobnie jak von Spee, też rozkazał swojej eskadrze stoczyć szybką walkę z tym jednym krążownikiem.

Każda ze stron uważała, że ma przewagę, a zanim sytuacja się wyjaśniła, działania już były w toku.

Okręty niemieckie miały więcej dział dużego kalibru i dysponowały niemal dwukrotnie większą siłą ognia niż brytyjskie. W ciągu dwóch godzin Marynarka Królewska straciła nieopodal chilijskiego miasta Coronel dwa krążowniki i prawie tysiąc sześciuset ludzi.

Von Spee patrzył na brytyjskie krążowniki ze swojego punktu obserwacyjnego, gdy raptem plamy czerwieni, zieleni i żółci wystrzeliły z jednego z płonących okrętów i niczym jaskrawe chustki załopotały na niebie. Zataczały dziwne kręgi, po czym zaczęły trzepotać skrzydłami - były to papugi. Brytyjscy oficerowie wypuścili papugi, kupione w Brazylii na prezenty. Lecz ptaki, nazbyt oszołomione hukami, nie przyjmowały daru wolności. Pikowały nad dymiącą dziobówką, uderzały w armaty, przysiadły na nadburciu, gdy wokół nich wybuchały ognie. Młody oficer niemiecki zauważył, że wkrótce niemal sto martwych ptaków podskakiwało na falach. „Wszyscy uznaliśmy to - pisał w ostatnim liście, jaki miała otrzymać jego matka - za przedziwny omen”.

Bitwa koło Coronel była pierwszą porażką Marynarki Królewskiej od ponad stu lat i skłoniła pierwszego lorda admiralicji, Winstona Churchilla, do wysłania niemal całej floty brytyjskiej w pościg za hrabią von Spee. Rozkazy Churchilla brzmiały jednoznacznie: „Waszym głównym i najważniejszym obowiązkiem jest poszukiwanie niemieckich krążowników opancerzonych... Wszystkie inne względy mają być podporządkowane temu celowi”. Von Spee

znalazł się w ogromnym niebezpieczeństwie. W czasie bitwy zużyto na okrętach niemal połowę amunicji, uszczuplając jedyne zapasy, które mogłyby ocalić jego flotę i pozwolić mu na powrót do domu.

Zatopienie „Dobrej Nadziei”, okrętu admirała Cradocka, również wzmogło napięcie hrabiego von Spee. Znał sir Christophera Cradocka, odkąd objął stanowisko w Tsingtao, posłał więc na dno człowieka, z którym przyjaźnił się od czternastu lat.

Kilka dni później, podczas obiadu z okazji niedawnego zwycięstwa, pewien oficer wniósł toast: „Niech szlag trafi flotę brytyjską”. Wtedy wstał von Spee i wniósłszy własny kieliszek, oświadczył: „Piję, aby uczcić pamięć mężnego i honorowego nieprzyjaciela!”. Nie czekał na słowa poparcia, tylko osuszył kieliszek, wziął kapelusz i wyszedł. Von Spee, katolik, musiał zdawać sobie sprawę, że takie zwycięstwo, odniesione pierwszego listopada, źle wróży. Był to dzień Wszystkich Świętych.

Pechowa flota: hrabia von Spee i niemożliwa podróż powrotna

Rozdział czternasty

Wyspa jest jak plaster miodu, zryta jaskiniami. W zamierzchłej przeszłości służyły one za domy, schronienia, kryjówki dla kobiet i dzieci. Teraz pozostały tam tylko jakieś resztki, rozrzucone kości i jak głosi legenda, duch tatarie.

Dwie tatarie - Kava-ara i Kava-tua - zamieszkujące rzekomo jaskinię w ścianie klifu na północno-wschodnim wybrzeżu, strzegą postaci uspiętego mężczyzny, którego pokochały przed wiekami i porwały z Hanga Roa. Z krawędzi klifu słychać podobno mamrotanie mężczyzny, pogrążonego w głębokim, słodkim śnie, a w górze śpiew porywaczek, tatarie, usiłujących przedłużyć ten sen, gdyż duch ukochanego ucieknie, jeśli się zbudzi.

Puszka Herbatników omija tylko tę jaskinię. Zna wszystkie: te zarośnięte trawą, te zavalone bryłami lawy, te pod ostrym klifem, spryskiwanym falą przyboju, jak gdyby krótkie życie spędził na odkrywaniu wyspy cal po calu. Drobny i gibki, potrafi się wkręcić do najmniejszej dziury i wyjść z kością, stłuczonym glinianym garnkiem, drewnianą figurką, salamandrą. Wszystko, co przyniesie, daje Alice, ją jednak interesuje tylko dziwna tabliczka, którą chłopiec pokazuje pewnego dnia: kawałek drewna długości trzech stóp, impregnowany i zniszczony, pokryty obrazkowymi drzeworytami. Alice przebiega drobnymi dłońmi po znakach tajemniczego pisma, jakby odczytywała brajla.

Następnie wręcza tabliczkę Elsie.

- Gryzmoły - mówi.

Ledwie ich Elsa dotknęła, już wie, że tego szukała. To jest pismo, które zauważył Gonzalez w czasie swej podróży przed prawie stu i pięćdziesięciu laty, a jej zadaniem będzie je odczytać. Moai ją fascynują, lecz ich historią zajmuje się Edward, choć więc Elsa chętnie mu pomaga, potrzebuje czegoś dla siebie. Chce zachować między nimi dwojgiem równowagę, nawet dystans. Na tabliczce mogła być zapisana genealogia, legenda, kodyfikacja starodawnego prawa. To mogłoby pomóc w rozwikłaniu historii wyspy. Odczytanie tekstu albo zrozumienie małej jego części oznaczałoby, że Elsa wszystkich wyborów dokonywała w imię wyższego celu.

Jej pierwsze zadanie będzie polegać na sprawdzeniu, czy uda im się znaleźć więcej tabliczek. Całymi tygodniami, prowadzona przez Puskę Herbatników, przeszukuje dziesiątki jaskiń, odwraca szkielety, packą niszczy pajęczyny, odsuwa jeden po drugim kamienie, które tarasują ukryte komory. Alice nie godzi się wchodzić do środka, więc Edward czeka z nią na zewnątrz, podczas gdy Elsa i Puszka Herbatników dokonują oględzin. Chociaż Edward

zapropował, że będzie towarzyszył chłopcu, aby Elsa mogła siedzieć z Alice, grzecznie mu odmówiła. Jeśli ma badać tabliczki, powinna je odszukać. Przemawiają też za tym względy praktyczne, bo wie, że jest od niego zwinniejsza.

W krótkim czasie zgromadzili ponad dwadzieścia tabliczek i kilka pokrytych inskrypcjami lasek, jakich Elsa nigdy nie widziała. Pismo jest niekończącym się strumieniem małych, niezgrabnych figurek, których setki stłoczono w każdej linijce. Elsa nie od razu wyczuwa, czy pismo jest logograficzne, sylabiczne czy alfabetyczne. Niektóre kombinacje wyobrażeń stale się powtarzają, inne są jedyne w swoim rodzaju. Wieczorem, kiedy w namiocie układa jedną tabliczkę obok drugiej, zadanie wydaje się jej zbyt ambitne. Od czegoż człowiek zaczyna rozumieć te znaki? Rozpaczliwie potrzebuje klucza, własnego kamienia z Rosetty albo skały z Behistun, lecz tabliczki są chyba pokryte hieroglifami jednego tylko języka.

Elsa odczuwa teraz wdzięczność za oddalenie od Anglii, od uczonych, od ludzi przygotowanych do tej pracy. Wie, że nie jest to zadanie dla byłej guwernantki, nawet córki profesora. Ale znalazła się tutaj. A zresztą, co jest lepsze od sposobności i chęci?

Najpierw postanawia zlecić Alice przerysowanie figurek, żeby przynajmniej dokładnie je zarejestrować. A mając zajęcie, Alice nie będzie broić.

Przez kilka tygodni Elsa siaduje na wzgórzu nad obozem i czyta Komentarz do inskrypcji klinowych Babilonu i Asyrii sir Henry'ego Creswicke Rawlinsona oraz Champolliona Zarys hieroglificznego systemu starożytnych Egipcjan. Tuż obok Alice robi niemal idealne reprodukcje każdej tabliczki, podzielonej na części.

Po zakończeniu kolejnej serii pokazuje szkic Elsie.

- Masz, popatrz.

- Przypominają ptaki - mówi Alice. - Złe ptaki. I drzewa. Moje rysunki są lepsze, nie uważasz?

- O wiele lepsze - odpowiada Elsa.

Kopie Alice pozwalają Elsie badać każdy symbol z osobna. Posortowawszy je, numeruje poszczególne znaki.

Niebawem ma prawie tysiąc niepowtarzalnych znaków, co wskazuje, że pismo nie jest alfabetyczne. Ale wyłania się trudność - niektóre znaki są do siebie bardzo podobne. Elsa wpatruje się w nie dzień po dniu; nocami tańczą w jej snach. Tak wiele przypomina ptaki, rośliny, zwierzęta - właśnie to, czego brak na wyspie. Jeśli pismo jest miejscowe, powinno posługiwać się

przedstawieniami znanymi wyspiarzom. Ale może figury nie są tym, czym się wydają - może ona widzi tylko to, co o n a widziała przedtem.

Kopiowanie większych tabliczek chyba od początku budzi niepokój Alice. Czasami ciska notatnik i z tupotem zbiega po trawie. RzUCA kamkami w swojego kuca, ciągnie się za włosy.

- Co się dzieje, Allie?

- Są brzydkie. Tabliczka jest brzydka. Wszystkie twarze są złe. Nie chcę już na to patrzeć.

- Więc po prostu odłożymy to na bok. Nie musisz patrzeć. - Elsa owija tabliczkę płótnem. - Czemu trochę się od tego nie oderwiesz i nie zrobisz paru ładnych portretów? To zawsze sprawia ci przyjemność. A gdybyś tak narysowała Puskę Herbatników?

Zgodnie z tą radą Alice przez kilka dni rysuje chłopca, choć on przestaje chichotać najwyżej na parę sekund, i tylko wtedy, kiedy ona odwraca się po nowy kawałek węgla czy szmatkę do wycierania. Ledwie na niego spojrzy, on już zakrywa dłońmi policzki i wybucha śmiechem. Alice go karci, ciska mu trawą w twarz. Tylko w tych krótkich chwilach, kiedy Alice wydaje się nieobecna, kiedy odwraca oczy, kiedy nagle ustaje ruch jej węgla, chłopiec ma minę spokojną i poważną. Panuje nad sobą i siedzi cierpliwie, jakby u łóżka chorego. Kiedy zaś Alice powraca do świata, do niego, wierzga nogami w piasku, jemu sprawia to wyraźną ulgę. Po tygodniu portret jest gotowy i Alice go pokazuje. Nie pozwalała go oglądać na żadnym etapie pracy, a teraz Puszcza Herbatników, wreszcie widząc swoją podobiznę, niemal wybucha płaczem. W portrecie, myśli Elsa, uchwycony został duch modela: potargane włosy, wierne oczy, psotny uśmiech, chuda szyja, podtrzymująca twarz jak księżyc w pełni. Puszcza Herbatników wyrywa portret z rąk Alice i z łopoczącą kartką umyka po piasku, potem przez wysoką trawę.

Następnego dnia Alice rysuje dom ich ojca w porze wiosennej, otoczony gąszczem ketmii i dzikich róż, z drzewami ocieniającymi ścieżkę od frontu, z odległymi wzgórzami porośniętymi koniczyną i tymiankiem. Podobieństwo jest zbyt duże i Elsa nie może znieść tego widoku - przypomnienia domu, przeszłości.

Chłopiec, któremu Alice wręcza obrazek, szeroko otwiera oczy.

- Dom - mówi Alice. - Tam mieszka Budyń, ojciec, Elsa i ja. Mam wspólny pokój z Elsą.

Chłopiec wodzi palcem po kwiatach, krzewach, wysokich drzewach.

- To dom. Daleko stąd. W Europie.

Chłopiec wskazuje drzewo i podaje Alice czystą kartkę papieru.

- Tylko drzewo?

Chłopiec mruży oczy, jak gdyby próbował się domyślić, co powiedziała. Kiwa głową, kiedy ona dwiema zamaszystymi kreskami rysuje pień.

- Posadzę na nim ptaki. Drzewo bez ptaków jest do niczego. Elbę cieszy, że Alice rysuje z przyjemnością, kiedy jednak powraca do tabliczek, znowu ją denerwują. Pewnego popołudnia, po powrocie od Edwarda, Elsa zastaje Alice zapłakaną nad notatnikiem.

- Nie podobają mi się - wrzeszczy Alice. - Nie chcę już tego robić.

- Doskonale, Allie. Możesz robić, co zechcesz. Chcesz się ze mną wybrać na przejażdżkę? Możemy pojechać po Puszce Herbatników.

- Tęsknię za łodzią - mówi naburmuszona Alice. - Lubiłam wodę, lubiłam szybko pływać po wodzie. Beazley był śmieszny na łodzi.

- Wiem. - Elsa rozciera plecy Alice. - Obiecałam ci, że jak będziesz nieszczęśliwa, wrócimy do domu. Prawda?

- Tak.

- I nie musimy tu zostać. Możemy wrócić po wodzie. Do Londynu czy gdziekolwiek zechcesz... Chcesz, żebym zaplotła ci włosy? No. Odwróć się. Zaplecemy warkocze.

Elsa przeczesuje palcami gęste włosy Alice. Tak. Rzeczywiście jej obiecała, że wrócą do domu, jak tylko tego zapragnie. Ale czy powrót byłby wskazany teraz? Jeszcze przed dokładnymi oględzinami moai?. Nie mogą tak po prostu przerwać ekspedycji. Podróż trwała prawie rok, obecnie zaś już tu są, wreszcie przywykli do wiatru, skał i dziwnego języka i robią zdecydowane postępy. To nie jest przecież miesiąc miodowy jak każdy inny. Wykonują bezprecedensową pracę: pomiary, kopiowanie tabliczek. Zresztą do Anglii będą płynąć co najmniej jedenaście miesięcy, a przez ten czas Alice prawdopodobnie zmieni zdanie. Elsa złożyła jej obietnicę przed przybyciem na wyspę, nawet przed wyruszeniem z Anglii. Wtedy wyobrażała sobie najgorsze; bała się zostać na łasce losu, bez przyjaciół, poza zasięgiem cywilizacji. Pragnęła tej podróży, ale uważała ją też za nieodzowną część układu z Edwardem, coś, co zniesie z uwagi na Alice, może dla jej dobra - czy niesłusznie zakładała, że Alice rozkwitnie z dala od wzgardy Europejczyków? Teraz widzi jednak, że właściwie to samej sobie złożyła obietnicę. Zapewniła sobie, że będzie mogła uciec, jeśli ona odczuje taką potrzebę. Czy mogła wiedzieć, że ta ofiara zamieni się w jej największą przyjemność?

Oczywiście ręce ma nadal splekane od porannego prania ich majtek i bluzek, koszul i skarpetek Edwarda; twarz piecze ją nieprzyjemnie, kiedy miesza zupę rybną nad ogniskiem, chociaż uczy się robić piec ziemny na wzór Kanaków,-

nadal schodzi przy świetle księżycy na brzeg, aby zanurzać tłuste garnki w falach przyboju. I jak zawsze musi się zajmować Alice, a teraz i Edwardem. Nadal niczym motyl przyszpilona do ram swojego położenia, tutaj może przez parę godzin dziennie przynajmniej wyobrażać sobie, że jest wolna.

Kiedy wjeżdża na kucu pod górę do wykopu, chętnie wpatruje się w moai, olbrzymie kamienne duchy, dzieło ludzi obcych, żyjących przed wiekami. Pamięta, co czytała o piramidach egipskich: że dziesiątki tysięcy ludzi werbowano do budowy wielkich grobowców z wapienia. Cóż, i moai musiały być dziełem setek mężczyzn, którzy dzień za dniem wyrąbywali je i rzeźbili na słońcu. A skala tego wszystkiego - stulecia ciężkiej pracy, tony kamienia, niszczenie i opuszczenie - zdumiewa Elbę. Wydaje się sobie samej mała, nieważna i całkowicie bezpieczna. Jakąż pociechę czerpie ze świadomości, że jest częścią czegoś starego, czegoś większego niż ona. Patrząc w wykop, myśli: Bóg. To jedno słowo przychodzi jej do głowy na wyrażenie uczucia, jakie ją tu ogarnia. Zastanawia się, czy Bóg jest po prostu wyczuciem historii? Wyczuciem, że przed laty dokładnie na tym skrawku ziemi stali inni, obcy ludzie, pełni tych samych obaw i żalów?

Pobyty na wyspie napęłnia Elbę spokojem, jakiego nigdy nie zaznała, wraz z nim zaś pojawia się cel. Przeszłość czai się dokoła niej jak tajemnica, która żąda odsłonięcia. Dlaczego nie mieliby odkryć niektórych tajemnic? Może odczytają tubylcze pismo i staną się - ona się stanie - częścią czegoś ważnego, [ej życie, mimo kompromisów, mogłoby przynajmniej mieć szersze znaczenie.

- Oj!

- Przepraszam, Allie. - Za ciasno splotła warkocz Alice. - Pozwól go rozluźnić. Wiesz co, Allie? Myślę, że powinniśmy dać wyspie trochę czasu.

Alice łapie za warkocz, wyczuwa jego nierówności i zgrubienia.

- Czy kochasz Beazleya?

- Allie, wiesz, że Edward i ja jesteśmy małżeństwem. Mężem i żoną. Tak jak nasz ojciec i matka. Ale nie kocham go tak bardzo jak ciebie. Wiesz o tym. Prawda, Allie? Jesteś moją prawdziwą i największą miłością.

- Czy Beazley kocha ciebie?

- Oczywiście. Ale nie tak bardzo jak nasz mały pan, zwany Puską Herbatników, wielbi ciebie! Allie, pomyśl tylko, że swoim odpłynięciem zламаłabyś mu serce. Musisz zostać ze względu na niego. A jeśli już o to chodzi, nie musisz nawet spojrzeć na żadną tabliczkę. Wykorzystam moje skromne umiejętności artystyczne.

Na razie Elsa pilnie uczy się miejscowego języka, ponieważ jego znajomość wydaje się naturalnym krokiem w kierunku odczytania pisma. Gertruda Bell

dobrze znała arabski, zanim wyruszyła w podróż po Mezopotamii. Dzięki pierwszemu sporządzonemu przez Elbę słownikowi zwrotów mogą zdobywać informacje na temat wody i drzew figowych, lecz ona chce rozmawiać z wyspiarzami o ich kulturze. Skąd przybyli? Jakiego rodzaju społeczeństwo stworzyli? Co takiego chcieli bądź potrzebowali zapisywać na drewnie? Teraz, po zakończeniu strzyży, zainteresowali się ekspedycją. Kilkoro dzieci zjawia się pewnego dnia na wykopie i patrzy, jak Elsa pomaga Edwardowi mierzyć moai. Dzieci śmieją się i kołyszą na swoich

kucach, krzyczą, mieszając słowa Rapa Nui i hiszpańskie, „Amor los moai!”, ale kiedy zza posągu wychodzi Puszka Herbatników, zaczynają syczeć. Jeden chłopiec rozgniatą własny nos pulchnym palcem wskazującym i kilkakrotnie chrząka. Drugi jak oszalały ciągnie się za policzki. Piegowata, rudowłosa dziewczynka odciąga powieki i pokazuje język. Potem upačkany w błocie chłopiec zeskakuje z kuca i dużym kamieniem ciska w Puskę Herbatników. Ofiara napaści kryje się za posągami. Alice błyskawicznie rzuca się do przodu z dzikim okrzykiem i parasolką w ręce. Rytmicznie otwiera ją i zamyka, jakby to była jakaś mistyczna broń. Przestraszone dzieci wrzeszczą: Tatane! Tatami Chłopiec, który rzucił kamieniem, po omacku dopada swojego kuca, podczas gdy Alice nadal szarżuje po trawiastym stoku. W chwili gdy dociera na szczyt wzniesienia, chłopiec odjeżdża truchtem, zanosząc się od szlochu.

- Mój Boże - zwraca się Edward do Elsy i kręci głową. - Muszę uważać, żeby jej nie rozzłościć.

Kiedy Alice schodzi w dół po stoku, Puszka Herbatników wreszcie ukazuje się zza moai. Nie odstępuje jej do wieczora.

- Lubię tego chłopca - szepcze Elsa Edwardowi którejś nocy w namiocie. - Bardzo lubię. Ale zastanawiam się, dlaczego jest sam.

- Alice też go lubi. Wydaje mi się, że będziesz musiała jej na niego pozwolić. Chyba go zawojowała.

- Wiem.

- Czy chcesz... Elsa? Nie sądziłem, że chcesz mieć dzieci...

- Nie. Skądże. Nie mogę.

- Musisz zajmować się Alice. I uważasz ją... za swoje dziecko.

- Nie - odpowiada Elsa. - Ale uważam się za jej matkę. Jest pewna różnica.

Zamyka oczy. To prawda. Nie wyobraża sobie, jak mogłaby opiekować się Alice i własnym dzieckiem. Ale jest coś jeszcze. Wspomnienie akuszerki, przyciskającej Alice do piersi, i ojca, zabraniającego Elsie otworzyć drzwi pokoju matki. „Twoja matka oddała życie za naszą małą Alice - powiedział ze skrywaną rozpaczą. - Poświęciła się dla nowego dziecka”. Elsa jednak nie

godziła się z tą wersją wydarzeń. Za tamtymi drzwiami Alice zrobiła coś ich matce i za to Elsa jej nienawidziła. Przez cały rok przeklinała siostrę, kiedy ojciec spał, szeptem wypowiadała gniewne słowa. Toteż z chwilą gdy zaczęli dostrzegać dziwnie błędny wzrok Alice, napady złości i okresy milczenia, Elsa uznała je za skutek swojej nienawiści. Uważała, że to jej klątwy, modlitwy, szeptem wypowiedziane oskarżenia zaszkodziły Alice.

- Śpisz? - szepcze.

- Jeszcze nie - odpowiada Edward.

- Czasami myślałam, że, no cóż, ja ponoszę winę za Alice. Niewątpliwie brzmi to głupio. Ale czemu coś takiego miałyby się przydarzyć dziecku? Komukolwiek? Musi być... jakiś powód.

- Elsa.

- Przez całe życie zastanawiałam się, czy...

- Alice to błogosławieństwo.

- Wiem.

- Nigdy nie wolno ci myśleć, że byłoby lepiej, gdyby była inna.

- Czasami, Edward, twoje słowa tak bardzo przypominają słowa mojego ojca.

- Twój ojciec - mówi Edward - był mądrym człowiekiem.

Przez parę następnych tygodni nikt nie odwiedza wykopu i Elsa podejrzewa, że historię angielskiej tatarie z jej parasolką opowiedziano ze łzami i upiększeniami. Wkrótce jednak na krawędź krateru przybywa jeździec. Elsa rozpoznaje w nim mężczyznę, który tamtej pierwszej nocy na szkunerze intonował tubylcze śpiewy. Ma gęsty tatuaż na ramionach, a na głowie ten sam co wtedy kapelusz: z wyblakłego czerwonego aksamitu, trójgraniasty i z rzędem mosiężnych guzików. Przybysz wygląda na człowieka po czterdziestce. Rzadkie brązowe loki, tu i ówdzie przetykane pasmami siwizny, opadają mu na ramiona. Przedstawia się jako Te Haha Huke.

Wygląda na to, że chce zaproponować swoje usługi, lecz trudno odgadnąć, jakie mianowicie. Najpierw sadowi się na moai i skrzyżowawszy chude nogi, zaczyna śpiewać. Jego loki powiewają na wietrze, powieki opadają, kiedy zatracą się w śpiewie. Lecz jego głos, niepewny strumień chropawych basowych dźwięków, przerywanych sopranem, przeszkadza Edwardowi.

- Doprawdy, Elsa, nie chciałbym, aby pomyślał, że odrzucam jego miłą propozycję. Podejrzewam jednak, że jest wstawiony. Spodziewam się, że tak nie śpiewałby nikt na tyle trzeźwy, żeby sam siebie słyszeć.

Te Haha wyczuwa ich rozczarowanie, więc następnego dnia wraca z gitarą, na której brzdąka przyjemnie, usadowiony na moai. Im to się podoba, więc na

znak wdzięczności przerywają pracę i siadają na trawie pod posągami, jednak muzyk, po chwili znużony własnym występem, kręci głową i mamrocze coś, jakby ich strofował.

- Notabene - mówi szeptem Edward do Elsy - tak zwany temperament artystyczny występuje nie tylko na kontynencie europejskim.

Te Haha przychodzi znowu i tym razem siedzi wiele godzin, z wyjątkową wprawą rzeźbiąc ich podobizny w drzewie. Edward sugeruje mu, że byłby bardzo przydatny w inny sposób - czy mógłby przynieść wiadro wody na górę? Czy mógłby poprzetrzucać tę górę kamieniami? Potrzymać ten koniec taśmy mierniczej? Te Haha pomaga w paru talach pracach, co go wyraźnie nudzi - tego Elsa nie może mu mieć za złe. Te Haha dotyka palcem czoła, tym gestem wskazując Elsie i Edwardowi na źródło swej prawdziwej siły - nie jest pracownikiem fizycznym, - ma rozum.

Cóż, myśli Elsa, może mnie potrafi pomóc. Usiłuje mu wytłumaczyć, że chce się nauczyć języka.

- Arero! - krzyczy mężczyzna i oddala się biegiem.

Nazajutrz przyjeżdża konno, z dużym workiem na kolanach. Pośpiesznie zsiada z konia i klucząc między moai, taszczy worek pod górę. Tam wita go Elsa, on zaś upuszcza worek i zdejmuje kapelusz.

- Hau - mówi do Elsy, zaokrąglając wargi. - Hau. - Elsa po raz pierwszy widzi go bez kapelusza, z dużą łysiną na czubku głowy.

- Hau - powtarza i wkłada kapelusz. Z worka wyciąga suszoną rybę, podnosi do góry, porusza nią tak, jakby pływała w powietrzu. - ĩka - skanduje. - ĩka.

Hau. ĩka. Miro Toki. Mamań. Auke. Karu. Kolejno wymachuje przed Elsą znajomymi przedmiotami, a po opróżnieniu worka wskazuje na krater i mówi: - Rano.

- Krater? - Elsa zaokrąglą ramiona na kształt niecki i naśladuje odgłos wybuchu. - Krater wulkaniczny?

Potakuje i z dumą klepie ją po plecach.

Niebawem staje się jasne, że Te Haha to urodzony nauczyciel, a jak domyśla się Elsa, ona jest jego pierwszą uczennicą. Dokładny, surowy i wymagający, pokazuje jej wszelkie subtelności językowe.

Wita ją o wschodzie słońca w obozie, każe siadać obok z otwartym dziennikiem, a sam powoli nazywa rzeczowniki, czasowniki, przyimki.

W ten sposób Elsa zaczyna układać swój słownik i wreszcie poznaje nazwę hieroglifów, które próbuje odczytać. Nazywają się rongorongo.

5 marca 1914

Wyraźnie rozbawiłam Te Haha i jego przyjaciół, pytając o stosunek między obiema płciami. Celom Królewskiego Towarzystwa Geograficznego najlepiej służyłoby chyba stwierdzenie, czy na wyspie przeważa poligamia, i jakieś ogólne określenie pozycji kobiet, jeśli idzie o majątek, prawa małżeńskie itd. Dlatego spytałam mężczyzn, zebranych wokół nas, ile żon każdy z nich ma lub spodziewa się mieć. „O te aha!” (dlaczego!) zapytali wszyscy, uśmiechnięci od ucha do ucha. Nie mogli zrozumieć, dlaczego to budzi ciekawość. Wskazali na mój notatnik. Dlaczego to zapisuję! (Tak samo zareagowali na badania moai, bo na ogół nie wierzą, że kogoś mogą do tego stopnia interesować posągi, na które oni patrzą codziennie od wczesnego dzieciństwa). Uznałam zatem, że najlepiej będzie pokusić się o wytłumaczenie, w moim jeszcze łamanym Rapa Nui, monogamicznych obyczajów, obowiązujących w naszym świecie zachodnim, i dość wyraźnie dać do zrozumienia, że nasze układy mają charakter bardziej cywilizowany. Cóż, równie dobrze mogłabym im powiedzieć, że jestem po części małpą! Wszyscy mężczyźni zanosili się serdecznym śmiechem. Kiedy chciałam dociec przyczyny tego hałaśliwego kata, nagle mnie samą poddano przesłuchaniu. Czynie jestem uha, Edwarda matua! Oczywiście, odparłam. A czy vi'e Alice też nie jest jego uha! Źródło nieporozumienia nagle stało się oczywiste, więc zaczęłam im tłumaczyć nasze związki rodzinne. Edward, wyjaśniałam, ma tylko jedną żonę i jedną szwagierkę. Byli bardzo zawiedzeni i lekko zdezorientowani.

Postanowiłam jednak odłożyć dalsze badania antropologiczne i skupić się przede wszystkim na rongorongo. To zadanie najważniejsze, ponieważ najbardziej wiarygodne informacje o tabliczkach przechowuje w pamięci starszyzna, tak dotąd ustaliłam, że w przekonaniu Rapa Nui pierwotne symbole rongorongo przynieśli na wyspę pierwsi osadnicy i że były one spisane na jakiegoś rodzaju papierze (przypuszczalnie na korze). Kiedy wyczerpał się zapas papieru, zaczęto pisać na bananowcach, wreszcie na drewnie. W powszechnym przekonaniu inskrypcje robiono zębem rekina. Lecz jak się wydaje, większość tych tabliczek spłonęła wraz z domami w czasie walk plemiennych. (Dwa główne klany na wyspie - Hotu Iti i Kotuu - prowadziły chyba długotrwałą wojnę, o którą zamierzam dalej wypytywać), jeśli idzie o inskrypcje na tabliczkach, to kilku wyspiarzy w średnim wieku dość skwapliwie zaproponowało, że mi je „przeczyta”, ale po dziesięciu takich epizodach z całkowicie różnym odczytaniem nie ulega dla mnie wątpliwości, że trzymają tabliczki przed sobą i recytują przypadkowe historie. Nie nawiązałam jeszcze bliższych kontaktów z najstarszymi członkami

społeczności (niektórzy żyją podobno w kolonii trędowatych tuż poza obrębem Hanga Roa), a liczę, że oni będą dysponowali potrzebną wiedzą o piśmie.

Pytałam, co wiadomo o sposobie zasiedlenia wyspy, skąd ci ludzie przybyli i kiedy. Oni nie mają dat, twierdzą natomiast, że było dwudziestu siedmiu królów. Pierwszy z nich, Hotu Matua, przybił swym kanu do plaży w Anakena, tam gdzie my mamy obóz. Rzekomo przyплыł z jednej z kilku wysp od strony zachodzącego słońca, wyspa zaś nazywała się „Marae-toe-hau”, co można zapewne tłumaczyć jako „miejsce pochówku”. Powiadają, że Hau Maka, doradca Hotu Matua, miał sen i że dusza Hau Maka w tym śnie odwiedziła właśnie tę wyspę, stwierdziła, iż wyspa jest piękna i pełna obfitości, dlatego też wyruszono na poszukiwanie nowego lądu. Jeśli to legenda prawdziwa, należy się zastanowić, czy król Hotu Matua nie rozczarował się na widok jałowej ziemi, jaką znalazł, czy nie sądził, że trafił w niewłaściwe miejsce.

Edward ma niebawem podjąć decyzję, który posąg odkopie najpierw. Co wieczór, spalając w kilku lampach nowe zapasy oleju z morświna, przegląda swoje dane. Elsa próbuje skusić go tabliczkami, podsuwa mu kawałki drewna w namiocie, szybko wyrzuca z siebie informacje - No więc ta jedyna tabliczka Kohau, znaleziona przez nas w jaskiniach koło Puna Pau, zdecydowanie różni się od innych. Widzisz powtarzającą się pochyłą postać, a za nią drzewo! Mnie się wydaje śliczna.

W chwili obecnej cień zainteresowania Edwarda pada wyłącznie na figury.

- Powinniśmy wkrótce zabrać się do kopania - mówi, zdzierając kolejną kartkę z notatnika. - Cokolwiek znajdziemy u podstawy, w istotny sposób ułatwi zrozumienie metody transportu. Chyba to powinno być głównym przedmiotem moich dociekań.

Z chwilą podjęcia decyzji o odkopaniu tego, a nie innego posągu, całą uwagę poświęca logistyce. Dzięki środkowi płatniczemu w postaci towarów znajduje grupę mężczyzn chętnych do pomocy. Natomiast przygotowanie stanowiska okazuje się trudne z uwagi na brak drewna.

- Na całej wyspie nie ma ani jednej gałęzi, której można by użyć do konstrukcji - utyskuje Edward. - Doprawdy zdumiewające, że ludzie zdołali tu wyżyć.

Z czasem postanawia zmontować rusztowanie z kilku rozbitych skrzynek.

Po rozpoczęciu prac wykopaliskowych znów się odpręża. Każdego popołudnia, kiedy wraca z wykopu, a Elsa ze swoich wywiadów, ze szczegółami opowiadają sobie, jak spędzili dzień. W głowach im się kręci z ożywczego zmęczenia, oczami wyobraźni już widzą, co nazajutrz przyniesie im praca.

- Myślę - mówi Edward któregoś wieczora, kiedy opisała szczególną serię wyobrażeń ptaków - że może to się okazać twoim prawdziwym powołaniem.

Zrodziła się między nimi zażyłość, wzajemny szacunek. Stali się jak gdyby współnikami w interesach, z podnieceniem rozmawiającymi przy obiedzie o swojej pracy. Rozkład dnia mają ustalony, wygodny, oparty wyłącznie na wspólnych zainteresowaniach.

Ale dla niej prawdziwymi towarzyszami są nadal kartki książek. Egzemplarz Podróży na okręcie „Beagle” przepadł chyba na zawsze i skończyła Różne formy kwiatów i roślin tego samego gatunku, więc raz jeszcze wraca do O powstawaniu gatunków, gdzie znajduje coś, co wygląda na wyznaczenie Darwina:

Obecnie dzieło moje jest na ukończeniu. Ponieważ jednak potrzeba mi jeszcze wielu lat do jego uzupełnienia, a zdrowie moje jest niezbyt mocne, zachęcono mnie do opublikowania niniejszego wyciągu. Robię to tym chętniej, że p. Wallace, który studiuje obecnie historię naturalną Archipelagu Malajskiego, doszedł w sprawie powstawania gatunków do prawie tych samych ogólnych wniosków, co i ja. W 1858 r. przesłał on na moje ręce rozprawę na ten temat z prośbą o doręczenie jej Sir Karolowi Lyellowi. Sir K. Lyell posłał rozprawę do Linnean Society i wydrukowano ją w trzecim tomie pisma tego Towarzystwa. Sir K. Lyell i dr Hooker, którym znana była moja praca - ostatni z nich czytał mój szkic z 1844 r. - zaszczytli mnie radą, bym równocześnie ze znakomitą rozprawą p. Wallace'a podał do druku krótki wyciąg z moich rękopisów.

- Edward - pyta Elsa w namiocie - czy znasz pracę Alfreda Wallace'a?

- Tego od Archipelagu Malajskiego?

- Czy pracował nad teorią ewolucji w tym samym czasie co Darwin?

- Tak, ale trudno powiedzieć, kto był pierwszy. Choć Towarzystwo Linneuszowe przedstawiło ich artykuły w tym samym czasie, na Wallace'a nie zwrócono uwagi. Darwin był absolwentem Cambridge, Wallace samoukiem, który musiał zdobywać pieniądze na wszystkie swoje podróże w ten sposób, że posyłał owady i wypchane węże do Anglii. Zapewne nie miał wielkich szans na poważne potraktowanie. Zresztą Darwin opublikował swoją książkę wcześniej niż Wallace i oczywiście teorię przypisuje się jemu.

- Czy Wallace do ogłoszenia teorii potrzebował dyplomu z Cambridge?

- Oczywiście że nie.

- Przy takim podejściu tysiące najlepszych w Anglii powinny odkryć ewolucję.

- Tak to się odbywa, Elsa. Darwin należał do wpływowego gremium, nie można go o to winić.

- Nie winię, tylko współczuję Wallace'owi.
- Cóż, Wallace się z tym pogodził. Swojej książce o doborze naturalnym dał tytuł Darwinizm. To z pewnością uznanie odkrycia.
- Może nie sądził, że potrafiłby zwyciężyć w walce?
- Cóż, nie bądź w stosunku do nich zbyt surowa. Ostatecznie obaj poszukiwali prawdy.

W tych słowach pobrzmiwa echo upomnień ojca, żeby nie wydawała pochopnych sądów. Edward rzeczywiście bardzo się upodobił do jej ojca albo ona zaczęła się przy nim czuć tak samo swobodnie jak przy ojcu. Upraszczają się nawet kwestie opieki nad Alice. Kiedy jej ataki zmuszają Elbę do pośpiesznego przerwania jednego z wywiadów, Edward proponuje, że będzie zabierał Alice na wykop.

- Musisz mieć możliwość pracowania bez przerw, Elsa. To po prostu zbyt ważne. Wiemy przynajmniej, że posągom nie napędzi strachu. Spodziewam się, że jako opiekuna darzysz mnie zaufaniem.

Po tylu miesiącach darzy go zaufaniem. Edward troszczy się o Alice, przywykł do jej wybuchów, a ona chyba dobrze się z nim czuje.

- Naturalnie - mówi Elsa. - Naturalnie darzę cię zaufaniem. Uwolniona z jeszcze jednych pęt. Teraz może swobodnie poruszać się po wyspie - jak prawdziwy odkrywca, prawdziwy uczonec - i nic nie odrywa jej od pracy.

Zagłębia się w wyspie, w języku, w rongorongo. Biegła włada teraz Rapa Nui i nawet służy Edwardowi za tłumaczkę. Obszernie notuje legendy i mity wyspiarzy, którym brak chyba ustnego przekazu na temat wzniesienia i upadku moai. Elsa podejrzewa, że taka historia może być zapisana na drewnianych tabliczkach. Musiał się gdzieś zachować opis głównych wydarzeń, a jeśli nie w ludzkiej pamięci, to może na tabliczkach. Ilekroć jednak dziwne glify zdają się nabierać znaczenia, zaraz się wycofują, co zakrawa na przekorę. Elbę zaczyna też intrygować samo drewno. Tabliczki są z ciemnego, twardego drewna, którego nigdzie na wyspie nie widziała. Skąd się tu wzięło? Czy tabliczki mogły skądś przybyć? Czy wszystkie mogły przypląć w tym pierwszym kanu razem z Hotu Matua?

Elsa myśli o długiej podróży Hotu Matua i ich podróży z Anglii. Ani polinezyjski król, ani Edward, ani ona nie mogli wiedzieć, co czeka ich na tym nowym brzegu. Do ich przybycia było to miejsce mitologiczne. Teraz z kolei jej przeszłość stała się mitem,- Max, ojciec, ich dom w Anglii - wszystko to wydaje się ongiś wymarzoną wyspą.

Kiedy nocą Elsa leży w namiocie, z kupką książek przy łóżku, zasluchana w szum fal, które rozbijają się o brzeg, czuje, że postąpiła słusznie. Ma być tutaj, na tej wyspie. Nawet teraz, w łóżku Edwarda, jest zadowolona. Senny ciężar jego ramion, bijący od niego zapach mydła i tytoniu - to pozwala jej zapaść w lekki sen. Zaczyna do niego przywykać. A troska o niego i swoboda w jego towarzystwie łagodzą poczucie winy. Już nie uważa, że go wykorzystała, aby pomóc Alice i sobie. Uważa go za swojego męża. Czy to naprawdę takie straszne, myśli, być kochaną przez tego mężczyznę? Jest Edwardem, droгим, zycznym Edwardem. A teraz to - Edward, Alice, ten smagany wiatrem łąd na końcu świata - jest jej życie.

Rozdział piętnasty

Na drugim roku studiów pomagisterskich, po wielu dyskusjach i rozważaniach, Greer postanowiła wybrać Thomasa na swego promotora. Podali już do wiadomości publicznej, że są parą, co wbrew obawom Greer - która spodziewała się spotkać ze wzgardą, nieufnością, nawet zazdrością - jej koledzy w końcu skwitowali najwyżej wzruszeniem ramion. Wszyscy od dawna się domyślali.

Bez wątplenia wybór Thomasa na promotora był najlepszy. Prowadził najciekawsze badania na wydziale; jego laboratorium miało dostęp do najlepszego sprzętu i największych funduszy. Ostatnio Amerykański Instytut Nauk Biologicznych przyznał mu grant, uniwersytet uczcił go galowym obiadem, na który Thomas zabrał Greer, magazyn „Life” poświęcił mu artykuł pod tytułem Nauka dziś i jutro i zamieścił zdjęcie badacza stojącego w swoim laboratorium nad dwumetrowym rdzeniem, pobranym z Greer w lutym z brzegów Missisipi. Artykuł wzbudził jednak niepokój Thomasa, bo dzielił naukowców na dwie kategorie - tradycjonalistów i buntowników. Thomasa, zaledwie czterdziestotrzyletniego, zaliczono do kategorii tradycjonalistów i wspomniano o fenomenie naukowym, jakim są wielkie odkrycia, dokonywane przez ludzi młodych, co było aluzją do jego wczesnych sukcesów: Nagrody Linneusza i pierwszej konferencji palinologicznej. Artykuł bezsprzecznie zwrócił na niego uwagę - laboratorium włączono nawet do programu wycieczek po terenie uniwersytetu, więc niekiedy z okna jego gabinetu oboje z Greer widzieli kilkunastoosobowe grupki nastolatków, wraz z rodzicami wpatrujących się w budynek.

- Stąd niczego nie mogą zobaczyć - z żalem mówiła Greer, opuszczając i podnosząc żaluzje. - Czemu nie pokażą im skamieniałych pyłków? To jest ciekawe.

- Ponieważ - odpowiadał Thomas - oni nie chcą widzieć nauki. Chcą widzieć to, co uważają za znakomitość.

Mimo wszystko wydawał się dość zadowolony z tej etykiety. Teraz każdy chciał pracować w jego laboratorium. Nawet Jo, która w tym semestrze dołączyła do zespołu. Lecz Greer była wewnętrznie rozdarta.

- Powinnaś zadać sobie jedno pytanie, Greer: czy chcesz aż tyle czasu spędzać ze swoim chłopakiem. W dzień i w nocy - powiedziała Jo.

- Ale pracować dla niego? To wydaje się dziwne.

- Cóż, możesz pracować dla profesora Jenksa. Czy dla tego dupka, doktora Hawthorne'a. Ale obojętne, jak postąpisz, zawsze będziesz dla kogoś pracować.

Po prostu wybierz kogoś, dla kogo chcesz to robić. Człowieka, którego praca cię interesuje.

- Cóż, praca Thomasa naprawdę jest...
- Tematem numer jeden w mieście? Greer bezradnie wzruszyła ramionami.
- To prawda.
- Trudno byłoby zrezygnować z takiej okazji.
- Moglibyśmy być jak Maria i Piotr Curie. Carl i Gerty Cori.
- Posłuchaj. Nie ma tu pewnej odpowiedzi, Greer. Rób, co ci potrzebne do twojej własnej pracy, do twojego rozwoju. A jeśli to oznacza pracę w laboratorium Chlebowca na Katedrze...
- Jo.
- ... w laboratorium Thomasa, to ją podejmij. Zresztą to oznacza też, że będziemy pracować razem. Ramię przy ramieniu. Jak bliźniaki Bobbsey.
- Racja.
- A czyz tego możesz zrezygnować? - Jo zdmuchnęła wpadające do oczu włosy.

- Czy mogę?

Sam Thomas nie miał obiekcji.

- Lily, nie mogę sobie wyobrazić nikogo lepszego w laboratorium - powiedział. - Jesteś szybka, jesteś dokładna. I zaangażowana w projekt.

Projekt polegał na badaniu ewolucji roślin okrytozalążkowych: kwiatowych. Należała do nich większość drzew, krzewów, kwiatów polnych, owoców jadalnych, jagód, orzechów, zbóż i warzyw: 235 000 rozmaitych gatunków, czyli około dziewięćdziesięciu procent roślin na świecie. A jednak na naszej planecie istniały niegdyś tylko rośliny nagozalążkowe - gymnospermy, nagonasienne - sosna i cyprys, jodła i cedr. Miłorzęby i sagowce, których nasiona tworzą się na łuskach szyszek i czekają, aż uniesie je wiatr. Ich reprodukcja jest prymitywna i bierna. Natomiast u roślin okrytozalążkowych pojawiają się pręciki i słupki z zalążnikami; czerwone, fioletowe i białe kędzierzawe listki okwiatu; nektar i zapach. Przynęty. Greer kojarzyło się to z dojrzewaniem płciowym w królestwie roślin, z nagłym sięganiem przez te wszystkie naiwne jodły i szare sosny po szminkę, z wkładaniem wieczorowych sukienek. Rośliny okrytozalążkowe wniosły do przyrody pożądanie, rozpoczęły taniec godowy pręcika ze słupkiem, okwiatu z zapyłaczem, taniec, który rozprzestrzenił się na kuli ziemskiej i trwał miliony lat. Z czasem pary przedstawicieli fauny i flory łączyły się ze sobą, razem ewoluowały, tak że każdy kwiat ma obecnie własnego zapyłacza, każdy owoc ptaka, który go zjada.

Ewolucyjne przejście od nago- do okrytozalążkowych fascynowało Thomasa, oznaczało dla niego postęp bardziej doniosły niż przejście od małej człokształtnej do człowieka. Kwiaty dawały owoce i orzechy, wytwarzały pokarm, który pozwolił żyć dużym ssakom, a z czasem i homo sapiens. Ludzkość zaś stała się największą wielbicieleką kwiatów. To przecież mak, jak kwietna Helena Trojańska, sprawił, że „tysiąc łodzi wiatr osiodłało”, aby przewozić opium. Ludzkie migracje, szlaki handlowe, inwazje, wojny - wszystko to sprowadzało się do okrytonasiennych. Herbata, przyprawy korzenne, tulipany. Człowiek włączył się do tańca, uwiedziony jak wszystkie inne stworzenia przez największy wynalazek przyrody - kwiat.

Ale jak dokonało się to przejście? Kiedy właściwie i gdzie? Sto lat wcześniej Darwin nazwał to „obmierzoną tajemnicą”, od tej pory zaś nikt nie wpadł na odpowiedź. Tajemnica była zbyt odwieczna, dowody głęboko ukryte w ziemi. Dokładne badania będą wymagać licznych świadectw paleobotanicznych - to należy do kompetencji Thomasa.

Projekt Thomasa ruszył na rok przed wstąpieniem Greer na studia pomagisterskie. Thomas zaczął zbierać skały z okresu kredy z różnych stanowisk na terenie Stanów Zjednoczonych i stworzył mały zespół doktorantów do szukania skamieniałych pyłków. Ich zadaniem było znaleźć pierwszy kwiat, najstarszą na ziemi roślinę okrytozalążkową. Jak dotąd znaleźli przypuszczalnego podejrzanego: magnolię. W kilku skałach, datowanych na środkową kredę, na 120 milionów lat przed naszą erą, znaleźli ślady pyłku magnolii. To był jednak dopiero początek. Następne i najważniejsze zadanie pracowników laboratorium polegało na wyeliminowaniu konkurentów magnolii.

W tym celu należało zbadać skały osadowe z całego świata. Równocześnie z podjęciem przez Greer pracy w jego laboratorium Thomas otrzymał nowy grant i załatwiał sprowadzenie próbek z Ameryki Południowej i Europy. Mówiło się też o ewentualnym zdobyciu próbek z Grenlandii i Australii. Należało zbadać te skały z różnych części świata w laboratorium i stwierdzić, - że w środkowej kredzie nie było pyłku rośliny okrytozalążkowej innej niż magnolia.

Gdyby Thomas potrafił ostatecznie dowieść, że magnolia była pierwszą rośliną kwiatową, oznaczałoby to, że jej budowa stanowi istotne ewolucyjne przejście od rośliny nago- do okrytozalążkowej, jest pierwszą kostką domina, położoną w największej na świecie ewolucji ekologicznej. I oznaczałoby zdobycie raz jeszcze naukowego złota przez Thomasa Farradaya. Pierwsze, największe, najmniejsze - w każdym odkryciu chodzi o przewagę, jeśli idzie o rozmiar czy wiek.

Greer musiała też wybrać temat dysertacji, związany z projektem Thomasa i pracą, jaką będzie wykonywać w jego laboratorium. W końcu zdecydowała się na modele rozprzestrzeniania magnolii przez wody. Jeśli magnolia pojawiła się w środkowej kredzie, nastąpiło to po rozpadnięciu się Pangaei, lądu, na który ongiś składało się wszystkich siedem kontynentów i subkontynent Gondwana. Magnolia pojawiła się w świecie, gdzie woda oddzielała od siebie lądy - więc aby się rozprzestrzeniać, rośliny okrytozalążkowe musiały przemierzać ocean. Thomas określi, kiedy pierwszy raz pojawiła się magnolia, a tymczasem Greer prześledzi jej ruchy.

Praca laboratoryjna była po większej części naukowym odpowiednikiem przepisywania bądź segregowania. Thomas okazał się wymagający i Greer całymi tygodniami nie robiła nic innego, tylko oczyszczała próbki, krążyła między wirówką a zlewem. Następnie musiała określić, który pyłek pochodzi od rośliny nago, a który od okrytozalążkowej. Godzinami pochylona nad mikroskopem, liczyła znane i nieznanne ziarna, badała strukturę każdego z nich - cebulkowate kształty, kreski jak żyły znaczące ich wypustki, skazy i pieprzyła. Była pod wrażeniem ich różnorodności i odporności. Oto pyłek, miliony lat wcześniej przeniesiony przez wiatr nad łąkami i dolinami, zagrzebany w ziemi, idealnie skamieniały, czekający na odkrycie. Patrzyła w mikroskop z uczuciem, że nagle natrafia na ukryty krajobraz, zerka na daleki, nienazwany księżyc.

Tego pierwszego roku ona i Thomas wciąż ze sobą współpracowali. On miał gabinet w drugim końcu korytarza, toteż co parę godzin zaglądał do laboratorium i zawsze meldował się u niej. W porze lunchu ona zanosila mu kanapki i omawiali stan projektu. Często przed jej powrotem do laboratorium całowali się, zaciągnawszy na drzwiach zasłonę. Przyjemna była pokusa, jaką stwarzała praca tuż obok, bawiły ich lekkie, potajemne muśnięcia, pozostawanie w budynku pod koniec dnia, kiedy wszyscy rozeszli się do domów. Thomas siedział w swoim gabinecie nad otwartymi książkami i udawał, że próbuje czytać, a tymczasem Greer zaczynała mu rozpinąć koszulę i pasek. Albo też on zastawał ją w cichym laboratorium przy mikroskopie i powoli zdejmował jej biały fartuch.

Odbywali częste podróże, których celem było pobieranie próbek. W pierwszym roku jej pracy w laboratorium wybrali się do Brazylii i Belize. Następnego roku zrobili dwutygodniową wyprawę na półwysep Nowa Szkocja, potem na Grenlandię. Przepadała za tymi wyjazdami - to wtedy, obserwując Thomasa pod gołym niebem, z dala od kolegów i wielbicieli, wolnego od nauczycielskiej swady, zrozumiała, jak bardzo jest w nim zakochana. Jego mina w czasie pobierania próbek przypominała minę chłopca, który wsadza w

mrowisko gałązkę, bo twarz rozjaśniało mu zdumienie, kiedy pod jego dotykiem pojawiała się życie. Thomas mógł sobie twierdzić, że przyroda nie jest piękna, lecz w obliczu jej złożoności odbierało mu mowę.

Bez wytchnienia, bez zastrzeżeń oboje w pełni angażowali się w projekt, uwiedzeni myślą o pierwszym na ziemi kwiecie. Magnolia była marzeniem o białych płatkach, które ścigali, duchem, którego chcieli dotknąć. Czasami nocą, zdrzemnąwszy się w laboratorium, Greer śniła, że unosi się nad pradawnym krajobrazem, nad gąszczem ciemnych iglastych drzew, i szuka jednego białego kwiatu. Raz nawet dostrzegła go w oddali, jak mrugał z cieniściego lasu.

Kiedy Thomas ją znalazł i oderwał od pracy, opowiedziała mu sen.

- I nie pofatygowałaś się spytać, na jakim kwiat był kontynencie? Uwierzę w parapsychologiczne znaczenie każdego snu, który odpowiada na pytanie.

- Maga nie lubi pytań - odparła Greer.

- Maga? -

- Skoro tyle ludzi ją ściga, uważam, że zasługuje na imię.

Popołudniami przerywali pracę w laboratorium i spacerując w uniwersyteckiej cieplarni, rozmawiali o badaniach.

- Niektóre próbki po prostu nie pochodzą z dostatecznie odległego okresu i dlatego nie mają znaczenia.

- Maga najzwyczajniej nie lubi pośpiechu - powiedziała Greer. - Daj jej czas.

- Wiesz, w końcu sprowadzi się to do zbadania dostatecznej liczby skał z dostatecznej liczby regionów. Ilość i różnorodność, to wszystko. Przypuszczalnie nigdy nie znajdziemy pyłku magnolii starszego niż ze środkowej kredy. Możemy się jedynie upewnić, że nie znajdziemy pyłku żadnej innej rośliny okrytozalążkowej w tym okresie.

- I liczyć, że nie zrobi tego nikt inny.

- Wiesz, Lily, właśnie w tym rzecz.

- Nic się nie martw - uspokajała go Greer. - Poświęciłeś się jej i Maga cię nie zawiedzie.

- Mam nadzieję.

- Pomyśl tylko, Thomas, jesteśmy na tropie pierwszego kwiatu na świecie. - Przebrnęli przez tropiki, przez szklane sanktuarium spowitych mgłą paproci i gujaw, a teraz weszli do Domu Orchidei. Greer rozejrzała się po otaczającym ją morzu fioletowych i czerwonych płatków. - Zanim był człowiek, aby go wachać - powiedziała - dotykać go, wiedzieć, że jest piękny, nim zapylacz wiedział, co z nim zrobić, jeden spektakularny kwiat czekał gdzieś, aż świat go dogoni.

- Ach, Lily.

- Co?

- Cóż, jesteś kobietą, prawda.

- Tak mówią.

- Tylko nie pozwól, żeby wyobraźnia przeszkadzała ci w pracy naukowej. Nie szukaj tego, co dla ciebie jest piękne. Pamiętaj, szukasz tego, co jest prawdziwe.

- Przeszkadzała mi? Jestem tutaj, zajmuję się nauką dłużej niż ktokolwiek inny. Kąpię w kwasie, liczę, analizuję. Po prostu przyjemnie jest czasami sobie przypomnieć, co to wszystko znaczy.

- Masz rację. Wiem. Pracujesz jak maszyna. Przepraszam. Martwię się tylko tym projektem, całą czekającą nas pracą.

Objęła go w pasie.

- Więc nie zapominajmy się tym cieszyć. Pocałował ją.

- Właśnie, moimi osadami.

Przez następne dwa lata Thomas często wyjeżdżał, wygłaszał referaty na sympozjach w Missouri, Iowa czy Ohio. Chociaż Greer nie lubiła tych okresów rozłąki, nauczyła się z nimi żyć. Kilkakrotnie zapraszano go z wykładami do Harvardu. Wiadomości o jego badaniach przyciągały uwagę naukowców, lecz pozostawiały mu niewiele czasu na pracę. Laboratorium odwiedzał zazwyczaj po to, aby odebrać arkusze z danymi od Greer, Jo i Bruce'a Hodgesa, nowego asystenta technicznego, właśnie przeniesionego z Harvardu i włączonego do projektu Thomasa. Bruce pobił kiedyś rekord Ameryki jako linebacker i najbardziej lubił się przechwalać meczem, w którym miał trzy przyłożenia, dwa powroty i przechwyty.

- Ale nie można już być lepszym, więc w końcu zamieniłem ochraniacze i hełm na kitel laboratoryjny - mawiał teatralnym głosem na zakończenie swojej sagi sportowej.

Niewątpliwie jednak miał smykałkę naukową, nawet jeśli brakowało mu pasji. Potrafił recytować klasyfikacje pyłków jak statystyki sportowe.

- A tu mamy magnoliowatą roślinę dwuliścienną, majowo-czerwcową, silnie ciężącą do środkowej kredy! Nasza mała clavatipollenites mocno się trzyma siatkowego unerwienia i podwójnych liścieni! - Następnie przytykał złożone dłonie do ust, pohukiwał i gwizdał, jakby setki wielbicieli czciły jego taksonomiczne zwycięstwo.

Jo uważała go za nudziarza i stukała się w czoło, kiedy nie patrzył. Greer natomiast wydawał się dość czarujący i cieszyło ją dodatkowe towarzystwo w laboratorium, pustym pod nieobecność Thomasa.

Po powrocie ze swoich konferencji zmęczony, schrypnięty Thomas siedział z nią do późnej nocy i przeglądał dane. Mówiła mu, jakie próbki należy obejrzeć w następnej kolejności albo skąd wziąć nową partię skał osadowych. Na koniec nieodmiennie pytał o jej pracę. Nie przestawał się nią interesować. Więc przez parę chwil gwarzyli o nasieniu magnolii i modelach rozprzestrzeniania się pyłków, a on udzielał jej wskazówek badawczych, czasami radził, jakie opracowania biogeograficzne powinna przeczytać.

- Ciekawe jest zestawienie ze sobą rozprzestrzeniania się magnolii z rozprzestrzenieniem się zapylacza.

- Właśnie - przyznała Greer.

- Bo nawet jeśli pyłki i nasiona przenoszą się przez wodę, roślina nie może zasiedlać bez zapylacza.

- Ślęczałam nad danymi i chyba odkrywam ciekawe związki liczbowe. W grę wchodzi czynnik opóźniający, różnica czasu między przybyciem kwiatu a owada. Według mnie może się to okazać doniosłym równaniem.

- Równanie powinno wyznaczać próg. Liczbę roślin niezbędnych do stworzenia stałego środowiska. - Thomas przetarł oczy, żeby się rozbudzić, i ujął jej dłonie. - Tęskniłem za tobą.

- Ja też. - Przytuliła czoło do jego piersi. - Często wyjeżdżasz.

- Praca wzywa.

- Wiem. - Posłuchała bicia jego serca, tego kojącego rytmu życia, po czym uniosła głowę. - Liczby oczywiście będą się różnić, zależnie od rośliny. Okres kwitnienia, dojrzewania i tak dalej.

Thomas się roześmiał.

- I ciebie praca wzywa.

Greer odpowiedziała uśmiechem. Rozumieli w sobie nawzajem tę siłę napędową.

- Wiesz - powiedziała Greer - magnolia miała coś, czego brakowało innym roślinom.

- Co mianowicie?

Greer musiała się uśmiechnąć do tej myśli.

- Wolę istnienia.

Ich ślub, skromna uroczystość w uniwersyteckim ogrodzie dendrologicznym, odbył się w obecności Bruce'a Hodgesa, Jo Banks i profesora Jenksa.

W prezencie ślubnym Thomas dał Greer nasienie magnolii w weneckim słoju aptecznym.

- Do twojej pracy - powiedział. - Teraz będziesz jak Darwin. On trzymał różne rodzaje nasion w słojach ze słoną wodą, aby się przekonać, jak długo potrafią przetrwać w oceanie. To dla ciebie idealne.

Greer dała Thomasowi mikroskop swojego ojca, latami stojący w laboratorium w suterenie, pierwszy, jakim się posługiwała. Thomas obejrzał mosiężne pokrętła, grubo okular.

- Dzięki za zaufanie.

W podróż poślubną pojechali do Toskanii i przez dwa tygodnie zbierali w Apeninach piaskowce i margle. Projekt Magnolia utknął w martwym punkcie, wymagał próbek bardziej zróżnicowanych pod względem geograficznym. Greer i Thomas zdołali zjeść parę eleganckich obiadów we Florencji, szybko przejść przez główne galerie Uffizi; dali sobie zrobić zdjęcie na Ponte Vecchio, resztę podróży przeznaczyli jednak na pracę, na tropienie odkrywek skał kredowych i jurajskich. Starali się wykorzystać czas, kradli pocałunki między procedurami i mówili do siebie „mężu” i „żono”, waląc młotkami w skały i taszcząc ciężkie plecaki z jednego stanowiska na drugie. Wieczorami, po powrocie do hotelu, ściągali brudną odzież, wchodzili do wanny i szorowali sobie nawzajem plecy i ramiona, spłukiwali z włosów góry pyłu. Następnie, ze skórą zaróżowioną po kąpieli, szli do łóżka.

Wkrótce po powrocie z Włoch chwycił Greer silny kurcz w szyi, więc poszła do kręgarza, który zabronił jej siedzieć przy mikroskopie dłużej niż pięć godzin dziennie.

- Sprawimy ci wygodną leżankę, żebyś się mogła wyciągnąć, jak chwyci cię kurcz - powiedział pewnej nocy Thomas. Właśnie przeprowadzili się do mieszkania na Madison's West Side, na skraju ogrodu dendrologicznego. Masował jej szyję. - I taką specjalną poduszkę pod szyję.

- Czemu najzwyczajniej nie weźmiemy kogoś innego, żeby wykonywał trochę obliczeń? Jeszcze jednego magistra. Wtedy będę mogła identyfikować nieznane pyłki. Albo pomóc w analizowaniu. Za często teraz wyjeżdżasz. Zanadto rozszerzasz zakres działalności. Ktoś musi sprawdzać wyniki, obliczenia.

Jego ręce znieruchomiały.

- Posłuchaj i nie złość się, Lily...

- Oho.

- W analizowaniu pomoże Bruce.

- Bruce?

- Jest bystry.

Greer zapaliła światło i zwróciła się twarzą do Thomasa.

- Ja też. Więc dlaczego dalej nie miałby liczyć? On nie ma kłopotów z szyją.
- Lily, nie proszę cię po to, żeby zaszkodzić twojemu zdrowiu. Odpocznij. Mówię tylko, że Bruce pomoże analizować.

- A co ze mną? Czy Jo? Obie pracujemy w laboratorium dłużej niż Bruce. Jo najdłużej. Ona jest bystra.

- Bruce miał najlepsze wyniki na swoim roku w Harvardzie. Posłuchaj - westchnął - nie mogę pozwolić, żeby po przeniesieniu tutaj pracował w laboratorium pod kierunkiem mojej żony. Albo Jo. Przepraszam, Lily. To nie ma żadnego związku z moimi uczuciami. Nie zostałyby, wiesz dobrze.

- Nie wiem.

- Proszę cię, Lily, nie bądź naiwna.

- Sprawiedliwość nie jest naiwnością. Thomas sprawiał wrażenie bezradnego.

- To nie tak.

- Jeden rok, Thomas. On spędził tutaj jeden cholerny rok.

- Proszę cię. Jeśli zależy ci na projekcie, jeśli zależy ci na mnie, zrozumiesz. Poza tym masz do skończenia swoją dysertację. W żaden sposób nie poradzisz sobie z nią i z moją analizą.

- W żaden sposób nie poradzę sobie z nią, jeśli będę spędzać po osiemdziesiąt godzin tygodniowo tu przy mikroskopie i pomagać ci w liczeniu pyłków szybciej niż ktokolwiek na świecie! - Czuła, że twarz ma rozpaloną ze złości.

- Nigdy cię nie prosiłem, żebyś zaniedbywała własną pracę.

- Ale czego się spodziewałeś? Jak myślisz, kiedy właściwie mam czas na własne badania?

- Wiesz, co sędzę o twoich zdolnościach. Nie wziąłbym cię do laboratorium, gdybym nie uważał cię za zdolną.

- Zdolną?

- Lily.

Zgasiła światło.

- Lily. - Dotknął jej ramienia. - Proszę.

- Bruce? Przepraszam, Thomas. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- Nie myśl o nim. Skup się na swojej dysertacji. Swojej pracy. Pomyśl o swojej karierze. Czeka cię wielka kariera, Lii. To nie ma żadnego znaczenia.

Może i nie miało. Przecież Greer nie zależało na sławie. Nie bardzo chciała być na świeczniku, tak jak Thomas. Jemu już chyba nie pochlebiały okazywane względy, stały się natomiast nieporęcznym brzemieniem, które musiał dźwigać, obciążeniem, które powoli odwracało jego uwagę od pracy.

Toteż Greer skupiła się na dysertacji. Mniej czasu spędzała przy mikroskopie, więcej na lekturze prac poświęconych biogeografii, modelom rozprzestrzeniania, wyspom i kontynentom. Bardzo lubiła modele; przyroda wciąż od nowa przejawiała ten sam pęd. Historia pozostawała niezmienna. Każdy gatunek był tylko odmianą królewskiego imienia czy koloru włosów księżniczki. Morałem zawsze był ruch i życie.

Wykorzystywała do swojej rozprawy dane na temat magnolii, zebrane w laboratorium Thomasa. Jaką drogę przebyła magnolia od pojedynczego kwiatu gdzieś na krańcach świata do drzewa rosnącego na wszystkich kontynentach? Pracując w bibliotece, w zacisznym kąciku odgrodzonym regałami, badała liczby, wykresy i krzywe. Lubiała to, lecz odczuwała brak koleżeńskiej atmosfery laboratorium. Wyglądałoby jednak na kapitulację, gdyby tam pracowała czy wstępowała, kiedy funkcję szefa pełnił Bruce. Thomas nadal podróżował, wygłaszał referaty, przygotowywał następny artykuł. Więc jej ambasadorem była Jo. Parę razy na tydzień odnajdywała Greer w bibliotece i opowiadała, co się dzieje w laboratorium.

- Jeśli będę musiała wysłuchać jeszcze jednej metafory futbolowej, wcisnę facetowi piłkę do gardła.

- Jest aż taki okropny?

- Jeszcze gorszy.

- Przykro mi, Jo. Przykro mi, że mnie tam nie ma.

- Hej, mnie bardziej przykro ze względu na ciebie... Laboratorium cię potrzebuje.

- Cóż, ja potrzebuję pracować nad moją rozprawą.

Greer nie wspomniała Jo o swojej dyskusji z Thomasem. Udawała, że wspólnie zdecydowali o przesunięciu Bruce'a na nowe stanowisko, lecz nie była pewna, czy robi to z lojalności wobec Thomasa, czy tylko dla zachowania twarzy. Sądząc po minie Jo, ta wiedziała, że Greer jest nieszczęśliwa. Ale też udawała.

- Jak tam dysertacja? - spytała.

- Nie zapyła się własnego znamienia...

- O cholera.

- Ale jestem z niego dość zadowolona.

- Dasz mi przeczytać?

- Zmuszę cię do tego - zapewniła Greer.

- Na pewno jest znakomite.

- Kwiaty. Chrząszcze. Coś dla każdego. Jo lekko ścisnęła jej ramię.

- Nie mogę się doczekać.

Do lutego Greer skończyła pierwszy szkic i była zadowolona. Skupiała się raczej na teorii niż na danych, ponieważ jednak te zostały zebrane w laboratorium Thomasa pod jego kierunkiem, ważne wydało jej się zdystansowanie od jego projektu. Dużo miejsca poświęcała ewolucji i teorii rozprzestrzeniania, porobiła wykresy obrazujące stosunek populacji kwiatów do zapylaczy i czas, jaki dzieli rozprzestrzenienie roślin od rozprzestrzenienia zapylaczy. Ponieważ rozprawa różniła się od tradycyjnych, Greer wiedziała, że wywoła zdumienie komisji, lecz bardzo chętnie podejmowała ryzyko.

Dała jeden egzemplarz Jo, drugi Thomasowi, który już się wycofał z komisji. Oboje powiedzieli, że praca jest znakomita, każde zaproponowało jakieś korekty i zmiany, przy czym Jo w końcu poświęciła na to więcej czasu, bo Thomas pilnie kończył własny artykuł i wciąż wyjeżdżał z Bruce'em Hodgesem, za każdym razem na parę tygodni.

Greer wróciła do swojego kąca w bibliotece i przez kolejny miesiąc przerabiała tekst. W marcu Thomas dokonał ostatecznych korekt swojego artykułu i zaproponował - późne ustępstwo - żeby Greer przeczytała go przed publikacją. Skoro jednak nie prosił o pomoc na początku, teraz nie zamierzała jej oferować. Odparła, że jest zajęta. Małżeństwo uznała za ważniejsze od zawodowej współpracy.

W maju wreszcie złożyła rozprawę i po paru tygodniach czekania w domu postanowiła dla rozrywki zrobić wypad do Mercer. Nie była pewna, dlaczego zapragnęła zobaczyć rodzinne miasto akurat wtedy, po sześciu latach. Oboje z Thomasem rozmawiali o tym wyjeździe; może miała dość odwlekania, czekania na przerwę w jego zajęciach. On znów podróżował, teraz z prezentacjami mającego się ukazać artykułu, który napisali wspólnie z Bruce'em Hodgesem. Tego ciepłego dnia Greer wolno przejeżdżała przez miasto, odczytywała znajome nazwiska na skrzynkach na listy - Feyenbacher,

Simpson, Gertz. Kiedy w końcu dotarła do dawnego domu rodziców, okazał się mniejszy, niż go zapamiętała, ale w tym samym żółtym kolorze i z tą samą panoramiczną werandą. Po zaparkowaniu samochodu zastukała do drzwi. Stała w nich kobieta z luźno upiętymi w kok włosami i wytarła ręce wystrzępionym brzegiem jasnoniebieskiego fartucha.

- Pani jest pewnie Marią Compton. Ja jestem Lillian Greer. Tu dorastałam.

- Ach, tak, panno Greer. Proszę wejść. Mam trochę lemoniady, gdyby się pani chciała napić. I ciastko w piekarniku. Podwójny kajmak.

- Nie, dziękuję. Zastanawiałam się właśnie, czy nie robi pani różnicy, jak pójde na wzgórze, gdzie pochowani są moi rodzice. Dawno już tu nie byłam.

- Pewnie, niech pani idzie. Nie ruszaliśmy niczego. Kamienie jeszcze leżą, a Harold dość regularnie strzyże dokoła nich trawę. Nasza córeczka Becky pyta, kto tam leży, bo lubi siadywać na tym pagórku, a my jej mówimy, że porządni ludzie.

Greer się uśmiechnęła.

- Nie zabawię długo.

- Długo? Nonsens. Proszę się nie śpieszyć. Może przydadzą się chusteczki.

- Nie, dziękuję.

Greer weszła na wzgórek, położyła się między dwoma prostymi kamieniami nagrobnymi i zapatrzyła w lekko zachmurzone niebo. Chłód ciągnął od ziemi, bluzka na plecach przesiąkła wilgocią. Greer bładziła rękami po trawie, przypominając sobie, jak przed laty przychodziła tu zbierać polne kwiatki, które w podwiniętej spódnicy zanosila do domu, licząc, że pod mikroskopem znajdzie odpowiedź na pytanie, dokąd udała się matka. Ciekawe, czym właściwie różniło się to od tego, co robi teraz, kiedy tak leży obok ich grobów, bo wierzy czy chce wierzyć, że życie jest jakoś związane z materią, że duch ma mieszkanie w ziemi.

Poczuła wędrującego po kostce pająka, usiadła, pozwoliła mu wejść na swoją dłoń i bacznie go obserwowała. W pamięci powrócił do niej wiersz Whitmana: Wierzę, iż źdźbło trawy nie mniej znaczy niż rzemiosło gwiazd,/ A mrówka jest równie doskonała i ziarno piasku, i jajko strzyżyka, /A rzekotka jest zakąską dla smakoszków... I pajak powinien być równie doskonały. Bładził po jej skórze, przemierzał półwysep każdego palca, dopóki delikatnie nie położyła go na trawie.

Martwiło ją jednak, że traci wiarę w rzemiosło, że przyroda staje się plamką na szkiełku w sterylnym pomieszczeniu. Badanie w celu uzyskania odpowiedzi, które można opublikować - to wypełniało jej dni przez ostatnich sześć lat. Czy teraz nauka mniej ją wzrusza? Czy też po prostu zmęczyła się, kończąc pisanie, oficjalnie podsumowując lata pracy? Wstała, otrzepała się z brudu i zeszła z pagórka.

- Dzięki - zawołała do Marii Compton, która właśnie wyszła na werandę z ciastkiem w ręce i zanuciła:

- Podwójny kajmak! To kajmak plus kajmak.

- Chcę wrócić przed zmrokiem.

Greer miała mnóstwo czasu, lecz widok domu podziałał na nią przygnębiająco. Wspomnienia o nim zdawały się niedostępne.

- Mam jutro ważne zebranie - powiedziała.

- Cóż, zawsze może pani wstąpić. Słyszysz pani? Zawsze. Będziemy dbać o te kamienie.

- Dziękuję. - Greer odjechała drogą gruntową, która niegdyś wydawała jej się najdłuższa na świecie.

Nazajutrz wcześnie obudziła się i ubrała, aby stanąć przed komisją. Na tę okazję kupiła czarny kostium i wyglądała, o czym przekonało ją zerknięcie w lustro, nader profesjonalnie. Włosy spięła dwoma szylkretowymi grzebykami; umalowała usta. Zrobiła sobie kawę, zjadła miskę płatków śniadaniowych i otworzyła zalepioną kopertę, którą zostawił jej Thomas.

Pamiętaj. Żadnych obaw, kochanie. Będziesz wspaniała. Tęsknię za Tobą. Wracam niebawem.

Twój mąż

Sprawił jej zawód swoją nieobecnością; ten dzień był dla niej ukoronowaniem całej pracy w laboratorium. Wiedziała jednak, że on nie może się urwać z tej konferencji, a przynajmniej uważa, iż nie powinien.

Idąc wolno w stronę Birge Hall, Greer dokonywała w myślach szczegółowego przeglądu rozprawy. Mogli zapytać ją o wszystko, próbować się czepiać byle głupstwa, chociaż miała wrażenie, że będą mniej agresywni niż zwykle. Chodziła przecież na koktajle do każdego z nich, pomagała ich żonom sprzątać ze stołu po obiedzie, siadywała z nimi do późnej nocy, popijając porto i brandy przy muzyce Bacha. Byłoby trudno ją zaatakować, co w dziwny sposób sprawiało jej zawód. W przekonaniu, że praca jest dobra, nie przejmowała się perspektywą słownych utarczek.

Obiecała sobie, że w ten piękny wiosenny dzień - rzadkie cirrusy na krótko przesłaniały jasne słońce - pójdzie po obronie na długi spacer i spróbuje się rozkoszować zakończeniem obrzędu inicjacji. Później spotka się z Jo, urzędzą oblewaniem i chyba zjedzą obiad w restauracji na State Street.

Weszła do sali, gdzie przed laty słuchała wykładów Thomasa, i usiadła w pierwszym rzędzie. Pięciu członków komisji robiło trochę zamieszania, otwierając swoje teczkę i skoroszyty, po czym profesor Jenks, którego ostatni raz widziała na urodzinowym przyjęciu Thomasa, wywołał jej nazwisko. Weszła na podium z teczką w ręce.

- Pani Farraday - zaczął profesor Jenks, jakiś dziwnie zmęczony, rozmamłany, niemal poirytowany. Słynną kraciatą zieloną muszkę, którą nosił na co dzień, miał zawiązaną w wyraźnym pośpiechu. Greer oparła się pokusie i nie spytała, czy dobrze się czuje, bo uznała to za naruszenie obowiązujących przy takich okazjach zasad. U jego żony wykryto ostatnio raka, co chyba odbijało się na nim bardzo niekorzystnie. Ludzie narzekali, że zaniedbuje się w

obowiązkach kierownika katedry. I rzeczywiście od wielu miesięcy nie spotkał się z Greer, aby omówić jej pracę.

- Dzień dobry, panie profesorze. - Starła się nadać głosowi życzliwe, choć oficjalne brzmienie

- Tak, tak. Proszę, pani Farraday. - Profesor Jenks stał. - Oczywiście postawiła pani komisję w szalenie trudnej sytuacji. I zanim przejdziemy dalej, chcielibyśmy pani powiedzieć, że naturalnie będzie pani mogła złożyć nową pracę. Nie zamierzamy rozgłaszać o tym incydencie. - Prędko wrócił na swoje miejsce. - Na tym koniec. Proszę się nie śpieszyć.

- Nie rozumiem.

- Proszę, pani Farraday. Wszyscy czujemy się niezręcznie.

- Zwłaszcza ja. Proszę wybaczyć to słowo, ale co się tutaj, u diabła, dzieje?

Profesor Jenks ukrył czoło w dłoniach.

- Czytaliśmy artykuł Thomasa. Naprawdę myślała pani, że tego nie zrobimy?

- Podniósł wzrok i przeczesał ręką włosy. - Cóż, zresztą nie w tym rzecz. Stało się. Tak jest. I nie musimy się tym zajmować. Jeszcze raz pozwolę sobie zapewnić, że to nigdy nie wyjdzie poza te ściany. Nie skorzystałby na tym nikt z nas, a jeśli już o to chodzi, również i wydział, który musi dbać o swoją reputację. Bardzo ciężko pracowała pani w laboratorium, o tym wiemy. Ta praca jest męcząca. Niewdzięczna. Z łatwością może człowieka wyczerpać. Zmącić zwykłą jasność sądu. Nie ma w tym, rozumie pani, żadnego oskarżenia.

Greer próbowała przeszukać w myślach dane: artykuł Thomasa, jej dysertacja, żadnego oskarżenia.

- Oczywiście - zdołała w końcu wykrztusić, po czym zamknęła teczkę. - Muszę przejrzeć pewne materiały.

Wzięła torebkę, rozsypując pióra i spinacze do papieru, kiedy zarzucała pasek na ramię, po czym szybko wyszła z sali. W korytarzu, już po zamknięciu za sobą drzwi, odetchnęła głęboko i pogrążyła się w upiornej ciszy. Pośpieszyła do biblioteki, co utrudniały wysokie obcasy, a przy półkach z czasopismami ruszyła biegiem. Ściągnęła żakiet i upuściła go na podłogę. Mężczyzna za ladą zawołał:

- Dobrze się pani czuje?

Szukała na półkach, aż wreszcie to znalazła: „Nature”. Wiosna 1967, t. III. W indeksie zobaczyła tytuł: Wstępne badania ewolucji kwiatu magnolii, dr Thomas Farraday i Bruce Hodges.

Przerzuciła parę pierwszych kartek: opisy technik pobierania próbek, lokalizacja, dane - to, czego mogła oczekiwać - a potem, na końcu: Rozprzestrzenianie magnolii: Teoria matematyczna. Przeczytała słowo po

słowie. Te same dane, które ona wykorzystwała, ta sama analiza i to samo równanie, które przedstawiła komisji. Jej równanie. Zamknęła czasopismo, odłożyła na półkę. Idąc do wyjścia, nie pamiętała o porzuconym żakiecie.

Pracownik biblioteki zawołał:

- Proszę pani, chciałaby pani napić się wody? Czy usiąść?

Ale Greer bez słowa pchnęła ciężkie szklane drzwi i doznała wstrząsu, kiedy ciepłe powietrze wypełniło jej płuca.

Rozdział szesnasty

Wystawiony na ciężką próbę von Spee musiał odczuwać napięcie. Kończyły się zapasy amunicji i węgla; podróż przez Pacyfik była długa i samotna. Czy zaczęły mu ciążyć owe dawno temu wydane przez kajzera rozkazy? Me może ani przez chwilę zdradzać słabości. Jak miałyby je wypełniać w obliczu nieuchronnej klęski? Nawet człowiek znany z niezłomnej pewności siebie, z niezachwianego spokoju?

Teraz, kiedy eskadra płynęła wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej, depesze i telegramy znów docierały do niego drogą radiową. Choć flota najwyraźniej nie mogła wrócić do Niemiec, Berlin radził: „Przedzierajcie się do kraju”. Tymczasem von Spee dowiedział się, że marynarki japońska, francuska i brytyjska wszystkie wysiłki skupiają na jego eskadrze. („Tak - miał później napisać Churchill o polowaniu na von Spee - aby doprowadzić do zniszczenia pięciu okrętów wojennych, z których zaledwie dwa były opancerzone, należało zaangażować prawie trzydzieści okrętów, w tym dwadzieścia jeden opancerzonych - i to w przeważającej części najlepszym metalem - nie licząc potężnych eskadr japońskich i okrętów francuskich albo opancerzonych krawców handlowych”). Ale informacje o tym, gdzie znajduje się nieprzyjaciel, docierały do von Spee dopiero w kilka tygodni po ich wysłaniu, kiedy były już nieprzydatne. W czasie gdy opływał Amerykę Południową, nieprzyjaciel, liczniejszy, potężniejszy i niewidoczny, już go otaczał.

Von Spee wiedział, że nie może doprowadzić swoich dwóch tysięcy ludzi bezpiecznie do kraju. Czyż nie jest prawdopodobne, że wskutek tego pograżył się w rozpacz? Rozpacz tak wielkiej, iż przeliczył się na Falklandach, popełnił błąd, który w końcu miał przyplącić swoją flotą?

Na krótko przed wyruszeniem na Falklandy, w Valparaiso, von Spee wysłał swemu kajzerowi taką wiadomość: „Jestem całkowicie bezdomny. Nie mogę dotrzeć do Niemiec. Nie mamy żadnego innego bezpiecznego portu. Muszę przemierzać morza tego świata, wyrządzając możliwie dużo szkody, dopóki nie wyczerpie się amunicja albo o wiele silniejszy nieprzyjaciel nie zdoła mnie złapać”.

Kiedy gość wręczył mu na pokładzie okrętu bukiet fioletowych irysów, von Spee miał rzekomo powiedzieć: „Dziękuję, zaiste bardzo dziękuję. Ładnie będą wyglądały na moim grobie”.

Pechowa flota: hrabia von Spee i niemożliwa podróż powrotna

Rozdział siedemnasty

Małe sercowate ziarenka pojawiają się w środku nocy.

O świcie, kiedy Elsa schodzi nad ocean, aby ochłapać twarz, leżą sobie: małe czarne serduszka, wilgotne i lśniące, rozrzucone jak kamyki na skraju plaży. Elsa wie, że przybyły skądś z daleka. Próbuje obliczyć, jak długo podróżowały. Z lądu płynie się łodzią trzy tygodnie, więc tylko z prądem musiałyby się unosić co najmniej dwa miesiące. Dwa miesiące - zakładając, że pochodzą z miejsca najbliższego. A przecież mogą być skądkolwiek - z Argentyny, Brazylii, Indonezji. To zaś, bardziej niż cokolwiek innego w ciągu ostatniego roku, przypomina jej o odległych ładach, każde ziarnko jest niczym butelka z pozdrowieniem z oddali. Elsa podnosi je z piasku, każde wyciera spódnicą, a potem wszystkie zamyka w złożonych dłoniach. Zbiera je, bo chce z nich zrobić naszyjnik w urodzinowym prezencie dla Alice.

Jest październik i robi się coraz goręcej. Na plaży wydadzą przyjęcie - Elsa zrobi tradycyjne ciasto z taro, czego nauczyła się od wyspiarek, Te Haha będzie śpiewać. Minęło zbyt wiele urodzin, których nie obchodzili. Boże Narodzenie i Nowy Rok uczcili jedynie łyżkami brandy z małego zapasu, jaki im pozostał. Ale teraz, postanowiła Elsa, powrócą do tradycji, będą udawać, jeśli potrafią, że ich życie toczy się normalnie. Więc wodorosty jak lameta zwisają z namiotów. Biały koronkowy obrus, uszyty ze starych spódnic Elsy, leży na stoliku. Kiedy wszyscy już siedzą na pokrytych płótnem skrzynkach, rozłupują kokos, jakimś cudem wyrzucony przez fale poprzedniego tygodnia, z białym mięszem iskrzącym się na podobieństwo lodu, i dopiero po obejrzeniu go ze wszystkich stron z zachwytem Alice podnosi do ust pierwszy półksiężyc. Żuje miąższ orzecha, wysysa łupinę od środka.

- Spróbuj, Beazley - mówi. - Kokos.

Edward bierze swój kawałek, potem Elsa, następnie Puszka Herbatników i Te Haha. Wszyscy skubią powoli białe cząstki. Może dopiero po wielu miesiącach fale wyrzucą na brzeg drugi orzech.

Elsa bierze z kolan naszyjnik z serduszek i wręcza go Alice.

- Dwadzieścia dwa serduszka. Przez dwadzieścia dwa lata moje serce należało do ciebie.

Alice dotyka prezentu palcami.

- Ziarenka!

- To dla ciebie. Do noszenia na szyi.

Alice jednak po prostu kładzie go obok resztek kokosa.

- I, Alice - zaczyna Edward, biorąc z kolan tobolek, na podobieństwo mumii owinięty jedwabnymi chustkami do nosa. - Na urodziny mojej najznakomitszej asystentki.

Alice kolejno odwija chustki, aż wreszcie zostaje jej w dłoniach figurka moai.

- Widzisz - Edward wyciąga rękę, aby dotknąć posążku. - Jest z tego samego tufu wulkanicznego, z którego wyrzeźbione są prawdziwe moai. Z wykopu. Proporcje ma identyczne jak ten, który wydobywamy.

- Mój własny moai! Moai Alice!

- Tak, Alice. Twój własny moai.

- Edward, to cudowne - mówi Elsa.

Alice pomaga Edwardowi w kamieniołomie. W miarę jak pogłębia się wykop u podstawy moai, Alice może schodzić na dół i pilnować, żeby robotnicy nie uszkodzili posagu. Opisuje Edwardowi wszelkie dostrzeżone znaki, rysuje wszelkie petroglify. Przepada za tą pracą, jej szczęście zbudziło się z długiego snu. Prezent jest idealny, myśli Elsa.

- Moai iti - mówi Te Haha. Mały moai. Ogląda go, bynajmniej niezachwycony artyzmem wykonania. - Hm. - To on przecież rzeźbi w drewnie. On jest w ich gronie artystą.

Alice chwyta moai i przyciska do piersi.

- Moai iti - szepcze.

Niebawem zostaje podane ciasto z taro. Te Haha wstaje od stołu, ze skrzyżowanymi nogami siada na piasku i zaczyna zawodzić jedną ze swoich pieśni. Elsa czuje, że się odpręża. Jest wdzięczna Te Haha, swojemu nauczycielowi, ich przyjacielowi. Jest wdzięczna za tę małą rodzinę, jaką stworzyli. Chłopiec, któremu w ostatnich miesiącach przybyły dwa cale, siada obok klatki z papugą. Kiedy Alice kołysze się w rytm pieśni Te Haha, zatracając się w muzyce, Puszka Herbatników ze strachem obserwuje jej pozorne znikanie.

Elsa bierze ze stołu naszyjnik i gładzi serduszka. Te wyrzucone na brzeg ziarenka i kokos na piasku dają jej do myślenia - czy tabliczki mogły być zrobione z drewna przyniesionego przez fale? Bo niby skąd miałyby pochodzić te deseczki?

- Elsa. - Alice kieruje na nią spojrzenie. - To mój naszyjnik.

- Tak, Allie. Chcesz go nosić?

- Tak. - Alice pochyla się nad stołem, a Elsa wkłada jej naszyjnik.

- Mój naszyjnik - mówi Alice, mrużąc oczy. - Mój.

Kilka dni później jedzą wieczorem obiad na plaży. Niebo na zachodzie jest bladożółte, chmury przypominają topniejące perły zmierzchu. Woń dymu, patatów i pieczonej baraniny wypełnia powietrze.

- Myślałam - Elsa wyciąga kupkę parujących liści bananowych z ziemnego pieca - czy nie odwiedzić kolonii trędowatych.

- Starszyzny? - Edward siedzi na swojej skrzynce i przerzuca kartki notatnika. Jest na wykopie po osiem godzin dziennie; wyczerpany, posługuje się teraz najbardziej skutecznymi skrótami.

- Jeśli pogłoski są prawdziwe, żyje tam co najmniej troje ludzi na tyle starych, że pamiętają statki peruwiańskich handlarzy niewolników. - Elsa nabija na widelec słodkiego ziemniaka i strąca go na metalowy talerz. - A Te Haha twierdzi, że jest tam człowiek, który potrafi się posługiwać pismem rongorongo.

- Trędowaci? Pisać?

- Cóż, muszę zobaczyć, prawda? Nie mogę przegapić czegoś, co może być okazją do rozmowy z jedynym żyjącym wyspiarzem, który potrafi je odczytać.

- Po wszystkich wywiadach, po dokładnym spisaniu miejscowego folkloru, Elsa czuje, że jest blisko, o krok od przynajmniej częściowego odczytania. - Zważywszy wiek paru osób, nie byłoby mądrze tego odkładać.

- Tak, masz rację, moja droga. Idź.

Alice przycupnęła na piasku obok skrzynki Edwarda.

- Masz rację, moja droga - powtarza. - Idź.

Edward gładzi ją po głowie, Alice się uśmiecha. Przed namiotem Alice Puszka Herbatników rozrzuca nogami piasek, sypiąc go do pieca Elsy.

- Przestań - mówi Alice. - Jest niegrzeczny. Widzisz? Jest nieznośny. Idź się pobawić z Budyniem.

Chłopiec jest niezadowolony, że Alice nie zwraca na niego uwagi. Nie pozwalają mu zbliżyć się do wykopu, a zamiast tego każą pilnować Budynia.

- Puszka Herbatników to jeszcze dziecko - powiedziała Alice - podczas gdy archeologia jest dla zawodowców. Zawodowcami są tylko dorośli.

Więc chłopiec się nudzi - a nawet, myśli Elsa, trochę złości. Nie chce teraz tańczyć wieczorami, niezależnie od tego, jak bardzo go proszą. Ale niczym zdecydowany wartownik pozostaje z nimi, siedzi skulony obok namiotu czy pod skałą, żuje herbatnika albo banana. Czasami rozwija portret, który narysowała mu Alice, .podsuwa jej pod nos, aby przypomnieć o dawnym uczuciu. Elsie żal chłopca; na pewno ma złamane serce.

- Może - zwraca się do niego - Puszka Herbatników zechce wybrać się ze mną.

- Doskonale. - Edward nie podnosi oczu. Jego ton brzmi obojętnie, a brak zainteresowania - ostatecznie trąd to choroba zakaźna - zaskakuje Elbę. Wie, że Edward ufa jej rozsądkowi, kiedy bierze na siebie ryzyko w imię badań, ale czy nie troszczy się o chłopca?

- Edward, dobrze się czujesz?

- Tak, doskonale.

Wykopaliska najwyraźniej odbierają mu resztki energii. Może jest za stary na to, na codzienne kopanie w słonecznym skwarze? Kiedy rozpoczynał prace w zimie, powietrze było rześkie, dni krótkie. Teraz na wyspie panuje wilgoć. Ale on się przecież nie poskarży, nie przyzna się po tak długim czasie, że może ta praca jest dla niego nazbyt wyczerpująca. Już nawet nie próbuje odzyskiwać w Hanga Roa straconych przedmiotów. Znikła para jego butów i kolejny z jej tomów Darwina, na co powiedział po prostu:

- To cykl nieskończony, Elso. Moglibyśmy nie robić nic innego, tylko szukać naszej własności. Skoncentrujmy wysiłki na badaniach.

- Więc dobrze - mówi Elsa, podając talerze Edwardowi, Alice i Puszcze Herbatników.

- Zastosujesz niezbędne środki ostrożności?

- Oczywiście.

- Żadnego kontaktu fizycznego. Żadnego kontaktu z przedmiotami, których dotykali.

- Zachowamy ostrożność - mówi Elsa. - On będzie dla odmiany moim asystentem. Ale nie pozwolę mu się zbliżyć do tych ludzi.

- Twoim asystentem - mruczy Alice. W jej głosie przebija jednak ostra nuta. Jakaś nowa irytacja. Brzmi to tak, jakby powstrzymywała złość, nie dopuszczała do wybuchu.

Czy Alice może się gniewać na biednego chłopca?

O wschodzie słońca wyruszają wzdłuż południowego wybrzeża na kucach. Elsa jak co dzień rano pocałowała Edwarda i Alice, obiecując wrócić w porze obiadu. To jej pierwsza wycieczka z samym chłopcem, więc patrzy, jak on kołysze się w siodle, gołymi nogami obejmuje konia, rękami ściska wodze. Bardzo się zmienił od tego pierwszego dnia, kiedy przyjechał za nimi z Hanga Roa - jego szyja, zawsze za cienka w stosunku do głowy, ostatnio, odkąd tak wyrósł, przypomina szyję żyrafy, ramiona się zaostrzyły, jak gdyby kości rosły zbyt szybko i rozpierały skórę, a w jego oczach pojawił się błysk powagi, coś, co Elsie wydaje się mądrością. Jest dzieckiem rozbrykanym, ale pod tą powłoką kryje się powaga. Jest też bystrym obserwatorem, małym i niemym świadkiem niewytłumaczalnego. Przychodzi jej do głowy, że widując go co

dzień, przeoczyła tę zmianę. Puszka Herbatników musi mieć teraz prawie jedenaście lat. Elsa mówi w języku Rapa Nui:

- Jesteś dobrym przyjacielem, poki. - Poki oznacza dziecko.

Chłopiec się śmieje. Zdaje się tryskać niezwykłą energią. Na kolanach trzyma kohau długości dwóch stóp, więc Elsa wciąż się odwraca, sprawdza, czy jej nie upuścił. To tym bardziej pobudza go do chichotu.

- Będziesz musiał się trzymać z daleka, wiesz - mówi Elsa. - Ludzie, których mamy odwiedzić, są zaraźliwi, aau, wiesz, maae, e? Papaku. I nie należy się do nich zbliżać. Dlatego kazali im mieszkać osobno. Rozumiesz? Nie dotykaj nikogo ani niczego, bo wykąpię cię w wiadrze boraksu. Beha! El - Kręci głową i wywala język jak ghul.

Chłopiec się uśmiecha, robi to bowiem zawsze, kiedy ktoś do niego mówi. W Elsie budzą się podejrzenia, że po angielsku rozumie prawie wszystko, zwłaszcza karcące uwagi. Tyle że z niewiadomych przyczyn nie chce mówić. Zupełnie jakby jego wewnętrzna inteligencja nie chciała się troszczyć o fasadę słów.

Tuż za Hanga Roa kierują się w głąb lądu i podążają zarośniętą ścieżką - kolonii nikt nie odwiedza. Na szczycie wzgórza stoi skupisko chatek. Panuje cisza. Elsa rozgląda się za skałą czy kawałkiem drewna, do którego mogłaby uwiązać kuce, lecz chłopiec już zeskoczył na ziemię i prowadzi swojego kuca do pobliskiego metalowego

słupka. Elsa idzie za nim. Kiedy wiąże sznur i zdmuchuje piasek z kohau, słyszy szybkie kłapanie stóp chłopca, biegnącego pod górę.

- Póki! Ka nono!

Chłopiec ogląda się do tyłu podniecony, niewinnie uśmiechnięty. Elsa gna za nim, ale dopada go już po tym, jak wrzucił kamień do jednej z chat. Elsa odciąga go do tyłu.

- He aha koe, póki! Musisz mnie słuchać!

Ale chłopiec nie przestaje się uśmiechać, uwalnia ramię z jej uścisku i wsadziwszy do ust dwa palce, gwizdże przeraźliwie.

- Poki!

Elsa już ma go ściągnąć ze wzgórza, kiedy odzywa się kobiecy głos:

- Luka!

Z zaciemnionego wejścia wyłania się koścista kobieta w męskiej marynarce i filcowym kapeluszu. Jej małe, przenikliwe oczka wpatrują się w Puskę Herbatników. Za nią pojawia się mężczyzna owinięty grubym wełnianym kocem, z gąszczem czarnych kosmyków na głowie. Kuszykając podchodzi do kobiety. Oboje stają przed swoją chatą, uśmiechnięci, przywarci bokiem do

boku, i każde z nich półkolistym mchem podnosi wolne ramię, aż jedno czubkami palców dotyka drugiego, a wtedy chłopiec, oddalony o kilka jardów, zaczyna wirować w zawrotnym tempie, szaleńczo podniecony, kiedy zaś tak się kręci, para zamyka oczy i zacieśnia uchwyt drżących rąk, urzeczona ścisaniem niewidzialnego najdroższego chłopca, który obraca się oszalały, czując miłość ich wyimaginowanych ramion.

Oczywiście, myśli Elsa. Oczywiście.

Maria i Ngaara Tepano wiedzą, kto zna rongorongo, i wskazują chatę położoną na drugim końcu kolonii. Prowadzą ją do tego mężczyzny, który na imię ma Kasimiro; Elsa z Puską Herbatników trzymają się parę kroków w tyle. Chłopiec chce chyba dać rodzicom do zrozumienia, że przyprowadził ją, Else, swoją nową przyjaciółkę, żeby poznała się ze wszystkimi. Pokazuje ją palcem, kiwa głową na znak aprobaty. Popisuje się nią.

Elsa patrzy na niego, na zaróżowione policzki, na roziskrzane oczy. Z dziwnym ukłuciem zazdrości uświadamia sobie, że chłopiec należy do innych, że zawsze chciał być tutaj, nie w obozie. Musi jednak odegrać rolę zadowolonej nauczycielki.

- Poki... ńva, ńva - krzyczy do jego rodziców. - Bystry. Zabawny. Bardzo pomocny w naszych badaniach.

Kilka jardów przed nią oboje odwracają się rozpromienieni. Po przybyciu do chaty Kasimira gestem nakazują jej zaczekać na dworze. Chwilę później wraca Maria.

- Masz tytoń? - pyta w Rapa Nui.

- Nie tutaj - odpowiada Elsa, zła na siebie, że zapomniała o obowiązującym na wyspie systemie dawania prezentów. Ten człowiek może dzierżyć klucz do wszystkich tabliczek, więc trzeba postępować ostrożnie. - Ale mogę mieć. Mogłabym przynieść kiedy indziej.

Maria znów znika w chacie, po czym wychodzi, razem z Ngaarą prowadząc Kasimira. Jego jedna noga, chudsza od drugiej, dynda bezwładnie, kiedy pomagają mu posuwać się do przodu. Maria bierze wełniany pled Ngaary i rozpościera na trawie. Kasimiro, obejmując szyję Ngaary, pozwala zwiotczącej nodze opaść na koc, po czym kończyny układa wokół niej. Skórę ma ciemnobrązową, obwisłą. Czaszkę porośniętą pasemkami siwych włosów. Podnosi wzrok na Else, widzi tabliczkę w ręce chłopca.

- Ach! Rongorongo. Naturalnie, naturalnie. Chcesz to przeczytać. Nic prostszego. Ale mam do opowiedzenia historie, wiesz. Dobre historie. - Dramatycznie mruga okiem. - Miałem dwie żony i obie próbowały mnie zabić!
- Maria i Ngaara kiwają głowami. Nie ulega wątpliwości, że tę historię słyszeli

wiele razy. Siadają z obu stron Kasimira, krzyżują nogi i kładą dłonie na ziemi. Ich ruchy zdradzają jednomyślność, symetrię, jak gdyby, tak długo żyjąc razem w odosobnieniu, stopili się w jedną istotę.

Kasimiro podejmuje opowieść:

- Najpierw każda próbowała mnie dopaść z osobna, a później obie razem. Ale je przechytryłem!

Elsa trzyma się w odległości kilku kroków od koca. Nie jest pewna, jak sobie z tym poradzi. Jeśli da tabliczkę do przetłumaczenia, niebezpiecznie będzie znów wziąć ją do ręki. A jeśli Kasimiro nie potrafi jej naprawdę przetłumaczyć? Elsa nie może sobie pozwolić na poświęcenie tej kohau szarlatanowi. Może dałoby się ją przed nim trzymać.

Kasimiro spogląda na Elbę.

- Nie chcesz słuchać historii? - Zanim ona zdąży odpowiedzieć, jego ręce już wzlatają w powietrze. - Ach! Doskonale! Luka potrzymano kohau tam, ty dasz mi papier i pióro do pisania, a sama staniesz tam, nade mną, i będziesz przepisywać to, co ja napiszę. Tak? Znakomicie. Bardzo uważaj, żeby mnie nie dotknąć.

- Ja tylko... - Na twarz Elsy wypływa rumieniec.

- Mdtake - oświadcza Kasimiro - rwa, riva. - Obdarza ją szerokim, krzywym uśmiechem. Strach jest dobry.

Elsa daje chłopcu znak, żeby potrzymano kohau. Wyciąga z torby kilka kartek papieru, podsuwa je Kasimirowi, potem pióro i możliwie najostrożniej podaje mu buteleczkę z atramentem. Kiedy to robi, dostrzega jego powykęcane, podkurczone palce. Wzdryga się, ale chyba nic w jej ruchach go nie denerwuje ani nie dziwi.

Kasimiro znów się uśmiecha.

- Jak długo tu jesteś, Kasimiro?

- Dziesięć lat. Dziesięć lat z tymi wariatami.

Gestem wskazuje na oboje Tepano, ci zaś uśmiechają się równocześnie. Zaczyna gryzmolić, a Elsa wyteża wzrok z odległości paru stóp. Kilkanaście osób wychodzi z sąsiednich chat. Rozkładają w pobliżu koce, aby ich obserwować. Nogi mają poznaczone bąblami; pod spletanymi brązowymi włosami jak strąki jednej z kobiet zapadł się nos.

Elsa zaczyna pisać. W miarę jak bazgrze Kasimiro, bazgrze i ona. He ngae-ngaie te tumu i te tokerau: Drzewa kołyszą się na wietrze. Po kilku minutach Kasimiro mówi do chłopca - Harui - ten zaś

obraca tabliczkę do góry nogami. Kasimiro gryzmoli dalej. E ai no a te tumu toe: Czy zostały jeszcze jakieś drzewa? Co parę minut powtarza polecenie

harui, po czym znów wpada w trans pisania. Ko ngaro'a ona eaue tu'u ro mai tepahi: Słyszałem, że przypłynię łódź.

Nagle Elsa wygrzebuje z zakamarków pamięci zapomniane słowo: bustrofedon, pismo, w którym wiersze na przemian biegną w odwrotnym kierunku. Czy takie może być rongorongo?

Kasimiro gorączkowo bazgrze dalej, przerywając tylko po to, aby popatrzeć na tabliczkę albo stłumić uporczywy kaszel. Jest pierwszym wyspiarzem, który sugeruje określony sposób odczytywania kohau. Po niespełna godzinie Elsa ma kopię jego tłumaczenia. Ale jej radość zamąca przekonanie, że trzeba sprawdzić, czy to, co zapisała, jest autentyczne.

- Zastanawiałam się, Kasimiro, czy mógłbyś mi też zrobić słownik. Z jednej strony znak rongorongo, z drugiej słowo w Rapa Nui.

Kasimiro spogląda na nią znużony południowym skwarem. Zakrzywionymi palcami drapie się po brodzie.

- To nie wystarczy? Nie jest dobre?

- Mamy dziesiątki kohau - mówi Elsa. - Za dużo, żeby wszystkie tu przywozić.

- Kch. - Kasimiro splota. - Musisz przynieść tutaj wszystkie, po kolei, do Kasimira. Usiądziemy z każdą. Tak, my wszyscy razem z naszą angielską przyjaciółką. - Błyska uśmiechem i machnięciem ramienia wskazuje swoich sąsiadów. - Będziemy mieć herbatę! Tak! I tytoń!

- Może uda mi się przywieźć jeszcze parę kohau. - Ale i tak najlepiej byłoby podjąć próbę znalezienia jakiegoś klucza. Nerozsądne wydaje się uzależnianie przekładu od jego zdrowia. Musi jednak obiecać kolejną wizytę - widzi błaganie w jego zapadniętych oczach. - Oczywiście wrócę. Choćby po to, żeby się przywitać.

Wzrok Kasimira zdradza podejrzliwość.

- Zrobię ci klucz, ale nie dzisiaj. Za gorąco. Przyjedź jutro. Wtedy zaczniemy.

- Doskonale - mówi Elsa. Cóż może poradzić? - Jutro.

Puszka Herbatników na odległość wykonuje mnóstwo pożegnalnych gestów, udając gospodarza tego niezwykłego przyjęcia. Wracają wzdłuż wybrzeża szybkim kłusem, a po drodze Elsa ocenia dokonane w tym dniu odkrycia. Wreszcie tłumaczenie - jeden krótki rozdział z historii wyspy. Historia samego łądu, drzew, ptaków i kwiatów. He ngae-ngae te tumu i te tokerau: Drzewa kołyszą się na wietrze. Hotu Matua znalazł wyspę ze snu Hau Maka, pokrytą bujną roślinnością, ale potem moai wydali ziemi wojnę - to coś w rodzaju zagadki. A dalszy ciąg ma nastąpić. Inne kohau muszą opowiedzieć inne

historie, ponieważ na nich kombinacja glifów jest inna. Jutro Elsa zacznie opracowywać klucz, po czym będzie mogła odczytać rongorongo - samo to wystarczy, żeby ich ekspedycja znalazła się na pierwszej stronie „Spectatora”. Samo to wystarczy na jej własną książkę! Nie. Odsuwa od siebie tę myśl. Za dużo jest pracy do wykonania, za dużo rzeczy do zweryfikowania. A jednak chce przynajmniej podzielić się nowiną z Edwardem. Oni będą na wykopie.

Wraz z Puską Herbatników Elsa kieruje się w głąb lądu, w stronę Rano Raraku. Słońce, stojące dokładnie nad ich głowami, nie przestaje prażyć. Już od paru tygodni nie była na stanowisku Edwarda, nie pozwalała sobie usiąść pośród moai i w wyobraźni odtwarzać ich przeszłości. Teraz, dzięki temu krótkiemu tłumaczeniu, zaczyna poznawać je lepiej. Domyśla się historii ich stworzenia, transportu czy nawet upadku. Nie może się już doczekać, kiedy powie Edwardowi, jaką głupotą było zastanawianie się nad sposobem przemieszczania posągów bez drewna. Tabliczka zawiera odpowiedź: na wyspie rosły drzewa.

Zbliżając się do kamieniołomu, Elsa słyszy z góry pisk Alice.

- Masz dość trudną dziewczynę - droczy się Elsa- z chłopcem, kiedy zatrzymują konie. Ale on z poważną miną patrzy na krawędź krateru.

Elsa wskazuje na skałę, do której mogą uwiązać kuce. Zaczyna się wspinać, kluczyć w labiryncie moai, a Puszka Herbatników niepewnie podąża za nią. Raptem Elsa słyszy ostry krzyk Edwarda, coś jak „nie”. Zbiera fałdy spódnicy i puszcza się biegiem. Wysoka trawa drapie ją po nogach, spod jej stóp usuwa się kilka kamieni, a po dotarciu na szczyt o mało nie zostaje przewrócona przez mknącą jak strzała Alice. Odzyskawszy równowagę, widzi w dole Edwarda, ramieniem wspartego o moai, dyszącego z wyczerpania.

- Skaleczyłeś się?

- Nic mi nie jest - odpowiada Edward. - Czuję się doskonale.

- Wyglądasz na zmęczonego! Biegłeś? Usiądź, Edward. O tej godzinie naprawdę powinieneś być w cieniu, wiesz o tym. Nie możesz tak sobie szkodzić. Tak się wysilać. To śmieszne. Mam trochę świeżej wody na dole, na koniu.

- Czuję się dobrze - mówi Edward i łapie oddech. Teraz Elsa spostrzega, że w kamieniołomie panuje cisza.

- Gdzie są robotnicy? Proszę cię, powiedz, że nie próbowałeś kopać sam.

- Wcześniej wrócili do Hanga Roa. - Edward przeszukuje oczami okolicę. Wzrok jego pada na Alice, teraz przykucniętą na krawędzi krateru. - Proszę - woła do niej.

- Alice nie powinna biegać o tej porze, dostanie udaru ciepłego. Wiesz o tym. Allie, chodź tu i usiądź, kochanie.

Alice kręci głową, mięśnie ramion ma napięte, a na jej czoło występuje rumieniec. - Allie?

Alice wstaje i zaczyna schodzić na dół po zewnętrznej stronie krateru, powłócząc nogami, rozsiewając szept i urywki zdań, które niczym płatki unoszone wiatrem przyplývają do Elsy. Beazley... pomagam... o nie, za dużo dla jednej Alice...

- Co takiego wytrąciło ją z równowagi?

- Skąd mam wiedzieć? Może ty ją nastraszyłaś? Mówiłaś, że spotkasz się z nami w...

- Dlaczego ucieka? Allie! I co, u licha, dzieje się z tobą, Edward? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Alice! - Elsa staje na krawędzi, spogląda w dół na siostrę. Alice jest prawie u podnóża wzniesienia, w miejscu, gdzie uwiązała swojego kuca. - Złapię ją. - Oszalałaś, Elsa? - pyta Edward, zaczerwieniony i zadziorny.

- Na litość boską, właśnie wracasz z kolonii trędowatych. Idź się zdezynfekować! - W jego głosie rozbrzmiewa wojownicza nuta.

- Idź! - mówi, po czym sam długimi krokami schodzi ze wzgórza za Alice, nie oglądając się do tyłu.

Rozdział osiemnasty

W maju 1968 roku Thomas i Greer spakowali się, opuścili mieszkanie w Madison oraz laboratorium, a pożegnawszy przyjaciół i kolegów, przenieśli się do Massachusetts. W Harvardzie Thomas dostał katedrę Asy Graya na wydziale biologii. Nadal jednak chciał mieć ten sam wykład wstępny co w Wisconsin, gdyż był głęboko przekonany o potrzebie i własnych wyjątkowych umiejętnościach wyzwalań studentów z naukowego romantyzmu. Nadal rozcinał część figowca-dusiciela w drugim tygodniu zajęć i prowadził wykład, który Greer mogła recytować przez sen. [Przyroda nie zawsze jest piękna...]. Wieść o Projekcie Magnolia rozeszła się po całym świecie, a Harvard dobrze płacił za naukową sławę Thomasa. Kupili dwupoziomowe mieszkanie w Cambridge, skąd do laboratorium szło się spacerkiem, i dom w Marblehead, gdzie spędzali weekendy, święta i letnie wakacje, ilekroć mogli. Prawdziwe urlopy miewali jednak rzadko. Praca stanowiła zbyt ważną część ich życia, toteż w suterenie urządzili prowizoryczne laboratorium, z lodówką, wirówką, mikroskopem i kwasami. Greer, która dostała tylko asystenturę techniczną, stwierdziła, że tam może wypełniać większość swych obowiązków. Wolą dom od zimnych sal uniwersyteckich i ciągłego szumu wokół nowego laboratorium Thomasa. Panie profesorze, bardzo bym chciał usłyszeć o konferencji w pięćdziesiątym trzecim, jak to było prowadzić pionierską pracę w tej dziedzinie! Panie profesorze, pamiętam, że czytałem o pańskiej pracy na studiach licencjackich.

Nigdy nie marzyłem, że pana poznam, a co dopiero, że będę u pana zatrudniony. Sława Thomasa budziła nerwową energię w laboratorium, świeżo upieczeni doktorzy i magistry współzawodniczyli o zdobycie jego uwagi. W niczym nie przypominało to koleżeńskiej atmosfery, panującej w Madison, więc gdy Thomas jechał do Cambridge, Greer często zostawała w Marblehead, żeby pracować.

Jo objęła posadę asystentki technicznej na uniwersytecie stanowym Minnesoty (To nie Kuba, napisała, ale przynajmniej jest daleko od Madison), natomiast Bruce Hodges przeniósł się z nimi na wschód i zainstalował jako profesor nadzwyczajny i współpracownik Thomasa w laboratorium. Bruce ogromnie się cieszył, że jest z powrotem na Harvardzie, gdzie zatrudniło się wielu jego dawnych przyjaciół.

Greer tęskniła za Jo i czasami odczuwała pustkę, spowodowaną jej zniknięciem. Na nowym wydziale miała niewielu przyjaciół. Nie było tam kobiet, mężczyźni zaś traktowali ją przede wszystkim jako łączniczkę między

nimi a Thomasem i liczyli na jej wstawiennictwo. Jediną kumpelkę znalazła w Constance McAllister, która odbywała studia podoktoranckie z biologii morskiej. Poznały się pewnego dnia w damskiej toalecie i zawarły miłą korytarzową przyjaźń, kilkakrotnie zrobiły sobie przerwę na wypicie kawy w holu i zostawiały sobie dowcipy, przyklepione do lustra w łazience: Jeśli nie jesteś częścią roztworu, jesteś częścią osadu albo: Ilu ewolucjonistów potrzeba do wkręcenia żarówki! Jednego, ale trwa to sześć milionów lat. Tyle że Constance mieszkała w Bostonie i większość wolnego czasu spędzała z matką i ekscentryczną ciotką, której imię nosiła. Bądź też znikwała w Woods Hole na całe tygodnie i niewiele dawała okazji do zacieśnienia więzów przyjaźni.

Greer była zadowolona, że przeważnie pracuje w Marblehead; miała swoje książki, swoje pyłki, swoje radio, kiedy zaś Thomas wracał z Cambridge, miała go wyłącznie dla siebie.

Tuż przed wyjazdem z Wisconsin ukończyła i obroniła pracę doktorską. Na wydziale, zgodnie z obietnicą, nie wspomniano o incydencie i mogła bez trudu zmienić temat na szerszy: geografia roślin na odizolowanych kontynentach. Jeśli chciała zdobyć stopień naukowy, nie miała wyboru. Kłopot był tylko z Jo, która przeczytała artykuł Thomasa w parę godzin po posiedzeniu komisji. Kiedy tego wieczora spotkały się na obiedzie w ogródku przy restauracji na State Street, Jo wpatrzyła się w Greer nad kraciastym biało-czerwonym obrusem i stukając widelcem, czekała, aż ta się odezwie.

- Słuchaj, wypada, żebym tobie pierwszej pozwoliła powiedzieć, co o tym sądzisz - przemówiła Jo. - Ale jeśli prędko czegoś nie powiesz, będę zmuszona wyrazić swoją opinię.

Greer zaczerpnęła tchu.

- Nie wiem, co myśleć.

- Więc dobrze. - Jo odłożyła widelec. - Chcesz wiedzieć, co ja myślę? Pozwalasz mi mówić bez ogródek?

- Zawsze możesz mówić bez ogródek, Jo.

- W takim razie bądź przygotowana, że powiem coś niemiłego. Rozumiesz pewnie, że twój słodki stary mężulek, twój najdroższy Chlebowiec na Katedrze, wykorzystał twoją pracę i opublikował ją pod własnym nazwiskiem w czasopiśmie o zasięgu krajowym. Przekreślił twoją rozprawę doktorską, poniżył cię w oczach twoich kolegów, zmuszał cię, żebyś nienagannie wykonywała za niego czarną robotę przez pięć lat, a sam latał po całym kraju i odstawiał wielkiego uczonego.

Greer zapanowała nad drżeniem rąk, leżących na stole.

- Nikt na jego stanowisku nie wykonuje czarnej roboty. Wszyscy mają w laboratoriach asystentów. - Wiedziała, że brzmi to jak obrona.

- Nie wszyscy mają w laboratoriach ciebie jako asystentkę. Nie dla wszystkich pracujesz. Jezu, Greer. Proszę, powiedz mi, że jesteś zła, że jesteś cholernie wkurzona, bo inaczej... będę musiała cię uderzyć.

Ale w gniewie Jo było coś dobrego. Im bardziej ona się wściekała, tym bardziej panowała nad sobą Greer.

- Jestem zdenerwowana - powiedziała.

- Zdenerwowana? - Jo z desperacją potoczyła wzrokiem po sąsiednich stolikach. - Dajcie mi soli trzeźwiących. Ty - uniosła brwi - nie zdajesz sobie sprawy.

- To nie takie proste, jak sądzisz. Zastanawiam się nad tym od wielu godzin. To skomplikowane.

- Więc jestem głupia. Nie widzę żadnych komplikacji.

- Jo, pracowaliśmy razem z Thomasem przez pięć lat. Ja przez pięć lat zbierałam dane dla niego, w j e g o laboratorium. Wykorzystałam te dane w mojej rozprawie, te same dane, które - o czym wiedziałam - on wykorzystywał. Powinnam być świadoma.

- Dane nie są ważne. Chodzi o analizę. O równanie. To nie jest wspólną własnością.

- Wiem. Ale rozmawialiśmy o tych rzeczach. O rozprzestrzenianiu przez wodę. O progach populacji magnolii, populacji chrząszczy, o upływie czasu. O tym wszystkim.

- Więc rozmawiałas z nim o swojej dysertacji?

- Chodzi o to, że trudno jest powiedzieć, co było moje, a co jego. On miał pomysły, ja miałam pomysły, rozmawialiśmy o nich. Na litość boską, prosił mnie o przeczytanie jego artykułu. Skąd mam wiedzieć, kto od kogo zapożyczył?

- Naprawdę zadajesz sobie to pytanie?

Greer nagle poczuła się zmęczona. Wyczerpała swój niewielki zasób argumentów i najwyraźniej nie potrafiła udobruchać Jo. Teraz żałowała, że Jo nie była świadkiem jej rozmów z Thomasem. Zrozumiałaby, dlaczego to nie takie łatwe. Greer zastanawiała się, czy najzwyczajniej nie poprosić Jo, żeby jej dała spokój, wiedziała jednak, iż to zostanie potraktowane jak przyznanie się do winy. W końcu powiedziała:

- Tak, naprawdę zadaję sobie to pytanie.

- Przykro mi, ale chyba utonęłaś w bagnie zaprzeczeń.

- Na pewno ty to tak widzisz.

- Zapominasz, że pracuję w tym laboratorium, że znam badania Thomasa i że czytałam twoją rozprawę. Powiem ci tylko, że śmiało możesz wszystkiemu zaprzeczać, ale wiem, że ja nie zamierzam milczeć.

- Jo, muszę załatwić to sama.

- Ale nie załatwiasz.

- Jo, nie było cię tam. Nie było cię tam, kiedy rozmawialiśmy. Wiem, że próbujesz mnie osłaniać, ale ty... - Greer popatrzyła na Jo, pochyloną w jej stronę nad stolikiem, z czerwonymi oczami. Co takiego wyrażała jej twarz? Greer nie chciała się zbliżyć do czegoś, od czego nigdy nie będzie mogła uciec, ale czyż Jo stale nie czekała na spotkanie Thomasa? Nigdy go nie lubiła, nie chciała lubić. - Jo, jesteś w tej sprawie stronnicza.

- Więc niech zadecyduje komisja. Niech obiektywna grupa osób postronnych oceni sytuację.

Na to Greer gwałtownym ruchem podniosła ręce i przewróciła kieliszek z wodą.

- Co za obiektywna grupa osób postronnych? Profesor Jenks? Czy już nie jest dla ciebie całkiem jasne, że przez milion lat nikt nie uwierzy, iż Thomas zapożyczył ode mnie choćby znak przestankowy? - Nie podniosła przewróconego kieliszka, więc woda rozlewała się po stoliku, skapywała na jej kolana. - Nikt ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że to ja wykorzystałam jego pomysły.

- Co nie oznacza, że ty nie powinnaś mieć wątpliwości. Albo pewności. Jezu, Greer.

W tym momencie zjawił się kelner, powoli i ostrożnie, na pewno świadomy, że wdały się w burzliwą dyskusję. Cicho postawił kieliszek Greer i grubym ręcznikiem wytarł stolik. Zapytał, czy już się zdecydowały, co zamówią na obiad.

- Lasagne - powiedziała Greer, nie podnosząc oczu.

- To samo - powiedziała Jo. - I butelkę czerwonego wina.

- Mamy chianti...

- Wszystko jedno - odparła Greer. Rozłożyła serwetkę i usiłowała się osuszyć. Tarła spódnice i ręce, zadowolona, że ma zajęcie, próbując unikać wzroku Jo.

- Wiesz, że dziś powinniśmy urządzać oblewanie. - Głos Jo brzmiał tak, jakby dolatywał z oddali, jakby przedzierał się przez płataninę linii telefonicznych. - Powinniśmy zamawiać szampana. Zasługujesz na szampana, Greer. Najlepszego szampana na świecie. Naprawdę. - Greer upuściła serwetkę i podniosła wzrok. Jo nie odrywała załzawionych oczu od obrusa. - Pieprzyć to.

- Proszę cię, Jo, przestań.

- Przepraszam. - Jo niedbale otarła oczy wierzchem dłoni. - Ty po prostu nie wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy. Jak mnie to dobija.

- Wiem - powiedziała Greer. I dorzuciła niepewnie: - Chyba wiem, co czujesz.

- Naprawdę? - zdziwiła się Jo. - Naprawdę wiesz?

- Wiem, Jo. Chyba zawsze wiedziałam. Ale...

- Kochasz mężczyznę, który kradnie ci pracę doktorską. A tu jestem ja, gotowa zrobić dla ciebie wszystko, i... cóż za pieprzony świat.

- On nie dokonał plagiatu, Jo. Musisz zrozumieć. - Dobrze jej zrobiło wypowiedzenie tych słów. Uspokoilo ją. - Nie dokonał plagiatu.

Jo pokręciła głową.

- Chcę tylko wiedzieć, co mu powiesz, jak wróci. „Gratuluje artykułu, skarbie”? Taak. Gratulacje - wykrztusiła. - Pozwól, że serdecznie cię ucałuję.

- Jo.

- Daj mi się zastanowić, czy nie mam ci do ofiarowania jeszcze pięciu lat życia i pracy, żeby twoje nazwisko mogło się pojawić w „Nature”. - Jo, zapatrzona w dal, mówiła teraz do siebie.

- Przestań, Jo. Ja nie...

- Bo zrobię wszystko, o co poprosi mój mąż? Bo jestem tylko głupią kobietką?

- Jo! - nieomal wrzasnęła Greer.

Ludzie przy sąsiednich stolikach obrócili się, aby popatrzeć na dwie kobiety, odświętnie ubrane, a pod wpływem złości wyglądające niechlujnie.

Jo wstała.

- Przepraszam, Greer. W tej chwili nie mogę ci pomóc. Pójdę już.

- Musisz mi zaufać.

- Wiem.

- Porozmawiam z nim.

- Dobrze. - Jo poskładała serwetkę na coraz mniejsze kwadraciki i porządnie ułożyła na stole. Wyprostowała widelec, przesunęła kieliszek z wodą tam, gdzie stał poprzednio, i wepchnęła swoje krzesło pod stół. Następnie spojrzała na miejsce, gdzie dotąd siedziała, i wolno pokiwała głową, jak gdyby zadowolona albo zasmucona, że tak łatwo zdołała zatrzeć po sobie wszelkie ślady. W niebieskim świetle latarni ulicznej wydawała się bledsza niż zwykle, prawie chora. - Lepiej by ci było z Castro - powiedziała.

Greer nie mogła na nią patrzeć.

- Wybrałabym się z tobą na Kubę. - Chciała, żeby jej słowa zabrzmiały słodko, lecz wiedziała, że brzmią jak pożegnanie. - Jo. - Zupełnie jakby wołała za statkiem na horyzoncie, tak oddalonym, że wystarczał szept.

Wtedy Jo odwróciła się i wolno odeszła ulicą, a Greer obserwowała swoją najlepszą przyjaciółkę, znikającą w morzu obcych ludzi.

Prawda była taka, że Greer nie do końca wierzyła we wszystko, co powiedziała Jo. Właściwie nie próbowała kłamać, lecz potrzebowała wystąpić w roli adwokata diabła i zobaczyć, jak dobrze wiecie się diabłu. Posiedzenie komisji nadal wydawało się koszmarnym snem i czekała, aż się z niego zbudzi. Jeszcze raz przeczytała swoją pracę, jeszcze raz przeczytała artykuł Thomasa, wędrowała po laboratorium, odtwarzając w myślach ich rozmowy - zbyt liczne, aby się nie poplątały - i na koniec doszła tylko do takiego wniosku: Thomas nie mógł ukraść jej równania. Nie proponowałby, żeby przeczytała jego artykuł, gdyby cokolwiek ukrywał. Cała rzecz to po prostu straszny zbieg okoliczności.

- Boże wielki, Lily. Nie mogę uwierzyć, że Jenks to powiedział, że dał to do zrozumienia. Zaraz do niego zadzwonię.

- Thomas, rozmowa z nim nic nie da. Nie chcę, żeby odwołał swoje słowa. Jest całkiem jasne, co sądzi Jenks i wszyscy członkowie komisji, niezależnie od tego, czy ich zmusisz do zmiany stanowiska.

Wrócił ze swojej konferencji w Harvardzie, zaniósł walizkę do sypialni i natychmiast wyjął z lodówki butelkę szampana.

- Tylko najlepszy, poddany dwukrotnej fermentacji, musujący trunek z dwutlenkiem węgla dla mojej żony.

Greer wzięła z jego rąk butelkę, położyła ją na kanapie i opowiedziała mu o posiedzeniu komisji. Teraz Thomas przemierzał salon tam i z powrotem.

- Widać nie rozumieją, co się dzieje, kiedy dwoje ludzi posługuje się w pracy tymi samymi danymi. Liczba dróg, którymi może podążać ludzki umysł, jest ograniczona.

- Czy właśnie to się stało?

- Na litość boską, ufam ci, Lily.

- Czy oto chodzi?

- Wiem, że nigdy z rozmysłem nie zapożyczyłabyś mojej ani niczyjej pracy. To chcę powiedzieć Jenksowi.

- Nie o to pytam. Przystanął.

- Więc o co?

- A jak ci się zdaje, Thomas? - Przecwiczyla to tysiąc razy. Zachowaj spokój, mówiła sobie, nie oskarżaj. Oczywiście nie ukraść jej pracy;

potrzebowała jednak jakiegoś wyjaśnienia. Słowa wolno wydobywały się z jej ust.

- Wiesz, że czytałeś moją pracę.

- O Jezusie, Lily! Nawet przez chwilę nie myślisz... Porozmawiaj z Bruce'em, zajrzyj do moich notatników! Bawiliśmy się równaniami ponad rok, na długo przedtem, zanim choćby spojrziałem na twoją pracę.

- Znakomicie - powiedziała Greer. - Porozmawiam z Bruce'em Problem - dramatycznie uniosła do góry ręce - został rozwiązany!

- Lily, nie odbiegajmy od tematu.

- Więc dobrze, nie odbiegajmy. - Zwróciła się do niego twarzą. - Pracowałeś nad równaniami rozproszenia, zanim ci powiedziałam, czym ja się zajmuję?

- Lily, nie pamiętasz? To ja powiedziałem tobie, na co masz patrzeć. A byłem i nadal jestem twoim nauczycielem, na litość boską. Twoim promotorem. Sama dokonałaś wyboru. Przyszłaś do mnie, potrzebowałaś kogoś, kto tobą pokieruje, i ja to zrobiłem.

- Ja nie potrzebowałam, żeby ktoś mną pokierował, Thomas. Zwróciłam się do ciebie nie jako do nauczyciela czy kolegi, ale jako do męża, żeby moją pracą podzielić się z tobą.

- Twoją pracą? - Słowa zostały wymówione głosem zbyt wysokim i każde zabrzmiało jak dzwon pogardy. - Lily, bardzo cię kocham, wiesz o tym, ale proszę. Projekt Magnolia był i jest mój. I z największą przyjemnością miałem cię w laboratorium, ale to właściwie nie jest twoja praca.

Więc dlaczego ona pracowała dłużej i ciężiej niż on, niż Bruce, żeby osiągnąć rezultaty?

- Nie potrafię ci uwierzyć.

- Lily, mówię prawdę. Na tyle cię szanuję, że jestem z tobą szczery. Chcesz, żebym ci ustąpił? Chcesz, żebym przyznał i udawał, że masz własny projekt? Własne laboratorium?

Słyszała, jak przybiera ten ton w rozmowie z kolegami, na konferencjach, ale nigdy w stosunku do niej. Była wstrząśnięta.

- Jestem pieprzoną doktorantką, Thomas. Nie należy mi się własne laboratorium. - Do tej chwili, kiedy zatrzęsła się z wściekłości, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie i od początku pragnęła jego aprobaty. - Ale tak, mam własną pracę. Albo miałabym, gdybym nie spędzała aż tyle cholernego czasu na upewnianiu się, że nikt na świecie nie znajdzie ziarna pyłku wcześniejszego niż twój.

- Lily. - Teraz podszedł do niej, położył rękę na jej głowie.

- Co? - warknęła.

- Lily, proszę cię. Wmówiłaś sobie, że nie wiem, ile wykonałaś pracy, albo że tego nie doceniam, i tu się mylisz. Doceniam to, co zrobiłaś. Ale, co ważniejsze od tego, od laboratorium i danych, ja cię kocham. Jesteś moją żoną, moją rodziną. Jesteś jedynym życiem, jakie mam czy kiedykolwiek miałem. Nie możesz o tym zapominać. Wiesz, co to dla mnie znaczy.

No, proszę. Wreszcie. Te słowa brzmiały jak zaklęcie, jak odwieczna melorecytacja, która zawsze będzie kłaść kres choćby najdłuższemu napadowi jej gniewu.

- Ty też jesteś moim życiem, Thomas. I dlatego taka rzecz to nie tylko zawodowy koszmar. - Poczuli, że się odpręża. Odbyli długą drogę do wściekłości i teraz wracali do domu, do dobroci. - To usunięcie się gruntu spod nóg.

- Słuchaj. To się załatwi. - Usiadł przy niej i wziął ją w ramiona. - Zajmiemy się tym. - Zaczął ją kołysać. - Wszystko będzie dobrze.

- Po prostu nie rozumiem, jak mogłeś nie przewidzieć, że do tego dojdzie. Czytałeś moją pracę.

- Byłem w tym czasie zajęty.

Może ona po prostu wariuje. Roztarła twarz i usiłowała ożywić jakieś wspomnienie o sobie. Czy jednak była złodziejką? Czy mogła tak bardzo ulec urokowi jego pracy, jego pomysłów, że przeniknęły do jej własnych?

Głębiej zapadła się w kanapę, w miękkie poduszki; czuła, że mogłaby tam pozostać na zawsze.

- Nie mogę uwierzyć, że to się stało. Nie mogę uwierzyć, że będę musiała chodzić po tych korytarzach, mijać ludzi, którzy uważają mnie za plagiatorkę. - Zamknęła oczy.

- Cóż, nie musisz chodzić po tych korytarzach, jeśli nie chcesz. Popatrzyła na niego ze znużeniem.

- Harvard - powiedział. - Zaproponowali mi katedrę.

Zimą 1969 roku, w Harvardzie, Thomas uznał, że zgromadził dostatecznie dużo dowodów, aby oficjalnie ogłosić nowe odkrycie. Po zbadaniu ponad pięciuset łupków ilastych, węgla i piaskowców z całego świata stwierdził, że najwcześniejszym pyłkiem rośliny okrytozalążkowej jest niezmiennie pyłek magnolii z okresu kredy. Zespół laboratoryjny zgromadził dane z ostatnich siedmiu lat i Thomas je opublikował: jego zdaniem magnolie były najpierwszymi kwiatami.

Ale mniej więcej w tym samym czasie kilku innych naukowców włączyło się do poszukiwań wczesnych roślin okrytozalążkowych. Botanik z Uniwersytetu Kalifornijskiego i geolog z Oksfordu zajęli się dawnymi

magnoliami i posunęli badania Thomasa o krok dalej. Zgodzili się z jego odkryciem, że rodzina magnolii jest pierwsza. Zadali jednak nowe pytanie: Który gatunek magnolii pojawił się pierwszy, kiedy i gdzie? Dwa nazwiska - Geralda Becketta Lewisa i Jonathana Cartwrighta - pojawiały się w niemal każdej wzmiance prasowej o odkryciu Thomasa. Jeśli zamieszczano gdzieś zdjęcie Thomasa, to ich także. Bo media zadawały własne pytanie: który z tych ludzi znajdzie pierwszy kwiat?

Zanim Thomas mógł oficjalnie zaprezentować swój artykuł, rozpoczęło się polowanie na najstarszą próbkę pyłku magnolii. Zawsze podejrzewał, że pyłek rośliny okrytozalążkowej może być w skałach wczesnokredowych czy też sprzed okresu kredy, ale teraz należało ten pyłek znaleźć. Wysiłki laboratorium szły w tym kierunku. Przez pół roku cały zespół badał nawet starsze skały z Ameryki Północnej, lecz na próżno.

A potem, w listopadzie 1970 roku, sytuacja się pogorszyła: Bruce Hodges poleciał do Londynu, skąd wrócił z wiadomością, że Jonathan Cartwright znalazł podobno gatunek sprzed okresu kredy i ma nadzieję opublikować odkrycie na wiosnę. Thomas wpadł w panikę, laboratorium wpadło w panikę. Zaangażowano jeszcze trzech doktorantów do analizowania danych. Za ostatnie pieniądze z grantu na projekt wysłano doktorów Larsa Van Deleka i Prestona Brooksa do Europy po próbki skał z okresu wcześniejszego niż kreda.

Mimo pojawienia się nowych badaczy, mimo zapału, z jakim prowadzili poszukiwania, w laboratorium zapanowała atmosfera dziwnej nudy. Im więcej było ludzi, im więcej próbek, tym mniej entuzjazmu. Greer przypominało to pracę przy taśmie produkcyjnej. Wielogodzinne czyszczenie i analizowanie każdej próbki, aby zadać proste pytanie: tak czy nie? Czy jest tu pyłek rośliny okrytozalążkowej? Naturalnie odpowiedź zawsze brzmiała: nie. Niczego się nie dowiedziano, żadnych założeń nie przedefiniowano. Dalej do następnej próbki.

Thomas już nie przystawał, aby popatrzeć w jej mikroskop. Nie było spacerów w cieplarni. Lunch jadała sama albo z Constance McAllister, jeśli ta była na miejscu, ponieważ Thomas zbyt często się zadreślał, aby pozwolić sobie na więcej niż dziesięć minut przerwy.

Greer próbowała trzymać się od tego wszystkiego z daleka, więc wróciła do laboratorium w Marblehead i własnych badań. Nie robiło jej różnicy, czy jej pyłek jest stary, czy najstarszy. Interesowało ją, jak pyłek się porusza, dlaczego to robi i jak pęd do życia przejawia się w przyrodzie. Ponieważ zaś wydział na Harvardzie nie stwarzał jej możliwości awansu - dla kobiet kończyły się one na asystenturze technicznej - czuła, że ma prawo trochę mniej dawać z siebie Harvardowi i Thomasowi.

Wykorzystała restrykcje, stosowane na Harvardzie wobec kobiet, żeby usprawiedliwić swój odwrót. Nie mogła przecież powiedzieć Thomasowi, że projekt ją nudzi albo że gorączkowa atmosfera w laboratorium pozostawia skazę na wszystkich, z nim włącznie.

- Lii, kobietom nadal nie wolno nawet posługiwać się teleskopami na Mount Wilson i Palomar - przypomniał jej. - Botanika o wiele lat wyprzedza inne nauki. Masz cały sprzęt potrzebny ci do pracy. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, powiedz mi, a ja to dla ciebie zdobędę. Każdą rzecz. Nikt nie zabrania ci robić tego, co lubisz.

Wiedziała, że ludzie będą gadali. Będą narzekali na jej „wyjątkową” pozycję w laboratorium, ale przestało jej na tym zależeć. Jeśli ma nigdy nie zostać profesorem zwyczajnym czy choćby nadzwyczajnym, dlaczego ma nie być trzymającą się na uboczu żoną słynnego Thomasa Farradaya? Znaczenie miało wyłącznie to, że może się zajmować nauką.

Zainteresowała ją biogeografia wyspowa, nowa teoria przedstawiona w monografii Roberta MacArthura i Edwarda Wilsona z 1967 roku. W przedmowie do książki stwierdzali oni coś, co Greer wydawało się niepodważalną prawdą: Dzięki samej swej mnogości i różnorodności kształtów, rozmiarów, stopnia odizolowania i ekologii wyspy dostarczają w przyrodniczych „eksperymentach” niezbędnych replikacji, dzięki którym można sprawdzać hipotezy dotyczące ewolucji.

W roku 1963 u wybrzeży Islandii, w następstwie głębinowej erupcji wulkanicznej, powstała wyspa Surtsey. Kiedy przestał płynąć strumień lawy, wyruszyła tam w sześćdziesiątym ósmym wstępna ekspedycja, a Greer, pakując się w Wisconsin i rozpakowując w Massachusetts, niecierpliwie wyczekiwała wiadomości z Surtsey. Wreszcie zespół napisał sprawozdanie, w którym udokumentował występowanie na wyspie mchów, porostów i czterech innych gatunków roślin. Ale flora była jeszcze młoda i w kręgach naukowych mówiło się o kolejnej ekspedycji, co bardzo interesowało Greer. Badanie nowo powstałej wyspy byłoby idealne. Wszak Krakatoa okazał się dla dziewiętnastowiecznych botaników nieoceniony. Tyle że na Surtsey trudno było dotrzeć, a badania zależały od oficjalnego, zorganizowanego zespołu. Będzie musiała poczekać. Aż tu pewnego rana zobaczyła w dziale podróży ogłoszenie o lotach Lan Chile na Wyspę Wielkanocną. To wydawało się idealne.

- Co wiesz o Wyspie Wielkanocnej, Thomas?

- Duże posągi - odparł nieco roztargniony. Po raz drugi czytał czasopismo z artykułem Jonathana Cartwrighta. Odgryzł duży kęs grzanki, odwrócił kartkę. -

Przypuszczalnie złożone na wyspie przez przybyszów. Mówi się, że mogłaby być nawet zaginionym kontynentem Atlantydy. Jak widzisz, wylegarnia teorii naukowych.

- Teraz można tam polecieć. Z Santiago.

- To daleko.

- Jakieś dwa i pół tysiąca mil od Santiago. Ale to właśnie uważam za interesujące. Odległość. Miejsce idealnie nadawałoby się do badania flory.

- Owszem - odparł, choć najwyraźniej zaprzątnięty czymś innym. Z chwilą gdy dotarła do niego wiadomość o pyłku Jonathana Cartwrighta, odwołał większość wyjazdów i sympozjów i odtąd cały czas spędzał w laboratorium. Po odejściu jednego z nowych doktorantów, który zdecydował się na innego promotora, napięcie Thomasa jeszcze bardziej wzrosło. - Co, on uważa, że tego nie znajdziemy? - grzmiał któregoś dnia przez telefon. - Nie rezygnuje się z takiej okazji. Przecież to ja właściwie stworzyłem tę cholerną dziedzinę nauki! - Niemal przez cały tydzień Thomas przebywał teraz w Cambridge, a w tych rzadkich wypadkach, kiedy przyjeżdżał na noc do Marblehead, jeśli w ogóle się kochali, robili to pośpiesznie i machinalnie, - potem szybko wkładał szlafrok i wracał do biurka, do przeglądania danych z laboratorium. Od ponad miesiąca spędzał pierwszą niedzielę w domu.

- Wyspa Wielkanocna doskonale nadawałaby się do prac w terenie - powiedziała Greer.

- Na pewno.

- Ale byłyby drogie. Thomas odłożył czasopismo.

- Przecież nie myślisz o tym poważnie?

- Oczywiście że tak. Biogeografia wyspowa? Wyspa Wielkanocna? To wszystko, nad czym pracowałam w związku z rozprzestrzenianiem przez wodę.

Wyglądało na to, że Thomas rozważa sprawę.

- No, więc kiedy chciałabyś wyruszyć?

- Tak daleko nie wybiegałam myślą.

- Według mnie pomysł jest dobry. Idealny teren do badań. I nikt nie ma wyższych od ciebie kwalifikacji; nikt nie potrafiłby lepiej wykonać pracy. - Urwał. - Ale czy to najlepszy moment?

- Pytasz z uwagi na pogodę o tej porze roku? Niepokoje polityczne, których nie ma? Czy swoją pracę?

- Jesteś na mnie zła?

- Prawie nigdy cię nie widuję, więc to właściwie nie złość. Chyba frustracja. I chcę usłyszeć jedno wyjaśnienie. Masz nadzieję, że się nie ruszę, nie z uwagi na moje towarzystwo, lecz na swoją pracę, prawda? Na magnolię.

Laboratorium. Thomas, jeśli mnie tam potrzebujesz, jeśli chcesz mnie tam mieć, po prostu powiedz. Na Boga, powiedz cokolwiek, żebyśmy mogli normalnie porozmawiać, bez porozkładanych przed nami książek i szkiełek.

- Zawsze cię tam potrzebuję, Lily. Jesteś moją najlepszą badaczką.

- Nie powiedz tego Bruce'owi.

- Już mu powiedziałem i wiesz co? Ani trochę mu się to nie podobało. Jest zły, ale niech sam sobie z tym radzi. Lii, są w życiu szare strefy. Złożoności. Czy Bruce jest pierwszy w laboratorium? Tak. Czy jest najlepszy? Nie. Czy to sprawiedliwe? Nie. Czy to moja wina? Nie. I nie możesz mnie czynić osobiście odpowiedzialnym za społeczny system dyskryminacji kobiet.

- Czynię cię odpowiedzialnym tylko za wybory, jakich dokonujesz.

- Dokonuje ich Harvard. Lii, nie żyjemy na idealnym świecie, ale on się poprawia. Czemu nie skupisz się raczej na okazjach, jakie masz, niż na ich braku?

Była to prawda. Jej skarga, jego wyczerpanie - odczytywali stary scenariusz i oboje znali jego zakończenie. Tym razem jednak miała kartę przetargową i zamierzała się nią posłużyć.

- Prosta propozycja, Thomas. Jeśli wykonam pracę, jeśli wykonam jej więcej, a wiesz, że tak będzie, chcę, żeby moje nazwisko jako współautorki figurowało obok nazwiska Bruce'a. To wszystko. Jesteś na wydziale ważniakiem; użyj swoich wpływów.

- Lily, nigdy nie próbowałem ci przeszkadzać. Zawsze byłem twoim największym poplecznikiem.

- Nie potrzebuję twojego poplecznictwa. Po prostu chcę mieć dowód uznania na papierze. Coś, z czym będę się mogła starać o granty dla siebie, wykonywać własną pracę. Umowa stoi?

- Umowa? - powiedział Thomas. - Po prostu musimy znaleźć ziarno pyłku rośliny okrytozalążkowej sprzed okresu kredy.

- O Boże, Thomas, my naprawdę mówimy o całkiem różnych rzeczach.

- Nawet gorzej. W ogóle się nie rozumiemy.

- Po prostu chcę ci powiedzieć, że uważam twoją pracę za ważną, obojętne, kto na świecie znajdzie najstarsze ziarno pyłku rośliny kwiatowej. Ten projekt jest za wielki, ma zbyt duże znaczenie, aby sprowadzać go do jakiejś drobiazgowej interpretacji datowania argonowego.

- Niestety pozostała część społeczności naukowej tak nie uważa.

- Wiem. - Greer położyła dłoń na jego ręce. - Posłuchaj. Nic się nie martw. Znajdziemy je.

Tak więc na razie nie zrealizowało się jej marzenie o Wyspie Wielkanocnej i wróciła do Cambridge na pół roku. Pracowała w zatłoczonym laboratorium po dziesięć godzin dziennie, znów obok Bruce'a Hodgesa, który zdążył się już zorientować, że Greer ubiega się o jego stanowisko. Jego futbolowe „ja” przebudziło się, niczym śpiący olbrzym, i wskrzesiło ducha zacieklej rywalizacji; chodził zagniewany, dokuczał jej, a od czasu do czasu, kiedy naprawdę chciał jej dopiec, mówił:

- No i jak się miewa ta twoja dawna przyjaciółka? Jak miała na imię? Jo? Tak. Byłyście sobie dość bliskie... Wiesz, Greer, że dziewięćdziesiąt procent wszystkich roślin okrytozalążkowych ma kwiaty obupłciowe?

- Idź do diabła, Bruce.

Istotnie Greer nie miała od Jo żadnej wiadomości prócz kartki z zawiadomieniem o objęciu przez przyjaciółkę nowej posady na stanowym uniwersytecie Minnesoty. Po ich ostatnim obiedzie Jo odeszła z laboratorium Thomasa i krótko pracowała u profesora Jenksa. Potem wyjechała bez pożegnania. Greer zastanawiała się czasami, czy nie napisać jej o domu w Marblehead i o laboratorium, lecz sądziła, że Jo nie jest ciekawa wiadomości o niej, na pewno zaś byłaby rozczarowana, że Greer nadal żyje z Thomasem. Napisze po ukazaniu się nowego artykułu - z jej nazwiskiem jako współautorki. Uśmiechnęła się na tę myśl. Może Jo odzyska wiarę w nią, wiarę, którą Greer od tak dawna uważała za oczywistą.

Znowu liczyła i badała ziarna. Obok mikroskopu trzymała buteleczkę z aspiryną, termofor i tubkę maści Ben-Gay, którą co dwie godziny nacierała szyję. Mimo docinków Bruce'a, mimo gorączkowej pracy, w laboratorium w końcu zapanował duch jakiegoś koleżeństwa. Wszyscy tyle godzin spędzali razem, do późna w noc wykonywali takie nudne zadania, że wreszcie z ich rozczarowania zrodziła się przyjaźń.

Bruce przybierał na wadze, bo w laboratorium miał mało ruchu, a otyłość chyba czyniła go życzliwszym - wyglądało na to, że może mieć tylko jednego wroga na raz, obecnie zaś był nim tłuszcz. Później rozpoczął coś, co mogło uchodzić za „plaowane” podrywanie Greer, z figlarnym uśmiechem lawirował w zatłoczonym laboratorium, aby popatrzeć na jej próbki. Greer tę nową życzliwość, choć sztuczną, uważała za stosunkowo lepszą od wrogości. Aż pewnego wieczora, kiedy zostali w laboratorium sami, podszedł do jej stanowiska pracy.

- Hej, Greer.

- Hodges, nie zamierzam nawet na ciebie spojrzeć. Mam jeszcze trzy próbki do policzenia przed wyjściem, a jestem zmęczona jak diabli.

- Jesteś palinologicznym pracusiem. Greer Liczącą-Ziarna.
 - Masz do wyboru: pomóc albo się zamknąć.
 - Wiesz, zawsze ciężko pracowałaś. Nawet tam w Wisconsin.
 - Dobra. Podaj mi trzecią próbkę od lewej. I odłóż ten preparat do kasety.
- Kiedy tak jedno drugiemu coś podawało, przysunął sobie stołek laboratoryjny i przysiadł się do niej.
- Czytałem twoją pracę doktorską, wiesz. Greer podniosła wzrok.
 - Tę pierwszą - powiedział z wyrazem absolutnej szczerości. - I zastanawiałem się, czy nie myślałaś, że wywarła wpływ na Thomasa...
 - Nie, Bruce, bynajmniej.
 - Bo to było dziwaczne.
 - Sytuacja była niezwykła. Należało zachowywać większą ostrożność, i tyle. Byłeś tam. Wiesz, jak ludzie przypadkiem dokonują odkryć, jak trudno jest określić, komu właściwie przyszło coś do głowy.
 - Czyżbym wiedział?

*

W marcu trzech doktorantów wróciło z kilkunastoma próbkami z Azji Południowo-Wschodniej. Po ich przyjeździe w laboratorium zapanował nastrój bożonarodzeniowego podniecenia, każdą skałę rozpakowywano i podziwiano. Thomas rozdzielił próbki między asystentów, a nazajutrz wszyscy wzięli się do roboty. Greer miała przed-kredową próbkę z Archipelagu Malajskiego, co wydawało się znakomitym omenem. Malaje - tam Wallace przed niespełna stu laty odkrył dobór naturalny. Rozpuszczała, płukała, odwirowywała, badała do późnej nocy i zwykle ostatnia wychodziła z laboratorium. Znajdowała niezliczone pyłki roślin nagozalążkowych - miłorzębów, sagowców - znajdowała zarodniki paproci, ale nic podobnego do pyłku magnolii. W końcu, kiedy pewnego rana pochylała się nad mikroskopem, chwycił ją skurcz w szyi.

- Thomas - zawołała. Ustał szmer przesuwanych szkiełek i cykanie liczników. Wszyscy odwrócili głowy. Thomas jednak ani drgnął. - O Jezu, Thomas - usłyszała w swoim głosie nutę bólu, a wtedy on wstał natychmiast. - Nie mogę poruszać szyją.

- Zostań na miejscu. Lars, przynieś z holu polowe łóżko i parę poduszek. Dobra. - Teraz stał obok niej. - Położę ci rękę z tyłu na szyi...

- Och, do jasnej cholery. - Ból był straszny, siekł ją po kończynach jak drut pod napięciem.

- Dobrze, wcale cię nie dotknę. Bruce, wezwij pogotowie.

- Na pewno za chwilę ustąpi - powiedziała. - Tylko tak nagle mnie złapał. Wszyscy wracajcie do swojej roboty. Nic nie pomoże patrzenie, jak jęcę.

- No, mnie pomaga.
- Zamknij się, Hodges - powiedziała.
- Nie, doprawdy, kto uważa, że obolała Greer jest bardziej interesująca od pyłku? Proszę podnieść rękę.

Greer musiała się roześmiać - ale nawet to sprawiało ból.

- No, wiem, że nie możesz zobaczyć naszych rąk, Greer, ale pozwól sobie powiedzieć, że jest ich przytłaczająca większość.

- Dureń.

- Zołza.

- Wiecie - westchnął Thomas - czasami czuję się jak nauczyciel w szkole podstawowej.

Próbowali dalej się śmiać, dopóki nie przyjechał ambulans i Greer nie położono na noszach. Thomas towarzyszył jej do szpitala, gdzie godzinę musieli czekać na lekarza. Thomas był wzburzony. W fartuchu laboratoryjnym, z potarganymi włosami wyglądał w jasnym świetle izby przyjęć starzej niż zwykle.

- Czy słowa „nagły wypadek” mają jakieś inne znaczenie?

- Doktorze Farraday! - Lekarz przeprowadzający badanie wpatrzył się w Thomasa. - Ojej. Nie wiedziałem. Mamy tu niedobory personelu, jak zawsze. W Cambridge widuje się zadziwiająco dużo...

- Proszę nie rozmawiać tylko pomóc. Moja żona nie może ruszać szyją. Ma ostry ból. Niech pan coś z tym zrobi.

- Tak, proszę pana.

Greer polecono leżeć w kołnierzu szyjnym przez dwa tygodnie, wręczono dwa flakoniki środków przeciwbólowych i poinstruowano ją, że przez co najmniej miesiąc ma się nie zbliżać do mikroskopu. ...

- Jeśli poczuje pani zniecierpliwienie - powiedział lekarz - mamy tu różne sprytne przyrządy, które przytrzymują książkę na odpowiedniej wysokości, co pozwala czytać bez poruszania szyją. Nasi pacjenci z dolegliwościami szyi i kręgosłupa bardzo je sobie cenią.

- Pomysłowe. - Greer nie oszalała z zachwyty.

- Można by pomyśleć - powiedział Thomas, kiedy już wygodnie zainstalowała się w sypialni w Marblehead, a on zadzwonił, żeby sprawdzić, co się dzieje w laboratorium - że jeśli już ktoś zacznie kwękać, to tym kimś powinien być mąż o dwadzieścia lat starszy. A tymczasem ty, moja młoda, piękna żona, leżysz schorowana w łóżku. - Podciągnął jej patchworkową kołdrę na piersi, wepchnął pod pachy.

- Dzięki za przypomnienie.

- Nic się nie martw. Będę twoją Florence Nightingale.
- Ta Florence chyba musi się golić.
- Ale zajmuje się tylko jedną pacjentką, uwięzioną w moim łóżku.
- Pośpiesz się z tym przyrzędem do czytania.
- Moja droga, będę cię zabawiać!
- Thomas, wyglądasz, jakby strasznie kręciło ci się w głowie. Właściwie jakbyś wziął narkotyk. - Uniosła buteleczkę ze środkami przeciwbólowymi i przyjrzała się jej pod światło. - Strach mnie oblatuje, kiedy widzę, jak absolutnie uszczęśliwia cię moja choroba. Nie mogę sobie wyobrazić, co za radość byłaby, gdyby stan określono jako beznadziejny.
- Okrutne słowa. - Pocałował ją w czoło, w uszy, po czym jak wariat wpił się ustami w kołnierz na jej szyi.
- Naprawdę, Thomas. - Po miesiącach posepności, zmęczenia i niepokoju jego zachowanie było zaskakujące. - To do ciebie niepodobne.
- Mężczyzna nie może wielbić swojej żony?
- Oczywiście może - powiedziała Greer. - Ale mam wrażenie, że dzisiejszego wieczoru ten mężczyzna nie będzie wielbić jej długo. Spodziewam się, że przed zachodem słońca wróci do laboratorium.
- W duchu będę cię wielbić.
- Oczywiście.
- Nie gniewasz się?
- Nie.
- Nie jesteś sfrustrowana?
- Zrezygnowana. Co niekoniecznie jest złe.
- Pamiętaj, że cię kocham - zapewnił. - Jesteś miłością mojego życia.
- W mowie Thomasa oznacza to chyba „Chcę zaraz iść do laboratorium”.
- Lii.
- Nic mi nie będzie. Patrz, mam stertę książek o wyspach i biogeografii. Wcale nie będę za tobą tęsknić. A teraz idź znaleźć Magę.

W ciągu następnych tygodni Greer widziała Thomasa zaledwie parę razy. Nie przeszkadzało jej, że go nie ma, a ona może nadrobić zaległości w czytaniu; żal jej było tylko straconej okazji do podpisania artykułu swoim nazwiskiem. W decydującym momencie nie nadawała się do niczego, więc najwyraźniej układ przestał obowiązywać. Zgodnie z zaleceniami lekarza leżała w łóżku, zażywała środki przeciwbólowe, lecz pod koniec trzeciego tygodnia, kiedy poczuła się lepiej, postanowiła pojechać do Cambridge i wrócić do laboratorium. Jeśli nie może liczyć, może przynajmniej płukać i odwirowywać. Albo przygotowywać próbki do datowania. Trudno jej było patrzeć w lusterka z

powodu kołnierza, toteż wolno prowadziła samochód. Wały szarego śniegu, całymi miesiącami ciągnące się wzdłuż ulic, wreszcie zaczynały topnieć, lecz dokuczliwa wilgoć nadal przesycała powietrze.

Zaparkowała obok samochodu Thomasa i pomału wdrapała się na drugie piętro. Ponieważ drzwi laboratorium były zamknięte, poszła korytarzem do męskiej toalety, gdzie Thomas trzymał zapasowy klucz. Paliły się światła, w laboratorium jednak panowały pustki - zlewki stały do połowy napełnione, słoje z kwasami pozdejmowane z półek, z kurka kapało. Wyglądało to tak, jakby nagle przerwano pracę. Greer zrzuciła eskimoską kurtkę i udrapowała ją na stołku. Podeszła do stanowiska pracy Bruce'a i po krótkim zastanowieniu, czy nie zajrzeć w mikroskop, postanowiła nie ryzykować, że rozboli ją szyja, przerzuciła natomiast kilka ostatnich zapisów w jego notatniku. Nudziarstwo, takie samo jak u niej. Naszkicowane typy pyłków roślin nagozależkowych, liczby, procenty, a na marginesach tu i ówdzie nagryzmolone piłki futbolowe. Analiza badanej próbki sprzed okresu kredowego - w całej ani jednego ziarna pyłku rośliny okrytozależkowej. Wiele tygodni straconych na tę próbkę, wiele miesięcy na cały ten wyścig. Wszyscy zdawali się trwonić energię na poszukiwania prowadzące donikąd. Greer zastanawiała się, czy Jonathan Cartwright nie blefował. Świetny figiel, splątany przeciwnikowi, musiała przyznać. Może Cartwright jest w tej chwili w Oksfordzie, prowadzi prawdziwe badania, podczas gdy Thomas i pozostali jak myszy ganiają po niekończącym się labiryncie, nieświadomi, że ziarno pyłku na jego końcu jest sztuczką z lustrem.

Na biurku Thomasa ten sam od lat nieład. Notatniki, szkiełka, kartki do notowania, książki - ale nieporządek większy, niż pamiętała, jak gdyby Thomas znalazł się na innym poziomie bałaganiarstwa. Ten wyścig go wykańczał. Wykończyłby każdego. Greer przerzuciła notatnik, datowanie argonowe przewarstwionych tufów - zbiór australijskich skał sprzed okresu kredy - w żadnym ani pyłku rośliny okrytozależkowej. Nie ma i nie będzie. To oczywista odpowiedź.

Przerzuciła pudełko, w którym Thomas trzymał swoją kolekcję szkiełek, przeszukała rzędy przedkredowych próbek z Grenlandii i Chin, próbki z Australii; postanowiła wziąć parę szkiełek i zaniósła je do swojego mikroskopu. Tylko jeden rzut oka, powiedziała sobie. Odpięła kołnierz i powiesiła na kontakcie. Wzięła nieopisane szkiełko, umieściła pod mikroskopem i nastawiła okular. Ostrożnie pochyliła się do przodu. Naturalnie żadnego pyłku rośliny okrytozależkowej. Wyłącznie zarodniki trójkomórkowe i jednokomórkowe, pyłek nagozależkowy drzew iglastych i sagowców, kilka

zarodników paproci z wyraźną ornamentacją powierzchni i silnie żeberkowaną linią poprzeczną. Wyglądały na rodzinę znaną z występowania w środkowej kredzie, próbka natomiast miała być przedkredowa. Thomas badał tylko skały starsze od kredowych. Zrobiła najazd, podniosła szkiełko nakrywkowe, aby odwrócić ziarna, po czym oderwała twarz od mikroskopu. Złapała jeden ze swoich podręczników i zaczęła przerzucać kartki z zarodnikami paproci, szukać obrazka pasującego do tego na szkiełku, kiedy drzwi się otwały. Wszedł rozczochrany Thomas.

- Lily?

- Nie mogłam już dłużej wysiedzieć w domu - powiedziała. - Tylko zerknęłam, nic więcej. Ręczę, że z szyją jest dużo lepiej.

- Och, Lily. - W jego głosie zabrzmiała skrucha. - To cudownie. Wspaniale. - Przetarł oczy. - Wszystko skończone.

- Co?

- Znalazłem to. Znalazłem Magę.

Zima ustępowała powoli, warstwa śniegu robiła się coraz cieńsza, zimne wiatry zmieniały się w ciepłe powiewy, niosące ze sobą woń wilgotnej gleby i trawy. Z sopli na dachach kapało do połyskliwych kałuż. Pierwsze wiosenne kielki przebijały się przez goliznę.

Z domu w Marblehead Greer obserwowała ożywianie ziemi. Chodziła na długie poranne spacerunki po plaży, nim zasiadła na werandzie do wielogodzinnej lektury. Był to wygodny rozkład dnia, lecz jej brakowało badań.

Thomas krążył między laboratorium a ich mieszkaniem, spotykał się z Bruce'em, wysyłał próbki do weryfikacji, dyktował swój artykuł sekretarce wydziału. U Greer nastąpiło pogorszenie. Lekarz skarcił ją za zbyt wczesne zdjęcie kołnierza i kazał nosić go nadal. Nie mogła w ostatniej chwili uczestniczyć w liczeniu pyłków ani datowaniu warstw. Rozczarowana czy może powodowana uporem postanowiła więc wycofać się z projektu.

Wystarczyło jej energii tylko na uczestnictwo w majowym sympozjum. Była to nijaka konferencja w hotelu. Nosili identyfikatory, jedli kanapki i precle, spacerowali po jasno oświetlonej i wyłożonej dywanami sali, ściskali ręce kolegom z odległych uniwersytetów. Sympozjum przypominało parę innych, w których brała udział z Thomasem, odczuwała jednak smutek, a nawet zazdrość, że mimo tylu wysiłków nadal pozostaje wyłącznie widzem.

Na konferencji dokonano zaledwie wstępnej prezentacji artykułu - jego przedostatniej wersji przed publikacją - lecz jej celem było uznanie odkrycia Thomasa za wcześniejsze niż Cartwrighta. Thomas występował pierwszy i kiedy wszyscy zajęli miejsca, a światła przygasły, wszedł na podium. Greer

siedziała z dala od zespołu laboratoryjnego, w tylnym rzędzie, z paroma niezbyt zainteresowanymi maruderami. Ci na ogół nie mieli identyfikatorów i wyglądali na uczestników innego kongresu czy gości weselnych, znudzonych tym, w czym dotąd brali udział, i ciekawych, czego mianowicie może dotyczyć sympozjum palinologiczne.

Widok Thomasa na mównicy przypominał Greer, jak przed tylu laty siadywała na jego wykładach. Mówił głosem donośnym, pełnym tego samego co dawniej przejęcia. Na sobie miał granatowy garnitur, tyle że ten, przez nią wybrany, dobrze na nim leżał. W minionym roku Thomas zaczął dbać o swój wygląd, z większym namysłem kupować ubranie, lecz siwe pasma w jego włosach odcinały się wyraźniej, a ciemne półksiężycy kładły się pod oczami. Właśnie skończył pięćdziesiąt dwa lata.

Na początek pokazał przezrocza - pyłek, zdjęcie niezaburzonej jednostki osadowej Larsa Van Deleka i Prestona Brooksa, którzy, zakurzeni i spaleni słońcem, wydobywają próbki w Australii. Mówił o dziejach magnolii, rodzaju, który ubiega się o miejsce „pierwotnego kwiatu”, i o ostatecznym odkryciu czegoś, co zdecydował się nazwać Magnolia fanadia. Pod koniec wystąpienia podziękował współautorom i zaprosił ich na podium: Bruce'a Hodgesa, Larsa Van Deleka i Prestona Brooksa.

Choć Greer oczekiwała tej chwili, trzymała ręce na kolanach, kiedy salę wypełniły oklaski.

- Pani nie klaszcze - usłyszała czyjś głos.

Popatrzyła na oddalonego o parę krzeseł drobnego mężczyznę po trzydziestce, o pociągłej, bladej twarzy i zaciśniętych wargach. Nie miał identyfikatora i siedział przygarbiony, znudzony. Najwyraźniej wkręcił się nie na tę konferencję.

- Ja też nie klaszczę - powiedział.

- Grunt to samoświadomość.

- Wszystko to takie imponujące. I niewiarygodne.

- Palinologia potrafi być taka.

- Nie ma tu kobiet - zauważył. - Jak pani się dostała?

- Podałam się za mężczyznę.

- Ja też - powiedział. Spozrzegła, że jego oddech zalatuje whisky, on zaś lekko się przechyla. - Chce pani pójść na spacer? Albo na drinka? Dama nie powinna spędzać dnia na tej konferencji. - Greer nie wiedziała, czy nieznajomy połyka słowa, czy też mówi z akcentem. - Na antresoli jest wesele. Mają orkiestrę swingową. Zakradniemy się tam. Powiem, że jest pani moją żoną.

Ludzie już stali, podchodzili do podium, aby uścisnąć dłoń Thomasa. Greer podniosła się z miejsca. Otaczano też Bruce'a Hodgesa i Prestona Brooksa. Lars Van Delek odszedł na bok i rozmawiał z reporterem.

- Proszę. Orkiestra swingowa.

- Niech pan spada.

- Racja. Spadaj, Cartwright.

Greer zwróciła się do niego twarzą - oczy błędzące po sali, zmięta koszula. Tylko ślad podobieństwa do fotografii. Jonathan Cartwright.

- To pan. Proszę mi powiedzieć, czy naprawdę miał pan własną próbkę rośliny okrytozalążkowej sprzed okresu kredy?

- Nie chce pani rozmawiać o tych bzdurach.

- Nie miał jej pan? Sprawiał wrażenie zagubionego.

- Moim zdaniem czegoś takiego nie ma. Więc może wszystko to były fałszywe pogłoski.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że nic z tego nie ma znaczenia - powiedziała Greer. - To nie jest nauka.

- Umie pani tańczyć w rytmie swingowym?

- To jest liczba, to pobicie rekordu, ale nic nie znaczy. Cartwright położył ręce na oparciu stojącego przed nim krzesła i dźwignął się na nogi.

- Mają cały stół tych pina coladas. I wie pani co? Zabawimy się, bo to nie ma znaczenia. On popełnia zasadniczy błąd. Ja widziałem te skały osadowe. Z tego samego stanowiska. I nic. Jak to możliwe?

- Nie wiem - odparła i powoli, ze skrepowaniem ruszyła naprzeciw męża.

Nadszedł czerwiec, gorący, bez opadów, i susza nawiedziła kraj. W wiadomościach pokazywano zrozpaczonych farmerów, niespokojne dzieci. Miesiąc upływał powoli.

Thomas większość czasu spędzał w Cambridge, dojeżdżał dwa razy na tydzień do Marblehead, rozkoszował się okazywanym mu ostatnio zainteresowaniem. Greer wreszcie przestał dokuczać ból szyi, toteż po zdjęciu kołnierza wróciła do własnej pracy w suterenie. Cieszyło ją, że znów bada modele rozprzestrzeniania przez wodę, - zapomniała o zawodzie, jaki sprawiło jej to, że nie była współautorką artykułu Thomasa.

A jednak od czasu do czasu, siedząc w swoim laboratorium, powracała myślami do obrazu zarodników paproci, widzianych tamtego wieczora w laboratorium Thomasa - zarodników, które nie powinny się znajdować w próbce sprzed okresu kredy. Mogła się mylić co do gatunku. Ale to dziwne, że nic więcej na ten temat nie słyszała - żadnej wzmianki o pojawieniu się czegoś niezwykłego. Rzecz wymagała analizy.

Potem, któregoś popołudnia, kiedy pracowała w piwnicy, nadszedł telegram. Bez nazwiska nadawcy. Brzmiał po prostu:

W końcu będziesz musiała spojrzeć w oczy barakudzie.

Greer przez kilka godzin siedziała na werandzie z tym paskiem papieru, dziwiąc się jego treści. Oczywiście Jo. Ale dlaczego teraz?

Później nadeszła inna przesyłka, tym razem z redakcji popularnego tygodnika naukowego. Greer rozwinęła brunatny papier. Na okładce przeczytała:

OSKARŻENIA O OSZUSTWO. DANE SFALSZOWANE PRZEZ DOKTORA THOMASA FARRADAYA.

Thomas, jak wyjaśniano w artykule, został oskarżony o zanieczyszczenie próbek, o dopuszczenie do tego, że pyłek rośliny okrytozalążkowej z próbki kredowej znalazł się w próbce sprzed okresu kredy. Pisano, że próbując pobić Jonathana Cartwrighta, sfabrykował w swoim laboratorium nieprawdziwe dane.

Oskarżenie wytoczył Bruce Hodges.

Rozdział dziewiętnasty

Deszcz zaczyna padać, kiedy Elsa znajduje się w drodze powrotnej do obozu. Pod kopytami kuca czerwona gleba zamienia się w błoto. Elsa zarzuca przemoczoną spódnicę na torbę i kohau na swoich kolanach, jej do połowy obnażone nogi zwisają po bokach kuca. Od zwierzęcia bije dokuczliwe ciepło. Skórzane trzewiki Elsy ciemnieją, błoto, rozpryskiwane kroplami deszczu, ochlapuje pończochy. Będę musiała wyschnąć, myśli. Będę musiała się rozgrzać. I umyć. Tak. To są rzeczy konieczne. A jeśli wiatr okaże się silny, będzie musiała umocować skrzynki, potem sprawdzić kołki namiotu. Jeśli będzie przeciekać - kiedy po raz ostatni oglądała płótno namiotu? - będzie musiała załatać dziury. Burza może przybierać na sile, myśli. Ma nadzieję. Igiełki wody, powietrze przesycone solą, bryzgi błota są zakłóceniami, których potrzebuje.

Do widzenia dwóm paniom Beazley.

Rękawami ściera wodę z twarzy. Kuc człapie po ścieżce, aż w końcu oczom Elsy ukazuje się Anakena. Zsiada u podnóża pagórka. Jedną ręką prowadzi zwierzę, drugą trzyma torbę i kohau, zawinięte w spódnicę, tak że pochylona idzie wyciągniętym krokiem przez wzniesienie. Obóz w dole świeci pustkami.

Mam wspaniały dar przewidywania.

Elsa przywiązuje kuca, niepewnie schodzi z pagórka, po czym chroni się w namiocie. Wyciera ręcznikiem kohau i notatnik. Zapala latarnię, w myślach przebiega oczekujące ją zadania: Sprawdzić przecieki, zabezpieczyć kołki, wciągnąć więcej skrzyń do środka. Rozdeptuje dwa karaluchy, które pomykają w jej stronę.

Podnosi latarnię do obwisłego płóciennego sufitu i szuka małych rozdarć. Przy takim łoskocie ulewy nie sposób usłyszeć kapania, myśli. Będzie musiała zbadać płótno cal po calu. Kiedy jednak wodzi palcem po długich szwach, zapada cisza. Dudnienie ustało. Elsa wychodzi przed namiot i widzi, że słońce uwolniło się od strzępów szarych chmur. Teraz siada na piasku, obserwuje przejaśniające się niebo, czeka na nową falę deszczu.

W oddali, za mgłą, widzi miejsce, gdzie po raz pierwszy zakotwiczyli szkuner. Do widzenia dwóm paniom Beazley. To krzyknął z dingi Kierney. Mam wspaniały dar przewidywania.

Elsa wraca do namiotu i siada na swoim łóżku. Naprzeciwko wisi na kawałku szpagatu nocna koszula Edwarda. W myślach Elsy pojawia się obraz Alice, przerzuconej przez śpiącego Edwarda. Stara się go odegnąć. Ma jeszcze robotę. Spod łóżka wyciąga stos notatników, znajduje i otwiera ten z uwagami

na temat rongorongo. Z kubka obok bierze wieczne pióro, to, które dał jej ojciec, kiedy zachorował. Profesor Beazley chyba dość lubi naszą kochaną Alice. Elsa zdecydowanym ruchem przyciska pióro do papieru:

Zdecydowanie uważam za bardzo prawdopodobne, że rongorongo to bustrofedon. Wiersze biegną na przemian w odwrotnym kierunku. Potrzebne potwierdzenie.

Odkłada pióro. Ale czyż ojcu mogło chodzić...? Nie. Pomysł jest śmieszny, historia zbyt absurdalna. Profesor zakochuje się w głupkowatej córce kolegi! Elsa źle się czuje. Ma rozpalone czoło. Dygoce w wilgotnej odzieży. Może zaraziła się czymś od trędowatych, czymś dziwnym, jakąś gorączką, która zwodzi umysł, każe się dopatrywać rzeczy przerażających. Pochyla się do przodu, niespokojnymi rękami zaczyna rozwiązywać wilgotne sznurowadła trzewików.

Przecież to szaleństwo. Zakochać się w dziewczynie, której mu kochać nie wolno. Ożenić się z siostrą, opiekunką dziewczyny, aby być blisko niej. To Elsa złożyła ofiarę, dla Alice. Gdyby nie musiała troszczyć się o Alice, mogłaby sobie znaleźć prawdziwego męża, mogłaby nawet znaleźć jakiś sposób na to, aby być z Maksem. Nie mogła przecież zostać - to słowo ukazuje się jej w ciemnym namiocie - nabrana. Czy to możliwe, że zrezygnowała z życia, jakiego pragnęła, nie dla Alice, lecz dla Edwarda?

- Elsa! - dobiega z zewnątrz jego głos.

Chwilę później wsadza do namiotu ulizaną deszczem głowę. Z brody kapie mu woda. Sprawia wrażenie ostrożnego. Czeką na burę, myśli Elsa. Czeką, bo chce zobaczyć, co wiem.

- Alice jest przemoczona. Przyjdiesz pomóc?

Pomóc, myśli Elsa. Oczywiście, zawsze jestem gotowa pomagać. Znów jestem guwernantką. Zatrudnioną przez niego do opieki nad Alice.

- Dostanie zapalenia płuc.

- Cóż - zaczyna Elsa z nieoczekiwanym sarkazmem - w takim razie musimy z niej ściągnąć wilgotną odzież. - A ty się boisz zrobić to sam, myśli. Boisz się, jak to będzie wyglądało.

Łapie koc, zarzuca sobie na ramiona, wkłada kapelusz i idzie za Edwardem do namiotu Alice. Alice odwraca twarz od wejścia. Jej bluzka, wilgotna i przezroczysta, przylega do skóry, więc Elsa widzi silnie bijące na plecach tętno.

- Ktoś paradował na deszczu - mówi Elsa. - Ciekawa jestem, kto mógł paradować na deszczu. Nie mogła to być Allie, bo w kółko jej powtarzano, że ma nie biegać, kiedy leje.

Elsa staje z tyłu, kładzie ręce na ramionach Alice. Pod dotykiem jej dłoni cienkie kości wyginają się w delikatny łuk. Palce suną po grani pleców. Dziwna rzecz: To jest ciało, które Elsa zna najlepiej. Lepiej niż ciało Edwarda. Lepiej niż własne. Tego ciała zawsze szukają jej ręce. Obserwowała jego wzrost, zawsze miała obowiązek je chronić. Teraz chciałaby na zawsze pozostawić na nim ręce, dotykać nimi tej ciepłej skóry, ugniatać to ciało i zapomnieć o przepaści zimnego powietrza, która rozwiera się między nią a siostrą. Chciałaby się wcisnąć w tę inną istotę, zamrużyć oczami i powiedzieć: Ja Jestem Alice. Lecz zaczyna robić to jedno, co umie - zajmować się Alice. Rozpina guzik bluzki pod szyją.

- Sprawdzę sprzęt - mówi Edward i wymyka się z namiotu. Przesadza z tą delikatnością.

- Allie. - Palce Elsy powoli zbliżają się do szczęki Alice. - Allie, spójrz na mnie. Co się dzieje?

Alice tylko się kiwa.

- Musimy zdjąć z ciebie te wilgotne rzeczy. - Elsa dalej rozpina bluzkę Alice, potem klamrę spódnicy. W kufrze znajduje czysty ręcznik, wyciera nim głowę Alice, szyję, ramiona. Kiedy Alice jest już sucha i owinięta pledem, Elsa kuca przed nią i bierze ją za ręce. - Allie, czy coś... się stało?

Alice, dotychczas zapatrzona w siebie, ogarnia wzrokiem namiot i Elbę.

- Chodzi mi o to, czy coś się stało z Beazleyem... W oczach Alice pojawia się błysk nagłego ożywienia.

- Beazley cię nie kocha!

Elsa o mało się nie cofa przed gniewem w głosie Alice. Mimo to czubkami palców instynktownie sięga do jej policzka.

- Allie.

Alice się wzdyga, potem dłonią uderza Elbę, paznokciami drapie po szyi.

- On kocha Alice! Słyszysz? - W jej głosie dźwięczy gorzki smutek. - On kocha Alice!

Elsa siedzi nieopodal plaży przy stole, a naprzeciwko niej Edward, który starł z twarzy wszelkie ślady deszczu, lecz teraz się poci. Kilka czerwonych plam wystąpiło mu pod skórą, rozlało się na policzki. Alice już śpi w swoim namiocie.

- Nie jestem człowiekiem chorym - mówi Edward. - Proszę, nie patrz tak na mnie. Nie jestem człowiekiem chorym.

Elsa milczy.

- Prosiłaś, żebym dbał o twoją siostrę, i ja o nią dbałem. Pilnowałem jej, usługiwałem. Chciałaś, żebym ją kochał, i ja ją kochałem. Nigdy... nigdy

niczego nie zrobiłem... - Wyciąga z kieszeni chustkę do nosa i przyciska do czoła. - Ona się bawi, znasz jej zabawy. Łapie i całuje. Bawi się, Elso. Tylko bawi. Nie powinnaś myśleć, że zrobiłbym coś niestosownego.

W rzeczywistości Elsa wierzy jego słowom; niepokoi ją jednak coś większego, coś, czego nie potrafi umiejscowić. Edward zgniata chustkę, tak że robi się z niej kula.

- Zawsze starałem się być dobrym człowiekiem, Elso. Nie jestem podniecającym mężczyzną, nie jestem zabawnym mężczyzną, nie jestem namiętnym mężczyzną, ale jestem dobrym człowiekiem. Po tak długim czasie chyba powinnaś to wiedzieć. Proszę, oddaj mi tę sprawiedliwość.

Elsa patrzy w niebo - przyćmione błękitne sklepienie nad nimi. Dobry człowiek. Tak, i co z tego? Czy chce, żeby teraz jego uspokajała? Jemu poprawiła samopoczucie?

- Nie żywię złudzeń, Elso. Taka korzyść płynie z ciągłych badań naukowych. Nie marzę, nie pozwalam się zwieść pożądaniu. Przyznajmy chociaż, że nigdy nie chciałaś zostać moją żoną. To zawsze było jasne. Nigdy byś za mnie nie wyszła, gdybyś nie musiała opiekować się Alice.

Elsa trzyma dłoń na wysokości twarzy, rozczapierza palce i wpatruje się w sieć linii i rowków na skórze.

- Jestem stary, ale nie głupi, Elso. Znam twoje stanowisko. Znałem od początku.

Tak. Pragnęła tylko wzajemnej tolerancji, życzliwości, ale niczego więcej.

- Czego byś chciała? Żebym przeproszał? Za to, że troszcę się o Alice, tak jak prosiłaś? No więc odmawiam. Nie możesz nas

kontrolować. Nie możesz dyktować trojgu ludziom, jak mają żyć. Czy Alice koniecznie ma mi okazywać tę samą grzeczną obojętność co ty? Nie możesz o tym za nią decydować. - Urywa, jakby chciał pozbierać strzępy rozbieganych myśli. - Elso, mnie nikt nigdy nie kochał. Wiem, że dbasz o mnie, ale nie jestem typem człowieka, w którym się ludzie zakochują. Alice jednak mnie kocha, jest we mnie zakochana, a nie godzę się tego lekceważyć po prostu z tej przyczyny, że jest inna, albo z tej, że nie uwzględniłaś tego w umowie ze mną. Jak uczucia Alice mogłyby stać między nami, skoro od początku pilnowałaś, żeby do niczego między mną a nią nie doszło...? Czy słuchasz, co mówię? Elsa?

Elsa przypomina sobie słowa, przed laty wypowiedziane przez ojca: Starego Beazleya nie ominęły miłosne cierpienia. Na tyle dotkliwie, aby go skłonić do podróży aż na kontynent afrykański. Doświadczył cierpień tak wielkich, że pociechę mógł znaleźć tylko u dziewczyny niezdolnej go zranić.

- Dobrze - mówi Elsa. Usta ma zeszywniałe, język spuchnięty. Każde jej słowo to kamień. - Alice - rzeczywiście - cię - kocha. - Patrzy na pobrużdżone czoło Edwarda, na jego zapadnięte policzki. Jest jak człowiek oczekujący rozgrzeszenia. Czy ona ma go rozgrzeszyć? Czy jeszcze raz ona ma się zająć kimś innym? Ale jak łatwo byłoby rzucić to wszystko, odejść, odejść od Edwarda, od Alice, od siebie samej. Co w końcu zobowiązuje ją do dobroci, do miłości, do czegokolwiek, jeśli nie własna wola? Obowiązki nie są faktami; są uczuciami. Łapie głęboki oddech. Wydaje się to takie przerażające, takie proste. Czuje, jak jej usta rozciągają się w nerwowym uśmiechu.

- Alice ma jednak umysł dziecka.

- Elsa...

- Nie może cię kochać. Naprawdę. Nie powinieneś się oszukiwać, Edward.

- Ty sama zawsze mówiłaś, że ona rozumie więcej...

- Amencja, obłęd, głupota. Nazwij to, jak chcesz. To nie zmienia...

- Proszę cię, Elso...

- Nie rozumiesz? Po tak długim czasie? Ze wszystkimi swoimi stopniami naukowymi, książkami i badaniami antropologicznymi nie możesz dostrzec, czym ona jest naprawdę? Dlaczego j e j nie badasz? Rozmawiaj z nią i zobacz, jaką stworzysz teorię. Nie musiałbyś nawet podróżować. Badaj na cholernym miejscu, Edward. Napisz pięćset stron, opatrz tę pracę słowniczkiem, ale powie ona tylko jedno...

- Przestań.

- Imbecyl! - To słowo, którego zawsze używali ludzie. Każdej sylabie towarzyszy uderzenie dłonią. - Im-be-cyl!

Edward sięga przez stół i łapie Elsę za ramiona.

- Przestań, Elso. Przestań.

Elsa się wyrywa, po czym jak martwa osuwa się na blat. Wyczerpała wszystkie zasoby wewnętrzne.

Łza stacza się po ostro zarysowanym policzku Edwarda, zatrzymuje tam, gdzie zaczyna się broda. Edward kręci głową, jakby chciał strącić łzę, ale ten ruch tylko uwalnia drugą.

- Chcesz mnie zawstydzić? Zapewniam cię, że żadne twoje słowa nie mogą być gorsze od tego, co sam sobie mówiłem. - Patrzy na stół. - Nie będę odpierał żadnych stawianych mi zarzutów. Nie oskarżaj jednak. Nie Alice. Kochasz ją, Elso. Nigdy, ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Ale - podnosi oczy i stara się napotkać jej wzrok - chyba nigdy w pełni jej nie rozumiałaś.

- Nie rozumiem ciebie.

- Co chciałabyś ode mnie usłyszeć? Mogę ci tylko powiedzieć, że to jest prawdziwe. Nie ustąpi przed żadnym argumentem, żadnym tłumaczeniem. Alice jest na ciebie wściekła, bo masz coś, czego ona nie ma.

Alice, zakochana w nim.

- Nie - mówi Elsa.

- Może, kochając ją za bardzo, nie potrafiłaś sobie wyobrazić, co ona naprawdę czuje, jak cierpi.

Elsa pociera zadrapanie na szyi, a sól na jej palcach drażni ranę.

- Elso, wiedz, że byłem w stosunku do niej stanowczy. Powiedziałem, że nie mogę być dla niej jak mąż. Ale kiedy to mówię, ona twierdzi, że cię nienawidzi. Oczywiście tak nie myśli, silnie jednak odczuwa ten brak. Chce rzeczy, których ty chcesz, chce mieć to, co ty masz. Elso, znasz ją od dziecka i myślisz o niej jak o dziecku, lecz ona nie jest dzieckiem. Po części jest kobietą. Bardzo przygnębioną kobietą.

- Kobieta? Według mnie ty pozwoliłeś się zwieść pożądaniu.

- Mówisz, że ona rozumie więcej, niż się wydaje, wiesz, że rozumie, a mimo to nie chcesz uwzględnić faktu, że istotnie może dostrzegać własne niedostatki. Alice wie, że jest inna. Żadna zachęta, dobroć czy miłość nie przeszkodzi jej widzieć, czego jej odmówiono.

- Odmówiono?

- To nie oskarżenie.

- Więc co? Od dnia jej urodzin, a mówię to w sensie dosłownym, była otoczona miłością, troską, opieką, zabawiana...

- Nie rozumiesz? Myślisz o jej potrzebach, ale tylko takich, które ty możesz zaspokoić. Wierzysz, że jej szczęście, zdrowie, dobre samopoczucie w pełni od ciebie zależą. Wiem, jak się dla niej poświęcałaś. Mogłaś dokonywać wszelkich słusznych wyborów, ponosić niezliczone ofiary, ale, Elso, nikt nie może zapewnić zadowolenia czy bezpieczeństwa innej osobie w taki sposób, jak ty w swoim przekonaniu to potrafisz. Zwłaszcza zapewnić ich Alice. Ona zawsze będzie odczuwać tęsknoty i smutek, na które nie masz lekarstwa. Pozwalasz kochać ją chłopcu. Puszcze Herbatników. Sama natomiast masz męża, mężczyznę, którego...

- Allie kocha Puskę Herbatników - mówi Elsa, choć wie, że nie o to chodzi.

- Chciała być z nami w namiocie. Chce mieć towarzysza.

- Alice. Zakochana w tobie. W kimkolwiek. I zazdrosna o mnie. Po tym wszystkim ona mnie nienawidzi.

- Wcale nie.

- Zrobiłam to - Elsa gestem wskazuje Edwarda, wyspę - dla niej.

- Wiem - odpowiada Edward bez złości. - I... myślę, że ona wie. Elsa nie chce w to uwierzyć. Tego już za wiele.

- Kocham cię, Elso, niezależnie od tego, co ty do mnie czujesz. Chce powiedzieć coś miłego, coś, co poprawi mu samopoczucie, lecz nie znajduje na to dość energii. Nie wie, co do niego czuje.

- Nie mogę zostać z tobą w namiocie.

- Elso, byłaś dobrą towarzyszką.

Już ma powiedzieć, że była wygodną towarzyszką, lecz powstrzymuje ją widok jego podpuchniętych oczu. Jad wypowiedzianych przedtem słów podchodzi jej do gardła.

Siedzą w milczeniu, a nad nimi unoszą się echa ich rozmowy. W końcu Elsa wstaje i wolno wchodzi na wzniesienie nad obozem. Kładzie się na szorstkiej trawie, wsłuchana w plusk fal, omywających brzeg w dole. Zamyka oczy i próbuje sobie wyobrazić, jaka była przed przybyciem na wyspę, przed małżeństwem z Edwardem, przed śmiercią ojca. Więc jaka? Czy naprawdę dobra dla Alice? Przez jej głowę przepływają obrazy: popołudniowe przejażdżki na rowerze po St. Albans, wizyta w gabinecie doktora Chapple'a, ich spacer w Hyde Parku, kiedy padał deszcz, pocałunek po ciemku. Czy rozumiała Alice? I Alice - czy była szczęśliwsza, zanim Elsa została jej opiekunką? Opiekunka. To słowo błąka się w umyśle, w pamięci. Twarz jej muska wietrzyk, przesycony chłodem nadciągającej nocy. Niebo ciemnieje powoli, czerń niczym smoła przesącza się po skraj horyzontu.

- Elsa!

Jest ranek następnego dnia i Elsa znów leży na pagórku. Wie, że czeka na nią Kasimiro, ale jest zbyt zmęczona, aby się poruszyć. Wydaje się jej, że już wiele miesięcy temu była w kolonii trędowatych, podniecona samym tylko tłumaczeniem jednej małej tabliczki. Jakże się cieszyła, jadąc konno wzdłuż wybrzeża, z kohau na kolanach. Teraz jednak ani kolejne tłumaczenie, ani nic innego nie mogłoby chyba sprawić jej takiej przyjemności. Nie może się zmusić do zejścia do obozu i zobaczenia Alice, jeszcze nie.

- Elsa! - woła z dołu Edward. Słyszy, jak on, tupiąc i dysząc, wspina się pod górę.

- Muszę tu po prostu poleżeć. - Ale tylko szepcze to do siebie i zamyka oczy. Przepływają przed nią symbole rongorongo, chmury zbierają się i rozpraszają.

- Elsa. - Jego głos rozbrzmiewa tuż nad nią.

- Proszę cię. Zaraz zejść. Chcę jeszcze trochę pobyć sama.

- Musisz wstać.

- Edward...

- Powiedz mi tylko, że nie oszalałem. Musisz to zobaczyć.

Z wielką niechęcią otwiera oczy. Symbole znikają, na ich miejscu pojawia się szare niebo, trawa. Elsa nie chce być tutaj. Nie obchodzi jej, jakiego koloru rybitwę wypatrzył Edward, jaki znak znalazł na moai. Nie obchodzą jej jego przeprosiny czy żale. Najzwyczajniej potrzebuje samotności, lecz nie ma siły z nim walczyć. Twarz Edwarda, wykrzywiona zdziwieniem, pochyla się nad nią.

- Musi mi się kompletnie mieszać w głowie - mówi Edward.

- Tak.

- Elso, proszę cię. Usiądź.

- Dobrze? Co? - wzdycha Elsa.

- Tylko mi powiedz. Proszę. Czy ty to widzisz? - Edward wskazuje na wodę.

Elsa podpira się łokciami i patrzy w morze. Coś, co wygląda na flotę wojenną, pruje w kierunku wyspy.

Rozdział dwudziesty

Sociedad de Arqueologia de America del Sur zawiadomiło, że w październiku odbędzie się na wyspie mała konferencja, podczas której czworo naukowców zaprezentuje wyniki swojej pracy sobie nawzajem i tym wypiarzom albo turystom, którzy zechcą być obecni. Jako koordynatorkę SAAS przysłało Isabel Nosticio, pozbawioną poczucia humoru, lecz ponętą Argentyńkę w średnim wieku, o gęstych czarnych włosach do pasa, zawsze ubraną na różowo i mocno uszminowaną. Pod koniec każdej rozmowy o rzutnicach do przezroczy czy przystawkach od nowa nakładała szminkę.

- Pamiętajcie - mówiła i zwierzała błyszczące wargi - że nasza praca leży w interesie społeczności tej wyspy.

Jej główne zadanie polegało na upewnieniu się, czy ekscentryczni badacze, krążący po korytarzach SAAS-u, w końcu osiągną wyniki, dzięki czemu Sociedad wyda się skuteczne, dobroczynne i w ostatecznym rozrachunku prowyspiarskie. Szybko się wyjaśniło, że po skierowanej do Chile petycji, w której mieszkańcy Rapa Nui domagali się praw do ziemi poza Hanga Roa, konferencja ma uspokoić nastroje.

Na Mahinie bynajmniej nie zrobiło to wrażenia.

- Zgodnie z ich życzeniem macie nam opowiedzieć o swojej pracy, o której zamiast nas decydują, żebyśmy nie narzekali na ich rząd. Pasto!

Greer jadła śniadanie w stołowym.

- Przykro mi - powiedziała. Popijając herbatę, zwróciła się do Mahiny, która siedziała przy sąsiednim stoliku nad wysoką szklanką nektaru morelowego. Co rano jadły razem o wschodzie słońca, ponieważ Greer budziła się jako pierwsza z gości. Mahina zbierała z dziedzińca jajka, zrywała z drzew owoce. Potem Greer słyszała z kuchni trzask rozbijanych skorupki jaj, rytmiczny stuk noża, ćwiartującego gujawę. Nie mogła się oprzeć myśli, że Mahina byłaby znakomitym naukowcem. Naczelną zasadę jej życia stanowiła precyzja i metodyczność.

- To nasza wyspa - oświadczyła Mahina, która ściśle przestrzegając granic wyznaczonych przez jej zawód, nigdy nie chciała usiąść przy stoliku Greer. Rozmawiały więc na odległość, jak dwie samotne podróżniczki. W ciągu minionych miesięcy Greer dowiedziała się, że Mahina otworzyła residencial sześć lat wcześniej, kiedy zaczęły się loty Lan Chile. Przedtem była nauczycielką i pilnowała, żeby tutejsze dzieci uczyły się języka Rapa Nui; czasami, kiedy szły gdzieś razem z Greer, na ulicy podchodził do Mahiny pełen uszanowania nastolatek, niewątpliwie jej dawny uczeń. Na pewno była

wymagającą, lecz inspirującą nauczycielką. Miała encyklopedyczną wiedzę o folklorze wyspy, swoją zaś rolę skarbnicy dziejów traktowała z całą powagą; kazała Greer zapisywać, a następnie odczytywać celem weryfikacji legendy, które recytowała. Przed paru tygodniami Greer i Mahinę poruszyły spóźnione wiadomości o przewrocie wojskowym w Chile i odtąd często rozmawiały o polityce, wyrażając niepokój o to, jaki wpływ wywrze nowy reżim na wyspę. Greer z każdym dniem bardziej współczuła położeniu Rapa Nui, lecz wiedziała, że niewiele da się zrobić. Chile, niezależnie od tego, kto sprawował tam władzę, było za duże i zbyt potężne, a Rapa Nui za mała, aby istnieć samodzielnie. Raz na rok statek z zaopatrzeniem zabierał wełnę z chilijskiej hodowli owiec na wyspie. Gdyby Chile nie miało do zabrania wełny, nie przysyłałoby statku. A kto wtedy dostarczałby towary - cement i meble, i żywność? Rozmowy dotyczyły jednak nie kwestii pragmatycznych, lecz politycznego idealizmu i prawa do życia w wolności. Zajmowanie się logistyką, myślała Greer, wydawałoby się obraźliwe.

- To niesprawiedliwość - powiedziała.

- Wy nie macie tych problemów - stwierdziła Mahina.

- W Ameryce.

- Och, mamy - zapewniła Greer, krojąc omlet. - Mnóstwo. Dawno temu walczyliśmy z Anglikami o niepodległość. To przynajmniej było proste. Teraz mamy sprawy bardziej złożone. Zabawna rzecz, że w Stanach słowo „rewolucyjny” ma tak negatywną konotację. Ale jesteśmy rewolucjonistami.

- Ko-no-ta-cję?

- To aluzja. Wskazówka.

- Klucz?

- Coś w tym rodzaju - odparła Greer. Mahina zapisała słówko w leżącym obok niej bloku - każdego rana wymieniały się słówkami: angielskie za Rapa Nui, Rapa Nui za angielskie. - Ko-no-ta-cja - wyraźnie wymówiła Greer. - Ładne słowo. Ale zaręczam, że mogłabyś przejechać przez całe Stany i nigdy nie być zmuszona do jego użycia.

- Chciałabym podróżować! - ożywiła się nagle Mahina. - Chciałabym mieć pieniądze i gdzieś się wybrać. Ludzie przybywają tu teraz z różnych stron. Z Niemiec, Australii i New Jersey. Jestem szczęśliwa, że poznam tyle różnych osób. Jestem - Mahina spojrzała na Greer i wolno wymówiła jedno ze świeżo poznanych słów - uprzywilejowana. - Greer potaknęła. - Bóg jest dla mnie dobry. Mimo to chciałabym gdzieś pojechać.

- A do Santiago? Mogłabyś tam polecieć?

- Chodzi o pieniądze - odrzekła Mahina. - Mam stare angielskie książki. Mogłabym je sprzedać, prawda?

- Zależy, co to za książki. Na stare książki jest popyt. Mogłabym poszukać w Stanach kupca.

- Tak, ale oczywiście nie mogę się ruszyć. Muszę czekać na powrót Rafaela.

- Rafaela?

- Mojego męża.

- Męża! - Pierwszy raz od pięciu miesięcy, jakie spędziła tu Greer, Mahina wspomniała męża. - Kiedyż, na litość boską, wyszłaś za mąż?

- Och, treinta y cinco...

- W trzydziestym piątym?

- Trzydzieści pięć lat temu. W sobotę.

- Ale gdzie on jest?

- Na Tahiti.

- Wróci na waszą rocznicę?

- Mam nadzieję. - Mahina energicznie pokiwała głową. - Powiedział, że jeśli Tahiti jest taka śliczna, jak słyszeliśmy, wróci i mnie tam zabierze.

- Jest twoim zwiadowcą.

- Si, si. - Wyjrzała przez okno. Słońce oświetliło jej twarz, więc pozwoliła opaść powiekom.

- Ale residenciall Twój dom? Zrezygnowałabyś z niego dla Tahiti?

Mahina wzruszyła ramionami i otworzyła oczy.

- Nie mówmy już o nim. - Odłożyła nóż i widelec na pusty talerz, serwetką przetarła obrus.

- Muszę ci to powiedzieć - odezwała się Greer. - Moim zdaniem Ramon coś do ciebie czuje. Miętę.

- Miętę?

- Romantyczne zainteresowanie. Pociąg. Obserwuje cię cały czas. Mahina pokręciła głową.

- Ramon jest bratem mojego męża.

- To nie znaczy, że nie może o tobie myśleć w ten sposób.

- Ramon?

- Tak, Ramon. Nie zauważyłaś? Mahina wydała krótkie chrząknięcie.

- A ty, doctora. Do ciebie chyba też ktoś czuje miętę. Amor do doctora, co?

- Do mnie?

- Do mnie? Doctora chciałaby być taka naiwna! Vicente, doctora. Wciąż coś dla ciebie zostawia, książki, kartki, jakieś drobiazgi.

- To tylko kolega. Stara się służyć pomocą.

- Nie jesteś zameżna. Co w tym złego? Nie podoba ci się? Według ciebie jest za niski? - Mahina wzruszyła ramionami. - Chilijczycy są drobni, to prawda. Nie tacy jak mężczyźni Rapa Nui.

- Nie, Mahino, nie jest za niski. - Był wyższy od Mahiny i od Greer. Ale Greer się śmiała, rozbawiona sugestią, że po miesiącach. badania swoich uczuć do niego, tłumaczenia sobie, że Vicente jej nie pociąga, rzecz może się sprowadzać do czegoś tak prostego, tak łatwo dającego się określić: do jego wzrostu. - Ale byłam mężatką.

Mahina przekrzywiła głowę.

- Twój mąż? Zostawił cię?

- Umarł - powiedziała Greer. - Dziesięć miesięcy temu. Na atak serca.

- Och, moja kochana doctora. - Mahina dźwignęła się z krzesła i stanęła za Greer. - Jakie to smutne. - Odgarnęła włosy z szyi Greer, zaczęła masować jej ramiona, po czym oparła brodę na jej głowie.

Greer owiał słodki zapach gardenii i poczuła, jak zamykają się jej oczy. Nie oczekiwała, że dzięki temu dozna pociechy - dzięki swemu wyznaniu, gorącemu współczuciu Mahiny, prostemu dotykowi.

- Dziękuję.

- Doctora - powiedziała Mahina. - Nigdy nie czuj się sama.

*

To, co mówiła o Vicente Mahina, było prawdą - rzeczywiście wpadał często, z książkami, czasopismami i artykułami. Dostarczał Greer do czytania wszystkiego, co mogłoby jej być potrzebne. Podczas cotygodniowych obiadów albo przypadkowych spotkań w laboratorium informował ją na bieżąco o swoich postępach w pracy nad rongorongo i badaniu sprawy Niemców. Zdążyła już nawet poznać jego rozkład dnia. Rano robił skłony i pompki na brzegu morza, - w te wieczory, kiedy przylatywał samolot Lan Chile, czytał nieopodal caleta gazetę z Mariem i Peterem, wymieniając się z nimi każdą skończoną stronicą i wypijając wspólnie butelkę pisco. Właściwie Greer знаła rozkład dnia wszystkich. Ramon co rano po herbacie uprawiał swój ogród; z ogromną przyjemnością przycinał drzewa awokado i gujawy, obrywał zwiędłe kwiaty na rabatach i wolno przechadzał się między rzędami krzewów manioku. Kiedy Greer mijała Espfritu, spod prysznicu dolatywał ją śpiew Svena. Na wyspie panowała małomiasteczkowa zażyłość. Po pięciu miesiącach ludzie wiedzieli, dokąd i kiedy idzie Greer. Dwa razy na tydzień kupowała artykuły spożywcze u Maria, rudzielca poznanego w pierwszym dniu po przylocie. Raz na tydzień szła na coireo, aby wysłać listę rzeczy potrzebnych do badań.

Znajdowała ukojenie w tym rytmie, w zawilości powitań, od których zaczynała codzienną pracę w laboratorium.

Wieczorem, po obiedzie w residencial, zasiadała niekiedy z innymi gośćmi, aby słuchać opowieści Mahiny o wyspie albo udzielać rad, dotyczących tras turystycznych. Zazwyczaj jednak wracała do swojego pokoju, długo stała pod prysznicem i kładła się do łóżka z książką. Teraz ponownie czytała dziennik pokładowy kapitana Cooka. Rzucił tu kotwicę w 1774 roku, jakieś pięćdziesiąt lat później niż Roggeveen:

... Kiedy kapitan zbliżył się łodzią do brzegu, jeden z tubylców dopłynął do niej i zażądał zabrania na statek, na którym pozostał dwie noce i dzień. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po wejściu na pokład, było zmierzenie długości statku od relingu rufowego po ster; a kiedy odliczał sążnie, zauważyliśmy, że liczby nazywa tak samo, jak robią to w Otaheite; mimo to jego język był dla nas wszystkich poniekąd całkiem niezrozumiały...

Zanim wypłynąłem z Anglii, poinformowano mnie, że w roku 1769 wyspę odwiedził statek hiszpański. Pewne oznaki tego widać było teraz wśród otaczających nas ludzi; jeden z mężczyzn miał na głowie niezły europejski kapelusz z szerokim rondem, inny zgrzebną kurtkę z kapturem, a jeszcze inny czerwoną jedwabną chustkę do nosa.

Greer odłożyła książkę i obserwowała wzdętą przez wiatr zasłonę. Patrzyła na wiklinowy nocny stolik, na mahoniowe biurko, na wiszącą nad łóżkiem plakietkę z Marią Panną. Nie tylko ekosystem, lecz także przedmioty cierpiały z powodu odizolowania wyspy. Rzeczy nie znikwały, zmieniały właściciela. Wszystko, co jest w jej pokoju, pozostanie na wyspie. Ta czerwona jedwabna chustka i zgrzebna kurtka z kapturem, pomyślała, są zapewne na dnie czyjejś szafy.

Zdawali się też znać zastosowanie muszkietu i odczuwali przed nim wielki lęk. Tego jednak nauczyli się zapewne od Roggeveena, który, jeśli wierzyć autorom opisującym tę podróż, pozostawił im dostateczne dowody.

... Największa część przemierzonego terenu miała wygląd jałowy, była to bowiem sucha, twarda glina, wszędzie zasłana kamieniami...

Po stronie wschodniej, w pobliżu morza... trzy platformy kamienne albo raczej ich ruiny. Na każdej stały cztery z tych dużych posągów; ale z dwóch pospadały wszystkie, z trzeciej zaś jeden-, na skutek upadku wszystkie z wyjątkiem jednego były potłuczone i w pewnym stopniu zeszpecone...

Greer już przedtem zwróciła na to uwagę: większość moai runęła przed rokiem 1774. A jednak Roggeveen widział je stojące. Musiały więc upaść między wizytą Roggeveena a Cooka, między rokiem 1722 a 1774. Jeśli zwały

się w następstwie klęski żywiołowej, to nie tej samej, która zniszczyła florę, ponieważ Roggeveen zauważył jałowość wyspy. Więc co właściwie je obaliło? Katastrofa o takiej sile bez wątplenia weszłaby do ustnego przekazu, lecz nic takiego w nim nie ma. Czyżby mieszkańcy wyspy sami to zrobili? Po setkach lat rzeźbienia, budowania i przenoszenia? W ciągu dziejów niszczone pomniki - palono kościoły, roztrzaskiwano bożki, oszpecano portrety - ale były to akty przemocy ze strony nieprzyjaciela, najeźdźcy, nowego reżimu. Europejczycy nie tknęli moai. Mahina mówiła o dwóch rywalizujących ze sobą na wyspie plemionach - długich uszach i krótkich uszach. Czy jedno mogło pokonać drugie? A nawet jeśli tak, czemu miałyby zniszczyć największe osiągnięcia wyspy? Zachodni badacze bez końca zastanawiali się nad budową moai, zdumieni faktem, że prymitywny lud potrafił wznieść i przetransportować tak wspaniałe bożki. Ale jak mógł lud, jakikolwiek lud, dopuścić do ich upadku? To pytanie było bardziej interesujące. Greer czytała dalej:

Na całej wyspie widziano najwyżej trzy czy cztery łodzie; a i te bardzo wąskie, zbudowane z wielu kawałków, zszytych ze sobą cienką linką. Mają około osiemnastu bądź dwudziestu stóp długości, dziób i rufę wydrażoną albo lekko wzniesioną, są bardzo wąskie i zaopatrzone w pływaki. Wydają się nieodpowiednie do przewozu więcej niż czterech osób i bynajmniej nie są przystosowane do dalekiej żeglugi...

W czasie całej tej wycieczki, podobnie jak poprzedniego dnia, widziano zaledwie dwa lub trzy krzewy. Liście i nasiona jednego (zwanego przez tubylców Torromedo) zdradzały pewne podobieństwo do liści i nasion wyki siewnej. Nasiona mają niemiły gorzki smak; a tubylcy, widząc, jak nasi ludzie je żują, gestami nakazali je wypluć; z czego wnioskowano, że uważają je za trujące. Drewno jest czerwonego koloru, dość twarde i ciężkie; ale drzewka są bardzo krzywe, małe i niskie, ich wysokość nie przekracza sześciu czy siedmiu stóp. Na południowo-zachodnim cyplu nasi ludzie znaleźli inny mały krzew, o drewnie białym i łamliwym, pod pewnymi względami, jak również z liści, podobny do jesionu. Widzieli też w kilku miejscach otaheitańskie toromiro, ale marne i słabe, wysokości najwyżej dwóch i pół stóp. Nie widzieli żadnego zwierzęcia jakiegokolwiek rodzaju i tylko bardzo nieliczne ptaki; ani w istocie nic, co mogłoby skłaniać statki, jeśli nie są w największym niebezpieczeństwie, do przybicia do tej wyspy...

Greer znów zauważyła, że widzieli toromiro, roślinę zapewne spokrewnioną z polinezyjską morwą papierową, której używa się do wyrobu tkaniny tapa. Jej rozmyślenia przerwały dobiegające z dziedzińca głosy - kobiecy i męski. Kobieta mówiła po hiszpańsku, a choć Greer z trudem mogła zrozumieć zdania,

była niemal pewna, że to Isabel Nosticio. Mieszkała u Mahiny i chyba każdy wieczór spędzała poza domem. Greer wzięła z nocnego stolika dwie ligninowe chusteczki, zwinęła je w kulki i wepchnęła do uszu.

... Żaden naród nie powinien się ubiegać o zaszczyt odkrycia tej wyspy, jako że nie może być miejsc mniej niż ona dogodnych do żeglugi. Nie ma tu gdzie bezpiecznie rzucić kotwicy, nie ma drewna na opał ani słodkiej wody, wartej zabrania na pokład. Przyroda wyjątkowo oszczędnie obdarzyła to miejsce swoimi względami.

Greer zaznaczyła tę ostatnią stronę i zamknęła książkę. Myślała o admirale von Spee, na którego punkcie - zgodnie z przewidywaniami - Vicente dostał nowego bzika, zapomniawszy na razie o rongorongo. Vicente wyglądał na człowieka z ciągłymi obsesjami na punkcie czegoś - balonów na ciepłe powietrze, kryptografii, historii wojskowej Niemiec - i nigdy do końca niezaspokojonymi apetytami. W tej chwili naprawdę podniecała go eskadra von Spee, tak ustawicznie o niej mówił, zastanawiał się, co mogła wywieźć, że rozpałił wyobraźnię Greer. Niemiecka flota wojenna zakotwiczona u brzegów wyspy, dziesiątki oficerów niemieckich, przechadzających się między moai. Z wolna zapadała w sen, lecz w jej głowie kołatało się pytanie: Jeśli marynarze uważali Rapa Nui za tak niegościnną, dlaczego Niemcy zrobili postój właśnie tutaj ?

Następnego wieczoru, kiedy jak co tydzień jedli obiad przed hotelem Espiritu, Greer pokazała Vicente urywek z Cooka.

- Rozumiem cię, Vicente. Jeśli się o tym pomyśli, trzeba zadać pytanie, dlaczego ktoś miałby tu zawijać w celu zaprowiantowania całej floty? O jakiej liczbie mężczyzn mówimy?

- O dwóch tysiącach - odparł.

- Nie można by wybrać gorszego miejsca.

- Chyba że - powiedział Vicente z uśmiechem - chciałoby się zaopatrzyć w coś innego niż węgiel i żywność.

- Albo - dorzucił Sven - chciałoby się przyczaić i ukryć. Na wypadek gdybyście tego nie zauważyli, miejsce jest mało uczęszczane. Niezłe dla floty uciekającej przed całym światem.

- Wkrótce się przekonacie - ze spokojem zapewnił Vicente.

- Czekam na dowody, papiery, które ostatecznie wskażą, gdzie się podziały tabliczki. - Zwykle tak ripostował. Zadziwiał ich tym, że ani przez chwilę nie miał cienia wątpliwości.

A jednak Greer zgadzała się z jego teorią.

- Tylko pomyślcie. Admirał von Spee to człowiek bywały w świecie. Przyrodnik. Pisał o florze i faunie miejsc, w których stacjonował. Czyżby nie czytał dziennika pokładowego Cooka? Miał za zadanie przygotować się na wszelkie ewentualności. Nie rzuciłby po prostu kotwicy w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

- Nie powinnaś go wprawiać w taką gorączkę - powiedział Sven.

- Robisz mu przyjemność.

- Tak się składa, że ona ma rację - stwierdził Vicente. - Von Spee przybył tu z jednego powodu: po rongorongo.

- Ty też - roześmiał się Sven. - Ale to najwyraźniej nic nie znaczy.

- Dobra. Zmiana tematu - oznajmiła Greer.

Tak odbywały się ich cotygodniowe obiady. Każdy mógł mówić o pracy najwyżej pięć minut, bo w przeciwnym wypadku toczyłoby wielogodzinne spory.

- Tajemnicze rdzenie? - zapytał Yicente.

- Nadal tajemnicze - odparła Greer. - Takie same jak w zeszłym tygodniu. Takie same jak tydzień wcześniej. Liczenie ziaren. To proces powolny i nudny. Oszczędzę wam szczegółów.

Posypała swojego kurczaka solą i pieprzem, następnie sięgnęła po najnowszą mieszankę przypraw Svena: kolendrę z sosem mangowym. Wszyscy już od miesięcy jedli to samo główne danie z kurczaka i każdy nowy smak, choćby dziwny, stanowił pożądaną odmianę. Zanurzyła nadziany na widelec kawałek kurczęcia w sosie. Był słodkawy, z korzennym posmakiem.

- Niezłe, Sven.

- Czego nam naprawdę potrzeba, to ładnego półmiska z solonym łososiem, może trochę ziemniaków Hasselback.

- Więc co się tyczy konferencji - powiedział Vicente. - Señorita Nosticio prosiła mnie, żebym wystąpił pierwszy, a chciałbym mieć pewność, czy wszyscy się na to zgadzamy.

- Naprawdę spodziewasz się, że ktoś przyjdzie? - zapytał Sven. - Widzę już, jak tam stoję, gadam o mojej pracy tylko do waszej trójki.

- Zupełnie jak podczas naszych obiadów - zauważyła Greer.

- Właśnie.

- Żartuję. - Miała jednak nadzieję, że ludzie przyjdą. Podobała jej się myśl o udziale w konferencji.

- Ludzie przyjdą, Sven. Mario i Petero, i na pewno Mahina. Inni też. Ale po pierwsze: Uzgodniliśmy, że ja zacznę?

Właśnie kiedy ustalili kolejność - Vicente, Sven, Burke-Jones i Greer - ulicą przeszedł Luka Tepano. Greer często widywała, jak w zadumie mijają dom Mahiny czy hotel. Czasami, jeśli nocą wybrała się do caleta, aby popatrzeć na ocean, potrafiła go dostrzec, siedzącego na skałach. Teraz trzymał pęczek stokrotek.

- To najżałośniejszy bukiet, jaki zdarzyło mi się widzieć - zauważył Sven. - Na żadnej kobiecie pod słońcem nie zrobiłby wrażenia. Nawet kobiety w jaskiniach mają pewne standardy.

- Liczy się sama myśl - powiedział Vicente. - Dla kobiet ma znaczenie, że ktoś pomyślał.

Na te słowa wszyscy instynktownie zwrócili się w stronę Greer.

- Mówiąc w imieniu kobiet: niewątpliwie.

- Cóż, dla mężczyzn także - stwierdził Vicente. - Dla każdego. Chodzi o myśl.

- Znakomita riposta, Vicente... - Sven się uśmiechnął. - Powinieneś być dyplomatą.

- Ucieszy cię wiadomość, że brałem to pod uwagę.

- Ludzie dają kwiaty, ponieważ są ładne. Zwyczajne i proste. Oznaczają piękno. Dlaczego artyści je malują? Bo są ładne. Mam rację, Greer?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Nie pora, aby specjalistka od kwiatów milczała.

- Jestem botanikiem, Sven. Palinologiem. Rozumiesz, że nie jestem kwiaciarką?

- Tak, ale nauka wymaga zbyt wielu nudnych terminów technicznych. No, dalej, coś małego. Wydadź jedną krótką opinię na temat kwiatów, aby nam ułatwić przewyciężenie trudności.

- Dobrze. Według mnie jedyną artystką, która potrafi malować kwiaty, jest O'Keeffe.

- A Van Gogh i jego słoneczniki? - zapytał Vicente.

- Uważam, że jedynym prawdziwym obrazem kwiatów powinien być pojedynczy kwiat. Ilość przesłania piękno. Zbadaj jedną rzecz dokładnie, a wszystko się objawi. Jeden kwiat. Jedno ziarno pyłku.

- Gestem wskazała na nich. - Nawet jedną wyspę.

- Uważaj - droczył się z nią Sven. - Mówisz tak, jakbyśmy robili tu coś ważnego. Ludzie odniosą mylne wrażenie.

- A jednak robimy. - Greer, wzdychając, odchyliła się na krześle. Zaczynało dawać się jej we znaki napięcie, związane z pracą.

- Chociaż wszyscy znaleźliśmy się w impasie, zadajemy właściwe pytania. Ważne pytania.

Przez chwilę rozkoszowali się tym przypomnieniem sensu ich codziennego życia, miesięcy niewielkich, nudnych zadań. Potrzebował tego każdy, zwłaszcza Greer.

- Niech Greer mówi pierwsza - powiedział Sven. - Niech podnieci tłum.

- Już myślę o tym, czy w mojej sytuacji nie wykręcić się, nie udać chorej - odparła. - Nie mam absolutnie nic do doniesienia.

Burke-Jones odepchnął swoje krzesło i wstał.

- Jestem zmęczony - oznajmił. Zanim zdążyli się pożegnać, ruszył ulicą.

- Czy on nie mieszka tutaj w Espiritu? - spytała Greer.

- Tak. Ale lubi się włóczyć. W ten sposób się odpręża.

- Człowiek szalenie intrygujący.

- Cóż, zostawiamy mu dużo swobody - powiedział Sven.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Nie mówiłeś jej? - zdziwił się Sven. - Zasypujesz ją wszelkimi szczegółami, które dotyczą admirała von Spee, martwego od sześćdziesięciu lat, a nic nie mówisz o naszym żywym koledze?

- Jego żona - wyjaśnił Vicente - zmarła niespełna dwa lata temu. A on przebywa tu od tej pory, bada, jak transportowano moai. Jest, czy raczej był, dość znanym londyńskim architektem. Zlecono mu wybudowanie nowego teatru. Byłby to największy teatr w Londynie, ale śmierć żony oznaczała dla niego koniec. Odszedł.

- Biedny Randolph - powiedziała Greer.

Dopili swoje drinki, potem spróbowali ożywić rozmowę narzekaniami na SAAS, domysłami, kiedy przyplynie chilijski statek z zaopatrzeniem, uwagami na temat zamachu stanu, dokonanego przez Pinocheta. Vicente wyciągnął swoją gazetę i pokazał im nagłówek: La muerte de Pablo Neruda.

- Już pięć dni temu - powiedział. - Powodem był jakoby żal, że jego kraj dostał się w ręce takiego dyktatora. I podobno właśnie opublikował poemat o Rapa Nui.

To wraz z historią Burke-Jonesa sprawiło, że wszyscy pograżyli się w zadumie i wkrótce powiedzieli sobie dobranoc.

Greer wróciła do laboratorium, żeby sprawdzić próbkę moczącą się w wodorotlenku potasu. Idąc korytarzem, dostrzegła kreskę światła pod drzwiami Burke-Jonesa. Rozmawiała z nim tylko w czasie obiadów SAAS, teraz jednak poczuła, że musi się przekonać, co się z nim dzieje. Przecież sama wiedziała coś niecoś o smutku, o pragnieniu ucieczki. Drzwi były niedomknięte, więc

zastukała delikatnie, lecz nie usłyszała odpowiedzi. Otworzyła je i ujrzała go pochylonego nad stołem w drugim końcu pokoju; niewidoczne ręce miał czymś zajęte. Zrobiła parę kroków do przodu i zobaczyła, co przed nim leży: miniaturowy krajobraz - wyspa usłana sześciocalowymi moai, drabinami z wykałaczek i kłębkami czegoś, co wyglądało na nić dentystyczną. Były tam otwarte buteleczki z klejem, nożyczki, tektura, kolorowy papier milimetry, a w kącie stało wiadro z papier mache. Burke-Jones nucił smętnie, zajęty dopasowywaniem i zmienianiem miniaturowego krajobrazu.

- Randolph - zawołała. - To ja, Greer. - Ale nie odpowiedział. - Randolph - powtórzyła.

Czy po prostu nie zwraca na nią uwagi? Czy też jest tak urzeczony wyspą, którą dla siebie zbudował, że nie ma tam miejsca dla gościa naturalnych rozmiarów, który bez wątpienia wydałby się olbrzymem, przybyłym, aby zniszczyć jego idealny świat?

*

Zgodnie z przewidywaniami Svena na konferencję przyszło niewiele osób. Wcześniej tego dnia padał deszcz - rzecz w październiku niezwykła - i trzy półkoliste rzędy krzeseł, które ustawiła Isabel Nosticio, ociekały wodą, obrusy na stołach z kanapkami były przemoczone, a biały przenośny ekran, na którym mieli wyświetlać przezrocza, leżał ubrudzony na ziemi. Mimo to wszystkim dopisywał dobry nastrój, bo wypili przedtem dwie butelki pisco sour nad caleta, patrząc, jak do brzegu przybijają łodzie rybackie. Spletli ramiona i tak szli wzdłuż wybrzeża na konferencję, a po drodze opowiadali sobie anegdoty o innych sympozjach. Sven twierdził, że raz w trakcie wystąpienia kolegi szeptem robił uwagi; Vicente spotkał jednocześnie trzech innych lingwistów, którzy też latali balonem nad Andami. Greer nie mogła się oprzeć myśli, co by powiedzieli na historię z obroną doktoratu. Kiedy wcześniej tego dnia szykowała się w swoim pokoju w residencial, uprzytomniła sobie, że konferencja SAAS będzie jej pierwszą prezentacją publiczną od wyjazdu z Wisconsin. Przeglądając się w lustrze, próbowała choć na chwilę pochwycić obraz tamtej młodszej kobiety, tak nieulekłej i ufnej, tę wersję samej siebie, którą ledwie już pamiętała.

Ledwie przybyli na miejsce, wilgotne szczątki sali konferencyjnej pod gołym niebem pobudziły do śmiechu wszystkich, włącznie z Isabel, która na widok garstki słuchaczy zaczęła uświadamiać sobie beznadziejność całego przedsięwzięcia.

Usiedli i zgodnie z planem Vicente wystąpił pierwszy. W białej koszuli frakowej i brązowym krawacie, z elegancką teczką w ręce, wyglądał po

wyjściu na oświetlone latarniami podium niemal jak aktor, pomyślała Greer, jak człowiek nawykły do skupiania na sobie uwagi.

Na początek oficjalnie, po hiszpańsku i po angielsku, podziękował Sociedad, Isabel, swoim sponsorom, kolegom.

- Próba. Próba. - Z uśmiechem postukał w mikrofon. - Czy słyszą mnie wszyscy z tyłu? - W sumie przyszło zaledwie około piętnastu osób, głównie przyjaciół i paru turystów, którzy wcześniej mijali ich w caleta. - Daleko z tyłu? Rząd Z, kontaktujecie? - Roześmieli się wszyscy, nawet Isabel. - Znakomicie - powiedział. - Jak każdemu wiadomo, ontogeneza rekapitułuje filogenezę. Embrion ewoluuje w ten sam sposób co samo życie. Odnosi się to również do ewolucji rodzaju ludzkiego. - Dalej mówił, że najważniejsze punkty zwrotne w dziejach ludzkości - odkrycie ognia, początek pochówków, malowidła naskalne, wynalazek języka pisanego - miały odzwierciedlenie w rozwoju osobowym. Dla każdej jednostki, mówił, był moment odkrycia ognia - talentu, pasji, miłości - potem moment uczenia się, jak grzebać przeszłość, później zaś, jak przedstawiać i utrwalać w piśmie uczucia w stosunku do świata. Na koniec zszedł z podium i powiedział: - Rongorongo jest znakomitym przykładem tego, jak społeczeństwo wymyśla sposób chronienia swoich historii.

Spoza rzędów krzeseł dobiegły oklaski, więc Greer odwróciła się i ujrzała Mahinę w purpurowej sukni, z włosami, które zwykle upinała w kok, teraz rozpuszczonymi i falami spływającymi na nagie ramiona. Przywołana skinieniem Greer, Mahina przecisnęła się między krzesłami, krótko witając każdą z mijanych osób. Po sprawdzeniu, czy miejsce jest suche, usiadła obok Greer.

Następnie wyszedł na podium Sven i przysunął do siebie lampę. Był w dzinsach i spłowiełej trykotowej koszulce żółtego koloru, bez notatek czy kartek. Wyraził specjalne podziękowania Isabel, po czym krótko powiedział o geologicznej sytuacji wulkanów i typach pogody, napomknął, że potrzebuje danych satelitarnych, że ma duży zapas długopisów, obiema dłońmi walnął w pulpit i oświadczył:

- To mnie cholernie nudzi.

Kiedy siadał, piskliwy śmiech Isabel wzbił się w nocne powietrze.

Z kolei Burke-Jones rozpoczął coś, co było jego najbardziej ożywionym wystąpieniem, odkąd Greer go poznała. Włożył świeży garnitur, a jego włosy nosiły w świetle wyraźne ślady grzebienia. Zgodnie z miejscową legendą, powiedział, gotowe moai przeszły z kamieniołomu na wybrzeże, miejscami pokonując odległość aż sześciu mil. Ponieważ tuf wulkaniczny łatwo się

kruszy, a na posagach ani z tyłu, ani z przodu nie widać żadnych zadrapań, moai musiano transportować w pozycji pionowej. Według hipotezy Burke-Jonesa obwiązano im szyje linami, aby je „zataszczyć” na skraj wyspy. Potem mówca złożył końcowe oświadczenie: Dokona symulacji równo za miesiąc. Mówił to z błyskiem życia w oczach. Wyraził nadzieję, że mieszkańcy Rapa Nui wezmą udział w jego badaniach nad osiągnięciami swych przodków.

Zanim Greer jako ostatnia zabrała głos, włożyła pozostawione w trawie skórzane sandały. Pisco zdążyło już wyszumieć jej z głowy. Oświadczyła, że ponieważ dane ma w dalszym ciągu niekompletne, będzie mówić krótko. Przez parę ostatnich tygodni przygotowywała próbki, wirowała, liczyła znane i nieznane pyłki - wykonując pracę, do której kiedyś potrzebny był zespół asystentów laboratoryjnych. Zamówiła książki o pyłkach polinezyjskich i próbki z herbarium w Kew, ale jak dotąd nie nadeszły. Potrwa jeszcze co najmniej miesiąc, zanim będzie miała wyczerpujące dane na temat miejscowej flory w dawnych czasach.

Kiedy stanęła na podium, ona też podziękowała SAAS-owi i Isabel. Podziękowała swoim kolegom, specjalne podziękowania zaś skierowała pod adresem Mahiny Huke Tima, na której twarzy nagle odmalował się wyraz dumy. To podziękowanie też wywołało oklaski - Ramon stał za krzesłami i obserwował nie podium, lecz Mahinę.

Greer otworzyła tekturową teczkę i zaczęła:

- Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrozumiano w związku z ewolucją, z teorią dojrzewania i zmieniania się organizmów, było to, iż sprawą kluczową jest izolacja. Aby nastąpiła znacząca zmiana, organizm musi żyć samodzielnie, oddzielony, można powiedzieć, od swoich rodziców. Wyspy od dawna idealnie nadawały się do badań nad izolacją, a Rapa Nui jest wyspą tak odizolowaną w sensie geograficznym, tak odizolowaną, jeśli idzie o dzieje jej ludności, że w istocie stanowi idealną próbkę do badania typów specjacji, migracji i ewolucji. Wyjątkowość wyspy polega zwłaszcza na absolutnym braku bogactw naturalnych...

Wśród słuchaczy zapanowało milczenie pełne dezaprobaty. Greer podniosła wzrok i zobaczyła Isabel, ze zmarszczką na czole przyciskającą do piersi podkładkę do pisania. Słowa Greer najwyraźniej nie brzmiały bardzo prowyspiarsko. Mówiła mieszkańcom Rapa Nui, że ich wyspa jest gorzej niż na wpół pusta. Jest całkiem pusta.

- Ale ten brak nie mógłby być bardziej znaczący. Bardziej idealny. Przeszła do szczegółów, dotyczących rdzenia, w nadziei że swoje ujemne oceny ukryje za katalogiem liczb. Stosunek Gramineae do Filices w warstwie u podstawy

rdzenia do 26 000 lat przed naszymi czasami... Czterdzieści trzy procent ziół i Pteridophyta na sześciu metrach we wstępnym odwiercie. Kiedy wreszcie oderwała wzrok od kartki, Mahina uśmiechnęła się, lecz następnie ziewnęła szeroko. Vicente przecierał oczy. Greer podziękowała wszystkim za poświęcony jej czas i za uwagę, po czym zebrała swoje rzeczy.

- Jesteś uczciwą kobietą, Greer - dobiegł z za jej pleców głos Vicente. - Mówiłaś, że pobieranie rdzenia to proces powolny i nudny, i miałaś rację.

- Chyba nie cały czas spałeś, Vicente.

- To nie moja wina. Tylko choroba. Jak mnie ktoś zasypuje liczbami i statystykami, mój przeciążony umysł domaga się odpoczynku.

- Ha, ha.

- Diagnozę postawiono na konferencji kryptograficznej, kiedy ktoś przez pięć godzin mówił o związku między liczbami pierwszymi a pismem klinowym. Uratował mnie sen.

- Cóż, Burke-Jones był bardzo inspirujący. Z trudnością nadażalam.

- Tak, mnie wydał się znakomity.

Oboje rozejrzeli się za nim, ale już sobie poszedł. Ludzie kręcili się koło krzeseł. Mahina stała przy stole z zakąskami i podnosiła do światła coś, co wyglądało na chipsa. Ramon szeptał jej do ucha, a ona się śmiała.

- Twoja gospodyni dobrze się bawi - powiedział Vicente.

- Ona mu się podoba.

- Ach, Ramon. Ledwie tu przyjechałem, zobaczyłem, że jest zakochany.

- Chyba do siebie pasują. Zamierzałam ją zachęcać. Ale staram się nie nakłaniać do niewierności.

- On nie jest żonaty.

- Nie, mam na myśli Mahinę. Jej mąż odpłynął. Vicente skonsternowany pokręcił głową.

- Na... Tahiti?

- Tak.

- Biedna kochana Mahina.

- Dlaczego?

- Mówiłem ci; że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy Chile zabraniało mieszkańcom wyspy ją opuszczać, mężczyźni kradli łodzie, budowali tratwy i próbowali dopłynąć do Tahiti. Jednym z nich był mąż Mahiny. Zaginiony na morzu.

- Ale to było z górą dziesięć lat temu. Mój Boże, ona nie spodziewa się przecież jego powrotu.

- Kto wie? Nie chce jednak spojrzeć na innego mężczyznę. Kilku próbowało się zalecać. Jest dość atrakcyjna. Szkoda.

Greer popatrzyła na Mahinę. Ręce miała założone do tyłu, a Ramon pochylał się nad nią. Purpurowa suknia podkreślała ciemny rumieniec na jej policzkach, uśmiech rozjaśniał jej twarz. Vicente ma rację - atrakcyjna kobieta.

- Biedna Mahina - powiedziała Greer.

Parę osób zbierało się do wyjścia. Dwóch nastolatków - Claudio i Cesar - wynajętych na ten wieczór przez Isabel, zaczęło składać krzesła. Isabel i Sven siedzieli obok siebie, dotykali się kolanami.

- Chyba powinnam wracać - powiedziała Greer. - Jutro mam mnóstwo roboty.

- Dalsze liczenie pyłków?

- Cóż by innego?

- Przejdź się ze mną. - Vicente wziął ją za rękę. - Nie możesz wciąż hołdować tym głupim amerykańskim nawykom niezależności.

- Na nich został zbudowany mój naród. Uznaj to za przejaw patriotyzmu.

- Chodź, Greer. Pozwól przynajmniej odprowadzić się do residencial. Doskonale znam drogę. Może aż za dobrze.

Greer popatrzyła na niego, na jego twarz, łagodną i szlachetną w świetle księżyca. Chciała, żeby ją odprowadził do domu, ale tam pożegnanie byłoby trudniejsze.

- Innego wieczoru, Vicente. Odłóżmy to dziś z uwagi na deszcz.

- Na deszcz? Do czasu, aż się poprawi pogoda? Uprzedzam cię, Greer, że nadchodzi lato.

- Ach, tak. Pora sucha. Chyba sobie poradzę.

- To zabawne, wiem wszystko o twoich badaniach, twoim płukaniu w kwasie, twoim liczeniu pyłków. Wiem, kiedy lubisz pracować, co lubisz jeść, pić. Jesteśmy tu tyle miesięcy, dowiedzieliśmy się wszystkich tych drobiazgów o sobie nawzajem, ale chciałbym wiedzieć o innych rzeczach.

- Drobiazgi są ważne.

- Chciałbym jednak wiedzieć, jakie jest twoje życie, kiedy nie pracujesz. Czy to takie straszne pytanie?

Nigdy nie widziała go tak poważnym.

- Nie, to nie takie straszne pytanie, ale czasami trudno na nie odpowiedzieć.

- Tak jak na wszystkie ważne pytania, prawda?

- Masz rację - powiedziała. Pocałowała go w policzek. - Popracuję nad odpowiedzią.

I z tymi słowy odeszła.

Nazajutrz z samego rana obudziło Greer głośnie pukanie. Wygrzebała się z łóżka i otworzyła drzwi Mahinie, która oznajmiła, że z pilną wizytą przyszedł Vicente. (Mahina nie pozwalała mężczyznom zbliżyć się do drzwi swoich lokatorek). To, czego się poprzedniego wieczora dowiedziała o mężu Mahiny, niewyraźnie zaświtało Greer w głowie, kiedy wkładała szlafrok i przechodziła za gospodynią przez dziedziniec do głównego pokoju.

Czekał tam Vicente w dżinsach i białej trykotowej koszulce. Wymachiwał kawałkiem papieru. Minę miał radosną.

- Co? Nie masz kaca? - zapytała Greer.

- Jeden z moich rozlicznych talentów: odporność na pisco. - Podał jej kartkę.

- Oczywiście nie oryginał. Tłumaczenie. Ale bezpośrednio z niemieckich archiwów. Widzisz?

Pilne. Cenny ładunek na pokładzie. Niema szansy powrotu. Potrzebny bezpieczny port na wyładunek. Ładunek nie może pozostać na okręcie.

Był to telegram z okrętu admirała von Spee, „Scharnhorsta”, datowany 22 października 1914 roku. Greer dokonała w myśli obliczeń.

- Dwa dni po ich odpłynięciu z wyspy?

Vicente potaknął, najwyraźniej usiłując zapanować nad podnieceniem.

- To naprawdę coś. Czy jest odpowiedź?

- Jeśli była, zatonała razem z okrętem. Ale może być inna depeza od von Spee. O „ładunku”. Powinna nadejść niebawem.

- Och, Vicente! Uśmiechnął się.

- Wiem - powiedział. - Wiem.

Za jego plecami Mahina wzięła się pod boki i przekrzywiła głowę.

- Doctora, twój kolega przyniósł ci coś jeszcze?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Osiem okrętów zmierza do brzegu. Pięć wygląda na okręty wojenne, czarny dym bucha z ich kominów. Trzy mniejsze jednostki podążają ich śladem. Z krawędzi urwiska Edward i Elsa obserwują tę paradę pełni niedowierzania. Żaden statek nie zbliżył się do wyspy, odkąd tu przybyli. A teraz osiem. Elsie robi się nieswojo, kiedy opływają Anakena i kierują się w stronę wschodniego wybrzeża.

- Nie mają chyba zamiaru rzucić tu kotwicy - mówi Edward. Elsa wzrusza ramionami.

- Akurat tutaj - mówi Edward. - Cóż, musimy ich powitać. Prawdopodobnie to flota europejska. Może brytyjska. Mogą mieć pocztę. A już przynajmniej gazety.

- Niemcy - mówi Elsa.

- Niemcy. Brytyjczycy. Japończycy. Obojętne, jeśli mają gazety. Niemcy. To budzi jej niepokój.

Edward kieruje się w głąb lądu.

- Powinienem wysłać list do Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Podsumować naszą pracę... A ty powinnaś napisać o tabliczkach. Zaostrzyć apetyty tam w kraju. Jeśli pošlemy listy przez te statki, odpowiedzi mogłyby zdążyć na statek Kompanii Chilijskiej. Elso, dobrze się czujesz? ,

Elsa, która nie odrywa oczu od horyzontu, w końcu się odwraca i patrzy, jak Edward idzie przez trawę.

Edward jest przy kucach.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby chcieli zatrzymać się dłużej. - Odwiązuje od słupka i dosiada kuca. - Co?

Elsa podnosi na niego wzrok.

- Alice? - Nie widziała jej od poprzedniego dnia.

- Śpi.

- Ale jeśli się obudzi... powinnam być przy niej. - I jakby z podmuchem wiatru powraca ich kłótnia. Imbecyl - to słowo samo przychodzi Elsie do głowy.

- Będiesz mogła? - pyta Edward.

- Dowiedz się tylko, kim są, i wracaj prędko.

Edward odjeżdża galopem, a Elsa siada na trawie obok namiotu Alice. Zamyka oczy, próbuje się uspokoić. Ale okręty wojenne. Nie potrafi przegnać ich z myśli. Jeżeli to flota niemiecka?

Wkrótce dźwiga się, strzepuje piach ze spódnicy i wchodzi przez zwiewną chmurę siatki. Alice śpi w swoim łóżku zwinięta, w pozycji embrionalnej. Obok Budyń czyści pióra w klatce. Włosy Alice zdążyły już wyschnąć po deszczu i opadają jej na twarz gęste, splątane. Elsa kładzie się przy łóżku, słucha, jak Alice gaworzy przez sen, a te dźwięki są takie delikatne, takie dziecinne, że Elsa wyciąga rękę i głaszcze Alice po ramieniu. Kiedy ta się porusza, szybko cofa rękę. Boi się, że po przebudzeniu Alice znów zapala gniewem. Boi się Alice - na tę myśl przenika ją nagły dreszcz. Wszystko będzie teraz inaczej. Elsa będzie musiała się z tym pogodzić. A tej myśli towarzyszy takie uczucie, jakby strzepiła się na brzegach, jakby coś złapało za niezbędną do życia nitkę i pociągało wytrwale, podczas gdy ona może tylko patrzeć na prucie się kolejnych szwów.

Obudzona rzeniem kuca, wstaje w szarym świetle popołudnia. Na łóżku obok Alice śpi nadal.

- Elso! - woła Edward. - Elsa, kochanie, mamy gości.

Elsa nadaje twarzy czujny wyraz. Wytknąwszy głowę z namiotu, widzi na wzgórzu nad plażą postacie kilkunastu jeźdźców. Galaktykę mosiężnych guzików na granatowym tle. Macha ręką.

- Miałaś rację, kochanie! Niemcy. - Znów głos Edwarda. Głos z sali wykładowej. - Przyplłynęli, żeby wziąć prowiant i trochę pozwiedzać. Opowiadałem admirałowi, co tutaj robimy, i jest szalenie zainteresowany twoją pracą nad tabliczkami. Mówiłem, że chętnie mu jedną pokażesz.

- Teraz? - krzyczy Elsa niegrzecznym tonem, lecz nie potrafi opanować panicznego strachu.

- Admirał liczył, że jedną dziś zobaczy. Od dość dawna są na morzu. Chyba spragnieni jakichś bodźców. - Edward mamrocze coś do stojących półkolem postaci i na pagórku wybuchają krótki, gburowaty śmiech.

- Nalegałem. - Głos, z lekkim akcentem i znajomy, zwraca się do niej.

Ona znów podnosi wzrok, lecz nie może rozpoznać twarzy pod kapeluszami ze złotym szamerowaniem. Będzie musiała tam pójść. Serce wali jej w piersi, kiedy wraca do swojego namiotu, chwyta kohau, z którą jeździła do Kasimira, i potykając się, wchodzi na wzgórze. Pośrodku półkola, z grubym złotym obszyciem kapelusza, stoi admirał.

- Przyniosłaś kohau - mówi Edward. - Znakomicie.

Elsa odwija tabliczkę i jak karabin wyciąga ją w stronę admirała. Jego usta pozostają zaciętą kreską, gdy próbuje zachować powagę, zdradzają go tylko srebrzyste wąsy, których unoszące się w górę czubki świadczą o rozbawieniu. Elsa pyta:

- Was machst du hier! On zwraca się do Edwarda:
- Pani mówi po niemiecku.
- Elsa biegle włada tym językiem - odpowiada Edward. Stara się opanować skrępowanie i w tym celu zsiada z kuca, po czym delikatnie wyjmując rękę Elsy. - Widzi pan, admirale, na każdej kohau wyróżnione są różne postacie. Proszę spojrzeć. Tylko tu? Jedne są w kształcie ptaków, inne - zwierząt. Niektóre to zwykłe gryzmoły. Lecz Elsa już skatalogowała ponad dwa tysiące znaków.
- Pańska żona jest kobietą bardzo pracowitą.
- Prowadziła szeroko zakrojone studia nad językiem Rapa Nui i nad rongorongo. Jest już całkiem bliska dokonania przekładu.
- A o czym mówią te tabliczki, Frau Beazley? Elsa nie potrafi znaleźć słów, by odpowiedzieć.
- Sądźmy - wtrąca się Edward - że zapisana jest na nich historia wyspy. Ta, na przykład, jak mamy podstawy sądzić, tłumaczy przeniesienie moai.
- A czy nie mogłaby być swego rodzaju sposobem przekazywania wiadomości? Jak list zawiadamiający o specjalnej okazji? O małżeństwie?
- Elsa kręci głową. Nie zgodzi się z tym, co słyszy.
- Albo o podróży?
- Widzi pan, admirale, nasze badania nad mieszkańcami Rapa Nui - a Elsa z wieloma przeprowadziła wywiady - dobitnie wskazują, iż na tabliczkach zanotowana jest historia i mitologia wyspy. Są dziełem specjalnych skrybów, szkolonych w posługiwaniu się tym pismem. Dlatego zwykli ludzie nie używali ich do komunikowania się ze sobą. Żona zamierza również zdobyć klucz.
- Dobrze. Gut - mówi admirał. - A teraz - lustruje wzrokiem swoich oficerów - pragnę zapytać Frau Beazley, czy nie zechciałaby na krótko towarzyszyć nam do miasta, żeby pomóc w pewnych transakcjach. Tłumaczyć. Chodzi o prowiant dla marynarzy.
- Edward zwraca się do niej.
- Za parę godzin zrobi się ciemno.
- Odeskortujemy panią z powrotem, zapewniam.
- Kochanie?
- Elsa przenosi spojrzenie z Edwarda na admirała i z powrotem. Widok tych dwóch mężczyzn obok siebie wydaje się czymś niemożliwym.
- Dobrze - mówi. - Prowiant.
- Tylko jeśli się czujesz na siłach - ostrzega Edward. - Mamy za sobą bardzo długi dzień, rozumieją panowie - wyjaśnia Niemcom.
- Pojadę - mówi Elsa. - Sprawdź, co jest z Alice.

- Naturalnie. - Oddaje jej uzdę swojego kuca. - Jesteś pewna?
- Elsa kiwa głową. Kiedy przechodzi obok Edwarda, on szepcze:
- Zobacz, czy nie uda ci się zdobyć dla nas gazety. Twierdzi, że żadnej nie mają, ale może jeśli ty poprosisz. - Elsa dosiada zwierzęcia.
- Odstawimy ją niebawem - mówi admirał i spina konia butami. Elsa ze spuszczoną głową jedzie truchtem na czele mężczyzn, podnosząc czerwony kurz z nadmorskiej ścieżki. Nagle chce pognać do przodu, uciec.
- Reitert hier weg! - rozkazuje głos za jej plecami i stuk wszystkich kopyt raptem ustaje. Ciszę przerywa stęp jednego konia, idącego wolno w jej stronę. Dopiero kiedy on jest przy niej, ostateczny mętlik w jej głowie wyraża się w zadany bez tchu pytaniu.
- Max?
- On wyciąga rękę i ujmuje jej dłoń.
- Mein Liebling.

Rozdział dwudziesty drugi

Do końca października Greer pobrała i zbadała wszystkie rdzenie. Wysłała próbki osadów do datowania metodą węgla C14, aby ustalić ekologiczne okresy na wyspie. Wreszcie nadeszły Badania nad statystyką pyłków hawajskich Sellinga wraz z próbkami z herbarium w Kew, co miało jej pomóc w identyfikowaniu przez następny miesiąc nieznanych ziaren pyłku.

Vicente i Sven pomagali Burkę-Jonesowi podkopywać moai w kamieniołomie - przygotowując jego eksperyment, musieli poruszyć ziemię pod posągiem - więc Greer pracowała w budynku SAAS-u sama. Godziny płynęły spokojnie, kiedy przesuwała swój stołek między dwoma mikroskopami na długich stołach laboratoryjnych. Wymyśliła pochyłą podstawę pod mikroskop, tak żeby nie nadwierać szyi, a w dni, kiedy pracowała dłużej, wkładała cienki kołnier. W południe Mahina przynosiła lunch i Greer czasami pokazywała jej pyłek. Mahina miała dobre oko do subtelnych różnic - potrafiła natychmiast dostrzec każde małe wgłębienie na powierzchni - i lubiła porównywać rzeczy widziane pod mikroskopem z rysunkami w atlasie pyłków.

Czasami, kiedy robili sobie przerwę w kamieniołomie, zaglądał Vicente, żeby się przywitać, albo wpadał Sven i pytał żartobliwie: „Jak tam dzisiaj miewają się pyłki?”. To znów w nocy, czekając na odwirowanie, Greer szła korytarzem do laboratorium Burkę-Jonesa, do którego on uciekał pod koniec dnia, żeby dostrajać swoje miniaturowe światy.

Greer podejrzewała, że obraz wczesnej flory na wyspie, jaki wyłaniał się w trakcie jej badań, może być mu pomocny. Na średnich poziomach rdzeni znalazła pyłek *Tinumfetta semitriloba*, drzewa pospolitego na wyspach Pacyfiku i używanego do wyrobu lin. Jeśli posągi przeciągnięto na linach, powiedziała Burce-Jonesowi, to przypuszczalnie zrobionych z kory tej rośliny.

- Ona nadal występuje na Tahiti - powiedziała Greer od drzwi jego laboratorium. Ponieważ goście go krępowali, nigdy nie przekraczała progę. - Moglibyśmy trochę sprowadzić. Na pewno dałoby się włączyć w to SAAS. Porozmawiaj z Isabel.

Odepchnął krzesło i obejrzał swoje dioramy.

- Naprawdę jestem zdania, że używali czegoś miękkiego, włóknistego.
- Cóż, w takim razie zamówmy dostawę. Wszyscy możemy pomóc w splataniu. Ile potrzebujesz?

Burce-Jones patrzył prosto przed siebie, jak gdyby odczytywał wyliczenia z powietrza.

- Sto siedemdziesiąt osiem jardów.

- Powiedzmy dwieście.
- Dwadzieścia dwa jardy się zmarnują.
- Znajdziemy dla nich zastosowanie. W najgorszym razie zrobimy z triumfett hamak dla przyszłych badaczy z SAAS-u. Czy mam napisać do służby leśnej na Tahiti?
- Chciałbym, żeby symulacja była możliwie dokładna.
- Więc zrobmy prawdziwą linę z triumfett. Zwrócił się do niej z bładym uśmiechem.
- To coś, z czego można się cieszyć.
- Na pewno, Randolph.

Z zamierzchłych dziejów wyspy wyłaniały się też inne rośliny. Pyłki drzewa Sophora toromiro, podobnego do perełkowca japońskiego, znajdowały się w rdzeniach z wszystkich trzech kraterów.

Rodzaj Sophora był znany ze swych dzwonkowatych białych i żółtych kwiatów, pierzastych liści. Sophora toromiro było niewątpliwie tym drzewkiem, które zauważył kapitan Cook: Widziano zaledwie dwa lub trzy krzewy. Liście i nasiona jednego (zwanego przez tubylców Torromedo) zdradzały pewne podobieństwo do liści i nasion wyki siewnej... A zatem toromiro przeżyło wszystkich swych botanicznych rówieśników.

Inne typy pyłków pojawiały się tylko w górnych poziomach rdzeni: pyłki roślin niemal identycznych z Broussonetia papyrifera, morwą papierową, której włóknista kora służy do produkcji papieru, i podobnie jak morwa używanych w całej Polinezji do wyrobu tkaniny tapa. Znowu Cook zauważył w kilku miejscach otaheitańskie toromiro, ale marne i słabe, wysokości najwyżej dwóch i pół stóp... Pyłek morwy nie występował natomiast na najniższych poziomach osadu, co wskazywało, że przybyła ona wraz z pierwszymi osadnikami.

Na najniższych poziomach rejestr pyłków zmieniał się zasadniczo. Znajdowały się tu zarodniki co najmniej dziesięciu różnych Pteń-dophyta, z oczekiwanymi paprociami włącznie.

Najbardziej interesujący był jednak nieznany typ pyłku, który obficie zalegał na spodzie rdzeni - podłużne ziarna, przepołowione dużym zakłębieniem. Niezależnie od tego, jaka to była roślina okrytozalążkowa, ongiś pokrywała całą wyspę, a wyginęła przed kilkuset laty, bo pyłek zaczął zanikać w miarę pojawiania się morwy papierowej. Greer musiałaby przesłać próbkę do Kew, żeby się przekonać, czy mają tam coś podobnego, ale szanse były znikome. Jeśli ta roślina przez tysiące lat występowała na wyspie, tak daleko odbiegła od swoich przodków, że jej genealogię trudno byłoby prześledzić.

Pozostawało wszakże pytanie o drewno. Roggeveen i Cook wspominali o łodziach z długich desek - lecz ani Sophora toromiro, ani pnie morwy papierowej nie mogły wystarczyć do budowy łodzi. Czy pyłek na najniższych poziomach pochodził z dużego drzewa o ciężkim drewnie?

Francuz Jean-Francois de Galaup, hrabia de La Perouse, który odwiedził wyspę w 1786, też zanotował na temat łodzi:

Są zrobione tylko z bardzo wąskich desek, czterech czy pięciu stóp długości, i mogą pomieścić najwyżej czterech mężczyzn. Widziałem ich trzy w tej części wyspy i nie bardzo byłbym zdziwiony, gdyby w krótkim czasie, z braku drewna, nie pozostała tu ani jedna...

Dokładność, z jaką mierzyli statek, wskazywała, że me byli nieuważnymi obserwatorami naszych sztuk; badali liny, kotwice, kompas i koło sterowe, nazajutrz zaś wrócili ze sznurem, aby ponownie dokonać pomiaru...

Monsieur de Langle, towarzysz La Perouse'a, który wyprawił się w głąb lądu, zauważył krzewy morwy papierowej i mimozy, lecz i to, że tylko dziesiąta część wyspy jest uprawiana, reszta zaś porośnięta ostrą trawą. Jedynymi ptakami, jakie wypatrzył monsieur de Langle, były rybitwy na dnie krateru. Wszystkie posągi, widziane przez jego lunetę, już leżały. Nic z tego, myślała Greer, nie różniło się od relacji wcześniejszych podróżników.

Natomiast ku jej zaskoczeniu zarówno Langle, jak La Perouse zakładali, że na wyspie występowała niegdyś inna roślinność. Langle szacował liczbę wyspiarzy na dwa tysiące i dodawał: Są podstawy, aby sądzić, iż ludność była hcześniejsza, kiedy rosło tu więcej drzew. La Perouse wręcz oskarżał Rapa Nui o wylesienie. Utyskiwał na rozrzucone wszędzie kawałki lawy i wyjaśniał:

... te głązy, które nam tak utrudniały chodzenie, są bardzo pożyteczne, bo przyczyniają się do świeżości i wilgotności gleby, częściowo zaś zaspokajają potrzebę zbawiennego cienia drzew, które mieszkańcy tak nieroztropnie wycięli, niewątpliwie w czasach bardzo odległych, wskutek czego ich kraj leży całkowicie wystawiony na promienie słońca, a ubogi w źródła i strumienie...

... M. de Langle i ja nie mieliśmy wątpliwości, że ci ludzie zawdzięczają swe nieszczęsne położenie nierozwadze przodków...

Greer czytała to któregoś dnia wieczorem w głównym pokoju residencial, kiedy weszła Mahina, tuląc w ramionach kilka puszek brzoskwiń.

- Iorana, doctora! Spójrz. Peti. - Po jednej ustawiła puszki na brzegu swego biurka. - Ramon dał nam peti.

- Iorana, Mahina.

Mahina spojrzała na książkę Greer.

- Doctora wciąż pracuje.

- Wiem. Jeszcze jedna europejska książka podróżnicza o Wyspie Wielkanocnej. Znasz jakieś historie drzew w tutejszych legendach? Drzew rosnących tu kiedyś? Kiedy przybył Hotu Matua?

- Już ci opowiadałam historię Hau Maka, którego dusza we śnie poleciała ku słońcu i znalazła najpiękniejszą wyspę.

- Czy w tej historii były drzewa?

- Było wszystko. - Mahina usiadła za biurkiem. - Ryby i owoce, i kwiaty. We śnie dusza widzi wszystko, czego pragnie.

- La Perouse twierdzi, że wypiarze wycięli drzewa. Znalazłam też dziwny rodzaj pyłku w moich rdzeniach, na najniższym poziomie, i zastanawiam się, czy w ustnej tradycji jest coś o drzewach.

- Jedną historię słyszałam w dzieciństwie, ale to tylko legenda, jak mówisz. Nie dla twoich celów naukowych.

- Kto wie?

- No więc ta historia opowiada, jak wyrosło duże drzewo. Pewna kobieta, Sina, kochała mężczyznę imieniem Tuna, ale nie mogła go mieć. Tego jej zabroniono. Miała dużo innych mężczyzn, zalotników, jak mówisz, i ci zalotnicy zebrali się, żeby schwytać Tunę w wielką sieć. W nocy, zanim go zabili, Sina przyszła się z nim zobaczyć, powiedzieć iorana, a Tuna powiedział, że nazajutrz rano ona musi zasadzić jego głowę w ziemi, bo z tej głowy wyrośnie duże drzewo, które będzie jej o nim przypominało.

Greer spisała tę opowieść, a Mahina przejrzała ją dla pewności, że wszystko się zgadza. Ten sam motyw występował w każdej mitologii - drzewo-duch, słup, wokół którego odbywają się zabawy związane ze świętem wiosny, opowieści o śmierci i odrodzeniu, ofierze i wzroście. Życie ludzkie zawsze było związane z życiem roślinnym. W Australii i na Filipinach uważano, że w drzewach gnieźdzą się duchy zmarłych przodków. Dawni Słowianie i indyjscy Kangara wyprawiali „pochówki” zwiędłym roślinom. W mitologii staroskandynawskiej Odyn stworzył pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę z dwóch bierwion, znalezionych na brzegu.

Te opowieści próbowały objaśniać świat, nadawać sens dziczy, w której żyły prymitywne ludy. Po co opowiadać o dużym drzewie, jeśli żadne nie rośnie?

- To zmyślona historia - stwierdziła Mahina.

- Mit o roślinności - odparła Greer. - Ale pożyteczny.

- Mit - powtórzyła Mahina. - Ponieważ nie mamy tu dużych drzew. - Podeszła do Greer i przejrzała parę pierwszych stron książki. - La Perouse, tak, to dobre.

- Wiele papieru zmarnowanego na narzekania, że skradziono kapelusze.

- Kapelusze?

- Hau. - Greer wskazała na swoją głowę. - Jak dotąd w każdej relacji z podróży opisana jest niemal obsesyjna kradzież kapeluszy. Musiały się podobać wyspiarzom.

- Może - odezwała się Mahina po chwili zastanowienia - był im potrzebny cień.

*

W ten letni dzień w pierwszym tygodniu listopada szare chmury przez całe rano wisiały nad głowami. Zebrani wpatrywali się w niebo z nadzieją, że zacznie padać dość wcześnie, zanim jeszcze zakąszą rękawy, owina ręce włóknistymi linami i wezmą się do ściągania moai ze wzgórza.

Burke-Jones, ubrany jak na safari, stał nad dioramą, rozłożoną na masce jego dżipa. Każdą małą figurkę oznaczył numerem, który odpowiadał jednej z pięćdziesięciu żywych osób, oczekujących jego instrukcji.

Greer wyczuwała panującą atmosferę wielkiego podniecenia. Przez ostatni tydzień wszyscy mówili o tym dniu. Oświadczenie, złożone przez Burke-Jonesa w czasie konferencji, okazało się dla wyspy katalizatorem. Prawie stu jej mieszkańców kłębiło się teraz na trawiastych stokach Rano Raraku - kamieniołomu, skąd wydobywano moai - chcieli bowiem zobaczyć, jak robili to ich przodkowie. Burke-Jones, Vicente, a nawet Greer traktowali próbę jak naukowy eksperyment. Ale dla Rapa Nui nie był to fakt do odnotowania w kartotece, tylko ich dziedzictwo, epopeja ich przodków.

Logistyka wprawiała jednak w onieśmienie. Pięćdziesięciu ochotników musiało najpierw ustawić się w długim rzędzie, wijącym się między dziesiątkami zwalonych moai, i czekać, aż Burke-Jones każdemu wręczy tabliczkę z numerem, aby ten ją zawiesił na szyi. Później Burke-Jones wywoływał pięcioosobowe grupy i pokazywał im na swojej dioramie, gdzie mają stanąć. Kiedy wezwano jej grupę, Greer ze zdziwieniem stwierdziła, że nie pominął siebie - mała postać z wykałaczki obok czerwonego dżipa z pudełka od zapalek stała dokładnie w tym miejscu co on. Greer ulżyło na myśl, iż wśród badaczy trafiają się więksi od niej perfekcyjniści. Burke-Jones każdej grupie wyznaczył kierownika - wykałaczkę z czerwonym czubkiem. Ich grupą dowodził Sven.

- O nie - zaprotestował Vicente, paradykujący z numerem „34” na jasnobrązowej koszuli. Zawinał rękawy, a zamiast zwykłych spodni włożył szorty khaki.

- Już czas, żeby okazywać mi pewien szacunek - powiedział Sven.

- Zawsze możliwy jest przewrót. - Vicente mrugnął. - Mam to we krwi.

Burke-Jones podniósł oczy znad dioramy.

- Bardzo uważajcie, gdzie macie stanąć. - Wskazał na rząd postaci z wykałaczek. - Zespół drugi tworzy środkowy rząd po północnej stronie posągu.

Sven zwrócił się do Greer i Vicente:

- Poinformowano mnie, że zespół drugi zajmie pozycję na...

- Jest gorąco, Sven - powiedziała Greer.

- Widzisz, jak odnoszą się do mnie podwładni? - zapytał Sven Burke-Jonesa.

- Na cóż nie narażamy się dla nauki - westchnął Vicente. Burke-Jones nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w dioramę.

- Macie wyznaczone zadania - odparł. - Zespół trzeci!

- Powodzenia, Randolph - powiedziała Greer.

- Szybciej, proszę!

Ochotnicy byli wyraźnie zdegustowani tak stanowczym pokazem władzy. Zespoły trzeci i czwarty odeszły od dżipa niezadowolone, a Sven w końcu zrezygnował z własnej gierki, objął Burke-Jonesa i powiedział:

- Żadne społeczeństwo, choćby na nie wiedzieć jakim poziomie rozwoju, nie mogłoby być tak zorganizowane jak ty. Zaczniemy to taszczenie. - Burke-Jonesa nie dało się jednak odwieść od działania w ustalonym porządku.

Przygotowania trwały ponad godzinę, lecz wkrótce każdy miał już numer, wiedział, gdzie stanąć i kto jest kierownikiem jego grupy. Vicente, który przyniósł aparat fotograficzny, pstrykał Burke-Jonesa, wyznaczającego zadania, pokazującego i oglądającego swoją dioramę, a następnie z wyrazem zdumienia porównującego ją ze sceną, jaką miał przed oczami. To niezwykle, pomyślała Greer: na zboczu wzgórza trzy rzędy wielkości. Ludzie z wykałaczek, ochotnicy normalnych rozmiarów, a nad nimi, w kraterze, leżący na plecach kamienny olbrzym, wysokości dwudziestu stóp, który ma zostać ściągnięty ze wzgórza, aby nad wszystkim górować.

Tuż przed rozpoczęciem akcji Vicente wręczył swój aparat Mahinie i poprosił o dokumentowanie eksperymentu. Stała na uboczu z dziesiątkami wyspiarzy, ludzi starszych i bardziej nieśmiałych, którzy przyszli popatrzeć. Greer była jedną z zaledwie dwóch kobiet dopuszczonych do ciągnięcia, a musiała sobie tę szansę wywalczyć. Burke-Jones chciał odtworzyć warunki historyczne, kobiety zaś niemal na pewno nie pomagały w przesuwaniu moai. Ostatecznie Vicente przekonał go, że ona nie może niekorzystnie wpłynąć na wyniki. Wskazał na siedzącego przy obiedzie Svena.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Z pewnością nie mieli do pomocy Szwedów ani brytyjskich architektów do koordynowania.

Isabel, która przedłużyła pobyt na wyspie z uwagi na eksperyment, ze skrzyżowanymi ramionami stała obok Mahiny, ubrana w różową spódnicę-spodnie i białe tenisówki. Co parę minut pochylała głowę, zsuwała z nosa okulary i bacznie przyglądała się ochotnikom, zwłaszcza Svenowi, po czym znów popychała okulary w górę.

- Na miejsca! - zawołał Burke-Jones, a ludzie zbliżyli się do leżącego na wznak posągu. Szyję oplatano mu pajęczyną lin, ręcznie skręconych z drzew *Triumfetta semitriloba*, które dostarczono samolotem z Tahiti. Przez kilka ostatnich wieczorów Greer, Sven i Vicente zbierali się w Residencial Ao Popohanga, gdzie Mahina uczyła ich i kilkoro swoich przyjaciół skręcać włókna. Zrobili ponad dwieście jardów liny, teraz zwisającej z posągu kawałkami, jak pasma włosów.

Burke-Jones zagwizdał trzy razy, wszyscy przykucnęli i chwycili swoje liny, ożyły czułki. Greer mocno wbiła stopy w trawę, ugięła nogi i trwała w gotowości. Vicente był przed nią, a przed nim Sven. Na gwizdki - dwa długie, jeden krótki - wszystkie zespoły pociągnęły. Twarz Greer poczerwieniała z upału i wysiłku. Piekły ją dłonie, zaciśnięte na szorstkich włóknach liny. Przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, lecz niezależnie od pozycji buntował się każdy mięsień. Zaczęły rozbrzmiewać najrozmaitsze odgłosy. Stękania, jęki, wyraźne *Mi mądre*. Ktoś z drugiej strony posągu przeklinał Burke-Jonesa. W końcu rozległ się gwizdek i wszyscy, oszołomieni i zgrzani, puścili liny, padając na trawę.

Kilka kobiet z widowni machało do ochotników menażkami. Vicente i Greer popijali z własnych. - Zapowiada się długi dzień.

Ochotnicy już doznali zawodu. Pili wodę, ocierali czoła, opierali się o posąg. Greer ostrożnie wyciągnęła szyję, która dokuczała jej po raz pierwszy od ponad roku.

Znów zabrzmiał gwizdek. Złapali za liny. Burke-Jones gwizdnął raz jeszcze. Greer paliły mięśnie, skórę na dłoniach miała obtartą od szorstkiej liny. Znowu gwizdek na przerwę. Nic.

Burke-Jones najwyraźniej to przewidział. Wezwał kierowników trzech grup i rozpoczęło się zbieranie kamieni. W ciągu godziny ich stos wetknięto pod głowę moai - tym sposobem posąg dźwignie się na tyle, że lżej będzie ciągnąć za liny. Kiedy układano kamienie, słońce stanęło w zenicie. Ochotnicy zawiązywali sobie na głowach apaszki i chustki, zlewali szyje wodą z menażek. Za ledwie leciutki powiew szedł znad oceanu. Greer popatrzyła w stronę wybrzeża i u podnóża pagórka zobaczyła Lukę Tepano na jego koniu. Obserwował ruchy ochotników, próbowanie lin, przetaczanie kamieni. Od

jaskini kobiety dzieliła ich dość duża odległość, więc chyba po prostu przyjechał popatrzeć. Sprawiał wrażenie porażonego widokiem, lecz kiedy Greer spojrzała kilka minut później, już go nie było.

Grupa ochotników otoczyła głowę moai; usiedli tak, aby móc nogami głębiej wpychać pod nią kamienie, w miarę jak inni będą ciągnęli posąg. Znow rozległ się gwizdek; tym razem Burke-Jones polecił ludziom się kołysać, w nadziei że coś pomoże, jeśli wszystkie pięćdziesiąt osób zrobi to równocześnie. Uno. Dos. Tres. Hee-yaa! Etahi. Ema. Etom. Hee-yaa! I wtedy po przeciwnej stronie niż Greer wybuchła wrzawa; gwizdek zacharczał, jakby sędzia piłkarski raptem zarządził krótką przerwę. Wszyscy puścili swoje liny. Greer, a za nią Vicente i Sven, pobiegli na drugą stronę. Zespół numer trzy, pięciu zdyszanych mężczyzn, leżał na bardzo niezadowolonym zespole czwartym. Trzasnęła jedna lina.

Burke-Jones zrobił przerwę na lunch, sam zaś oglądał zerwaną linę i dokonywał przesunięć na swojej dioramie. Mahina zeszła ze wzgórza, żeby się przysiąść do Greer i Vicente, a Isabel wyciągnęła nogi w trawie. Wszyscy osłaniali oczy przed słońcem.

- Te liny są za słabe - powiedział Vicente. - Może gdyby były grubsze.
- Miejmy nadzieję, że to liny - rzekł Sven - bo nie chcę dopuścić myśli, że my jesteśmy za słabi.
- Biedny Burke-Jones - westchnął Vicente. - Planował to tyle miesięcy.
- Cóż, Burke-Jones zrobi swoje - stwierdził Sven. - Wierzę temu człowiekowi. Wszystko od A do Z ma zaplanowane w głowie. Możemy tu siedzieć cały dzień, cały tydzień, ale on to robi.
- Teraz potrafimy docenić, jak trudnym zadaniem było przesunięcie tych rzeczy - powiedział Vicente.

Greer powróciła myślą do legendy o drzewie, którą opowiedziała jej Mahina. W trakcie dalszych lektur znalazła podobny mit, znany z innych wysp Polinezji - mit o palmie kokosowej. Oczywiście w żadnym z rdzeni nie natrafiła na ślad pyłku palmy kokosowej. Niewiadomy pyłek nadal czekał na zidentyfikowanie - ani w Kew, ani w Szwedzkim Muzeum Historii Naturalnej nie zdołano go nazwać. Obie instytucje radziły jej przesłać próbkę do Strasburga we Francji, gdzie w świeżo otwartym Międzynarodowym Laboratorium Nauk o Pyłkach zatrudniono ściągniętych z całego świata najlepszych specjalistów od określania pyłków. Greer zastosowała się do rady i trzymała kciuki. Ten gatunek, czymkolwiek był, występował tylko na wyspie i tak bardzo oddalił się od jakiegokolwiek rośliny macierzystej, że całkowicie zatracił wszelkie ślady dziedziczenia. Ale jeśli to jakiś rodzaj palmy? Duże drzewo. używane do

budowy, na tyle mocne, aby przesunąć moai! Liny i kamienie najwyraźniej nie wystarczą, co chyba przyszło też do głowy Burke-Jonesowi, bo teraz rozdawał sękaty deski długości pięciu stóp, zrobione ze specjalnie przysłanych samolotem perełkowców japońskich - najbardziej zbliżonych do drzew toromiro, które niegdyś porastały wyspę.

Z deskami w rękach, z numerkami powiewającymi na wietrze, ochotnicy przypominali grupę maratończyków, gotowych do buntu. Wciągnęli swoje liny po trawiastym stoku na górę i znów zgromadzili się wokół posągu. Greer wątpiła, czy uda się osiągnąć zamierzony cel - drewno perełkowców nie było bardzo mocne, a deski wystarczająco długie. Potrzebne są deski długości posągu, od piętnastu do dwudziestu stóp, na których można by go przesunąć w pozycji leżącej.

Rozbrzmiał gwizdek. Połowa ochotników nadal ciągnęła za liny, zespół trzeci nadal podkładał kamienie, ale teraz dwa zespoły wpychały deski pod głowę moai, próbując ich użyć w charakterze dźwigni. Chwilę później z trzaskiem zaczęły się łamać deski, jedna po drugiej, a potem kolejna lina pękła w środku. Burke-Jones zagwizdał pokonany.

Greer usiadła, żeby złapać oddech. Część widzów już sobie poszła, podobnie jak to robią kibice, kiedy ich drużyna zdobywa tak mało punktów, że tracą nadzieję. Mahina jednak została i robiła zdjęcia ochotnikom, którzy padli na trawę. Greer spojrzała na zegarek - dochodziła czwarta - świadoma, że wkrótce Burke-Jones będzie musiał zakończyć eksperyment. ...

Ze zmęczeniem popatrzyła w stronę nadbrzeżnej ścieżki, gdzie stały zaparkowane dżipy i uwiązane konie i gdzie znów pojawił się Luka Tepano. Tym razem kobieta z jaskini siedziała za nim na koniu i jedną dłonią osłaniała oczy od słońca. Z wolna zbliżyli się do stanowiska, lecz przystanęli w odległości jakichś czterdziestu jardów, wpatrzeni w rusztowanie. Sven, pochłonięty rozmową z Isabel, która ocierała mu czoło koronkową chusteczką do nosa, w ogóle ich nie zauważył. Chyba tylko Greer zdawała sobie sprawę z ich obecności i podniosła rękę, żeby pomachać.

- Ile potrzeba wybić, zanim zostanie się wyeliminowanym? - pytał Sven.

- Ostatni raz jest najszczęśliwszy, prawda? - spytał Yicente.

- Czterdziestu ośmiu mężczyzn, dwie kobiety, cholerne mnóstwo kamieni i drzew. Ile drzew dostał, Greer?

- Dziesięć perełkowców - odparła, znów wciągnięta do ich grupy. - I piętnaście tñumfett na liny.

- Dwadzieścia pięć drzew - powiedział Sven. - Nie można zarzucać człowiekowi, że nie próbował.

- Biedny Burke-Jones - westchnęła Greer, patrząc, jak dokonuje przesunięć na swojej dioramie - niedługo rzeczywiście będziemy musieli spóbować to poruszyć wykałaczkami i nicią dentystyczną. Nic więcej nam nie zostało.

- Prócz wysiłku - powiedział Vicente. - I ducha.

Znów zajęli pozycje, tym razem po drugiej stronie moai - Burke-Jones wszystkich poprzesuwał, jak gdyby prosta zamiana miejsc mogła zrównoważyć niedobór narzędzi. Greer zauważyła, że Luka i stara kobieta nadal się przyglądają. Na gwizdek ostatnie kawałki drewna perełkowca zostały wbite w ziemię, liny chwyczone jak liny ratownicze, kamienie pchnięte. Przekleństwa fruwały w powietrzu, kiedy ochotnicy, podejmując tę ostatnią próbę, dawali z siebie wszystko. Wreszcie jednak gwizdek obwieścił koniec, a Greer upuściła linę i odstąpiła od moai z nieopisaną ulgą. Zapadła cisza; zebrani popatrzyli na Burke-Jonesa, zwróconego w stronę posągu twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu.

- Chyba dziś wieczór wypije cały kubek pisco - powiedział Sven.

- Wygląda na chorego - stwierdził Vicente.

Wszyscy troje otarli pot z twarzy i zataczając się, poszli do dżipa.

- Na razie dajmy sobie spokój. - Sven poklepał Burke-Jonesa po plecach.

- Randolph - odezwał się Vicente. - Dokonałeś tu wielkiej rzeczy. Musimy zawsze sprawdzać nasze hipotezy i podążać za odpowiedziami tam, gdzie nas prowadzą.

- Widzę lodowate pisco sour w twoim ręku, mój przyjacielu. Przez chwilę Burke-Jones miał usta otwarte, po czym je zamknął.

Zupełnie jakby po sześciu godzinach niesłuchanej aktywności wyczerpała się jego energia. Wydawało się, że nie ma już nic do powiedzenia.

- Randolph - zaczęła Greer. - Moim zdaniem to, co widzieliśmy tu dzisiaj, może być związane z czymś innym, co widzę w moich rdzeniach...

Burke-Jones wolno pokiwał głową, po czym wlaź do dżipa, uruchomił silnik i odjechał. Diorama, która dotąd leżała na masce, wzleciała w górę i spadła na trawę; dżip z pudełka po zapalkach wylądował dokładnie tam, gdzie stał prawdziwy dżip, a figurki z wykałaczek rozproszyły się na wietrze.

Tego wieczora, po powrocie Greer do residencial, czekał na nią pod drzwiami jej pokoju list z Międzynarodowego Laboratorium Nauk o Pyłkach w Strasburgu. Rozdarła małą kopertę. List był odręczny.

Jezu! Nie mam tu nic podobnego do tego maleństwa, które mi przysłałaś, ale idę o zakład, że to gatunek palmy. Nazwij to przewidywaniem opartym na posiadanych informacjach. Będiesz jednak potrzebowała jakiegoś dowodu,

weryfikacji (potrzebują tego wszyscy dobrzy naukowcy, prawda!). Może poszukaj makroskamieUn. Skamieniałych liści, kory, orzechów.

Wyspa Wielkanocna! - obawiałam się, że znikłaś z powierzchni ziemi (adres dla doręczeń na pocztę następnym razem! albo numer telefonu! Mają tam chociaż telefony!). Kiedy dowiedziałam się o Thomasie, próbowałam Cię złapać. Wygląda na to, że ktoś nie chciał być złapany. Powinnaś kierować Programem Ochrony Świadka! Tak czy owak, należy złożyć kondolencje.

Jeśli będziesz kiedyś przejeżdżać przez Strasburg, musisz wpaść i powiedzieć cześć. Pdte jest boski, wino - primo. Nie ma tu nurkowania z akwalungiem, ale i tak dałam temu spokój, bo wypadł mi dysk. Palę, nie wiem, z pięć paczek dziennie. Jestem szczęśliwa.

Często o Tobie myślałam, wiesz. Proszę Cię, odwiedź. Najlepsze życzenia.

Josephine (francuscy kumple nalegają, a mnie imię chyba się teraz podoba)
Banks

PS Powinnaś pomyśleć o podpisywaniu się doktor Sandor. Kiedy na formularzu z zamówieniem analizy zobaczyłam doktor Farraday, o mało nie dostałam ataku serca. A także, czy słyszałaś o ekspedycji Krajowego Tow. Geograficznego, która wyrusza na Surtsey w lutymi Coś dla Ciebie. Szukają palinologa.

Greer usiadła na łóżku i położyła list obok siebie. Ściągnęła buty, wilgotną koszulę i jeszcze raz popatrzyła na kartkę papieru. Jo. Greer myślała, że Jo już nigdy się nie odezwie, że machnęła na nią ręką. Nigdy nie miała o to pretensji, bo wiedziała, jak ciężko musiało być Jo, kiedy Greer oskarżono o plagiat, upokorzono na oczach całego wydziału. Przecież Jo ani przez chwilę nie miała wątpliwości, co zrobił Thomas, a musiała patrzeć, jak Greer z uporem zaprzecza. Jo na pewno wiedziała, że jeśli oskarży Thomasa, wyda się to podejrzane, że jeśli po prostu wystąpi w obronie przyjaciółki, będzie to wyglądać na zazdrość odtrąconej kochanki. W końcu nie miała innego wyjścia, jak tylko pozwolić, żeby Greer sama się domyśliła. Chyba nie przypuszczała, że Greer zajmie to pięć lat.

Greer patrzyła na autograf Jo, na znajomy charakter pisma. Choć te nieoczekiwane pozdrowienia powinny ją uszczęśliwić, siedząc w pokoiku, gdzie spędziła parę ostatnich miesięcy, poczuła nagłą irytację. Kartka przypomniawsza za wiele i zbyt nagle. Jo, Thomasa, pracę doktorską. Wszystko, przed czym uciekła aż tutaj. Teraz cała ta część jej życia w Madison wydawała się niepojęta.- Od śmierci Thomasa dręczyło ją pytanie: Jak mogła nie widzieć? Dlaczego nie dopuściła myśli o zdradzie? Była kobietą inteligentną; skończyła

college summa cum laude, miała doktorat z botaniki i palinologii. Kiedy jednak przedstawiono dowody, po prostu się odwróciła.

Raz jeszcze spojrzała na list, złożyła go i na powrót wsunęła do koperty. Bolały ją kończyny, ale teraz nie mogłaby zasnąć. Nie chciała leżeć w łóżku i szeptem powtarzać systematyki roślin.

Przebrała się więc i wyruszyła na poszukiwanie Burke-Jonesa.

W laboratorium panowały ciemności. Wyczerpani Vicente i Sven poszli spać do swoich hoteli, zatem może i Burke-Jones wrócił do Espiritu. Ale jego milczenie w chwili, kiedy widziała go po raz ostatni, sugerowało coś innego. Greer zapaliła światła i zajrzała do jego pokoju. Wszystko tam było w porządku, tylko po nim ślad zagał. Przekroczywszy próg, po raz pierwszy ujrzała cały ogrom stworzonego przez niego świata. Długi stół pod przeciwległą do drzwi ścianą to był dopiero początek. Na każdym z sześciu małych stołów, ustawionych prostopadle do ścian po obu stronach pokoju, znajdowała się inna wyspa z zielonego papier-mache, małe moai w gąszczu nici dentystycznej i wykałaczek. Tu i ówdzie posągi wspierały się na ułożonych w kupki Zelkach. Greer musnęła czubkami palców głowę jednego z nich; ta sama co u prawdziwych posągów ziarnista tekstura - tuf wulkaniczny. Czy Burke-Jones zapłacił rzeźbiarzowi za wykonanie setek moai wielkości puszek z wodą sodową? Czy też wyrzeźbił je sam, tak jak z drobiazgowością zbudował wszystko inne?

Szła labiryntem przemiennych wszechświatów - różnice między nimi były subtelne. W niektórych moai znajdowały się w pozycji tylko trochę bardziej pionowej niż w innych, aż wreszcie zrozumiała: chronologia. Oto historia wyspy wyłożona w pokoju na stołach. Na ostatnim Burke-Jones umieścił obalone moai, stworzył jałowy krajobraz poprzewracanych posągów.

Greer pogasiła światła i wyszła na dwór. Powietrze było teraz chłodne, niebo ciemne, więc w drodze do miasta posługiwała się latarką. Wstąpiła do hotelu Espiritu i od podchmielonego Eliana, nocnego stróża, dowiedziała się, że Burke-Jones jeszcze nie wrócił. Elian podniósł do ust niewidzialną szklanekę i pociągnął z niej łyk.

- Señor Burke-Jones chyba popija.

Po wyjściu z hotelu Greer ruszyła na główną ulicę - Burke-Jonesa nigdzie ani śladu. Skierowała się w przeciwną stronę niż centrum i wypatrzyła jego dżipa przy drodze do dawnej kolonii trędowatych. Ścieżką dotarła do miejsca, gdzie księżyc oświetlał półkole opuszczonych chat. Przed jedną z nich dostrzegła siedzącą postać.

- Randolph?

Nie usłyszała odpowiedzi, ale kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że to wcale nie Burke-Jones, tylko Luka Tepano.

Kolana miał podciągnięte do piersi, nogi obejmował ramionami. Jego dłonie spoczywały na butach, broda na kolanach, teraz jednak podniósł wzrok.

- Widziałam cię dzisiaj przy moai - powiedziała Greer, a były to jej pierwsze skierowane do niego słowa. - Habla usted ingles! Szukam przyjaciela. Brytyjskiego inżyniera. Tego, który przeprowadzał eksperyment. -

Luka Tepano uśmiechnął się półgębkiem, lecz Greer nie miała pewności, czy zrozumiał. W dalszym ciągu trzymał brodę na kolanach. Był stary, miał twarz porytą głębokimi bruzdami, lecz gładko wygoloną, a w gęstych włosach schludny przedziałek. Mimo znoszonej odzieży sprawiał wrażenie zadbanego. Jego postawę cechowało spokojne dostojeństwo. Najwyraźniej trwał pogrążony w rozmyślaniach. Jeśli Burke-Jones tędy przechodził, należało wątpić, czy Luka Tepano go zauważył.

- Iorana - powiedziała Greer, cofnęła się w stronę wybrzeża i poszła dalej ścieżką na cmentarz - tą samą trasą co w pierwszym tygodniu po przybyciu na wyspę. Zobaczyła go tam, wśród rozproszonych krzyży.

- Randolph, to Greer. Przyszłam tylko zobaczyć, czy ńic ci nie jest. Przybliżyła się do krzyży, białych na tle czarnego nieba, z rozrzuconymi u ich stóp stokrotkami i nasturcjami.

Opierał się o nagrobek, ręce złożone miał na kolanach, minę pogodną.

- Spójrz. - Odchylił głowę do tyłu. - Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Krzyż Południa.

Greer popatrzyła na gwiazdy, gęste jak płatki śniegu.

- Są jakieś korzyści z niewielkiej liczby latarni ulicznych - powiedziała.

Usiadła przy nim. Na krzyżu naprzeciwko widniał napis: Te Haha Huke. 1864-1922. Urodzony w 1864, roku przybycia misjonarzy, długo po upadku ostatniego moai.

- Posłuchaj, Randolph, jest coś w mojej pracy, co mogłoby ci pomóc. Nie tylko drzewa Tnumfetta semitriloba, lecz także palmowe - powiedziała. - Na wyspie mogło rosnąć jakieś drzewo palmowe. Mam skamieniały pyłek rośliny, która mogła występować na całej wyspie w chwili przybycia pierwszych osadników, choć nic z tego, co znamy, do niej nie pasuje. Ja podejrzewam, że to palma, dobra badaczka w Strasburgu też, ale nie wiem, do jakiego należy gatunku. Mogła posiadać nieskończenie wiele właściwości, więc nie znając gatunku, nie dowiemy się dużo o życiu wyspy. Była tu jednak nie tylko Sophora toromiro. Tego jestem pewna.

- Znakomicie.

- Mieli coś więcej niż liny - powiedziała Greer. - Rozumiesz, do czego zmierzam?

Przysunął się teraz do niej, z twarzą spokojną - myślała, że zaraz odpowie, ale przylgnął do jej ust wargami ciepłymi, suchymi i delikatnymi. Greer wyczuła w swoim ciele zaciekawienie tą zapomnianą formą zażyłości.

- Przepraszam - powiedział, odrywając się od niej.

- Nie szkodzi, Randolph. - Oparła się o nagrobek. Był to jej pierwszy pocałunek od prawie roku, pierwszy od dziesięciu lat pocałunek z kimś innym niż Thomas. Zrobiło jej się dziwnie.

- Widziałas kiedyś Lydię? - zapytał. Powoli wyciągnął z tylnej kieszeni portfel, wypchany skrawkami papieru. Bez żadnego szukania wyjął małą, zniszczoną na brzegach fotografię; po ciemku Greer niewyraźnie zobaczyła twarz kobiety. - Lydia - powiedział.

- Jest piękna. - Greer wzięła fotografię i trzymała przed oczami, jakby mogła widzieć dokładnie. - To piękna kobieta.

- Kiedyś czytała o Wyspie Wielkanocnej. Książkę ilustrowaną. I wiesz, co powiedziała? Powiedziała: „Randolph, jestem ciekawa, jak przesunęli te olbrzymie rzeczy”. - Odebrał Greer fotografię i schował do portfela. - Dostyc tego.

- Randolph. - Greer wstała. - Powinieneś się przespać. - Wyciągnęła rękę, a on je złapał - poderwał się z ziemi, o tyle lżejszy od posągu, który ona przez cały dzień starała się poruszyć.

Bez słowa wrócili do Hanga Roa i zostawili dżipa na ulicy. Z hotelu Espiritu wychynął uśmiechnięty Elian, niewątpliwie przekonany, że Greer znalazła Burke-Jonesa na drodze, zalanego w trupa. Rzucił się, aby go złapać za ramię i wprowadzić do środka.

Greer poszła do Mahiny. Mijała inne hoteliki i residenciales, patrzyła na smugi światła sączącego się przez drewniane okiennice, ciekawa, czy za tymi oknami są ludzie, którzy tak jak Burke-Jones przybyli na tę wyspę w poszukiwaniu niemożliwej odpowiedzi. Na widok szyldu Residencial Ao Popohanga skrzyła w lewo, do drogi prowadzącej na południowe wybrzeże. Dochodziła dziesiąta, lecz Greer jeszcze nie była gotowa wrócić do swojego pokoju, do listu, do myśli o tym, co straciła.

Po ujawnieniu oszustwa Thomas zrezygnował z katedry w Harvardzie, spakował swoje laboratorium, gabinet i wszystko przewiózł do Marblehead. Milczał w czasie przeprowadzki, przenosił całe swoje życie - notatniki z dwudziestu lat, pełne danych, nagrody w ramkach, wycinki prasowe, wzmianki pochwalne, list od Alberta Einsteina - w kartonowych pudłach, spisywał, gdzie

co pójdzie: na strych, do sutereny, do gabinetu - jak gdyby chciał zaprowadzić porządek w chaosie.

Greer wciąż jeszcze usiłowała pojąć, co się zdarzyło. Sfałszował dane. Nie ma Magi. Bruce go zdemaskował. Ale gdzież była wtedy ona? Co robiła jako żona człowieka, któremu tak mało zależało na nauce? Któremu tak mało zależało na niej, że - teraz to zrozumiała - przed laty przywłaszczył sobie jej równanie?

Wiedziała, że musi od niego odejść. Tylko nie wiedziała jak.

- Nie oczekuję, że ze mną zostaniesz - powiedział pewnej nocy Thomas.

Greer zachciało się śmiać - latami próbowała spełniać jego oczekiwania, a teraz on niczego nie oczekuje.

- Nie odchodzę ze względu na ten skandal - powiedziała. - Wiesz, dlaczego to robię. - Nie umiała wyrazić gniewu słowami.

- Wiem.

Siedział na werandzie, ze starym notatnikiem z Wisconsin na kolanach. Sprawiał wrażenie dziwnie spokojnego, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby nie miał za co przepraszać.

- Dlaczego nigdy nie wspominałeś o oszukańczym zapyłaniu?

- spytała. - W tych wstępnych wykładach. Figowce-dusicieli. Bukietnica malajska. Bylica piołun. Czemu nie włączyłeś czegoś o kwiatach-widmach czy słonecznych storczykach? Kwiatach, które udają coś, czym nie są? O mimetyzmie, pozwalającym zwabiać pszczoły.

- Lily, masz prawo być rozczarowana.

- Mam prawo być cholernie wściekła.

- To nie miało żadnego związku z tobą.

- I jest w całej tej sprawie najgorsze, Thomas. Zdecydować się na odejście to jedno, a pójść gdzieś to drugie.

Greer pisała na inne uniwersytety, pytała o stanowiska techniczne, składała podania o granty. A potem, kiedy wciąż jeszcze nie wiedziała, gdzie chciałyby być, Thomas dostał zawału. Zmarł w karetce, w drodze do szpitala.

Nie zapytała go o pracę doktorską, choć teraz było jasne, że wziął jej równanie. W dalszym ciągu jednak nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mu na to pozwoliła. Pytanie przez wiele miesięcy nie dawało jej spokoju. Pakując jego rzeczy, zajmując się pogrzebem i tonąc w papierkach ubezpieczeniowych, wciąż powracała myślami do tego wieczora w Madison, kiedy przyjechał ze swojej konferencji i wyciągnął szampana, zastanawiała się, dlaczego mu nie powiedziała: Okradłeś mnie.

Lecz w końcu, po tylu miesiącach spędzonych na wyspie, po konsternacji i ukojeniu smutku, zrozumiała motywy swojego postępowania. Udawała, że nie dostrzega oszustwa, aby zachować dawne wyobrażenie o człowieku, w którym się zakochała, trwać w złudzeniach co do niego, co do ich wspólnej przeszłości.

Miłość, myślała, czy wspomnienie miłości ma zdecydowaną wolę przetrwania, jest najsilniejszym z wszystkich uczuć.

Greer nie miała pewności, jak daleko zawędrowała ścieżką. Była zmęczona, czuła w kościach całodzienny wysiłek. Zeszła tam, gdzie do skał dotykała trawa, i wyciągnęła się na niej. Chłodzona wietrzykiem znad oceanu, patrzyła na wąską szczelinę w skale pod sobą. Tyle pęknięć w tej wyspie, pomyślała, jak gdyby całą upuszczono kiedyś niedbale z olbrzymiej wysokości.

Oczy jej wysychały, powieki opadały pod własnym ciężarem. Przed nią coś podobnego do miniaturowego kraba sunęło po ciemnej ziemi, szybko przebierając nóżkami. Zbliżyło się, połyskliwe i czarne w świetle księżyca, z przebłyskiem czerwieni pod brzuchem.

- No i jesteś - wymamrotała, zapadając w sen.

Rozdział dwudziesty trzeci

Na krawędzi krateru Rano Raraku Max mówi Elsie o wojnie. Wiadomość o zabójstwie arcyksięcia i wypowiedzeniu wojny przez Austro-Węgry dotarła do niego w Chinach, po czym jego flota, stacjonująca w Tsingtao, miesiącami próbowała się przedrzeć z powrotem do Niemiec. Pagan, Ponape, Eniwetok, Majuro, Samoa, Tahiti, Wyspa Bożego Narodzenia - zygzakami przemierzyła już osiem tysięcy mil oceanu.

- Osiem okrętów, wciąż płynących w chmurze czarnego dymu, niewykrytych przez alianckie patrole - mówi Max i patrzy w głąb krateru na dziesiątki do połowy wyrzeźbionych kamiennych twarzy. Na wyspie Fanning wysadzili w powietrze stację telegraficzną. Na Bora Bora udawali Francuzów, wywiesili flagi francuskie i przemaalowali nazwy okrętów. Max wylicza każde miejsce zakotwiczenia, każde otarcie się o niebezpieczeństwo. Po tak długim czasie, spędzonym wyłącznie w towarzystwie swoich oficerów, jest chyba uszczęśliwiony możliwością swobodnej rozmowy, wyraża lekkie zdziwienie bądź lęk, że znalazł się w wirze wojny, która ogarnęła całą Europę. Niczym nie przypomina mężczyzny zapamiętanego ze Strasburga, mężczyzny z takim opanowaniem siedzącego na tamtej ławce, kiedy ona mówiła o Alice.

- A ty, Elso, jak długo tu jesteś? Na tej wyspie. To musi być dla ciebie dziwne.

- Dziwne, owszem... - Przez dwa lata na jej życie składała się tylko ta wyspa: Alice i Edward, Te Haha i Puszka Herbatników, tajemnicze pismo, język. Przez dwa lata była pogrążona w nowości, unoszona spokojnym prądem rzeczy nieznanymi. A teraz, patrząc na Maksa, czuje się nie na swoim miejscu.

- Elso, jesteś chora?

- Nic mi nie będzie. Ja... ja nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

- Nie jesteś z tego powodu... nieszczęśliwa?

- Po prostu się przyzwyczajam.

- Ale myślałaś o mnie?

- Oczywiście. - Nie myślała o nim jednak tak, jak wcześniej zakładała. Zdaje sobie sprawę, że go zastąpiła, i to nie Edwardem, a swoją pracą. Zupełnie jakby badając przeszłość wyspy, w pewnym sensie oderwała się od własnej przeszłości. Tak jakby przeszłość była po prostu czymś, z czym jest związana, walizką, którą musi nosić, ale która może zawierać cokolwiek. Jej osobiste rozczarowania wymienione na upadek cywilizacji.

- Jesteś jeszcze piękniejsza.

- Chyba za długo patrzyłeś na swoich oficerów.
- Czy to... tak, chyba tak. Ciebie uśmiechu?
- Max.

Coś w niej otwiera się z trzepotem i Elsa wyciąga rękę, aby delikatnie dotknąć jego dłoni. Jakież to dziwne, że widzi siebie przed trzema laty w Strasburgu siedzącą obok niego na tej ogrodowej ławce, osłoniętej żywopłotami i krzewami, na tym skrawku ziemi, który uczynili swoim własnym. Max w brązowym codziennym garniturze, z fajką, mówi jej o różnych gatunkach kwiatów w ogrodzie, o ich naturalnym siedlisku, zwraca uwagę, jak idealnie dziobki kolibrów pasują do długich płatków fuksji.

Zimny wiaterek chłodzi twarz Elsy.

- Robi się późno - mówi i wstaje.
- Elsa.
- Przepraszam.
- Przyjedź jutro. Przyjedź do portu, gdzie stoimy na kotwicy. Proszę. Jeszcze trochę porozmawiamy. Ty opowiesz mi wszystko o swoich tabliczkach i posągach. A jeśli zechcesz, o swoim mężu.

Elsa dosiada kuca. Kiedy bierze od Maksa latarnię, świta jej w głowie nieprawdopodobna myśl.

- Nie przypląnąłeś tutaj... ze względu na mnie?
- Wiedziałem, że tu jesteś.
- Ale... - Elsa nie wie, co chce powiedzieć.
- Przypląnęliśmy z Chin przez cały Pacyfik, po drodze zatrzymując się na kilku wyspach. Musieliśmy zgromadzić nasze siły. A ty byłaś na wyspie. Na południowym Pacyfiku. Na tej wyspie, Liebling. Nie mogłem się zdecydować na bunkrowanie na Juan Fernandez.

- Nie potrafię uwierzyć, że na ciebie patrzę. Tutaj.
- Musisz odpocząć, Elso. Jest późno. Ale przyjedź jutro. - Spogląda przez ramię na ciemniejące zbocze i wydaje przenikliwy gwizd. Ciszę przerywa tętent konia. Zjawia się na nim oficer, który go zatrzymuje i saltuje. Rysy Maksa znów twardnieją w wyrazie surowości. Jego lśniąco czarne buty przyciągają się jak magnesy. Saltuje.

- Elso. - Zwraca się do niej i obejmuje ją za ramiona. - Oczywiście zdajesz sobie sprawę... że nie wolno ci mówić o wojnie nikomu. - Zniża głos. - Nikomu!

Ona wie, że chodzi zwłaszcza o Edwarda.

- Nicht. - Wypowiada to słowo i odjeżdża do obozu za milczącym oficerem. Nazajutrz rano mówi Edwardowi, że eskadra poprosiła ją o pomoc.

- Z pewnością bez skrepowania wyrażają swoje potrzeby. - Edward parzy herbatę, wyciąga i zanurza srebrną kulkę w wodzie. Zużyli już prawie cały zapas herbaty, więc teraz biorą jej zaledwie szczyptę, próbując z tego wydobyć możliwie cały smak.

- Chcą kupić żywy inwentarz - mówi Elsa. - Najlepiej będzie, jak pogadam z wyspiarzami. Dla uniknięcia nieporozumień z zapłata.

- Tak. Trzeba im pomóc. Wciąż ani śladu gazet?

- Dziś jeszcze raz spróbuję.

- Należałoby się spodziewać, że zaoferują coś w zamian za okazaną im pomoc.

- Należałoby się spodziewać.

- Przyszło mi do głowy... - zaczyna Edward, podsuwając Elsie filiżankę herbaty. - Okazywali wyjątkowo duże - z małego ognia bierze czajnik i nalewa wrzątku do drugiej filiżanki - zainteresowanie tabliczkami. - Zanurza kulkę i obraca nią w zadumie. - Może nieroztropnie byłoby pokazywać Niemcom twoją pracę przekładową.

- Edward.

- Musisz przyznać, że zachowywali się dziwnie. Zachowanie Maksa oczywiście mogło się Edwardowi wydać podejrzanym.

- Zdaję sobie sprawę, Elso, że moje morskie doświadczenie ogranicza się do klasy sportowej. A mimo to. Są rzeczy ważniejsze, kiedy się stoi na kotwicy, pewna hierarchia spraw, które się załatwia. Drewniane tabliczki? Nie. Bardzo bym nie chciał, żeby o twojej pracy, naszej pracy rozgłosili inni. A w razie gdyby chcieli fotografować moai, chyba najlepiej będzie, jeśli ukryję wykopaliska.

Zdaniem Elsy nie ma sensu dowodzić, że Max zachowywał się normalnie.

- Najbezpieczniejszym miejscem jest szkuner - mówi Edward. - Mogę go wyczyścić, przyprowadzić i tu załadować. Niczego nie zobaczą. Według mnie należałoby też przenieść tam twoje dzienniki.

- Oczywiście.

Z namiotu Alice dobiega skowyt, a potem słowa.

- Niedobry Budyń.

Edward pociąga długi łyk herbaty.

- Chcę cię poinformować, że wszystko jej wyłożyłem. Szczegółowo objaśniłem zasady naszego związku. Wszelkie kontakty fizyczne są zakazane. Pocałunki, pieszczoty. Ona rozumie, że o tym nie ma mowy. Była dość zasmucona. Gniewa się na mnie. Czuje, że ją... odtrąciłem. W moim przekonaniu powinienem chwilowo trzymać się z daleka.

- Postępuj zgodnie ze swoim przekonaniem. - Elsa wstaje od stołu. - Zobaczę, jak ona się miewa.

- Może nie zechce widzieć i ciebie.

- Miewaliśmy z Alice trudności na długo przed twoim pojawieniem się w naszym życiu. Kłóciłyśmy się też dawniej. Wszystko będzie dobrze. Z nią też.

Lecz w namiocie Alice odwraca się do Elsy tyłem.

- Allie. Nie możesz wiecznie być taka zagniewana.

- Budyń - mówi Alice. - Nie gniewaj się.

- Allie, spójrz na mnie. Odezwij się.

- Stale odzywam się do Budynia.

- Allie, jadę do Vinapu. Chcesz jechać ze mną? Alice odpowiada naburmuszonym tonem:

- Vinapu. Vinapu. Vinapu.

- Nie musisz, jak nie chcesz. Przyjdę do ciebie później, jak wrócę - mówi Elsa.

- Budyń nigdy nie jeździ do Vinapu.

Elsa podchodzi od tyłu i niepewnie całuje głowę Alice, siedzącej całkiem nieruchomo.

- Wrócę niebawem - mówi. - Niedługo zobaczą cię i Budynia. Po opuszczeniu kłapy namiotu woła do Edwarda:

- Czuję się dobrze. Chce tylko trochę odpocząć.

Elsa wyrusza następnie wzdłuż południowego wybrzeża w stronę portu.

Jadąc ścieżką, czuje w powietrzu kwaskowaty zapach palonego węgla. Słyszy szcęk łańcuchów i lin, warkot silników, głosy, które unoszą się i opadają falami niemieckiej pieśni. Następnie wjeżdża na urwisko nad portem w Vinapu i w dole widzi na wodzie osiem szarych okrętów. Gdyby nie zamieszanie wokół nich - z żurawi opadają sznury i liny, chybotliwe łódki, pełne opalonych mężczyzn, powoli płyną do brzegu - wyglądałyby na olbrzymie kawały martwego metalu. Z boku największego okrętu marynarze wrzucają kosze węgla do rzędu prostokątnych bunkrów i śpiewają Wem Gott will rechte Gunst erweisen.

Elsa uwiązuje kuca i schodzi ścieżką do zatoki, gdzie łódki, szalupy i miejscowe czółna tłoczą się przy brzegu. Mały statek zaopatrzeniowy nieomal siedzi na mieliźnie, przywiązany do pomostu linami i łańcuchami. Na jego pokładzie piętrzy się piramida poobtłukiwanych drewnianych beczek. Skrzynki wznoszą się na kształt wieży. Na skałach, w odległości kilku jardów, z dziesiątków pękatek, poplamionych sokiem worków z grubego płótna

wysypują się pochrzyny, ananasy i dynie. Młody oficer ciągnie po jednym worku naraz przez skały, a w wolnej ręce trzyma papierosa i próbuje palić.

Na widok Elsy znudzony wydmuchuje w stronę słońca pióropusz dymu.

- Von Spee! Ja!

- Ja - odpowiada Elsa.

Oficer upuszcza worek i prowadzi ją do małej motorówki. Odrzuca papierosa, po czym uruchamia zachłystujący się silnik. Elsa patrzy, jak brzeg się oddala, a w głowie świta jej myśl, że po raz pierwszy od dwóch lat opuszcza wyspę. Niebawem podpływają do burty największego okrętu, do wznoszącej się nad nimi ogromnej ściany z nabijanego ćwiekami metalu. Na całej długości sznurowe drabinki zwisają z niej niczym winorośl. Oficer wyłącza silnik przy metalowej drabinie, wstaje i gestem wyciągniętej ręki wskazuje Else, potem drabinę. - Ja! - Ona kiwa głową. Owija spódnicę na jednej ręce i wspina się, dzwoniąc butami na każdym szczeblu. Na rozległej połaci głównego pokładu wszędzie dokoła wznoszą się kominy i żurawie, między nimi zaś rozpięta jest pajęczyna naprężonych drutów, podobna do olbrzymiej kociej kołyski. Elsa idzie po pokładzie i próbuje sobie wyobrazić statek na morzu, prujący spienione fale, huczący od setek rozkazów, wykrzykiwanych przez mężczyzn, którzy łapią za liny, zajmują pozycje. I chwytają karabiny. Naturalnie strzelaliby z karabinów i dział. Czyż więc do nich by nie strzelano?

- Hallo! Hallo! - Spod pokładu wychodzi uśmiechnięty oficer w mundurze śnieżnobiałym w blasku słońca.

- Ich suche Admiraal von Spee - mówi Elsa.

Na jej słowa opalony, puciołowaty oficer robi zadowoloną minę. Kroczy przodem i prowadzi ją w dół po drabinie przez labirynt wąskich korytarzy, oświetlonych nagimi żarówkami. Cztery razy szybko stuka w czarne drzwi ze złotymi insygniami. Tuż przed otwarciem się drzwi składa Elsie ukłon i zatacza ramieniem powolny, dworny łuk. W momencie poruszenia się klamki salutuje jednak energicznie, po wojskowemu, i właśnie wtedy ukazuje się twarz admirała.

- Max, to pływające... miasto.

- Weg - rozkazuje Max. Oficer odwraca się i odchodzi. Max kładzie dłoń na ramieniu Elsy.

- Udało ci się. I wyglądasz na wypoczętą.

- Gdzie są wszyscy?

- Zeszli na ląd. Długi czas spędzili na morzu. Wejdz, usiądź. Elsa wchodzi za nim do małej kajuty. Stół pod iluminatorem zaścielają mapy i wykresy, lecz

poza tym pomieszczenie jest skąpo umeblowane. Elsa siada na ławie, nakrytej poduszkami, która może służyć za kanapę bądź łóżko.

- Muszę wyznać, że wyobrażałam tu sobie nieco większe luksusy.

- Trzeba było zobaczyć okręt w Tsingtao. Dywany, obrazy, francuskie tapiserie. Na pokładzie daszki, żeby można było pod nimi tańczyć. Ta kajuta miała drewniane boazerie. Nie brakowało mi luksusu.

- I zmieniłeś urządzenie?

- Wszystkie rzeczy łatwopalne... zostawiliśmy w Chinach.

Łatwopalne. Elsie znów ukazuje się obraz statku strzelającego z armat, z pokładami spowitymi dymem. Wstaje i przez iluminator patrzy w stronę brzegu.

- Odwiedzą cię wyspiarze. Wyruszyli łodziami. Lubią pojawiać się ukradkiem.

- Już byli. Daliśmy im trochę mydła i konserw mięsnych, choć nie mamy ich w nadmiarze. To kosztowne, ta pokojowa szarada.

- Przejdzie do historii Rapa Nui, wiesz. Tu z rzadka przybywają goście.

- Byle wiadomość nie rozeszła się drogą radiową.

- Nie ma tu radia...

- Wiem.

Elsa zwraca się teraz do niego twarzą, a jego poważne oczy napotyka jej wzrok.

- Szukają nas, Elso. Brytyjczycy.

- Dzięki Bogu ocean jest taki duży.

- Niemcy są oddalone o tysiące mil. Tysiące mil.

Ona patrzy na mapy, rozpostarte na stole, i zawija brzeg jednej, potem drugiej.

- Jak długo możecie tu zostać?

- Nie dłużej niż parę dni. Czekamy na jeszcze jeden okręt.

Co może mu powiedzieć? Nie odchodź? Wyobraża sobie, że to wołanie w tej właśnie chwili falami zalewa całą Europę. Wie, że jest daremne, naiwne.

- Cóż... - przerywa milczenie Max. - Teraz widzisz, co robię, kiedy nie prowadzę dzieci przez las.

Elsa upuszcza mapy.

- A teraz ty wiesz, co ja robiłam, odkąd przestałam ganiać za twoimi dziećmi.

- Jest dużo starszy, niż sobie wyobrażałem.

- Ha! Nie tobie to mówić.

- Och, nie. Czy się postarzałem?

- Każdy wydaje się starszy na okręcie wojennym.

Ale swawolny nastrój mija równie szybko, jak ich ogarnął. Jest ptakiem, który przez moment trzepotał skrzydłami w pokoju i wyfrunął oknem.

- To poważne, prawda? - pyta Elsa.

- Tak, Liebling.

- I grozi ci prawdziwe niebezpieczeństwo. Max ujmuje jej dłoń.

- Ta flota liczy prawie dwa tysiące ludzi. Przeważnie młodszych od ciebie. Na Samoa zeszli na ląd, flirtowali z kobietami, pili, a potem jak zawsze pisali na pniach drzew i dużych kamieniach. Fritz był tutaj, 1914, marynarz z „Scharnhorsta”. Przed odpłynięciem wysłaliśmy inną grupę, żeby wszystko wydrapała, wszystkie ich imiona, ślady, jakie chcieli pozostawić. - Urywa. - Polują na nas.

Ona rozumie teraz, co Max bezskutecznie próbuje jej powiedzieć: Nie może wrócić do kraju. Nie ma żadnych szans. I dlatego przypłynął.

- Powiedz mi, Elso. Co ci teraz przychodzi do głowy?

Ona myśli o jego okręcie, odartym z całego drewna, z wszystkich tkanin. Myśli o płonącym okręcie.

- Anglia - mówi. - Dom mojego ojca. Chciałabym znów go zobaczyć.

- Tak - mówi on. - Ja też marzę o domu. O Strasburgu.

- O ogrodzie.

- Ogród - wzdycha. - Twoja siostra jest tutaj, prawda? Alice?

- Alice.

- Dobrze się czuje?

- Dobrze? Tak. Ale inaczej.

Elsa podchodzi do iluminatora, a za nią Max. Przez szybę patrzą na brzeg, na skały, na spaloną trawę, na poprzewracane posągi. Jakie małe wydaje się stąd to wszystko.

- Dziwna rzecz, ten krajobraz - mówi on. - Niczego takiego nie widzieliśmy na innych wyspach. Nigdy nie widziałem wyspy tak ubogiej.

- Co widziałeś? Na innych wyspach?

- Chlebowce i palmy kokosowe. Żółwie i tropikalne ptaki. Inne wyspy są jak dżungle.

- Myślę, że i ta była taka, a potem coś się stało.

- Co?

- To ma związek z moai, z tym; jak je przenoszono i dlaczego tak leżą, na twarzach.

- Te posągi przypominają groby - mówi Max.

- Są grobami - mówi ona. - Te platformy, na których stały, ludzi grzebano pod nimi. Figury są symbolami zmarłych. Przodkami. I nie sądzę, żeby się przewracały. Na tych drewnianych tabliczkach są zapisane opowieści. Historia wyspy. Kiedyś porastał ją las. Mogła to być tylko legenda, folklor, ale...

- Opowiedz mi.

- Naprawdę chcesz to usłyszeć?

- Czemu nie?

- To smutne.

- Dobrze - odpowiada Max. - A zatem wiemy, że prawdziwe.

*

Przez sześć następnych dni Edward likwiduje wykopaliska i przenosi kohau, ich notatniki, jej dziennik z tłumaczeniem rongorongo, a także szkice moai - wszystko, z czym Niemcy mogliby uciec nocą - na szkuner, uprzątnięty, przyprowadzony i teraz znów zakotwiczony w Anakena. Elsa pomaga Maksowi w zaopatrzeniu okrętów. W drodze wymiany dostają wołowinę, baraninę i kury. Pomaga nawet kilku oficerom nabyć rzeźby w drewnie.

Kiedy wreszcie żegnają się z Maksem, robią to w jego kajucie. W milczeniu siedzą obok siebie, wsłuchani w łoskot lin kotwicznych, hałas, z jakim fale uderzają o burtę. Przypomina to czasy, kiedy siadywali w ogrodzie, tyle że w tym minionym tygodniu nie musieli przestrzegać konwenansów. Elsa całuje Maksa, chyba po prostu dlatego, żeby potrzeba nie zmuszała ich do rozmowy, i wkrótce wyczuwa cały jego ciężar, w tym ciężarze zaś i nieobecność; już ma przecucie chwili, kiedy zabraknie jego ciała, nagłą świadomość jego obecności i braku. Teraz, leżąc pod nim, powraca myślami do domu Edwarda i chwili, gdy stała wpatrzona w swój kufer, ciekawa, co ją czeka, zupełnie jakby po długiej podróży wreszcie stała się tą przyszłą sobą.

Przyciąga go do siebie.

- Nie płacz, Liebling.

- Nigdy nie płaczę - odpowiada. Ale czuje, jak łza wypływa z kącika jej oka.

Kiedy Max w końcu wstaje, ona nie potrafi już dłużej tłumić pragnienia.

- Nie odpływaj.

On uśmiecha się w półmroku.

- Nareszcie. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie próbujesz się mnie pozbyć.

- Zostań.

- Niemożliwe.

- Więc zobaczymy się, kiedy będzie już po tym wszystkim. Przyjedziesz odwiedzić mnie w Hertfordshire. Zobaczysz nasze ogrody na wiosnę. Podasz mi nazwę każdego kwiatu.

- Oczywiście.

- Będziemy mogli pojechać pociągiem do Londynu i zwiedzić British Museum.

- Bezwzględnie. Muzeum. - Obejmuje ją, a na jego twarzy przelotnie maluje się wyraz bólu, którego nigdy przedtem nie widziała. Jak gdyby sam do siebie, tonem pozbawionym wyrazu mówi: - Nasze życia będą przepełnione wielkim szczęściem.

*

- A więc odpłynęli? - pyta Edward.

- Tak - mamrocze, pamiętna wskazówek Maksa. - Kierują się do Pitcairn, gdzie rozejrzą się trochę, a po kilku dniach ruszą na Markizy i Tahiti. - W rzeczywistości właśnie stamtąd przybyli. - Wygląda to na podróż dookoła świata.

Teraz poraża ją realność odbicia floty od brzegu. Max odpłynął. Okrętów nie ma. Powróciły na ocean, gdzie zostaną wytropione. Elsa próbuje sobie przypomnieć, co ją czeka: Kasimiro, tak, musi wrócić i go zobaczyć. Musi zdobyć klucz. Max się zgodził, że to rzecz wielkiej wagi. Tabliczki, rongorongo. To przynajmniej jest stałe.

- Alice była niespokojna - mówi Edward nerwowo. - Zobaczysz, czy nic jej nie jest?

- Co się stało?

- Nic. Chodzi o to samo. O zasady.

- Trzeba jej było przypominać o zasadach? - Głos Elsy brzmi cierpko. Ona nie chce powracać do tego życia, tego zamętu.

- Ręczę, że nie. Dałem jej do zrozumienia.

- Dobrze.

- Wiesz, nadal wydaje mi się bardzo dziwne, że nie mieli ani jednej gazety czy czasopisma.

- Może Niemcy nie lubią czytać, Edwardzie. Dobranoc. - Zapaliwszy latarnię, idzie z nią do namiotu Alice.

- Allie - szepcze. Lecz namiot jest pusty.

- Allie - woła znowu w mrok nocy. I wtedy dostrzega klatkę, klatkę Budynia w kącie namiotu, z otwartymi drzwiczkami i jednym szarym piórem leżącym na podłodze.

Porwany naszyjnik z fasolek wala się na ziemi. Teraz Elsa podnosi głos, krzyczy w ciemności:

- Allie! Gdzie jesteś?

Rozdział dwudziesty czwarty

O świcie dostała gorączkowych wypieków, rozpełzły się po jej czole, spłynęły na policzki, następnie wolno w dół po szyi. Zaatakowały ramiona, próbowały wyrwać ją ze snu, ale nie chciała się ocknąć. Głębiej wcisnęła się w chłodną trawę. Jej palce, rozpalone i zeszywniałe, objęły zimny kamień, kostkę lodu. Myśli snuły się wolniej, rozum usnął, potem zbudził się raptownie. Rozlewały się przed nią obrazy: dyndająca do góry nogami żaba, nasienie pływające w słoju. Wyspa. Biały kwiat w polu cieni.

Język miała obrzmiały, gorący i puszysty, bochenek chleba rosnący w piecu jamy ustnej. Szyja jej zeszywniała, gardło się ścisnęło, każdy przewód stwardniał, aż wreszcie do uszu dotarł skowyt powietrza, przedzierającego się ostatnią otwartą drogą. Stałam się drzewem, pomyślała. Odwróciła się albo sądziła, że się odwraca. Twarzą dotknęła twardej, wilgotnej powierzchni, gęste, mokre od potu włosy rozsypały się dokoła niej. Ciemność. Poczowała mrowienie w palcach u nóg - a może w czubkach palców u rąk? Dokąd poszedł krab? Czy lezie teraz po niej na grubych, gorących nogach - czy to ten ogień, przesuwający się po ciele, czuje? Tak, jest tu bardzo gorąco. Słońce wschodzi, rozlewa swój żar jak lawę. Ona jest w wulkanie, miotana wybuchem.

- Potrzebujesz pomocy. Obejmij mnie za szyję. Proszę cię, Greer. Spróbuj się ruszyć. No. Właśnie tak. Doskonale. Widzisz, jakie to łatwe?

Teraz płynie nad trawą - czy przez sen? Szuka białego kwiatu. Ale nie może mieć oczu otwartych, ziemia pędzi pod nią, dygocze. Trzęsienie ziemi. Wyczuwa drżenie, słyszy, że zęby jej szczękają jak rzucane kości. I wtedy ląduje, a jej twarz obmywa woda. Zalewa oczy, nos, usta. A później strzała, kula z muszkietu, z rewolweru, kula armatnia przeszywa jej ciało, aby zaatakować ramiona, szyję, głowę...

Z zamkniętymi oczami, oddychając ochryple i z trudem, spróbowała usiąść. Ale ciężenie, fala pływowa, odrzuciło ją do tyłu. Choć przygniatały ją grube koce, miała dreszcze.

- Zimno - szepnęła.

- Wiem. To gorączka. Powoduje dreszcze. Minie.

- Kiedy?

Zapadło milczenie, a ona wyrwała ze snu jedną opuchniętą powiekę; łagodne żółte światło paliło się na pobliskim nocnym stoliku - świeca? Czy żarówka, rozmazana na skutek gorączki? Greer ledwie dostrzegła białą ścianę, biurko, nogi łóżka. Gdzie on jest?

Przez koce poczuła dłoń, ściskającą jej łokieć.

- Tutaj - powiedział, ale głosem oddalonym o całe mile. Jakby głos był nagraniem, nagraniem nagrania. Przechyliła głowę na ramię i popatrzyła w dół. Leżał na wznak na podłodze przy łóżku, z głową wspartą na ręce.

Obudziła ją w ciemnościach ciepła woda wlewana do ust.

- Greer, musisz pić. Musisz wypłukać z organizmu toksyny. Proszę cię, musisz spróbować.

Usta miała jednak ciężkie i zwiotczałe, ledwie trzymające się twarzy.

Jakieś stworzenie poruszyło się teraz w jej żołądku, wyciągnęło kończyny, fiknęło koziółka głęboko w gardle i z furią wyrwało się na wolność. Piekiło ją gardło, piekił nos.

- Tak, querida. To dobrze. Twoje ciało próbuje się oczyścić. Owiał ją zapach czegoś zjełczałego. Ręcznik otarł jej twarz.

- Bueno, doctora.

- Mahina?

- Si, doctora.

Greer zmusiła się do otwarcia oczu i zobaczyła cętkowane światło, sączące się przez zasłony. Niczym cienie, Mahina i Vicente zdawali się płynąć po małym pokoju; nalewali wodę do miednicy, wyżymali ściereczki, składali ręczniki, szeptali po hiszpańsku. Poruszali się razem płynnie, podobni do tancerek, pięknych tańczących pielęgniarek.

- Jaki dzień...? - Ból gardła nie pozwolił jej dokończyć pytania.

- Sobota - powiedział Vicente. - Trzy dni. Doktor mówi, że zdrowiejesz. Ale nadal musisz wypoczywać. Wypoczywać i pić.

- Doktor?

- Doktor dla doctora. - Rozbrzmiał śpiewny głos Mahiny.

- Nie zdrowieję.

- Nabierasz cery - powiedział Vicente, a Mahina się z nim zgodziła.

- Si, si - powiedziała - teraz jednak śpij.

Greer przewróciła się na bok, lecz zaczepiła o coś włosami. Wolno podniosła rękę i spróbowała je uwolnić.

- Momento - doleciał głos Vicente. I wtedy poczuła, jak palcami robi ostrożnie trzy przedziałki przy jej skórze, poczuła miły chłód, kiedy podniósł leżące na szyi włosy i zaczął je splatać. Z każdym powolnym splotem warkocza bardziej mąciło jej się w głowie.

W snach widziała szmaragdowozieloną wyspę. Unosiła się nad nią, przyglądała się każdej paproci, każdej kępie mchu, każdemu białemu kwiatowi.

Po przebudzeniu poczuła wlatujący oknem wiaterek i wydało się jej, że jest chmurą tam, na niebie. Ale kiedy otworzyła oczy, wszystko się przypomniało: pokój, residencial, Wyspa Wielkanocna, gorączka.

- Nadal masz dreszcze? - Vicente siedział na stołeczku obok łóżka. Ze zmierzwionym zarostem na twarzy, w pogniecionych spodniach.

- Czuję się tylko trochę obolała.

- Twoje ciało jest wyczerpane zwalczaniem trucizny. - Vicente pogładził się po brodzie. - Wyglądasz dużo lepiej.

Greer popatrzyła na siebie. Prześcieradła miała okręcone wokół kostek. Blade nogi sterczały z wymiętego pomarańczowego kaftana. Trzymała plakietkę z Marią Panną, którą albo włożyła jej do ręki Mahina, albo sama złapała w delirium. Odłożyła ją.

- Trucizna - powiedziała. - Wyszła?

- Pajaki mają bardzo mało trucizny. Jest za to bardzo silna. Już przeniknęła do twojego organizmu. Ale wyzdrowiejesz. Kolor policzków naprawdę masz bardzo dobry. Nie potrafię ci powiedzieć. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem... no, to było coś. - Vicente wolno wstał ze stołka. - Muszę znaleźć Mahinę i powiedzieć jej, że się obudziłaś i rozmawiasz. Gorączka spadła.

Wyszedł na korytarz, cicho zamknąwszy za sobą drzwi.

Greer odetchnęła głęboko. Powieki przestały jej ciążyć. Czoło nie było rozpalone gorączką. Ani szyja zimna. Podniosła obie ręce i bez wysiłku je zgięła. Zataczała głową koła, kiwała palcami u nóg. Jakie dziwne i cudowne jest to ciało, pomyślała. Wsparła się dłońmi o ścianę, nogi wyciągnęła do krawędzi łóżka. Ocknęło się każde ścięgno, każde włókno mięśniowe, każdy nerw. Nigdy dotąd własne kończyny nie robiły na niej tak wielkiego wrażenia.

Rozejrzała się dokoła. Na nocnym stoliku leżał stos jej książek i stał słój z nasieniem magnolii. Miednica wciąż znajdowała się na biurku, a obok niej kupka złożonych ścierek i dzbanek z wodą.

- Doctora! - Drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wpadła Mahina, a za nią Vicente. Położyła dłoń na czole Greer.

- Si, si - zwróciła się do Vicente. - Esta mejor. - Pozwoliła sobie na wybuch radości, po czym ją opanowała. - Dlaczego tak sobie wyszłaś? Z Hanga Roa? Po ciemku? Zachowujesz się jak wariatka. Przez trzy dni byłaś chora.

- Przepraszam, Mahino. Poszłam na spacer. Zachciało mi się spać.

- Masz szczęście. Wielkie szczęście. Na tej wyspie nie można zachowywać się tak po wariacku. Za dużo rzeczy tu nie wychodzi. Po powrocie do Ameryki będziesz sobie wariować, jak zechcesz. Tutaj w nocy masz siedzieć u Mahiny i spać w łóżku. Tak?

- Tak.

Mahina zmrużyła oczy.

- Tak - powtórzyła Greer.

Mahina stanęła w nogach łóżka, rozplatała prześcieradło, strzepnęła je i nakryła nim Greer.

- Miałaś wielu gości. Nie wiedziałam, że tu, na Rapa Nui, znasz tyle osób. - Podeszła do łóżka od strony Greer i podwinęła prześcieradło pod materac. - Każdy mówi, że amerykańska doctora umiera, i każdy przychodzi do Mahiny zobaczyć. Mario. Vittorio. - Okrążyła łóżko i z drugiej strony zrobiła to samo. - Jak film, myślą. Nic się tu nie dzieje, nie ma nic do roboty, więc przychodzą popatrzeć na moją doctora. - Mahina wbiła wzrok w Greer, w swoją doctora, odwinęła górną część prześcieradła i wepchnęła jej pod pachy. Posłała łóżko z leżącą w nim chorą. - Powiedziałam nie. Idźcie sobie. - Wzięła się pod boki. - Nawet Ramonowi powiedziałam nie. Mówię im, że doctora jest zamknięta w sobie i tego by nie lubiła.

- Ale wpuściłaś Vicente?

- Ach, tak. - Mahina uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona, że Greer poruszyła tę kwestię. - Przecież Vicente jest twoim kolegą.

- Mam tu wielu kolegów, Mahino. Cieszę się jednak, że go wpuściłaś.

- Zaglądają señor Urstedt i Isabel. Mówię nie, a señor Urstedt włazi przez okno, żeby cię zobaczyć.

- Na szczęście - stwierdził Vicente - Sven się nie zmieścił i Mahina złapała go za nogi. Szkoda, że tego nie widziałas, Greer. Ubawiłabyś się.

Mahina z uśmiechem zatarła ręce. Lubiła, jak z niej żartowano.

- Si, si. Teraz pójde przygotować lunch dla Isabel. Sprawia dużo kłopotu. Chce być chuda i je tylko owoce i jarzyny! Jak będziesz głodna, Greer, zrobię ci dziesięć kurczaków. - Wyszła, cicho trzasnąwszy drzwiami, a z dziedzińca doleciało jej nucenie.

- Słuchaj, Vicente, należą ci się ode mnie wielkie podziękowania.

- Cóż, to Luka Tepano cię znalazł. Przyprowadził mnie do ciebie. A potem wszyscy robiliśmy, co do nas należy. Zwłaszcza Mahina. Jesteś dla niej jak członek rodziny. Nie chce, żebyś odeszła. - Vicente wskazał na sposób, w jaki Greer została przytwierdzona do materaca.

- Cóż, chwilowo nigdzie się nie wybieram. Jestem zmęczona.

- Tak, naturalnie. - Vicente wycofał się do drzwi. - Potrzebny ci wypoczynek.

- Nie. Nie to miałam na myśli...

- Pozwolę ci się przespać. Ale najpierw spójrz. - Wyciągnął z kieszeni coś małego i położył jej na dłoni. - Miałaś to w ręce, kiedy kładliśmy cię do łóżka. Nie chciałaś puścić. Musiałem odrywać każdy palec po kolei. - Roześmiał się. - Jesteś dość silna, wiesz?

- Miałam to? - Było mniej więcej wielkości włoskiego orzecha. Ze skamieniałą skorupką. - To skamielina.

- Może dlatego wyszłaś tak późno. Wpadłaś na trop skamieliny. Nie było czasu do stracenia. Znajdowała się w jaskiniach. A kiedy ją znalazłaś, kiedy podniosłaś ją z ziemi, pod nią czaił się pająk.

- Podoba mi się ta historia. Bardzo mi się podoba.

- Teraz odpocznij.

Delikatnie zamknął drzwi, a Greer obróciła orzech w palcach i podniosła do światła.

- Witaj, mała angio sperma.

Parę dni później Vicente przyszedł wieczorem do jej pokoju z wiadomością, że Burke-Jones postanowił opuścić wyspę.

- Mówił, że jest mu przykro - powiedział Vicente, stając nad jej głową. - Prosił, żeby cię pożegnać.

Greer nie widziała Randolpha od tamtej nocy na cmentarzu.

- Nie mógł sam wpaść? Z Espiritu jest niezbyt daleko.

- Znasz Burke-Jonesa. Moim zdaniem nie przepada za pożegnaniami. Ale powiedział, że będzie mu ciebie brakowało. Naprawdę powiedział - teraz Vicente spuścił głowę i wymamrotał - „będzie mi jej brakowało”.

Greer przypomniała sobie fotografię w jego portfelu. Lydia.

- Chyba Anglia dobrze mu robi.

- Burke-Jones wybiera się do Indii.

- Do Indii?

- Wiem. To dla nas wszystkich niespodzianka.

- Co jest w Indiach?

- Poza miliardem ludzi?

- Zdecydowanie dopisuje ci humor.

- Och, rzeczywiście! - wykrzyknął, siadając w nogach łóżka.

- Oczekuję telegramu.

- Od?

- A od kogóż by? Od mojego ulubionego niemieckiego admirała! Kolejnej depechy z jego okrętu.

- Wydaje mi się, że zacząłeś znacznie bardziej interesować się brakującymi tabliczkami niż tymi, które masz.

- I mnie to przychodziło do głowy.
- Coś jak połowiczne podejście uczonego.
- Ale szklanka wkrótce się napelni. Znajdę te tabliczki.
- Więc Indie. Co Randolph będzie tam robić?
- Interesuje go coś w związku z budową Tadź Mahal.
- Zaczekaj. - Greer zamknęła oczy i podniosła rękę. - Coś mi świta. Widzę... setki miniaturowych Tadź Mahali.

- Mały wszechświat pałaców z marmuru. Roześmieli się.
- Cóż, dla niego to dobre - powiedziała Greer, poprawiając koce.
- Ale będzie mi go brakowało. Sven będzie smutny.
- Señorita Nosticio utuli jego żal.
- Isabel? Naprawdę są razem?
- Mówiłem ci. Lubi starsze kobiety. Rozległo się ciche stukanie do drzwi.
- Otwarte - powiedziała Greer.

Weszła Mahina z dwiema miskami i z przyjemnością popatrzyła na Greer i Vicente. Każdemu z nich podała miskę, z kieszeni fartucha wyciągnęła dwa błyszczące widelce.

- Dziękuję, Mahino - powiedziała Greer.
- Peti - zanuciła Mahina, po czym zamknęła za sobą drzwi.
- Brzoskwini. Oho, wiem, co to znaczy. Jesteś w moim pokoju, siedzisz na moim łóżku. - Greer nadziała na widelec lśniąca połówkę brzoskwini i podniosła ją w górę. - Myślę, że Mahina tak wyobraża sobie posag.
- Cóż, domagam się uczytu umu.

Greer włożyła do ust kawałek brzoskwini i czekała, aż język powlecze się syropem.

- Wiesz, chciałam coś powiedzieć Mahinie. O jej mężu.
- Niełatwy temat.
- Ale jest przyjaciółką. Powinnam móc coś powiedzieć.
- Co byś powiedziała?
- Nie wiem. Że powinna sobie kupić bilet do Santiago, do Buenos Aires, do Rio, zobaczyć świat, żyć dalej. Widzę Mahinę i Ramona na romantycznej wycieczce, popijających tropikalne trunki, mieszkających w hotelu, gdzie i m każdego rana ktoś podaje śniadanie i ktoś przychodzi posprzątać ich pokój.

- Według mnie po angielsku nazywa się takie życzenie mieszanem się w cudze sprawy.

- Troską.

- Ach, tak. Kolejna lekcja angielskiego w wydaniu Greer. Wkrótce go opanuję.

- Mieszanie się jest przejawem troski. Proszę. Kompromis.
- Doskonale - powiedział Vicente. - Ale gdzie widzisz siebie? Dokąd ty chcesz się wybrać?

- Dobre pytanie.

Vicente skoncentrował się teraz na swoich brzoskwiniach, każdą kroił z wprawą, a równocześnie mówił:

- Chodzi mi o to, jak długo zamierzasz zostać.

- Na wyspie? Nie wiem. - Dziwne, że jeszcze się nad tym nie zastanawiała. Jej badania dobiegały końca, lecz myśl o powrocie do domu, do Marblehead, wydawała się nierealna; jej dom, jej życie w nim sprawiały wrażenie nazbyt odległych. - Chyba dopóki wszystkiego nie zapnę na ostatni guzik. Czekam tylko na wiadomość o skamielinie. Jeśli otrzymam potwierdzenie gatunku, będę mogła spisać wyniki.

- I uwolniona wyjechać?

- Nieuwolniona - odparła. - Ale owszem, wyjechać.

Następnego dnia Greer poczuła się na tyle silna, że wróciła do laboratorium, sprawdziła próbki, upewniła się, czy wszystko jest w porządku. Zdecydowana przejrzeć swoje notatniki i wszelkie nieprzeczytane lektury, zasiadła przy jednym ze stołów.

Autorem ostatniej europejskiej relacji był młody Pierre Loti, Francuz, który odwiedził wyspę w 1872 roku, prawie sto lat później niż kapitan Cook. Loti różnił się tonem od innych odkrywców. Był pisarzem, poetą, który przybył w poszukiwaniu cudów.

Dawno temu, jako młokos, zszedłem tam na ląd z żaglowej fregaty po wielu dniach bardzo wietrznych i pochmurnych; pozostało we mnie wspomnienie krainy na poły fantastycznej, krainy marzeń.

Jak wszyscy inni przybysze, Loti dostrzega wielkie zapotrzebowanie na jego chusty i kapelusze. Opłakuje kradzież czerwonego aksamitnego kapelusza z mosiężnymi guzikami, zdartego mu z głowy przez małego chłopca, który zaczyna śpiewać. Rapa Nui podejmują jednak Lotiego inaczej niż pozostałych. Kiedy w trakcie zwiedzania wyspy odczuwa senność, tubylec zabiera go do chaty, żeby wypoczął.

Oślaniający mnie dach z trzciny podtrzymują palmowe gałęzie - ale skąd je wzięli, skoro ich wyspa jest pozbawiona drzew i nie ma prawie żadnej roślinności prócz trzciny i winogron. Na tej małej przestrzeni, zaledwie półtora metra wysokości na cztery długości, starannie zawieszono są tysiące rzeczy, małe bożki z czarnego drewna, zdobione chropowatą emalią, włócznie z czubkami z zaostrego obsydianu, wiosła z wyrzeźbionymi na nich ludzkimi

postaciami, pióropusze, ozdoby do tańca czy do walki i utensylia różnych kształtów, nieznanego mi użytku, wszystkie z wyglądu niezwykle stare...

Ale jak się nad tym zastanowić, skąd wzięło się całe to wysuszone drewno, z którego zrobione są ich maczugi i ich bożkowie! A ich koty, ich króliki!... Myszy przechadzające się wszędzie po domach. Nie sądzę, aby je ktoś przywiózł. Skąd przybyły! Najmniejsze rzeczy na tej odizolowanej wyspie rodzą pytania, które pozostają bez odpowiedzi: człowieka zdumiewa istnienie flory i fauny.

Następnie Loti zapada w sen.

Kiedy się tak przebudziłem w ponurym gnieździe dzikusa, zdjęła mnie wielka tęsknota za krajem. Poczułem się bardziej niż kiedykolwiek oddalony i zagubiony. I zacząłem cierpieć te niewymowne katusze, które się wiążą z chorobą wyspiarską i których żadne miejsce na świecie me mogłoby mi zadać w sposób tak bolesny jak to tutaj, gdzie otaczał mnie bezmiar południowych mórz...

Greer odłożyła książkę; Loti miał rację. Pamiętała ten pierwszy dzień na kraterze Rano Aroi, kiedy stała wśród trzciny. Nawet w tej „krajnie marzeń” przez chwilę odczuwała ból samotności. Jakże mogłaby go nie odczuwać? Wyspa przypominała coś mitologicznego, była lękiem, który przybrał fizyczną postać: była samotnością samą w sobie. I zapewne z tego między innymi powodu Greer przybyła tutaj, aby odkrywać geografii własnej samotności.

Z korytarza dobiegły głosy. Isabel i Sven. Słyszała tupot butów zbliżających się do drzwi. Rozległo się pukanie, stłumiony śmiech, jeszcze raz pukanie.

- Otwarte.

- Ach, znowu w pracy! Niewątpliwie całkowity powrót do zdrowia! - powiedział Sven. - Wszedł do środka i uściskał Greer. - Ale nic dziwnego. Miałaś najlepszą opiekę.

- Istotnie - odparła, czując, że się uśmiecha. Nawet na tej odizolowanej wyspie znalazła wspólnotę: ludzi, którzy sprawdzali, co robi, znajomych, przyjaciół. Nieomal zakończyła swoje pierwsze samodzielne prace terenowe. Zaczynała się godzić z tym, co zrobił Thomas. Czego więcej było jej potrzeba?

- Na początku, jak tylko zanieśli cię do Mahiny, wyglądałaś okropnie. Naprawdę, jak nieżywa.

- Dzięki, Sven.

- A teraz rumieńce! Nie miałaś rumieńców. Mówię ci, Greer. Nic.

- Cóż, byłam na dworze, chodziłam. Czuję się prawie normalnie.

- Bardzo się z tego cieszymy - zapewniła Isabel, ściskając rękę Svena. Była o dobrą stopę niższa od niego i o dziesięć lat starsza, ale te różnice jakoś dawały poczucie równowagi.

- Wybieramy się na zwiedzanie - powiedziała Isabel. - Przyłączysz się do nas?

- Zwiedzanie czego?

- Wyspy!

- Czy jest tu jeszcze coś, czego nie widzieliście?

- Och - odparła Isabel - nie zbadaliśmy całego wybrzeża, kraterów. Ja zawsze byłam odkrywczą na papierze. Dziś Sven zabierze mnie, żebym odkrywała na piechotę.

W tej chwili Greer uprzytomniła sobie, jak jest ubrana Isabel - w buty turystyczne, szorty khaki i żółtą trykotową koszulkę Svena, za dużą, wydymającą się nad paskiem: Swede e ut.

- Zostanę tu i poczytam. Ale dzięki.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, daj znać - powiedział Sven. - A jeśli nie, to coś wymyśl. Teraz, jak zabrakło Burke-Jonesa, niewiele się tu dzieje.

Po ich wyjściu Greer usłyszała śpiew Svena w korytarzu.

Powróciła do ostatniego odcinka relacji Lotiego, który opisywał, jak na łodzi zbudowano rydwan i jego towarzysze, w liczbie stu, zaczęli przewozić moai. Wyspiarze nie wyrażali sprzeciwu, jak gdyby posąg nie miał żadnej wartości. Sto pięćdziesiąt lat wcześniej Roggeveen widział, jak przed bożkami rozpalano ogniska i jak tubylcy z czcią przed nimi klęczeli. Loti widzi coś innego.

Wielka grupa ludzi poszła za nimi tego rana po wilgotnej trawie równiny, skoro zaś przybyli na miejsce, zaczęli tańczyć niczym derwisze, żwawo, z włosami rozwiewającymi się na wietrze, nadzy i czerwonawi, delikatnie zabarwieni na niebiesko przez tatuaż, a ich smukłe ciała poruszały się na tle brązowych kamieni i czarnego horyzontu; tańczą, tańczą nad olbrzymimi figurami, palcami u nóg dotykają twarzy potworów, kopią je bezgłośnie w nosy i policzki. Nie rozumiem, co śpiewają w ustawicznym szumie porywistego wiatru i fal.

Mieszkańcy Rapa Nui, którzy oddają cześć tak wielu fetyszom i małym bożkom, zdają się nie mieć żadnego szacunku dla tumb. Nie pamiętają o śpiących pod nimi zmarłych.

A może właśnie, pomyślała Greer, pamiętali o zmarłych pod nimi. Czy może pamiętali coś i dlatego chcieli tańczyć po twarzach swoich przodków. Czy mogli być wściekli na zmarłych?

Rozdział dwudziesty piąty

- Jest zdenerwowana tym, co jej powiedziałem - mówi Edward. - Poszła się dąsać. Może na wykop. Lubiła tam przebywać. Ale nie wzięła kuca. Jeśli poszła na piechotę, pewnie się pokaleczyła. Ja to zrobiłem. To moja wina.

- Przestań - ucina Elsa. - Po prostu ją znajdziemy. Rozjeżdżają się na kucach w różne strony, oddalają od obozu,

wykrzykując imię Alice. W nadziei że Alice przynajmniej trzymałaby się ścieżki, Elsa podąża wzdłuż południowego wybrzeża do Hanga Roa. Mija obalone posągi w Tongariki, kiedy słońce zaczyna zachodzić, a zmierzch zasnuwa morze i trawę.

Na tej wyspie nie ma się gdzie schować, pozostają tylko jaskinie, tych zaś Alice nigdy nie znosiła. Musi gdzieś być, czekać na widoku, liczyć, że zostanie dostrzeżona i wezwana do powrotu. Po tylu latach wygląda na to, że Alice po prostu chce, aby ją ktoś uszczypnął, jakby jej życie było jednym długim transem, z którego pragnie zostać wyrwana.

Alice chce, żeby jej szukali.

Księżyc w pełni powleka krajobraz bielą, Elsie jednak nie jest to potrzebne. Ileż razy jeździła tą ścieżką do wsi - sama, z Alice, zaledwie przed paroma dniami z Puską Herbatników. Ta ziemia, te odległości stały się jej częścią.

- Allie! - woła.

Koń wolno człapie w mroku, ona zaś ma uczucie, że tylko te poszukiwania są całym jej życiem. Pościg za Alice - chyba ten moment przeżywała przez dwadzieścia cztery lata. Więc Alice na pewno nic się nie stało; zostanie znaleziona. Zawsze tak się kończyło.

Wreszcie na urwisku nad portem w Vinapu Elsa dostrzega czyjąś postać - to Puszka Herbatników z bezwładnie zwieszonymi ramionami wpatruje się w morze.

- Poki! - krzyczy Elsa, zeskakując z kuca i biegnąc do niego. - Poki, widziałeś Alice? Alice. Gdzie jest?

Chłopiec powoli podnosi rękę i wskazuje na wodę. Nie odwraca się, żeby na nią spojrzeć.

- W wodzie? Alice jest w wodzie? VaU Poki! Vai! Alice! - Elsa chwyta chłopca za kołnierz, trzęsie nim jak oszalała, dopóki nie dostrzega łez w jego oczach. Puszcza go, zostawia w spokoju.

- Poki, gdzie jest Alice?

On znowu wskazuje na wodę, na miejsce, gdzie stała na kotwicy flota, gdzie łódź z zaopatrzeniem, załadowana skrzyniami, była przycumowana do pomostu.

Elsa patrzy na ocean i zatacza się do tyłu.

Rozdział dwudziesty szósty

Kiedy Greer wróciła z laboratorium, kilkoro dzieci siedziało przycupniętych obok szyldu residencial i zaglądało przez krzaki; z chwilą jej nadejścia rozpierzchły się natychmiast. Potem z dziedzińca dobiegła ją fala głosów, trzaskanie drzwiami, tupot nóg biegnących po werandzie.

- Que ldstima! - Głos Mahiny dolatywał ze środka. Sprawiała wrażenie zrozpaczonej. - Que ldstima.

Greer nigdy nie widziała takiego tłoku w głównym pokoju. W jego drugim końcu na dwóch zestawionych wiklinowych fotelach leżała Isabel w swoich szortach khaki i brudnej koszulce Svena. Długie włosy miała potargane, makijaż starty. Paliła papierosa do spółki ze Svenem, który ją trzymał za rękę. Po przeciwnej niż oni stronie, przy biurku Mahiny, siedział umundurowany carabinero, oliwkowy beret leżał przed nim, a on spisywał coś w notatniku. Był młody, miał gęste, podkreśnione wąsy, jakby sztuczne na tle delikatnej twarzy. Luka Tepano siedział w kącie na podłodze, z podciągniętymi pod brodę kolanami. Zdawał się całkowicie obojętny na to zamieszanie. Mahina krążyła między nimi, dodawała otuchy wszystkim oprócz carabinero, bo zawłaszczenie jej biurka najwyraźniej uważała za obraźliwe.

- Doctora! - Mahina dostrzegła ją dopiero w tej chwili.

- Co się stało?

- Możesz nam przynieść coś mocnego do picia? - zawołał Sven.

- W kuchni - odparła Mahina, nie spuszczając wzroku z carabinero - jest pisco.

Greer pośpieszyła do kuchni, poszukała butelki w spiżarni i zaniósła ją do pokoju.

Isabel i Sven napili się dużymi haustami, a wtedy carabinero przestał pisać.

- Su histoña, señor Urstedt, lentamente. - Następnie zwrócił się do Mahiny i kazał jej tłumaczyć.

Mahina skrzywiła się na ten rozkaz, widocznie jednak uznała, że powaga sytuacji wymaga przewyciężenia wstępu do władzy chilijskiej.

- Si. - Zniknęła za zasłoną z paciorków, wróciła z krzesłem i usiadła na wprost carabinero.

Sven zajął miejsce na podłodze obok Isabel, postawił butelkę pisco i wolną ręką przecesał włosy.

- Jak już wcześniej próbowałem powiedzieć, wzięliśmy konie od Chico i wyruszyliśmy na zwiedzanie wybrzeża. Mniej więcej w połowie drogi do Anakena zaczyna się chmurzyć, więc zjeżdżamy ze ścieżki i rozglądamy się za

jaskinią. Znajdujemy otwór w skalnej ścianie. Ponieważ mamy lunch w plecakach, wyobrażamy sobie, że schowamy się przed deszczem i tam zjemy kanapki. Jedno prowadzi do drugiego, zaczynamy... - W tym momencie Sven podniósł oczy na Isabel, która oblała się rumieńcem. - Tak czy owak, coś leci w naszą stronę, jak gdyby z zewnątrz. Isabel podskakuje, pewna, że to gryzoń. Wtedy coś znowu rusza się w ciemnościach, a ja zaczynam macać dookoła. No i okazuje się, że to kamień. Dobrze, bo nie gryzoń, źle, bo któż, u licha, rzuca w nas kamieniami. Słyszymy czyjś gwizd i leci kolejny kamień. Więc się ubieramy, łapiemy plecaki i kierujemy się w stronę światła. Widzę, że u wejścia stoi biedny stary Luka Tepano z tym swoim talerzem w ręce. Orientuję się, gdzie jesteśmy. „Przepraszam, Luka - mówię mu - nie wiedzieliśmy, że to jej jaskinia”. Ale Luka wsadza palce do ust i gwizdże. Wygląda na coraz bardziej zdenerwowanego, więc go pytam, co się stało, on jednak tylko patrzy w głąb jaskini. Wtedy Isabel robi się nieswojo w związku z tym wszystkim i wciąż mnie pyta, co mu jest. Pytam, czy Luka chce, żebym tam z nim poszedł, a on tylko wpatruje się w jaskinię. Więc biorę go za ramię, lecz nie chce się ruszyć. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek tam wchodził. Kazałem mu poczekać, wziąłem latarkę i ruszyłem sam.

Mahina przetłumaczyła to ostatnie zdanie, carabinero zapisał je w swoim notatniku i zapadło niezręczne milczenie.

- Y despuesł - zapytał carabinero.

Isabel pokiwała głową. Sven popatrzył na Lukę.

- To wszystko. Potem wyszedłem i powiedziałem mu, że ona jest muerte. Posłałem Isabel po pana.

Mahina przetłumaczyła; carabinero rozejrzał się po pokoju i powiedział:

- Bueno.

Kiedy wreszcie wyszedł, Mahina stanowczo zamknęła za nim drzwi i na powrót zajęła miejsce za biurkiem.

- Nie mogę uwierzyć, że znalazłeś tę starą kobietę - powiedziała Greer. - Boże, jak mi przykro.

- Cóż, gorszą rzeczą było zawiadomić jego - wyznał Sven. - Popatrzyłem mu w oczy i powiedziałem: „Muerte, Luka”. Isabel próbowała go przeproszać. Ale biedny staruszek chyba nas nie słyszał. Po prostu siedział na skale przed jaskinią, nie wiem, jak gdyby nigdy nie zamierzał się ruszyć.

Po wyjściu carabinero Greer została w głównym pokoju, a Mahina podawała zebrany szklanki soku z gujawy. Przyłączył się do nich Ramon. Luka Tepano zasnął w kącie, więc Mahina zdjęła mu buty i okryła go pledem. Z ulgą obserwowali go tak całkowicie pogrążonego we śnie, lecz nikt nie wiedział, co

mogliby dla niego zrobić, kiedy się obudzi. Prócz kobiety w jaskini nie miał chyba krewnych. Greer jeszcze mu nie podziękowała za to, że ją znalazł, że sprowadził

Vicente, a teraz żałowała, że nie zrobiła tego wcześniej, zanim wydarzyło się to wszystko. Chciała go też zapytać o skamieniały orzech. Była ciekawa, czy trzymała go w ręce, kiedy ją znalazł. Nadal nie mogła sobie przypomnieć, czy podniosła go z ziemi. Szukała skamieliny, bo jedynie w ten sposób dałoby się udowodnić, jaki gatunek drzew rzeczywiście rósł na wyspie. Takie pojawienie się ostatecznego dowodu wyglądało po prostu na coś całkiem niezwykłego - na dar niewidzialnej ręki. Zupełnie jakby po przebudzeniu odkryła kamień z Rosetty na poduszce.

- Jest mi głupio - szepnął Sven. Powtarzał to w kółko. - Wiem, że mu dokuczałem. Nie miałem na myśli nic złego. Ale świadomie nigdy bym nie wszedł do jej jaskini.

- Nikt nie ma żalu do ciebie - powiedziała Isabel. - Ani do nas. Najzwyczajniej zaszła straszna omyłka.

- Była bardzo stara - stwierdziła Mahina. - Mieszkała tam od lat. Ukrywała się. I umarła spokojnie. Miała dobrą śmierć. Nie powinniście się smucić.

Właśnie wtedy drzwi otworzyły się z rozmachem i stanął w nich Vicente. Mahina podniosła palec do ust, wskazując na Lukę.

- Gdzie się podziewałeś? - szeptem spytała Greer, zawstydzona niespokojnym brzmieniem własnego głosu. Przywykła do tego, że Vicente się tu kręci, i jego obecność zaczęła uważać za rzecz oczywistą.

- Dowiedziałem się przed chwilą. Jak na geologa - zwrócił się do Svena - bardzo kiepsko orientujesz się w formacjach skalnych.

- Milion razy widywałem go, jak idzie i wraca. Nigdy tam.

- Cóż, zdaniem lekarza miała słabe serce. Była stara. - Vicente usiadł na podłodze, oparł się o ścianę i wyciągnął przed siebie nogi. Popatrzył na Lukę.

- Żal mi go - stwierdził. - Jej strata musi być dla niego czymś strasznym. Chyba dzisiejszy dzień nie miał być dobry. Dla nikogo.

Z kieszeni na piersi wydobyl kopertę i podał ją Greer.

- Och, nie - powiedziała. - Twój telegram. - Wyjęła cienki karteluszek.

Pozostanę twoim dłużnikiem. Wyładuję na P. i pošlę oficera z instrukcjami i funduszami na powrót do A. Ufam, że zachowasz czujność. Niech Bóg ma nas wszystkich w swojej pieczy.

Vicente wyjaśnił bezbarwnym głosem:

- Tę wiadomość przesłano niejakiemu Alfredowi Heidegzellerowi, niemieckiemu ekspatriantowi, zamieszkałemu na Falklandach. Dorastał w

Strasburgu razem z von Spee. Był słynnym żeglarzem, który odrzucił wiele propozycji służenia w marynarce.

- Dostał tabliczki?

- Wiadomość, wysłana piętnastego listopada za pośrednictwem dwóch niemieckich statków handlowych, aby uniknąć wykrycia przez aliantów, do domu Heideggellera dotarła dwudziestego ósmego listopada. Nigdy nie otrzymał ładunku.

- Bitwa - powiedział Sven.

- Falklandy - dorzuciła Greer.

- Wszystkie niemieckie okręty poszły na dno. Nigdy nie zdołały stanąć na kotwicy.

- A tabliczki? Poszły na dno razem z nimi?

- To ostatnia wiadomość o jego ładunku. Ostatnia depeza nadana osobiście przez von Spee.

- Przykro mi, Vicente.

Wziął od niej telegram i złożywszy go porządnie na kształt samolotu, wyrzucił w powietrze. Po raz pierwszy Greer zobaczyła Vicente pokonanego.

Ściemniało się. Mahina zapaliła lampę na biurku, a światło, załamujące się w kulach u sufitu, utworzyło na ścianie rząd błoniastych zielonych księżyców. Dopili resztki soku w ciszy, którą tylko od czasu do czasu przerywało chrapanie Luki Tepano. Telegram, śmierć kobiety, odlot Burke-Jonesa. To był ponury dzień.

- Pora iść do łóżek - oznajmiła w końcu Mahina. - Posiedzę z Luką. Musi spać. Zostawmy go w spokoju. A wszyscy inni niech już sobie pójdą.

- Przypominasz mi moją pierwszą dziewczynę, Mahino - powiedział Sven. - Heidi Larsen. Wielką zwolenniczkę dyscypliny. „Wstąp po mnie. O szóstej”.

Podczas gdy to mówił, Mahina pogasiła światła i otworzyła frontowe drzwi.

- Iorana, señor Urstedt.

Sven wziął Isabel za rękę i wyprowadził z pokoju.

- Nic się nie martw, Mahino. Kochałem ją do szaleństwa. Dobranoc, Greer. - Vicente i Ramon wyszli za nim.

- Za dużo żartuje ten señor Urstedt. - Mahina pokiwała głową. Greer postanowiła zostać jeszcze parę minut, pomóc Mahinie w wynoszeniu brudnych szklanek do kuchni. Kiedy na palcach wróciły do głównego pokoju, żeby cicho poustawiać krzesła na swoich miejscach, rozległo się delikatne stukanie do drzwi. Był to Sven z zawiniątkiem w ramionach.

- Trochę czystej odzieży - powiedział do Mahiny. - Dla starego, jak się obudzi.

Mahina pocałowała go w policzek.

- Buen muchacho.

Nazajutrz rano po przebudzeniu Greer zastała w jadalni Isabel, która w różowym płaszczu kąpielowym popijała herbatę.

- Mężczyzna poszedł - oznajmiła Isabel. - Luka. Musiał się oddalić w środku nocy.

- Gdzie jest Mahina?

- Kazała ci powiedzieć, że przyплыnęła łódź.

Greer spacerkiem poszła do caleta, gdzie zobaczyła łódź Kompanii Chilijskiej, zakotwiczoną w zatoce. Setki wyspiarzy kłębiły się na nabrzeżu, obserwując wyładunek pierwszych paru skrzyń. Ponieważ w tym tłoku nie mogłaby znaleźć Mahiny, Greer wróciła do residencial, gdzie przez cały dzień dolatywały przez okna głównego pokoju śmiechy i stłumione okrzyki ludzi, którzy na ulicy oglądali nawzajem swoje zakupy. Uzupełniono malejące na wyspie zapasy mąki, cukru, herbaty. W beczkach dostarczono benzynę na cały rok. Były też niespodzianki. Po rozładowaniu łodzi wpadła Mahina z prawdziwymi szlagierami: dwoma nowymi dżipami, dwudziestoma krzesłami dla szkoły i nowym materacem na łóżko gubernatora; materac wywołał niekończące się dyskusje na temat tego, co robił gubernator, żeby zniszczyć stary. Były też materiały budowlane - płytki ceramiczne, tafle szkła, elementy szkieletu drewnianego, wsporniki i stężenia, i śruby - dla każdego, kto zamierzał budować dom. I były skrzynki z pisco, puszki z brzoskwiniami, opony potrzebne Ramonowi do jego dżipa.

- Ramon właśnie założył opony! - obwieściła Mahina, stając w drzwiach pokoju Greer. - A teraz chyba wiem, co będzie dobre dla doctora.

- Proszę, powiedz, jeśli w grę nie wchodzi amor.

- Amor, amor. Nie. Przejażdżka dżipem! Doctora musi zobaczyć Terevaka. Doctora umie prowadzić, prawda?

Greer wygrzebała z torby dżinsy i włożyła je pod kaftan. Mahina odwróciła się twarzą do drzwi, na co Greer uśmiechnęła się pod nosem - Mahina pielęgnowała ją w gorączce, ścierała wymiociny z jej twarzy, prowadziła ją do łazienki, kiedy była w delirium, ale musiała się odwrócić na czas jej przebierania. Wieczysta kurtuazja, pomyślała Greer. Wsunęła stopy w sandały, obwiązała się w pasie swetrem.

- Kluczyki?

Droga była wyboista. Kiedy dżip podskakiwał i szarpał, Mahina trzymała się siedzenia, Greer natomiast uważała, żeby nie zgasł silnik, a wóz nie wpadł w jakieś zagłębienie. Miała uczucie, że dla Mahiny jest nie tylko kobietą, która

umie prowadzić, lecz także znakomitym kierowcą, prawdziwą doctora w tej dziedzinie, toteż nie chciała sprawić jej zawodu. Próbowwała nadrabiać miną. Przed wyjazdem urządziła wielkie przedstawienie z ustawianiem wszystkich trzech lusterek jedynie po to, żeby teraz przekrzywiały się na każdym wyboju. Ale to nie miało znaczenia - za nimi ani obok nich nie było niczego. Były same na porośniętej trawą górze.

Od wielu tygodni nie padał deszcz i nowe opony dżipa wzbijały tumany kurzu. Żeby nie kasłać, Mahina i Greer zawiązały sobie chustki na ustach.

Kiedy wreszcie dotarły na wzgórze, wydawało się, że słońce wisi dokładnie przed nimi. Mahina odwiązała chustkę i otworzyła drzwiczki.

- Chodź, doctora.

Zdobyty szczyt nie wyglądał tak majestatycznie, jak spodziewała się Greer. Terevaka był to trawiasty pagórek, podobny do wszystkich innych na wyspie, tyle że najwyższy.

- Spójrz. - Mahina wskazała na morze pod nimi. Obracała się powoli. - Horyzont. Wszędzie dokoła.

Miała rację; w promieniu całych trzystu sześćdziesięciu stopni Greer widziała zamgloną linię na styku oceanu z niebem. Więc to jest ten majestat. Inne widoki obejmowały rzeczy: monumenty, ośnieżone góry. Ten był brakiem czegokolwiek: nieskalanym horyzontem.

Greer usiadła na trawie i próbowała sobie przyswoić uczucie ogromnej przestrzeni.

- Na to warto było czekać - powiedziała.

- I mira. - Mahina siedziała obok niej, twarzą zwrócona do słońca, z nogami schowanymi pod spódnicą. Zdjęła buty. - Horyzont nie jest linią prostą. - Ręką zatoczyła w powietrzu półkole. - Jest okrągły.

- Krzywizna ziemi. - Greer była do głębi poruszona. Dokoła nich rozciągał się tylko bezkresny ocean. Te Pito O Te Herma - „pepek świata”. Miała sens nazwa, nadana wyspie przez pierwszych osadników.

Słońce przesączało się przez chmury smugami lawendowymi, różowymi i opałowymi. Na wodzie poniżej światło kładło się niczym lameta.

- Według ciebie na jaką odległość, doctora. Na jaką odległość widać wodę? Podobno co najmniej na pięćdziesiąt mil.

- Wszystko zależy od tego, jak wysoko się znajdujemy.

- Pięćset metrów nad poziomem morza.

Liczby brzmiały poprawnie. Greer zawsze lubiła równanie z horyzontem. Należało tylko wyobrazić sobie, że się stoi na jednym wierzchołku trójkąta. Jeśli ktoś wiedział, jak wysoko nad powierzchnią ziemi się znajduje, z

niewielką pomocą Pitagorasa mógł obliczyć odległość od horyzontu. Teraz wyobrażała sobie wszystkich ludzi jako punkty na miliardach poszczególnych trójkątów, wznoszących się w górę ze wspólnego wierzchołka, środka ziemi.

- To brzmi dość poprawnie - powiedziała. - Więc gdyby w tej chwili na horyzoncie miał się pojawić statek, byłby oddalony o pięćdziesiąt mil.

- Pięćdziesiąt - powtórzyła Mahina. - A mnie się wydaje, że setki. Często tu siedzę i próbuję liczyć każdą milę.

Greer przypomniała sobie męża Mahiny i zastanawiała się, czy ona tutaj przychodzi go wyglądać.

- Dużo czasu spędzasz sama, prawda? - zapytała. - To znaczy wtedy, kiedy nie masz gości, którzy wciąż za tobą chodzą i każą ci się całymi dniami pielęgnować, jak leżą w łóżku.

- Nie ma nic złego w tym, że się jest samą - odparła Mahina. Greer, wyczuwając jej powściągliwość, przechyliła się do tyłu, wsparła na łokciach i włosami zamiotła trawę.

- Cóż, to całkiem niepodobne do Massachusetts czy Wisconsin. Całkiem niepodobne do miejsc, w których byłam.

- Dużo podróżowałaś, doctora ?

- Tak. Ale wyprawy były krótkie. Pobierałam próbki i wyjeżdżałam. Zawsze patrzyłam na kawałki ziemi, na jakieś jej części, nigdy natomiast nie czułam miejsca. Zanim znalazłam się tutaj, nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że sama ziemia ma charakter. - Greer pogłaskała ziemię obok siebie. - Ta wyspa jest miejscem łagodnym.

Siedziały w milczeniu, podczas gdy słońce zniżało się na niebie i powietrze zaczynało się robić chłodniejsze. Księżyc w pełni, biały jak papier, wyłonił się za ich plecami. Mahina miała złożone dłonie, rozcierała jedną o drugą, a myślami chyba powracała do jakiegoś wspomnienia. Potem wstała raptownie, obciągnęła spódnicę i skierowała się w stronę dżipa.

- Jedziemy, doctora.

- Mahino, dobrze się czujesz?

- Tak, tak. Wracajmy, zanim zrobi się ciemno.

- Hej, mam pomysł. Może ty poprowadzisz w drodze powrotnej? Albo kawałek? Albo tylko minutę? - Greer pomachała kluczykiem.

- Doskonale - zgodziła się Mahina.

- Ale wolno. - Greer zajęła miejsce pasażera i wyciągnęła chustki ze schowka. Zawiązały je. - Dobra - powiedziała. - Jedź.

Mahina przekręciła kluczyk i dżip ożył z warkotem. Przez chwilę patrzyła na dźwięnię zmiany biegów, po czym ostrożnie zacisnęła na niej rękę. Mocno

nadepnęła pedał gazu. Dżip szarpnął, następnie potoczył się gładko. Mahina, bacznie wpatrzona w teren przed sobą, nachylała się do szyby. Serpentykami zjeżdżała ze wzgórza, przecinając poprzednie ślady, dopóki nie wpadła w głęboką dziurę. Wtedy skręciła w prawo, potem w lewo, zmieniła bieg, lecz zapomniała wycisnąć sprzęgło. Zazgrzytały biegi.

- Zaczekaj - poleciała Greer, lecz Mahina już zahamowała raptownie. Silnik warczał.

- Chyba nie wpadłyśmy do rowu - powiedziała Greer. - Wrzućmy luz na sekundę, a ja sprawdzę przód.

Ale Mahina nic nie mówiła, nic nie robiła.

- Mahina?

Greer zobaczyła łzy, osiadające na jej gęstych rzęsach.

- Mahina. - Nigdy nie widziała Mahiny nieszczęśliwej. Położyła rękę na jej ramieniu gestem, który tak często robiła Mahina. - Co się stało?

Mahina się zachłysnęła. Pięścią walnęła w deskę rozdzielczą.

- O co ci chodzi?

- Oczywiście o dżipa. - W jej głosie zabrzmiało znużenie. - O to; że nigdy nie nauczę się prowadzić.

Greer wiedziała jednak, że nie ma to nic wspólnego z prowadzeniem, z dżipem, z jej osobą. Mahina pogrzyżała się we własnym smutku. I było jasne, że nie pragnie pociechy. Życzliwość Mahiny nie miała granic, ale zażyłość z nią miała. Więc Greer musiała udawać - stać ją było na tyle dobroci.

- Jazda na Terevaka nie jest łatwa - powiedziała. - Sama ledwie sobie poradziłam.

Mahina rozejrzała się dookoła. Rozwiązała chustkę i upuściła ją na kolana.

- Utknęłam - powiedziała.

- Nie - zaprzeczyła Greer. - Nie utknęłaś. Tylko zrobiłaś przerwę.

Rozdział dwudziesty siódmy

Obóz jest pusty. Widzi odchyloną klapę namiotu i idzie ją umocować. Widzi przypiętą do niej kartkę:

Elsa:

Wszystko to moja wina, ale będzie dobrze, naprawdę. Dowiedziałem się od chłopca, że ona jest z Niemcami, do Pitcairn zdołam dopłynąć w tydzień, jeśli zaś tam ich nie zastanę, to na Tahiti płynie się zaledwie 3 dni dłużej. Muszą wysadzić ją na ląd, jak tylko ją znajdą. Mogę złapać południowy wiatr i będzie dobrze, Alice nic się nie stanie. Przywiozę Ci ją z powrotem. Nie martw się. Nic się jej nie stanie.

Elsa zbiega nad wodę, wyteża wzrok. Szkunera ani śladu. Dingi znikła. Elsa wdrapuje się na nadbrzeżne urwisko i patrzy przed siebie: nadal nic, tylko ciemność i bezkresne morze. Mnie kartkę i chce wrzucić do wody, ale wiatr znosi ją z powrotem na wyspę, gdzie podskakuje na skraju plaży.

Elsa zaczyna schodzić na dół, potem przystaje i ciałem szuka zimnego lica skały. Chwyta za ostre krawędzie, całym ciężarem pochyła się do przodu. Wali czołem w twardą ścianę, potem jeszcze raz, mocniej, aż to zaczyna ją uspokajać.

- Alice - szepcze.

Edward, sam w łodzi, popłynął na zachód.

Flota natomiast udała się w przeciwnym kierunku, do Chile, potem do Argentyny, gdzie planuje najazd na Falklandy.

Idący za Elsą chłopiec teraz się przybliży, rozdygotany ze strachu. Ona zamyka oczy, dalej wali głową w skałę i po raz pierwszy czuje, jak jego palce zaciskają się na jej dłoni.

Rozdział dwudziesty ósmy

- Mam pomysł - powiedział Vicente.

Siedzieli z Greer na kamiennym murku powyżej caleta i popijali pisco sour. Był to wieczór, kiedy naukowcy zwykle jadali razem obiad, ale Sven wybrał się gdzieś z Isabel, Burke-Jones odleciał, jego laboratorium opustoszało.

- Dotyczy admirała von Spee. Napiszę o nim książkę. O jego podróży, o próbie dotarcia do kraju, do Niemiec. Naturalnie rzecz zaczynałaby się w Chinach W momencie wybuchu wojny. Von Spee był ze swoją eskadrą w Tsingtao. Czy wiedziałaś, że na Rapa Nui przyłynęli trasą podobną do trasy wielkiej polinezyjskiej migracji?

- Nigdy mi tego nie mówiłeś - odparła Greer. - Ale co z rongorongo?.

- Tego nie zarzucam; po prostu chwilowo odkładam na bok. Zawsze wierzyłem, że znajdziemy więcej tabliczek; miałem nadzieję, że dzięki temu możliwe będzie ich odczytanie. - Wyglądał na lekko zakłopotanego. - Zazdroszczę ci twojej pracy, Greer. Zaangażowania w jedną sprawę. Bardzo trudno to znaleźć w życiu. A właśnie teraz uwagę moją przykuwa von Spee i muszę się nim zająć. Wielu ludzi zna historię bitwy o Falklandy, ale nie wie, co do niej doprowadziło.

- Więc wygląda na to, że wybierzesz się w podróż do Niemiec. - Vicente mówił o dokładnym zbadaniu życia von Spee.

- Czuję, że muszę jechać. Ale tylko na krótki czas. A ty? Gdzie będziesz?

- Cóż, poszłam na całego i złożyłam podanie o ten naukowy grant Krajowego Towarzystwa Geograficznego. Trzymaj kciuki. Lada dzień powinnam dostać odpowiedź.

- Ach, Surtsey. To powinno być fascynujące.

- Wyspa mniejsza i rzadziej zaludniona niż ta. Potem będę badać florę na porzuconych bryłach skalnych pośrodku oceanu.

- I nie wątpię, że odkryjesz tam coś ciekawego.

- Przypuszczalnie coś, co dotyczy mnie i mojego zainteresowania małymi, nieuczęszczanymi miejscami.

- Podróżowanie to nie taki dziwny impuls. A Islandia, tam będziesz miała gorące źródła i gejzery. Kiedy tam byłem, było pięknie.

- Gdzie ty nie byłeś, Vicente?

- Tak naprawdę to w twojej ojczyźnie. W Stanach Zjednoczonych.

Nie miała pewności, czy nie kryje się w tym aluzja.

- Cóż, Surtsey to tylko strzał w ciemno - odparła. - Wiesz, że nie mam w swoim dorobku zbyt wielu publikacji.

- Pracujesz z zaangażowaniem i to się liczy. Ja do nich napiszę. Napiszę, że miesiącami widywałem cię w laboratorium o każdej porze dnia i nocy. Żadnego życia osobistego. Żadnych facetów, żadnego szalonego życia nocnego. Docenią ten szczegół.

- Na pewno.

- Tylko krótkie wieczorne drzemki na skałach, pomocne w znajdowaniu skamielin.

- Wszystko w imię badań naukowych.

- Uczona pełna prawdziwego poświęcenia i pasji. - Odchylił się do tyłu i podparł rękami. - Ale czy to nie budzi w tobie niepokoju?

- Co?

- Brak życia osobistego. Wszyscy jesteśmy ludźmi, nawet zapaleni naukowcy.

- Oczywiście - przyznała. - Ale przez „życie osobiste” ty właściwie rozumiesz „sprawy sercowe”. Te dwie rzeczy to nie to samo.

No więc. Mam tu przyjaciół, należę do społeczności. Siedzę tutaj i piję z tobą. Jak byś to nazwał?

- Nie wiem. A jak ty byś to nazwała?

- Pełnym życiem.

- Wiesz, o co pytam.

- Pytasz, dlaczego nie mam faceta? Czy dlaczego mieć nie chcę?

- Uczciwe pytanie.

- Więc chcesz wiedzieć, dlaczego nie chodzę z Ramonem?

- Widzisz? Tylko odbiegasz od tematu.

- Och, Vicente. Co chcesz ode mnie usłyszeć? Wiesz, że przez osiem lat byłam zamężna, i wiesz, że Thomas zmarł. I, na Boga, musisz wiedzieć, że to w jakiś sposób trochę utrudnia myślenie o nowym związku.

- Wiem o tym, Greer. Ale nigdy o tych sprawach nie mówisz. Dlaczego nie miałyby wyznać mu prawdy? Jest przecież dobrym człowiekiem, dobrym przyjacielem. Chciała mu wyjaśnić, jak to było z Thomasem, opowiedzieć o wszystkim, co się stało z jej pracą doktorską, o ich życiu w Massachusetts, o tym, co zrobił z danymi, dotyczącymi pyłków, o tym, jak źle ulokowała swoje uczucie. Vicente próbował odgadnąć wyraz jej twarzy.

- Może nadal jesteś w nim zakochana?

- Nie - zaprzeczyła Greer. - Wtedy mogłabym przynajmniej opłakiwać go jak normalna osoba. Tak naprawdę to chyba nawet nie znałam mojego męża.

Vicente uniósł brwi. Może tym sobie tłumaczył jej odmowy: Nadal była zakochana w mężu.

- Wyobrażam sobie, że to skomplikowane - powiedział. - Małżeństwo, sposób, w jaki dwoje ludzi rozpoczyna wspólne życie, a potem widzi, jak ich drogi się rozchodzą. Nigdy nie byłem żonaty. Nigdy nie byłem o krok od małżeństwa. Umawiałem się na randki z wieloma kobietami, ale zawsze dla zabawy. A jak nic z tego nie wychodzi, też jest dobrze. Nie mogę udawać, że rozumiem, co czuje człowiek tak poważnie traktujący związek i jego zerwanie.

- Przed laty - powiedziała - niedługo po ślubie, kiedy robiłam doktorat, Thomas wziął moją pracę i wykorzystał w swoim artykule. Ukradł moje równanie.

Vicente wyglądał na zdezorientowanego.

- Wtedy sfałszował dane?

- Nie. To było wiele lat wcześniej. Mąż przywłaszczył sobie moją pracę i wtedy mnie zarzucono plagiat.

- Co zrobiłaś?

- Nic - odparła Greer. - Nie zrobiłam absolutnie nic. Nie chciałam wierzyć, że to się stało.

Vicente odetchnął głęboko.

- Trudno sobie taką rzecz wyobrazić. To straszne. Ale, Greer, nie wszyscy mężczyźni są tacy. Bardzo niewielu zrobiłoby coś podobnego.

- Wiem. Był wyjątkowym i rzadkim okazem.

- To cię złości?

- Złościło. Ale teraz już mniej.

- Dlatego trzymasz się na uboczu? Zajmujesz swoją pracą?

- Kto wie.

- Przypuszczam, że nic nie jest aż takie proste.

Słońce stało nisko na niebie, port był skąpany w jego pomarańczowym świetle. Pięć łodzi rybackich już przyplłynęło, przycumowało do nabrzeża. W oddali jeszcze trzy zmierzały do domu. Pośród nich, unoszona w stronę brzegu, płynęła zielona szklana kula.

- Ach, spójrz! - Vicente zeskoczył z murku. - Chodź.

Złapał ją za rękę i poprowadził nad wodę; zrzucił buty, podwinął spodnie.

- Zaraz wracam. - Ruszył w tę stronę, gdzie szklana kula podskakiwała i opadała na falach. - Jest idealna! - Uniósł ją, moką, nad głowę. Woda morska kapiała mu na twarz, a on się uśmiechał. - Dobra wróżba, Greer! Bardzo dobra wróżba!

Brodził, trzymając przed sobą zieloną kulę, jakby była kryształowa.

- Boja! Raz, może dwa razy do roku ocean wyrzuca je na brzeg. Podobno przynoszą szczęście.

Greer pomyślała o wszystkich bojach, zawieszonych pod sufitem Mahiny, o szczęściu, na jakie zasługiwała jej przyjaciółka. Po wyjściu na piasek Vicente wręczył kulę Greer.

- Za twoje szczęście. Za Islandię. Za przyszłość.

Kiedy znów usiedli na murku, Vicente odwinął nogawki, a Greer przyglądała się kuli, którą położyła na kolanach, i wyobrażała sobie, jak by to było żyć tutaj przed setkami lat, wypatrywać na morzu podarunków, gości, życia. Ze szczytu Terevaka wyspa wydawałaby się środkiem świata. Greer pociągnęła łyk pisco sour i pozwoliła, żeby wolno spłynęło jej gardłem.

- Ładnie wyglądasz - powiedział Vicente. - Tak, bardzo ładnie wyglądasz. - Greer nagle uprzytomniła sobie, że po raz pierwszy spięła włosy. Włożyła sukienkę bez rękawów, jedyny twarzowy strój w jej bagażu.

- Mojej odzieży polowej należała się przerwa w noszeniu.

- Tak, oczywiście. - Postukał w boję. - Podoba ci się prezent?

- Tak.

- Niektórzy mężczyźni dają małe kamyki. Ja daję duży kawałek szkła.

Greer się roześmiała.

- Zawsze lepsza jest oryginalność.

- A mój pomysł z von Spee? Uważasz go za dobry?

- Owszem.

- Był wielkim dowódcą, człowiekiem targanym silnymi namiętnościami. - Vicente popatrzył na morze. - Został uwikłany w wojnę, która sprawiła, że starzy przyjaciele stali się jego wrogami, a życie tysięcy ludzi było w jego rękach.

- Vicente, mówisz zupełnie jak zakochany mężczyzna.

- To uczucie jest dla mnie czymś nowym.

Ale może to chwilowa namiętność, może jego miłość do von Spee przeminie, może wszystkie jego miłości przeminą. Czy można wiedzieć na pewno?

Greer położyła ręce na kuli - na swoim prezencie, swoim talizmanie.

Tydzień później zaczęła pakować klucze pyłków i księgi danych do skrzynek. Odesłała zbiór nasion do Kew Gardens i załatwiła przechowanie pobranych przez nią na wyspie próbek roślin w budynku SAAS-u dla przyszłych badaczy. Boję zapakowała do osobnej skrzynia, starannie wyścielonej w nadziei, że bezpiecznie przeprawi się z nią przez ocean. Ostatnią rzeczą, jaką pozostawiła na długim stole roboczym, był jej artykuł. Pięćdziesiąt stron z danymi i analizą, efekt ośmiomiesięcznej pracy. W końcu wszystko

umożliwił skamieniały orzech. A teraz dostała prawdziwy grant; został jej przyznany. Będzie uczestniczką oficjalnej wyprawy na Surtsey.

Wycierała wirówkę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Odwróciła się i zobaczyła, że stoi w nich Luka Tepano. Rzadki srebrzysty zarost pokrywał mu twarz, nadając policzkom dziwny połysk rybiej łuski. Luka miał oczy wbite w rulonik papieru, który trzymał w ręce.

- Luka! Cieszę się, że przyszedłeś. Nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Proszę, wejdź. - Od tamtej nocy, którą spędził u Mahiny, Greer próbowała go zlokalizować. Była w caleta, w kolonii trędowatych, nawet przed jaskinią starej kobiety, wydawało się jednak, że zniknął.

Wyciągnęła i podsunęła mu jeden ze stołków laboratoryjnych. Usiadł powoli.

- Luka, chciałam ci podziękować. Tamtej nocy nie miałam okazji. Dziękuję, że mnie znalazłeś i sprowadziłeś Vicente. W przeciwnym wypadku mogłabym umrzeć.

Wzrokiem przeszukiwał laboratorium - puste półki, stos skrzynek, częściowo rozebraną wirówkę.

- Soy de los Estados Unidos - powiedziała Greer. - Badałam rośliny na wyspie.

Na stole przed nimi leżała ilustrowana książka, Flora i fauna tropików. Popatrzył na okładkę, potem na Greer. Kiwnęła głową. Przerzucił parę kartek, oglądając obrazki roślin.

- Rozumiesz po angielsku? Choć trochę?

Wziął z kolan rulonik i położył przed nią na stole.

- Co to jest?

Rozwinęła i wyprostowała gruby papier. Patrzyła na nią twarz młodego chłopca. Oczy miał duże, wargi pełne i rozchylone w uśmiechu. Szyję za cienką, niemal za chudą w stosunku do pucołowatej twarzy. Greer podniosła wzrok na Lukę.

- To ty?

I wtedy, po raz pierwszy, niewątpliwie zrozumiał: Kiwnął głową.

- Kiedy byłeś mały.

W jego postarzałej twarzy dostrzegła tego ducha młodości. Widziała chłopca, niespokojne oczy, pulchny nos, promienny uśmiech. Obrazek musiał mieć co najmniej sześćdziesiąt lat.

Greer zwinęła go starannie i oddała właścicielowi.

- Co za cenna dla ciebie rzecz - powiedziała.

Wziął od niej papier i po prostu siedział, jakby na coś czekał.

- Znasz jakieś znaki? - spytała, podnosząc obie ręce gestem, który według niej w naturalny sposób wyrażał pytanie. - A może piszesz? - Wyrwała z notatnika kartkę i podsunęła mu ją wraz z piórem, ale nie ruszył się, żeby je wziąć. Następnie podeszła do pudełka z próbkami, wyjęła i pokazała mu skamielinę. - Wiesz, co to jest? Kiedy mnie znalazłeś, trzymałam to w ręce.

Luka chyba nie chciał wziąć od niej skamieliny, kiedy jednak położyła orzech na stole, podniósł go do oczu i obejrzał z wielkim zadowoleniem.

- Okazało się to najważniejszą rzeczą, jaką tu znalazłam.

Obserwował ją z takim wyrazem koncentracji, że Greer przez moment nie była pewna, czy przypadkiem nie czyta z jej ust. Uśmiechnął się.

- To nasienie bardzo dużego drzewa. Skamieniałe nasienie. Siedział bez ruchu, a po chwili zsunął się ze stołka i wręczył jej orzech, jakby to był prezent, po czym go odebrał i powtórzył ten gest.

- Prezent? - zapytała Greer. - Ty mi go dałeś? Pokręcił głową i jeszcze raz wręczył jej skamielinę.

- Prezent od twojego kogoś innego? - zapytała. - Czy dała mi to twoja amigal
Przycisnął papier do piersi, kiwnął głową i ujął rękę Greer.

*

- Ach, doctoral Twoja praca! Skończona! Znajdę dla nas butelkę czegoś dobrego.

Mahina siedziała za biurkiem, kiedy Greer przyniosła swój artykuł, teraz zaś przeszła przez zasłonę z paciorków i wróciła z butelką bez etykiety i dwoma kielichami. Przyjrzała im się pod światło, a następnie z lubością je napełniła. Stuknęły się.

- Twoje zdrowie! Doctora zakończyła całą swoją pracę. Greer pociągnęła łyk trunku: brandy.

- Chciałabyś przeczytać mój artykuł, Mahino? Mahina odstawiła kieliszek.

- To byłby dla mnie zaszczyt.

- Nie ma właściwie zwyczaju dedykowania prac naukowych, ale gdybym mogła komuś ją dedykować, tym kimś byłabyś ty.

- Doctora.

Greer podniosła z podłogi torebkę i położyła ją na kolanach.

- I chcę ci coś dać. - Wyjęła grubą białą kopertę. Odkąd wcześniej tego dnia wyszła z biura Lan Chile, zastanawiała się, jak to zrobi. - Tu jest powrotny bilet do Santiago. Twój samolot odlatuje od dziś za dwa tygodnie o pierwszej po południu. Hotel masz załatwiony. Elian z hotelu Espiritu obiecał przychodzić i doglądać wszystkiego pod twoją nieobecność. Isabel zamieszka u Svena, a ty nie będziesz mieć żadnych gości przez parę następnych tygodni. - Mahina

powoli przekrzywiła głowę z boku na bok; to wszystko najwyraźniej się w niej nie mieściło. - A jeśli z jakiegoś powodu uważasz, że twój mąż może wrócić, kiedy ciebie tutaj nie będzie, cóż, zostawimy mu wiadomość. - Greer napisała w języku Rapa Nui kartkę, którą teraz wręczyła Mahinie.

Poleciałam do Santiago. Wracam za parę tygodni.

- Proste. Na twoim miejscu już zaczęłabym się zastanawiać, co ze sobą wezmę.

No, zrobione. Chwyciła torebkę i wstała. Pośpiesznie uściskała Mahinę.

- Mam milion rzeczy do zrobienia przed odlotem - powiedziała. - A jeśli już o to chodzi - dorzuciła z uśmiechem - ty także.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Palinologiczne analizy flory Wyspy Wielkanocnej, Południowy Pacyfik, Terytorium Chile Przedstawione Międzynarodowemu Towarzystwu Ochrony Przyrody Listopad 1973 Dr Greer Farraday

Nie można w pełni zbadać modeli wymierania i zmian we florze Wyspy Wielkanocnej, jeśli nie weźmie się pod uwagę dziwnej historii wznoszenia na wyspie pomników. Olbrzymie kamienne posągi, od tak dawna niemo stojące przed archeologami, dostarczają ważnej wskazówki co do losu miejscowej ludności, która je wzniosła. Wprawdzie szczegółowe sposoby rzeźbienia i transportowania moai nadal nie są znane, dopuszczam przynajmniej możliwość, że jakiś aspekt ich wykonania i transportu zaszkodził środowisku naturalnemu wyspy.

Wzdłuż wybrzeża wyspy stało niegdyś ponad 200 posągów, przetransportowanych z krateru Rano Raraku, gdzie wyciosywano je w tufie wulkanicznym. Mimo wysokości do trzydziestu trzech stóp i wagi do osiemdziesięciu dwóch ton, posągi te przenoszono aż na odległość sześciu mil od kamieniołomu na ich miejsca na brzegu wyspy. Ponad sześćset posągów pozostało w kamieniołomie, gdzie leżą w mniejszym lub większym stopniu niedokończone. Najwyższy z nich miał sześćdziesiąt pięć stóp wysokości, najcięższy ważył dwieście siedemdziesiąt ton.

Palma *Paschalococos dispeita* i *Sophora toromiro* były kiedyś najpospolitszymi drzewami na wyspie (jedyne żyjące obecnie okaz *Sophora toromiro* znajduje się w Królewskim Ogrodzie Botanicznym Kew), a próbki osadów, datujące się od lat dwóchsetnych naszej ery, wskazują na obfitość pyłków obu tych drzew w ówczesnej florze wyspy. Najwcześniejsze daty, uzyskane metodą węgla C14, a kojarzone z zamieszkaniem tam ludzi, pochodzą z roku 318, 380 i 690. Dlatego wydaje się prawdopodobne, że w okresie osadnictwa wyspa była porośnięta co najmniej dwoma gatunkami drzew.

Pyłek i owoce *Paschalococos disperta* (znaleziono skamieniały orzech) wykazują zaskakujące podobieństwo do spotykanej jeszcze dziś *Jubaea chilensis*, *Jubei* chilijskiej, która osiąga do osiemdziesięciu stóp wysokości i sześciu stóp średnicy. Wysokie, grube pnie miejscowej palmy mogły służyć pierwszym mieszkańcom Rapa Nui do budowy dużych łodzi, domostw, a nawet do palenia ognisk - rzeczy dla ludzi niezbędnych. Chilijska palma daje też jadalne orzechy, co wskazuje, że palma z Wyspy Wielkanocnej również dostarczała pożywienia.

Te miejscowe palmy mogą również tłumaczyć zagadkę transportu i wznoszenia moai. Pnie i gałęzie *Sophora toromiro* byłyby za słabe do poruszania dużych ciężarów, lecz drewno *Jubaea chilensis* jest wyjątkowo trwałe. Kilku archeologów twierdziło, że moai, umieszczone na drewnianych saniach, ciągnięto po posmarowanych (patatami) drewnianych szynach czy wałkach, a następnie podnoszono do pozycji pionowej za pomocą bierwion i lin, co do dziś nie zostało w ostateczny sposób przetestowane. Wiemy, że moai nie można poruszyć przy użyciu samych tylko lin, wiemy też, że w 1872 roku uczestnicy wyprawy, opisaney przez Pierre'a Lotiego, zdołali przetransportować moai na swój statek, posługując się „olbrzymimi belkami, połączonymi razem w coś na kształt prowizorycznego rydwanu”, jeśli marynarze zdołali w ciągu dnia przenieść moai za pomocą powiązanych ze sobą belek, możemy przyjąć, że tak samo postępowali również wyspiarze.

Stwierdzono, choć trudno jest ustalić niepodważalne daty, że moai mogły być wznoszone już w roku 500, a produkowane w największych ilościach około 1400. Ze świadectw europejskich podróżników wynika niezbicie, że stały w pozycji pionowej jeszcze w roku 1722, kiedy je widział Roggeveen, ale nie stawiano ich już po roku 1774, kiedy kapitan Cook zanotował, że na ogół leżą obalone. Co do jednego natomiast wszyscy są zgodni: W chwili kiedy porzucono moai, a narzędzia ciśnięto obok nich w kamieniołomie, dziesiątki innych, większych niż te stojące, właśnie rzeźbiono. Eksperci uważają to za dowód wzmożonej pod sam koniec działalności rzeźbiarskiej. Gdzieś między rokiem 1722 a 1774 wdększość, jeśli nie wszystkie, z 200 stojących moai obalono.

Nic nie wskazuje na to, że raptowne zniknięcie miejscowych roślin spowodowała klęska żywiołowa w postaci fali tsunami czy erupcji wulkanicznej. Z danych palinologicznych wynika, że stopniowo malała zawartość pyłków w każdej kolejnej warstwie osadów. Musimy zatem zmianę flory w pierwszym rzędzie przypisywać zniszczeniu środowiska naturalnego.

Zniknięcie *Sophora toromiro* i palmy *Paschalococos disperta* miałyby największy bezpośredni wpływ na życie miejscowej ludności. Jak wskazuje używanie jaskiń do celów mieszkalnych, wyspiarze mogli znajdować schronienie mimo braku mocnego budulca. Natomiast na wyspie, na której życie zależy od morza i łodzi, zwłaszcza typowych polinezyjskich łodzi z pływakami, brak drewna, a zatem brak łodzi, niekorzystnie wpłynąłby na rybołówstwo i transport wodny. (Wszyscy: Roggeveen, Cook, La Perouse i Loti, zauważyli złą jakość i małą liczbę miejscowych łodzi. A wielu z tych podróżników witali wyspiarze, przybywający wpław na statki).

O tym niedostatku zdolnych do użycia łodzi wyraźnie wspominają europejscy odkrywcy. Roggeveen opisał pierwsze zetknięcie wyspiarza z jego statkiem: Ten nieszczęśnik wydawał się bardzo rad z naszego widoku i przejawiał ogromne zdziwienie budową naszego statku. Szczególną uwagę zwracał na dobry stan naszych drzewc, tęgość naszego olinowania stałego i ruchomego, na żagle, działa - które obmacywał z wielką skrupulatnością. Podczas wyprawy Cooka zdarza się to samo: Kiedy kapitan zbliżył się łodzią do brzegu, jeden z tubylców dopłynął do niej i zażądał zabrania na statek, na którym pozostał dwie noce i dzień. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po wejściu na pokład, było zmierzenie długości statku od relingu rufowego po ster. La Perouse jest świadkiem badania jego statku przez całą grupę wyspiarzy: Badali liny, kotwice, kompas i koło sterowe, nazajutrz zaś wrócili ze sznurem, aby ponownie dokonać pomiaru, co nasunęło mi myśl, że na pewno omawiali tę sprawę na brzegu. Widząc, jakie przedmioty najbardziej fascynowały dawnych Rapa Nui, zaczynamy rozumieć, czego im brakowało.

Musimy więc wyobrazić sobie wtórną traumę, jaką u człowieka wywołałoby wylesienie - erozja gleby zahamowałaby wzrost roślin, a ogólne uszczuplenie zasobów drewna uczyniłoby niemożliwym łowienie ryb. Z biegiem lat musiałoby nastąpić wymieranie ludności śmiercią głodową.

Inni badacze ustalili, że w okresie wznoszenia moai liczba mieszkańców wyspy była duża, szacunkowo od siedmiu do dwudziestu tysięcy (obecnie jest ich około trzech tysięcy). Ich naturalne zapotrzebowanie wobec środowiska będącego źródłem pożywienia niekorzystnie oddziaływałoby na miejscową florę. A do tego masowe wycinanie palmy i perełkowca dla celów transportu moai dość szybko uczyniłoby środowisko niezdatnym do zamieszkania. Zapewne ludność przeżywała najpierw stopniowy i naturalny schyłek, nie rozumiejąc dokładnie, jakie zmiany zachodzą w środowisku.

A zatem w moai, w samych pomnikach, obalonych na twarze, należy szukać niemej historii nieszczęścia, jakie dotknęło mieszkańców wyspy. Najdawniejsze dociekania (Roggeveen, 1722) wskazują, że posągi miały być upamiętnieniem, wyobrażeniem zmarłych przodków wyspiarzy. Choć opis nie świadczy o ich religijnym czy w naszym rozumieniu opiekuńczym charakterze, wolno domniemywać, iż rzeźbiarze kojarzyli te monolity z cechami opiekuńczymi - a co za tym idzie, wierzyli w dobroczynne skutki ich wznoszenia. Niezależnie od tego, kiedy zaczęto gorączkowo stawiać pomniki, trzeba sobie wyobrazić, jak ciężkiej pracy wymagało robienie coraz większych i trudniej szych do transportowania przy równoczesnym szybkim pogarszaniu

się warunków na wyspie. Ginęły drzewa i krzewy, spadały plony. Malą liczbą mieszkańców i może po raz pierwszy ci żyjący w izolacji ludzie cierpieli głód.

Na podstawie świadectw mamy prawo dopatrywać się przypuszczalnej współzależności między nasileniem budowy pomników a zniszczeniem krajobrazu. Co, rzecz godna uwagi, jest może jedynym znanym z historii ludzkości przypadkiem samounicestwienia jakiegoś ludu przez to, że wznosił pomniki swoim zmarłym.

Było jednak coś, czego Greer nie napisała.

Dotyczyło pozycji moai. Posągi nie patrzyły na morze, jak można by sobie wyobrażać, tylko na wyspę; stały zwrócone twarzami do lądu, plecami do oceanu, jak gdyby ten lud, o tysiące mil oddalony od innych, zatracił w ciągu pokoleń wiedzę o świecie zewnętrznym. Jak gdyby wznosząc te pomniki, megality przeszłości, otaczając się nimi, zapomniał czy usiłował zapomnieć, że coś leży poza wybrzeżami jego wyspy.

Co zatem myśleliby jej mieszkańcy w dniu, kiedy Roggeveen zakotwiczył przy brzegu, na pokładzie jego potężnego statku piętrzyły się nigdy przedtem niewidziane towary, a mężczyźni mienili się tęczo kapeluszymi w jaskrawych kolorach, kurtkami i epoletami? Co myśleliby, kiedy podpływali do burt swoimi rozlatującymi się łodziami, wspinali się na pokład, aby gładzić kształtne żagle, osprzęt i liny? Co myśleliby, kiedy ludzie Roggeveena powiosłowali na brzeg, wdrapali się na skały z lśnjącymi pistoletami i muszkietami u boku, które, gdy je podnieśli, natychmiast pozbawiły życia? Co myśleliby trzy dni później, kiedy patrzyli na ciała swoich poległych przyjaciół, a statek odpływał za skraj świata, który uważali za własny? Czy wyspiarze rozejrzeliby się po jałowym krajobrazie? Po skałach, trzcinach i pożółklej trawie? Czy przypomnieliby sobie drzewa? Albo opowieści o drzewach - czyż matki nie opowiadały im kiedyś o dziewczynie, której kazano zasadzić głowę ukochanego w ziemi? Czy popatrzyliby na kilka łodzi próchniejących przy brzegu? Łodzi, z których żadna nie mogła pomieścić więcej niż cztery osoby, łodzi zbyt dziurawych, aby przepłynąć więcej niż parę mil? Czy wiedzieliby, że przypadł im ten sam tragiczny los co tylu istotom, jak choćby nieustraszonym ptakom, które docierały na tak odległe brzegi, a pewnego dnia przekonywały się, że już nie potrafią fruwać? Czy popatrzyliby wtedy na kamienne olbrzymy, setkami lat wznoszone przez nich i ich przodków? Na własną historię, już niezdolną ich chronić, odgradzać od wiedzy o innym świecie?

Czy właśnie w tej chwili któryś wściekły mężczyzna wydał rozkaz - Dość! Nigdy więcej! - czy wtedy zrozumieli, że zmarli ich zdradzili, czy wtedy całą

chmarą rzucili się na najbliższy posąg, napaarli, źli, przerażeni wagą tego potężnego reliktu, wykrwawiając się z myślą o nowym początku?

Rozdział trzydziesty

Samolot staruje o pierwszej po południu i zarówno Vicente, jak Mahina odprowadzają Greer na lotnisko. Sven z Isabel pomogli zapakować jej torby i pożegnali się w residencial. Teraz załadunkowi skrzyń i rdzeni towarzyszy zamieszanie, a oni patrzą, jak ośmiomiesięczna praca zostaje zamknięta we wnętrzu samolotu.

Mahina jest dziwnie milcząca, kiedy inni pasażerowie ustawiają się do niego w kolejce, jak gdyby odlot Greer był nieoczekiwaną zdradą. Ale ubrała się na tę okazję - włożyła białą bawełnianą sukienkę w żółte kwiatki; kwiaty, myśli Greer, które nie istnieją. Są ze świata mody. I przyozdobiła się naszyjnikiem z muszelek.

- Dziękuję za książki. - Greer klepie swój plecak.

Tego dnia rano, kiedy pakowała przybory toaletowe i zamykała torby, weszła Mahina ze stosem książek. - Dla doctora - powiedziała i po kolei ułożyła je na materacu. Były oprawne w skórę, w spłowiałym kolorze bordo, ze złotymi tytułami na grzbietach. Kolekcja z oszklonej szafki nad biurkiem. Greer wzięła i otworzyła jeden tom. Charles Robert Darwin, Podróż na okręcie „Beagle”, Londyn 1839. Na pierwszej stronie było wytłoczone:

Ex libris E.P.B.

Greer przebiegła palcami po stronicach, po oprawie.

- Ale, Mahino, chciałaś je sprzedać. Są Darwina. To pierwsze wydania. Niezwykle cenne. Nie mogę ich przyjąć.

- Te książki pasują do ciebie. Takie lubisz czytać. I są prezentem. Jeśli ty nie przyjmiesz mojego prezentu, ja nie przyjmę twojego.

- Twarda z ciebie kobieta - powiedziała Greer.

- Tak - zgodziła się Mahina. - Jestem twarda. I wystarczyła mi próba przeczytania twojego artykułu. Mam dość angielskiego na całe życie. - Pozostawiwszy Greer upychanie książek do plecaka, przywołała Ramona, żeby pomógł załadować torby do dżipa.

Ale Greer nie wie, co sądzi Mahina o swoim prezencie. Jak dotąd nie mówiła o planach wyjazdu. Greer będzie musiała czekać, aż Vicente ją zawiadomi, czy Mahina wykorzystała bilet. Należy mieć nadzieję, że Mahina wejdzie na pokład samolotu i pomacha swojej wyspie na pożegnanie, przynajmniej na jakiś czas.

Vicente zaczyna chodzić tam i z powrotem.

- A więc Niemcy - mówi. - Niewątpliwie jest tam dobry wilgotny grunt do pobierania rdzeni. Przyjedź z wizytą. Nazwij to podróżą naukową.

- Gdzie robisz pierwszy postój ?
- W Strasburgu. Tam gdzie żył von Spee.
- W Strasburgu? We Francji?
- Dopiero od wojny. Przedtem Strasburg należał do Niemiec.
- Mam w Strasburgu przyjaciółkę, którą zamierzam odwiedzić.
- Więc będziesz tam miała dwoje przyjaciół. Rozwija tutkę z bibułki i wręcza jej jedną stokrotkę.

- Dla mojej ulubionej botaniczki.
- Vicente.
- A stokrotka, jestem przekonany, to kwiat, który oznacza: „Zobaczę cię niebawem”.

- Właśnie - mówi Greer, zasmucona tym przypomnieniem wszystkich ich rozmów. Jak prędko człowiek tworzy jedną przeszłość, nawet kiedy próbuje uciec od innej. Wkłada sobie kwiatek za ucho. - Będzie mi ciebie brakowało, Yicente. Byłeś cudowny.

- Spotkamy się znowu. Na pewno. Kwiat tak mówi.

- Nigdy nie sprzeczam się z kwiatami.

Teraz Greer zwraca się do Mahiny i otwiera ramiona.

- A ty... - Iorana - mówi Mahina. - Mam na myśli oba znaczenia. Wróc, doctora.

- Kiedyś - odpowiada Greer. W tym pożegnaniu słyszy echa wszystkich innych swoich dotychczasowych pożegnań. - Wrócę.

- Jak wrócisz, zobaczysz stojące moai - mówi Mahina. Właśnie poprzedniego dnia dowiedzieli się o nowym „projekcie odrestaurowania moai”, opracowanym przez SAAS. Zespół francuskich archeologów spędzi rok na ustawianiu wzdłuż wybrzeża rzędu moai w pozycji pionowej. Wyspiarze mają mieszane uczucia - moai leżą od ponad dwustu lat i wszyscy przywykli do takich. Greer też jest niezdecydowana - obalone posągi opowiadają prawdziwą historię wyspy, ale może ten projekt również stanie się jej częścią: odrodzeniem.

- Tak - mówi Greer. - Muszę to zobaczyć.

Stewardesa Lan Chile stoi u stóp przenośnych schodków i gestem przywołuje pasażerów. Greer ściska Vicente, który całuje ją w oba policzki, potem w czoło i mówi po prostu:

- Strasburg.

Następnie Mahina zdejmuje naszyjnik z muszelek i wkłada Greer przez głowę.

- Doctora - mówi.

- To ja. - Greer podnosi plecak, ciężki od nowych książek. Podchodzi do stewardesy. To ta sama kobieta, z którą przyleciała tu osiem miesięcy temu. Nadal uśmiechnięta.

- Iorana. Buenos dias. Dzień dobry - mówi i bierze bilet Greer. U szczytu schodów Greer odwraca się do Mahiny, pokazując, jak wchodzi do samolotu.

- Widzisz, jak łatwo? - krzyczy, macha po raz ostatni i znika w środku.

Bierze ze swego siedzenia poduszkę i umieszcza pod szyją. Czeka ją długa podróż, trwająca pół dnia i całą noc. Santiago. Nowy Jork. Londyn. Rejkiawik. A potem małym samolotem ekspedycji na Surtsey, położoną o dwadzieścia mil na południe od Islandii.

Przejrzała niezbędne materiały. Wyspa jest wulkaniczna, jak Wielkanocna, ale nowa, nieskażona - ma zaledwie dziesięć lat. Widziała wzrost, jak dotąd bez zniszczeń. Już dostrzeżono rukwiele nadmorskie, zdobiące wyspę fioletowymi i białymi kwiatami, i małe różowe kwiatki macierzanki nadmorskiej. Nawet w chwili kiedy Greer tu siedzi, nowe nasiona cisną się na brzeg. Wyobraża sobie tysiące zarodników paproci, unoszone wiatrem. Wszystkie owoce bukszpanu i merremie dyskowate, i wilce purpurowe, wszystkie nasiona na wszystkich zwierzętach, nasiona, które podskakują na dryfującym drewnie, unoszą się z prądem, czekają, aby osiąść, zapuścić korzenie, przebić się przez ciemność do światła, gdzie czeka nowe życie.

Śmigła się kręcą i samolot zaczyna kołować po pasie startowym. Greer raz jeszcze wygląda przez okienko, lecz teraz na asfaltowej płycie nie ma nikogo, szyby lotniska tworzą niewyraźną plamę. Jej siedzenie dygocze, kiedy silnik pcha samolot w górę, w prąd powietrza, i wkrótce Greer patrzy z góry na znikającą wyspę.

Po przedarciu się przez chmury, nad pustym oceanem, wstrząsy ustają. Greer rozgląda się dokoła: kilku turystów amerykańskich już śpi; młoda para Europejczyków, może Niemców, trzyma się za ręce; starsza kobieta, Chilijka, a obok niej dwie małe dziewczynki.

Greer wyciąga spod siedzenia plecak, a z niego jedną z książek Mahiny, egzemplarz o powstawaniu gatunków. Kładzie go na kolanach i zasypia.

Wiele godzin później, w innym samolocie, nad innym oceanem, budzi się z głębokiego snu i zdaje sobie sprawę, że jest prawie na miejscu. Dla uspokojenia otwiera stary, zniszczony egzemplarz Darwina i zaczyna czytać. Skórzana oprawa jest miękka, zbielała na rogach. Kartki są pomarszczone. W książce widać wyblakłe podkreślenia, zrobione ołówkiem, przez co niewątpliwie traci wartość jako pierwsze wydanie, ale przecież Greer nie zamierza jej sprzedać.

Znajduje proste stwierdzenie, nad którym zawsze musiała chwilę się zastanawiać.

Nikogo nie powinno dziwić, że tyle jeszcze pozostaje niewyjaśnionych punktów w sprawie pochodzenia gatunków i odmian. Dostyc tylko uprzytomnić sobie, jak głęboka jest jeszcze nasza nieznajomość wzajemnych stosunków otaczających nas istot.

A obok tego fragmentu ta inna czytelniczka, ta niewidzialna przyjaciółka schludnym i nieomylnie kobiecym charakterem pisma - litery długie i zawijane - zrobiła prostą uwagę: Śliczne.

Greer patrzy przez okienko na wyłaniającą się wyspę. Tam, pod nią, szmaragdem błyskają nowe pędy roślin, szerokoskrzydły ptak wdzięcznie zatacza kręgi nad brzegiem, biały kwiat mruga pośród grubego kobierca zieleni. Wszystko lśni pragnieniem życia.

Ręce Greer delikatnie składają się na książce.

To śliczne, prawda?

Od autorki

Ta książka jest powieścią, chociaż myśl o kilku bohaterach poddały postaci historyczne.

Wszyscy osiemnastowieczni i dziewiętnastowieczni europejscy podróżnicy to ludzie prawdziwi. Wyjątki z ich opisów Wyspy Wielkanocnej pochodzą z przekładów w wyborze relacji z podróży, dokonanych przez Johna Dos Passosa, a zatytułowanym *Easter Island: Island of Enigmas* („Wyspa Wielkanocna: wyspa zagadek”).

Zamieszczona jako motto książki legenda o śnie Hau Maka jest kompilacją legend z różnych źródeł, zwłaszcza z Thomasa Barthela *The Eighth Land: The Polynesian Discovery and Settlement of Easter Island* („Ósmy ląd: Odkrycie i zasiedlenie Wyspy Wielkanocnej przez Polinezyjczyków”).

Hrabia von Spee rzeczywiście był w czasie pierwszej wojny światowej wiceadmirałem niemieckiej Eskadry Azjatyckiej, która zakotwiczyła na Wyspie Wielkanocnej przed bitwą o Falklandy. Działania von Spee na wyspie zostały jednak w całości zmyślane dla celów tej książki. Informacji o mchach floty von Spee dostarczyły: *Graf Spee's Raiders* („Niszczyciele grafa Spee”) Keitha Yatesa, *Coronel and the Falklands* („Coronel i Falklandy”) Geoffreya Bennetta oraz *The Long Pursuit* („Długi pościg”) Richarda Hougha. Scena w Tsingtao, w której von Spee dowiaduje się o wybuchu wojny, jest powieściową syntezą kilku wydarzeń.

Pomysł wyprawy Elsy i jej rodziny został zaczerpnięty z opisu ekspedycji, na którą w 1914 roku wyruszyła Katherine Scoresby Routledge z mężem i którą cudownie zrelacjonowała w swojej książce *The Mystery of Easter Island* („Tajemnica Wyspy Wielkanocnej”). Warto odnotować, że wyprawa Routledge nie zniknęła z wyspy, lecz bezpiecznie powróciła do Anglii.

Opisana tu ekologiczna historia Wyspy Wielkanocnej opiera się na faktach. Pierwsze dokładne badania rejestru tamtejszych pyłków podjął w 1977 roku dr John Flenley. W 1984 roku John Flenley i Sarah King jako pierwsi opublikowali dowody na to, że Wyspę Wielkanocną ongiś porastały drzewa palmowe.

Dla moich badań szczególnie ważne były dwie książki na temat biogeografii wyspowej: *The Song of the Dodo* („Śpiew dronta”) Davida Quammena, tom niezwykły, i *Island Life* („Życie wyspowe”) Sherwina Carląuista, o dwa lata wyprzedzające wydanie przez MacArthura i Wilsona ich monografii, która nadała formalny charakter tej dziedzinie.

Badania roślin okrytozalążkowych, prowadzone przez Thomasa, opierają się na pracach kilku osób, które w tamtym czasie szukały pyłku magnolii. The Enigma of Angiosperm Origins („Zagadka pochodzenia roślin okrytozalążkowych”) Normana F. Hughesa pomogła mi zrozumieć przebieg badań Thomasa. W chwili kiedy to piszę, magnolia nie uchodzi już jednak za pierwszy kwiat. Dzięki analizie genetycznej z lat dziewięćdziesiątych dziś za pierwsze rośliny okrytozalążkowe uważa się Amborellaceae, Nymphaeaceae i Illiciaceae.

W 1955 roku pierwszy moai z Wyspy Wielkanocnej został podniesiony do pozycji pionowej przez Thora Heyerdahla w Ahu Aturi Huke koło Anakena. Ahu Akivi postawił w 1960 roku, następnie Ahu Tahai w 1967 roku dr William Mulloy. Ahu Nau Nau w Anakena postawił w 1978 roku Sergio Rapu Haoa. W latach od 1992 do 1995 połączony zespół z Uniwersytetu Chińskiego i Japonii podniósł piętnaście moai w Ahu Tongariki, przedsięwzięcie zaś sfinansowała japońska korporacja TADANO. Do chwili obecnej podniesiono zaledwie około siedemnastu procent posągów ongiś stojących, a większości nadal zagraża erozja. Dla ich ratowania Fundacja Wyspy Wielkanocnej i inne organizacje stale usiłują zbierać fundusze na konserwację.

Rongorongo, jego pochodzenie i znaczenie, nadal pozostaje jedną z wielkich tajemnic Wyspy Wielkanocnej.

Podziękowania

Osoby, którym chciałabym podziękować za bezcenne uwagi na temat tego maszynopisu, to: dr Margaret Davis, dr Sara Hotchkiss i dr Patricia Sanford. Dr John Flenley, którego praca nad pyłkami z Wyspy Wielkanocnej zainspirowała Greer, służył wielką pomocą, podobnie jak jego artykuł The Late Quaternary vegetational and climatic history of Easter Island (Historia roślinności i klimatu na Wyspie Wielkanocnej w późnym czwartorzędzie). A na specjalne podziękowania zasłużyła dr Georgia Lee, specjalistka od Wyspy Wielkanocnej, tym, że błyskawicznie udzielała odpowiedzi na moje niekończące się pytania.

Maururu Marii Huke Rapahango i jej rodzinie za wielką gościnność i życzliwość, a Ramonowi Edmundsowi Pacomio, peti etahi przewodnikowi po Rapa Nui i przyjacielowi.

Czas na pisanie tej książki miałam dzięki stypendiom Jamesa McCreigha w Instytucie Pisania Kreatywnego w Wisconsin i Pisania Kreatywnego na uniwersytecie Colgate. Osoby, którym należą się szczególne podziękowania, to

Peter Balakian, Frederick Busch, Linek Johnson, Jesse Lee Kercheval, Leila Philip i Ron Wallace.

Miałam szczęście, bo wskazówek udzielali mi niezwykli nauczyciele: Robert Stone, Caroline Rody, Barry Hannah, Stuart Dybek i Ethan Canin.

Wyrażali opinie, okazywali mi przyjaźń, cierpliwość i wszystko inne: Emilie Baratta (która przeczytała tę książkę więcej razy, niż to powinna zrobić przyjaciółka), Justin Cronin, Leila Hatch, Aimee Nezhukumatathil i Richard Powers. Stale byli dobrej myśli, mieli energię i czas: Margo Lipschultz, Patrick Merla i Johanna Tani.

Milion podziękowań należy się mojej wspaniałej redaktorce, Susan Kamil. Na podziękowania zasłużyli też Irwyn Applebaum, Nita Taublib i cudowny zespół z Bantam Dell.

Ostatnią, choć równie ważną osobą, bez której nie byłoby tej książki, jest Maxine Groffsky, niezwykła agentka i o wiele więcej.

Od redakcji

W książce wykorzystano fragmenty polskich przekładów z następujących wydań:

Pismo Święte (Biblia Tysiąclecia), Wydawnictwo Pallottinum, Poznań - Warszawa 1980.

Karol Darwin, Dzieła wybrane, t. II, PWRiL, Warszawa 1959.

Walt Whitman, Poeci języka angielskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971.

Tytuły wszystkich książek, występujące w tekście, podano w przekładzie polskim.